

MIĘDZYNARODOWY BESTSELLER

JEONG YU JEONG



SIEDEM LAT

*Jak daleko się posuniesz, by utrzymać kontrolę?*

CIEMNOŚCI

7년의 밤

MOVA

JEONG YOU JEONG  
정유정

**SIEDEM LAT  
CIEMNOŚCI**

7년의밤

PRZEKŁAD Z JĘZYKA KOREAŃSKIEGO  
Anna Diniejko, Łukasz Janik





# Prolog

Wykonałem wyrok śmierci na własnym ojcu.

Ostatni raz stałem po jego stronie rankiem dwunastego września dwa tysiące czwartego roku. Nic wtedy jeszcze nie wiedziałem – ani że go aresztowano, ani że mama nie żyje, ani też o tym, co wydarzyło się poprzedniej nocy. Czułem tylko trudny do nazwania niepokój. Ukrywałem się w stodole na farmie w Seryong przez jakieś dwie godziny i dopiero kiedy pan Ahn wyprowadzał mnie z niej za rękę, dotarło do mnie, że naprawdę coś jest nie tak.

Dwa radiowozy blokowały wjazd na farmę, błyskając na niebiesko i czerwono, przez co pobliskie olchy wydawały się jakby posiniaczone. Do reflektorów zlatywały się chmury owadów. Wkrótce miało świtać, niebo było jeszcze ciemne, mgła gęsta. Zacząłem się trząść w wilgotnym powietrzu poranka. Pan Ahn włożył mi do ręki komórkę i wyszeptał, żebym na nią uważał. Jakiś policjant skierował nas do samochodu.

Po drodze obserwowałem krajobraz jak po wojnie: zerwany most, zalane ulice, korowody wozów strażackich, radiowozów i karettek, helikopter krążący po czarnym niebie. Wioska Seryong, nasz dom przez ostatnie dwa tygodnie, była doszczętnie zniszczona. Nie wiedziałem, co się stało, i nie miałem odwagi zapytać. Nie umiałem też spojrzeć na pana Ahna, bałem się, że powie mi coś strasznego.

Radiowóz zatrzymał się przed komisariatem w mieście S. Jakiś policjant poprowadził pana Ahna wzdłuż korytarza, inny zabrał mnie

w przeciwnym kierunku. W małym pokoju czekało na mnie dwóch detektywów.

– Opowiedz nam o tym, co sam widziałeś – odezwał się ten w niebieskiej koszulce. – Nie to, co ci powiedzieli inni albo co sobie wyobrażasz, rozumiesz?

Rozumiałem. Zorientowałem się też, że nie mogę się rozplakać. Ani bać. Miałem spokojnie opowiedzieć o tym, co wydarzyło się w nocy, a oni puszczą mnie i pana Ahna, żebyśmy mogli porozmawiać z tatą i sprawdzić, czy u mamy wszystko w porządku. Słuchali, a ja mówiłem.

– Podsumujmy. Mówisz, że to nie twój tata zabrał cię nad jezioro, tylko ochroniarz? – upewnił się Niebieska Koszulka.

– Tak – odpowiedziałem.

– I dopóki cię nie znaleźli, bawiłeś się w chowanego z dziewczynką, która nie żyła już od dwóch tygodni...

– Nie w chowanego. W Baba Jaga patrzy.

Mierzyli mnie wzrokiem w zdumieniu, a ich oczy mówiły wszystko. Nie wierzyli mi.

Jakiś czas później Niebieska Koszulka odprowadził mnie do wyjścia z budynku, mówiąc, że mój wujek już na mnie czeka. Całą przestrzeń od korytarza do parkingu wypełniał tłum dziennikarzy. Niebieska Koszulka, trzymając mnie za łokieć, torował wśród nich drogę do samochodu. Wokół nas błyskały flesze – dokładnie w rytm naszych kroków. Rzucali w nas słowami. „Podnieś głowę”, „Spójrz tutaj!”, „Widziałeś się z tatą?”, „Gdzie byłeś przez ten czas?”.

Zrobiło mi się niedobrze, czułem, że zbiera mi się na wymioty. Niebieska Koszulka przyspieszył kroku.

Wydawało mi się, że słyszę, jak pan Ahn mnie woła. Uwolniłem rękę z uścisku detektywa i spojrzałem za siebie, starając się odnaleźć znajomą twarz w gąszczu ludzkich sylwetek. Dokładnie wtedy wszystkie aparaty zabłysnęły. Byłem wyspą na morzu światła.

Wujek otworzył tylne drzwi samochodu, a ja wszedłem do środka i usiadłem na siedzeniu, przyciągając nogi do siebie. Wyjąłem telefon pana Ahna i włączyłem go, po czym przez chwilę wpatrywałem się w zdjęcie na ekranie. Ścieżka we mgle, rozświetlone latarnie, żywopłot. Rosły mężczyzna i chłopiec idą spokojnie przed siebie. Mężczyzna niesie plecak chłopca, a on

trzyma mężczyznę za kieszeń spodni. Tata i ja. To zdjęcie zrobił nam pan Ahn przed dziesięcioma dniami.

Zacisnąłem dłoń na telefonie i przytuliłem czoło do kolan. Ze wszystkich sił starałem się nie płakać.

To, co wydarzyło się poprzedniej nocy, przeszło do historii jako „tragedia na jeziorze Seryong”, a tatę nazwano psychopatą. Ja z kolei stałem się „jego synem”. Miałem wtedy jedenaście lat.

## Wioska z Latarnią

Czarny van podjechał pod aptekę. Po chwili wysiadł z niego kierowca – mężczyzna w przeciwsłonecznych ray-banach. Właśnie miałem jeść swój ramyon, kiedy wszedł do środka. Była trzecia po południu, dopiero co skończyłem sprzątać i zabierałem się do spóźnionego obiadu. Nie mogłem jednak zignorować klienta.

– Hej, młody, mam pytanie – powiedział, zdejmując ray-bany.

Jego wzrok spoczął na moich krótko przyciętych włosach. Jakby pytał, ile mam lat. Przez głowę przemknęła mi myśl: nie mów tak do mnie. Niechętnie odłożyłem pałeczki. Niech pyta i spada.

– Którędy do Wioski z Latarnią? Nie widzę żadnych drogowskazów – mówił, trzymając okulary w dłoni i wskazując nimi na skrzyżowanie.

Mój wzrok zatrzymał się na jego samochodzie. Duży, rzucający się w oczy, chyba chevrolet.

– Hej! Słyszysz, co mówię? – niecierpliwił się.

Nawet właściciel apteki zwracał się do mnie z większym szacunkiem. Facet naprawdę zaczął mnie wkurzać, a ponieważ mojego szefa akurat nie było, odezwałem się tylko pytaniem:

– Nie ma pan nawigacji?

– Nawigacja nic nie pokazuje, dlatego pytam.

Postanowiłem, że dostanie dokładnie to, na co zasłużył.

– Skoro nawigacja nic nie pokazuje, to co chce pan usłyszeć w aptece? – zapytałem.

Czarny van nikł w oddali, gdy pojechał prosto przez skrzyżowanie, a ja usiadłem do mojego ramyonu. Nawigacja nie pokazywała niczego takiego jak Wioska z Latarnią, bo ta wieś oficjalnie nazywała się Shinsong. Żeby tam dojechać, na skrzyżowaniu przy aptece trzeba skręcić w lewo, a nie jechać prosto jak ten koleś. Wiedziałem to wszystko, bo sam mieszkałem w Wiosce z Latarnią.

Nie było jej na żadnej mapie, zupełnie jakby kartografowie uznali, że nie jest warta jakiegokolwiek wzmianki. Pan Ahn powtarzał, że to najmniejsza osada na półwyspie Hwawon, mój szef, właściciel apteki, mówił, że to odludne miejsce, gdzie nikomu nie jest po drodze, a przewodniczący wioskowego klubu młodzieżowego nazywał ją końcem świata. To prawda, że nie było łatwo się tam dostać, należało jechać jakieś piętnaście kilometrów wzdłuż wybrzeża przez zupełnie niezamieszkaną okolicę. Latarnia morska, od której wioska wzięła nieoficjalną nazwę, stała na końcu postrzępionego, podłużnego klifu, który wcinał się w usiane skałami morze. Od strony lądu osadę otaczały wysokie góry.

Wybrałem się raz na wycieczkę po tych szczytach z panem Ahnem. Z wysokości można było oglądać wszystko, co znajdowało się po drugiej stronie – rozległe jak morze pustkowie, na którym nie rośło ani jedno drzewo. Jakaś rządowa agencja wykupiła ten teren pod kompleks turystyczny, jednak nic tam nigdy nie powstało. Słyszałem raz, że dawniej rośło tam sorgo. Daleko na horyzoncie widać było kolejną wieś. To właśnie dzieciaki stamtąd przezwwały nas „Wioską z Latarnią” – i tak już zostało.

Dni naszej wioski wydawały się policzone. Miała już tylko dwunastu mieszkańców, łącznie ze mną i z panem Ahnem. Nazywali nas „młodymi”, bo pozostali mieli średnio po siedemdziesiąt lat. Większość zajmowała się uprawą batatów. Mimo że mieszkaliśmy nad samym morzem, nikt już nie miał siły na łowienie ryb. Czasem próbowali namówić nas, „młodych”, żeby coś im złapać. Ostatnia osoba urodzona w wiosce miała sześćdziesiąt jeden lat, był to przewodniczący tutejszego klubu młodzieżowego. Posiadał jedyną w okolicy motorówkę i to u niego wynajmowaliśmy pokój. Udostępniał też pokoje miłośnikom nurkowania, którzy przyjeżdżali eksplorować podwodne skały. Właśnie z tego powodu pan Ahn i ja



znaleźliśmy się tutaj po raz pierwszy, jeszcze zanim postanowiliśmy zostać na stałe. Może te atrakcje ściągnęły też Ray-Bana, choć miałem cichą nadzieję, że jednak nie.

Około siódmej wieczorem wrócił mój szef i otworzył sejf, co było dla mnie sygnałem, że mogę już iść do domu. W tajemnicy przed nim wrzuciłem do plecaka saszetkę ziołowego leku. Była Wigilia Bożego Narodzenia.

Pan Ahn miał trzydzieści dziewięć lat i zaczynał powoli łysieć, a w jego brwiach sterczały pojedyncze siwe włosy. Coraz gorzej szło mu w naszych codziennych zawodach. Wyglądały one zawsze tak samo: wypływaliśmy łódką przewodniczącego klubu młodzieżowego w pobliże skalistej wysepki niedaleko od brzegu. Po rzuceniu kotwicy robiliśmy rundę wpraw wokół wysepki, potem napełnialiśmy nasze torby żachwami, małżami i strzykwami, a później graliśmy w koszykówkę przy metalowej obręczy, którą kiedyś przyczepiliśmy do pnia sosny. Wygrywał ten, kto pierwszy wrzucił pięć koszy. Pan Ahn przegrał dziewięć z ostatnich dziesięciu meczów, a w zeszłym tygodniu nadwreżył sobie mięsień w szyi. Od tamtej pory bez przerwy narzekał, że jakiś „gnojek” popchnął go ręką w głowę w czasie gry.

– To ja się zbieram! – wykrzyknąłem i wskoczyłem na rower.

Przejechałem przez skrzyżowanie i jechałem dalej szosą wijącą się wzdłuż wybrzeża, nie siadając na siodełku, żeby pedałować mocniej. Gwiazdy oświetlały mi drogę, a ich odbicia migotały na powierzchni morza. Fale uderzały o skalisty brzeg, nade mną przeleciała bezszelestnie srebrna mewa, która pojawiła się nagle znikąd. Mimo niewidocznego księżyca, było całkiem jasno. Morze w blasku gwiazd wyglądało słodko jak śpiące dziecko. Ostry wiatr uderzał mnie w twarz, przez co do domu dojechałem z poczuciem, że zdążył przeniknąć mnie na wskroś.

Pod domem w jednej linii stały fioletowy bongo pana Ahna i czarny chevrolet. Postawiłem rower między nimi. Głos pana Ahna docierał do mnie z drugiej strony budynku. Brzmiał, jakby był bardzo poirytowany.

– Prądy są tutaj silne i nieprzewidywalne – mówił – a morskie dno to istny labirynt. Jest noc, a do tego widzę, że piliście...

– Facet, posłuchaj – przerwał mu ktoś. – Nie musisz nam mówić, co jest dla nas dobre.

Ton głosu pana Ahna w tym momencie się zmienił.

– Rozsądniej będzie, jak zanurkujecie pod kołdry zamiast w morzu.

Popchnąłem furtkę, wszedłem na podwórko i zobaczyłem grupkę ludzi toczących spór – Drużynę Chevroleta uzbrojoną w ekwipunek do nurkowania w starciu z panem Ahnem w klapkach i podkoszulku z przewodniczącym klubu młodzieżowego u boku. Pan Ahn był w połowie nieprzytomny, widać było, że wyrwali go ze snu.

– To nie my się już zdążyliśmy ubrać w piżamy – usłyszał w odpowiedzi.

Człowiekiem, który najgłośniejsze dyskutował, był nie kto inny jak Ray-Ban.

– Nurkowałeś w ogóle kiedyś nocą? – rzucił w stronę pana Ahna z bezczelnym uśmieszkiem. – Wiesz, jak się robi *heading*? – pytał dalej tym samym tonem.

Trzej jego kumple zaczęli chichotać. Jeden z nich usiadł na ziemi, podtrzymując policzki pięściami. Zastanawiałem się, czy na pewno tylko pili, czy może jeszcze coś wzięli.

Pan Ahn splótł ramiona przed sobą i spojrzał w ziemię.

– Z takim liderem aż się prosicie o wypadek – powiedział do nich.

– Ze wścibskich nosów często leci krew – ostrzegł go Ray-Ban, dotykając kciukiem czubka swojego nosa, a jego towarzysze znowu wybuchnęli śmiechem.

Pan Ahn wpatrywał się w Ray-Bana, przygryzając policzki; sprawiał wrażenie, jakby przeliczał coś w myślach. Pewnie się zastanawiał, czy opłaca się stłuc tego gościa stojącego przed nim. Moje obliczenia były jednoznaczne: czterech na dwóch.

Przewodniczący klubu młodzieżowego odezwał się, chcąc załagodzić sytuację:

– Chodzi tylko o to, żeby nie doszło do nieszczęścia – tłumaczył. – Rozmawiacie z najlepszym specjalistą w okolicy, on naprawdę wie, co mówi. W normalny dzień nie byłoby problemu, ale dzisiaj, poważnie, dajcie już spokój.

– Pies was trącał. – Ray-Ban rzucił swój ekwipunek na ziemię, po czym wskazał palcem na przewodniczącego klubu młodzieżowego. – Umowa ma dwie strony. Strona A wpłaciła pieniądze, więc strona B wyciąga łódkę. Jasne?

Lekkim kopnięciem zamknąłem furtkę. Trzeba było jakoś rozładować tę sytuację, żeby pan Ahn mógł wrócić do pokoju.

– No patrzcie! A kiedyś ty wrócił? – Przewodniczący dopiero teraz spojrzał w moją stronę, po nim zrobił to pan Ahn, a na końcu cała Drużyna Chevroleta.

– Hej, to ciebie dzisiaj widziałem! To nasz kolega z apteki – zawołał Ray-Ban.

Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć panu Ahnowi, Ray-Ban zapytał:

– Jak znalazłeś drogę do domu, skoro w aptece nic nie wiecie o tej wiosce?

Nie miałem zamiaru odpowiadać i zamiast tego poszedłem prosto w stronę naszego pokoju. Tego z największym oknem i widokiem na latarnię morską.

– Twój szef już wie? – mówił do mnie dalej Ray-Ban. – Że zatrudnia krety, który nawet nie ogarnia, gdzie mieszka? I co was w ogóle łączy? Dorosłego faceta w podkoszulku i młodego głupka? Nie wyglądacie na rodzinę. Spotykacie się tu wieczorami i ładujecie w tyłki? – Zaśmiał się, a po nim zachichotała reszta jego grupki.

Udawałem, że go nie słyszę, i szedłem w swoją stronę. Udało mi się przerwać ich dyskusję, ale nie miałem zamiaru dłużej znosić jego ryja.

– Proszę samemu zdecydować – zwrócił się pan Ahn do przewodniczącego. – Ja nie mam nic więcej do powiedzenia. – Odwrócił się od pozostałych i poszedł ze mną w stronę naszego pokoju.

Niezadowolenie Drużyny Ray-Bana słyszeliśmy przez szczeliny w drzwiach, po czym dobiegł nas głos przewodniczącego, a zaraz potem dźwięk odpalanych silników. Wydawało się, że w końcu odpuścili – tak się jednak nie stało, przynajmniej na razie.

Kolesie od chevroleta zaczęli wydawać dziwne pohukiwania, nie wiadomo było, czy się głośno śmieją, czy udają małpy. Wtórowały im reflektory samochodu. Włączyli radio i ustawili jakąś kolędę.

„Suną sanie w białym śniegu, wsiądźmy i my, wsiądźmy i my...”

Zasunąłem zasłonkę, ale to był strzał w stopę. Tylko utwierdzili się w przekonaniu, że mają nad nami przewagę, i zaczęli uderzać w szybę. Całe okno się trzęsło, a oni walili w nie, śpiewając tę przeklętą piosenkę. Pan Ahn usiadł przy biurku, ja zdejmowałem skarpetki. Tamci po pięciu minutach dali spokój sobie i nam.

– Co tu się w ogóle działo? – zapytałem. Brzmiałem, jakbym dopiero co się obudził.

– Niby co? – Głos pana Ahna był równie niezwykajny. – Jacyś wariaci.

– Po co ich w ogóle wpuściliście?

– Nie można sobie pozwolić na wybrzydzenie, kiedy od prawie miesiąca nie było tu żadnych klientów.

– Nie musiał się pan wcale mieszać w tę dyskusję.

– Powiedziałem tylko, żeby najpierw wytrzeźwieli, a potem mogą wynająć łódkę – stwierdził i zamyślił się na chwilę. Gdy znowu się odezwał, zadał mi pytanie, choć tak naprawdę skierował je bardziej do siebie samego. – Nie powinni byli nas po prostu posłuchać? Dla nas to w końcu jeszcze dzieciaki.

Czy słoń tłumaczyłby się, że mrówka zablokowała mu drogę? Wyciągnąłem z plecaka lekarstwo zabrane z apteki.

– Po co to ciągle wykradasz? – ofuknął mnie pan Ahn. – Jak ci się po tym coś stanie, to ja będę mieć problemy!

– Jedyne efekty uboczne to bujne włosy – usprawiedliwiłem się. – Jeśli pan woli zostać z łysiną, to ja to będę brać.

Pan Ahn bez słowa wziął lekarstwo, a ja poszedłem umyć nogi.

Mówią, że koty wyczuwają nadchodzącą burzę, jeszcze zanim rozlegną się pierwsze grzmoty. Być może ludzki umysł ma podobny mechanizm, rodzaj lękowego alarmu, który odzywa się na krótko przed katastrofą. Tej nocy leżałem w naszym wspólnym pokoju i nie mogłem zasnąć. Myślami przeniosłem się do wspomnień sprzed siedmiu lat, do tamtego dnia, kiedy policjanci rozdzielili mnie i pana Ahna.

Po tym, jak mnie przesłuchali, zostałem przekazany rodzinie mojego wujka w Seulu. Ciało mamy skremowano, nie było nawet porządnego pogrzebu. W mojej nowej szkole dzieciaki wiedziały, kim jestem. Nie zdążyłem się nikomu przedstawić, a już huczały plotki

o tym, że jestem synem psychopaty, który zamordował jedenastolatkę i jej ojca, utopił własną żonę, a na koniec otworzył zaporę i zatopił wioskę Seryong, zabijając przy tym czterech policjantów.

Szykany nie ominęły też moich kuzynów chodzących do tej samej szkoły; wracali do domu we łzach. Wujek nie mógł już pracować jako fizjoterapeuta, niedługo potem właściciel mieszkania wypowiedział umowę najmu i musieliśmy przenieść się do mieszkania na Sanbonie, gdzie dostałem pokój na samym końcu korytarza, ale przynajmniej z własnym balkonem. Ciocia była ciągle w strachu, że nowi sąsiedzi się dowiedzą, iż u nich mieszkam. Kuzyni unikali mnie za wszelką cenę.

Wychodziłem z pokoju tylko, kiedy byłem pewien, że nikogo nie ma albo że wszyscy już śpią. Jeśli w kuchni było jakieś jedzenie, jadłem, w przeciwnym razie byłem głodny. Biegłem do toalety po całym dniu wstrzymywania i szedłem się umyć. To, że nadal miałem dwie nogi, ręce, oczy i duszę, utwierdzało mnie w przekonaniu, że wciąż jestem człowiekiem, że nie zamieniłem się w potwora.

W moim pokoju zwijałem się w kulkę koło okna i albo drzemałem, albo śniłem na jawie. Zastanawiałem się często, czy pan Ahn próbował się ze mną kontaktować. Tęskniłem za nim. Nawet jeśli próbował, nie mogłem wiedzieć. Telefon, który mi dał tamtego dnia, nie działał. Wujek roztrzaskał go o ścianę ze słowami, że jeśli chcę z nimi zostać, mam zakaz kontaktowania się z kimkolwiek z otoczenia taty.

Trzy miesiące później wysłali mnie do jednej ciotki, a po kolejnych trzech miesiącach do następnej. Wszędzie było tak samo. Zawsze znalazł się ktoś, kto mnie rozpoznał, nie mogłem dłużej chodzić do tej samej szkoły, mimo że z biegiem czasu pamięć o wydarzeniach nad jeziorem Seryong blakła.

Jedyną osobą w rodzinie, która była dla mnie dobra, okazała się ciocia Yongju, młodsza siostra mamy. Byłem u niej miesiąc dłużej niż u kogokolwiek innego. Jednak po czterech miesiącach i ona odesłała mnie do swojego brata, ze łzami w oczach mówiąc: „Przepraszam, Sowon”. Pewnie mógłbym mieszkać u niej dłużej, gdyby nie jej mąż, który mnie nie znosił. Przychodził do domu pijany i wyżywał się na mnie, dostawało się też samej ciocie, kiedy próbowała mnie bronić.

Podśluchałem, jak raz, kiedy się z nią kłócił, powiedział: „Patrzyłaś mu kiedyś w oczy? Ten gnojek nigdy nie płacze. Możesz na niego krzyczeć, możesz go bić – ani jednej łzy! Tylko się pusto gapi. Oszaleję od tego! Tak nie patrzy dziecko, tak patrzy psychopata! Nie chcę go tutaj!”.

Trzy miesiące później, w styczniowy poranek, wujek Giju wręczył mi dwa banknoty, akurat tyle, ile kosztuje bilet na metro.

– Wiesz, jak trafić do wujka Jongu, prawda? – zapytał i przeprosił, że nie może mnie sam podwieźć.

Pomyślałem, że wiem, i tylko pokiwałem głową. Wracałem do punktu wyjścia. Wujek Giju i jego rodzina przeprowadzali się tego dnia, ale nie chcieli mi powiedzieć dokąd. Na plecy zarzuciłem plecak z książkami, wziąłem walizkę z ubraniami, założyłem czapkę i wyszedłem. Zimny wiatr ciął w twarz, ulice były skute lodem, poprzedniej nocy napadało jeszcze świeżego śniegu. Marzyły mi ręce i czubek nosa, ale nie oglądałem się za siebie, nie chciałem nikogo błagać, żeby mnie przygarnął. Było mi już naprawdę obojętne, gdzie będą mieszkać. Pomyślałem wtedy znowu o panu Ahnie.

Dowiedziałem się później, że rodzina, wszyscy wujkowie i ciotki, podzieliła mój spadek między siebie jako zapłatę za koszty mojego utrzymania. Zabrali, co się dało: ubezpieczenie mamy, oszczędności, nawet nasze nowe mieszkanie. A i tak było im mało, żeby zająć się mną dłużej niż przez kilka miesięcy.

Zgubiłem się po drodze na Sanbon i dotarłem tam dopiero po pięciu godzinach. Kiedy nacisnąłem guzik na domofonie, odezwał się nieznajomy kobiecy głos: „Kto tam?”. Zapytałem o wujka Jongu, ale usłyszałem, że nikt taki tu nie mieszka. Sprawdziłem numer klatki, bo może coś pomyliłem, potem numer bloku, ale wszystko się zgadzało. Wyglądało na to, że oni także się przeprowadzili. Pobiegłem do budki telefonicznej przy wejściu na osiedle, lecz wujek Jongu musiał najwyraźniej zmienić też numer telefonu. Wykręciłem do wujka Giju, lecz nie mogłem się dodzwonić ani na jego komórkę, ani na numer stacjonarny. Nie wiedziałem, co robić. Wujek Jongu wyprowadził się, zanim nadeszła jego kolej opieki nade mną... a mimo to wujek Giju i tak mnie do niego wysłał. Dzwoniłem po kolei do wszystkich ciotek – telefon za każdym razem milczał.

Śnieg dostawał się z wiatrem do budki przez szczeliny w drzwiach, miałem na sobie cienką kurteczkę i przykrótkie dżinsy, z których zdążyłem już wyrosnąć, przez co moje kostki były odsłonięte. Trampki też miałem za małe i stałem w nich jak w klapkach, przydeptując pięty. Byłem głodny, cały dzień nic nie jadłem. Miałem przy sobie już tylko drobną monetę.

Na mojej liście pozostał jeden numer, pod który jeszcze nie zadzwoniłem – ten, który pan Ahn dał mi siedem lat wcześniej. Nie było jednak żadnego sensu pod niego dzwonić, bo telefon pana Ahna z kartą SIM wujek roztrzaskał kiedyś o ścianę. Ale nie miałem nic do stracenia. Wystukiwałem cyfry z cichą nadzieją, że może pan Ahn kupił nowy telefon i zachował stary numer.

Był sygnał, czekałem więc. W końcu ktoś odebrał i po drugiej stronie odezwał się spokojny, wyraźny głos.

– Halo? – usłyszałem. To był on! Wiedziałem od razu, jak mógłbym kiedykolwiek zapomnieć? Gardło miałem ściśnięte i nie mogłem odpowiedzieć. – Halo? Kto dzwoni? – dopytywał.

– To ja – zebrałem się w końcu w sobie i udało mi się odezwać. – Pański współlokator.

Czekałem na niego godzinę, która wydawała mi się wiecznością. W końcu przed wjazdem na osiedle pojawił się jego fioletowy samochód.

Mieszkał w Ansanie, wcale nie tak daleko od jednego z moich dotychczasowych adresów. Jego mieszkanie przypominało kwaterę, którą dzieliliśmy w Seryong, czułem się, jakbym odbył podróż w czasie. Laptop na biurku, notatnik, klucze i portfel, mentolowe papierosy, puszki po piwie, karteczki z ważnymi informacjami. On sam też się nie zmienił – niewysoki, czarne włosy przeplatane srebrnymi pasmami, twarz, która zawsze wydawała się lekko uśmiechać. Nadal miał też nawyk ściągania skarpet i rzucania ich w kąt zaraz po wejściu do mieszkania. Tylko jedna rzecz była nowa – teraz pracował jako ghostwriter.

Nie pytał, co u mnie słysząc, pewnie wszystkiego się domyślił po moim wyglądzie. Powiedział tylko, że przez cały ten czas nie zmieniał numeru telefonu, licząc się z tym, że któregoś dnia do niego zadzwonię. Na te słowa pobiegłem do toalety pod błahym pretekstem – nie chciałem, żeby zobaczył moją emocjonalną

reakcję. Nie chciałem, żeby wiedział, jak mi ulżyło, że się nie ożenił (jego potencjalna żona na pewno nie chciałaby mnie widzieć). Nie chciałem też pokazać, jak bardzo się denerwuję, bo nie wiedziałem przecież, czy pozwoli mi zostać, czy odnajdzie moją rodzinę i mnie odeśle.

Z nastaniem wiosny pomyślnie rozpatrzono jego wniosek o prawną opiekę nade mną. Nie wiedziałem, jak to możliwe, bo przecież nadal żyli moi krewni, ale nie dopytywałem. Liczyło się dla mnie tylko to, że pan Ahn mnie nie zostawi.

W szkole dawałem z siebie wszystko. Złożyłem sam przed sobą ciche przyrzeczenie, że będę zupełnie bezproblemowy, że nie zapewnię panu Ahnowi żadnego powodu, by mnie odesłać.

Egzaminy kończące drugi semestr zdałem bardzo dobrze – pierwszy w mojej klasie i piąty w całej szkole. W nagrodę pan Ahn zabrał mnie do restauracji, byśmy to świętowali. Gdy wznieśliśmy toast – on kuflem piwa, ja szklanką coli – z telewizora na ścianie padło nazwisko taty. W wiadomościach informowali o wyznaczeniu daty jego egzekucji. Szklanka z colą wypadła mi z ręki.

Przez te wszystkie miesiące i lata tułaczki po niechętnych mi krewnych cały czas miałem nadzieję, że tata zostanie uniewinniony. Myślałem czasem naiwnie, że to wszystko może jakaś straszna pomyłka, że znajdą prawdziwego sprawcę i będziemy mogli do siebie wrócić. Dlatego unikałem mediów, nie oglądałem telewizji, nie czytałem gazet, nie wchodziłem do internetu. Żeby nie dowiedzieć się prawdy. Nie pytałem o tatę ani krewnych, ani pana Ahna. Żyłem w wygodnej nieświadomości szczegółów tamtej historii. Docierały do mnie pogłoski o tym, ilu ludzi zginęło, jak to się stało, o wyroku na tatę, ale nic więcej.

Jeśli miałem jeszcze resztki nadziei, to brązowa koperta, którą znalazłem następnego dnia wśród poczty, pozbawiła mnie nawet tego. Nie wiedziałem, kto ją wysłał, adres zwrotny kierował do skrytki pocztowej. W kopercie czekało na mnie aktualne wydanie popularnego „Sunday Magazine”. Całą okładkę zajmowała jedna fotografia – jedenastoletniego chłopca spoglądającego za siebie z zaciśniętymi ustami. To byłem ja. Wtedy. W morzu błysków przy komisariacie policji w mieście S. Ten numer tygodnika na dziesięciu stronach opisywał „tragedię na jeziorze Seryong”, w tym osąd nad



tatą, szczegóły na temat samego incydentu, dokładny życiorys taty, jego dzieciństwo, karierę w drużynie baseballowej, wnikliwą analizę psychologiczną. Wszędzie były zdjęcia z miejsca tragedii. Jako ostatnią zamieszczono fotografię samego taty na sali sądowej w chwili, gdy potwierdzano skazujący go wyrok. Nie zakrywał twarzy ze wstydu, jak to zazwyczaj robią skazańcy, nawet nie spuścił głowy. Jego pozbawione wyrazu oczy, utkwione w obiektywie, przypominały mi moje własne. To samo bezbarwne spojrzenie, o które tak się wściekał mąż cioci.

Kto mógł mi to wysłać?, zastanawiałem się. Zauważyłem, że pan Ahn siada obok mnie.

– To kłamstwo – powiedziałem do niego i patrzyłem, jak jego twarz nabiera posępnego wyrazu. – To nie może być prawda – mówiłem dalej.

Po dłuższej chwili milczenia pan Ahn odparł:

– To jeszcze nie wszystko.

– Czyli to jakaś pomyłka, tak? – pytałem.

Pan Ahn nie odpowiadał. Zdałem sobie sprawę, że nie było żadnej pomyłki. To wszystko była prawda. Czułem, że łzy napływają mi do oczu, pan Ahn też ledwo powstrzymywał się od płaczu.

„Sunday Magazine” był początkiem problemów. W poniedziałek rano na każdej ławce w mojej klasie leżał jeden egzemplarz otwarty na artykule o tacie. Kiedy wszedłem do sali, wszystkie głosy ucichły. Zbliżyłem się do swojej ławki, powiesiłem plecak na oparciu krzesła, zabrałem mój egzemplarz tygodnika i poszedłem na tył, żeby wyrzucić go do kosza. Potem usiadłem na swoim miejscu i otworzyłem podręcznik. Wpatrywało się we mnie trzydzieści par oczu.

Ktoś za mną zaczął czytać na głos:

– „Straćcie mnie!”

Litery w książce rozmazały mi się przed oczami.

– „Morderca Choi Hyonsu nie skorzystał z prawa do obrony. Przez cały czas był zupełnie spokojny, nawet w chwili gdy potwierdzano wyrok skazujący go na karę pozbawienia życia”.

To był Junsok, ten debil, któremu musiałem zawsze kupować drugie śniadanie i który nazywał mnie swoim służącym. Wstał i czytał dalej:

– „Podczas śledztwa w listopadzie dwa tysiące czwartego roku Choi Hyonsu bez żadnych wyrzutów sumienia pokazywał, jak własnoręcznie pozbawił życia młodą dziewczynę i utopił własną żonę. Opinia publiczna była wstrząśnięta jego niewzruszoną postawą”.

Zatrzasnąłem podręcznik, wstałem i chwyciwszy plecak, skierowałem się do wyjścia. Serce mi waliło. Junsok czytał dalej:

– „Jego syn, który miał wtedy jedenaście lat, ukrywał się w starej stodole”.

Zatrzymałem się obok niego, patrzył na mnie z obrzydzeniem. Szybko przemyślałem swoje położenie – on był znacznie większy ode mnie, nikt nie stał po mojej stronie. Mogłem liczyć jedynie na swój spryt. Zacząłem iść dalej.

– „Syn, który uniknął tragedii...”

Odwrociłem się na pięcie i zamachnąłem ciężkim plecakiem, trafiając Junsoka prosto w twarz. Krzyknął i upadł, potknąwszy się o swoje krzesło – tyłem głowy uderzył o ławkę stojącą za nim. Skorzystałem z okazji i kopnąłem go w klatkę. Tylko tyle udało mi się zrobić, zanim dobiegli do mnie inni. Czułem, że tracę kontakt z rzeczywistością, wszystko się rozmazało. Kiedy znów kojarzyłem, co się dzieje, siedziała na mnie gromada rówieśników.

Junsok trafił do szpitala, a ja na policję. W normalnych warunkach pewnie dostałbym po prostu naganę i upomnienie, ale wszystkie media obiegrała właśnie historia taty i tego, co zrobił. Nie było dla mnie nadziei. W oczach policji dziecko porządnych obywateli zostało zaatakowane i pobite przez syna masowego mordercy pozbawionego wyrzutów sumienia, co skończyło się złamaniem nosa i kilku żeber. Rodzice Junsoka uparli się, żeby podtrzymać oskarżenia, i na komisariat zbiegli się dziennikarze. Pan Ahn nie mógł wiele zrobić, moją sprawą zajął się sąd dla nieletnich.

Cztery tygodnie później otrzymałem wyrok w zawieszeniu na dwa lata. Było to niewiele, zważywszy na opinię publiczną w tamtym czasie. Pan Ahn zawarł ugodę z rodzicami poszkodowanego, żebym mógł uniknąć dalszych kłopotów, ale w rezultacie nie stać go już było na dotychczasowe mieszkanie i musieliśmy się przenieść do suterenu. Gdy wychodziliśmy z budynku sądu, poczęstował mnie tofu, które przygotował specjalnie na tę okazję.

– Nie martw się – mówił. – Już po wszystkim.

Ale się mylił. To był dopiero początek. Właściciel naszego mieszkania dostał kopię „Sunday Magazine” oraz wycinek prasowy z artykułem o mojej bójce i kazał nam się wyprowadzić. Mnie wyrzucono z nowej szkoły. Pan Ahn musiał zdecydować, czy przenieść mnie do kolejnej placówki, czy nie posyłać już do żadnej.

Koniec końców nie napisałem nigdy w normalny sposób testu kończącego gimnazjum. Po tym, jak musiałem zmieniać szkołę dwanaście razy, dałem sobie spokój i podszedłem do egzaminu końcowego zaocznie, żeby tylko móc trafić do jakiegokolwiek liceum. Przez pierwsze dwa lata szkoły średniej przenoszono mnie dziewięć razy. Moja tożsamość zawsze wychodziła na jaw w ten sam sposób: kopię „Sunday Magazine” i artykuł o mojej bójce wysyłano do każdej osoby w szkole, do rady rodziców i naszych sąsiadów.

Zostaliśmy koczownikami, trzymaliśmy się miast portowych. Pan Ahn, doświadczony nurek, nauczył mnie tej sztuki. Morze dało mi poczucie wolności. W podwodnym mroku świat zniknął, byłem poza czymkolwiek zasięgiem. Nie widziały mnie tam złośliwe oczy, nie szeptały o mnie żadne wargi.

Moją ostatnią szkołą było liceum w Sokcho, nad oceanem. Pewnego dnia przyszedłem do niej tylko po to, żeby znaleźć na mojej ławce „Sunday Magazine”. Wszyscy gapili się na mnie w milczeniu. Do ostracyzmu nigdy nie da się przywyknąć. Zająłem się zimnym, błękitnym płomieniem, który trawił mnie całą drogę od klasy przez boisko do szkolnej bramy. Płonąłem nadal, kiedy dotarłem do sklepiku na rogu, w którym dorabiałem po lekcjach. Mój szef obsługiwał klientów, na ladzie niedaleko niego zauważyłem leżący „Sunday Magazine”. Poprosiłem o swoją wypłatę, ale czekałem pół godziny, potem godzinę, aż wyjdą wszyscy klienci. Było ich tego dnia wielu, szef narzekał, że zawadzam, więc przenosiłem się na zaplecze, do magazynu, stałem w korytarzu. Starłem się, żeby nie opanowały mnie gniew ani upokorzenie.

Nigdy nie pozwoliłem sobie na złość. Od nikogo nie oczekiwałem absolutnie niczego, dlatego też nie wpadałem nigdy w panikę, choćby nie wiem co. Wiedziałem, że to normalne, by się zdenerwować, gdy coś nas zaskakuje, by wpaść w złość, kiedy ktoś nas poniża – pan Ahn powtarzał, że to zupełnie naturalne reakcje. Ja

miałem jednak na ten temat inne zdanie. Musiałem żyć, kropka. A żeby żyć, nie mogłem sobie pozwolić na panikę, złość czy nerwy. Musiałem wycofać się głęboko w zimny, daleki rdzeń mojego jestestwa i czekać, bo tam byłem bezpieczny. Ta wytrwałość trzymała mnie na powierzchni, przy życiu, dzięki niej nie skończyłem ze sobą.

Kiedy dwie godziny później dostałem wreszcie swoje pieniądze, umierałem z głodu. Obszedłem sklepowe półki i chwyciłem po kolei hamburgera, kulki ryżowe, hot doga, kanapkę – tyle jedzenia, ile mogłem kupić za otrzymaną właśnie wypłatę. Ułożyłem to wszystko na ladzie, wystarczyłoby tego dla połowy bezdomnych na dworcu w Seulu. Rzuciłem gotówkę mojemu byłemu już szefowi i poszedłem w kierunku nabrzeża.

Nikogo tam nie było. Wpychałem w siebie jedzenie, patrząc na mewy fruujące na tle zachodzącego słońca, na przyptywające i odpływające statki, na koty wałęsające się bez wyraźnego celu, zupełnie jak ja. W końcu zrobiło się ciemno i przyszła pora wracać do naszego przytulnego gniazdko w zajeździe Pod Różą, gdzie pan Ahn i ja wynajęliśmy pokój na miesiąc.

Tego dnia byłem z nim po raz pierwszy naprawdę szczerzy, kiedy tłumaczyłem, że na dobre dam sobie spokój ze szkołą. Chciałem, żeby przy następnej przeprowadzce pamięć o mnie się zatarła, żeby świat o mnie zapomniał.

Pokręcił tylko głową na moje słowa.

– Poddaję się – powiedziałem do niego.

– Nie możesz – odparł. – Wszystko się zmieni, jak pójdziesz na studia.

Prawie wybuchnąłem śmiechem. Studia? On chyba nie mówił poważnie. To wszystko nie miało już żadnego znaczenia. Moje życie skończyło się tamtego ranka, kiedy opuszczałem wioskę Seryong ze zbrodnią taty wypisaną na czole. Przeze mnie pan Ahn musiał zostać koczownikiem, ten przeklęty numer „Sunday Magazine” odnajdywał mnie wszędzie. Tak już miało być zawsze, tylko tak mogło wyglądać moje życie. Czego on nie rozumiał?

– Chcę tylko zaszyć się na odludziu, gdzieś nad morzem – powiedziałem.

Zauważyłem, że nie podoba mu się to, co mówię, kręcił cały czas głową, a ja się w niego wpatrywałem.

– Dobrze – powiedział po chwili wahania. – Zrób sobie rok przerwy. Potem zdecydujesz, co dalej.

– Okej – zgodziłem się. Nie miałem ochoty na kłótnię.

Jechaliśmy wzdłuż wybrzeża, ze wschodu na południe i dalej na zachód. Pan Ahn kierował, ja siedziałem z mapą. Jeśli udawało nam się znaleźć pokój do wynajęcia, rozpakowywaliśmy bagaże, a jeśli nie, spaliśmy w vanie. Jedliśmy, kiedy nasza ochota, cały wolny czas poświęcaliśmy na nurkowanie. Gdy tylko ktoś zaczynał zwracać na nas większą uwagę, pakowaliśmy się i jechaliśmy dalej.

Do Wioski z Latarnią przyjechaliśmy na początku stycznia i kiedy przez cały rok nikt w naszym otoczeniu nie dostał przesyłki z „Sunday Magazine”, zdawało nam się, że w końcu znaleźliśmy swoje miejsce. Pomyślałem, że powinniśmy byli od początku tak zrobić, powinienem być od razu rzucić szkołę. Nie musielibyśmy wtedy przez cały ten czas wędrować z miejsca na miejsce.

Zacząłem odzyskiwać nadzieję. Pan Ahn mógł znowu pisać, a ja pracowałem w aptece. Mieliśmy tu szansę na długie, spokojne życie, być może nawet do późnej starości. Ale żeby tak się stało, świat nie mógł się nigdy dowiedzieć o tej małej wiosce. To dlatego ludzie tacy jak Ray-Ban burzyli mój spokój.

Pan Ahn wiercił się na swoim łóżku, w ciemności za oknem fale rozbijały się o brzeg. Należący do przewodniczącego zegar w pokoju obok wybił dziesiątą. Ray-Ban i jego kompani nie wracali. Zamknąłem oczy. Na czole pulsowała mi pojedyncza żyła. Zegar w mojej głowie zamiast czasu odmierzał niepokój, tykając coraz głośniej. Kto nie zna morza, ten go nie docenia. Kto nie docenia morza, przepłaca to życiem.

Dzwonek telefonu postawił nas na nogi. Pan Ahn odebrał. Słyszałem, że po drugiej stronie jest przewodniczący. Gdy skończyli rozmawiać, pan Ahn odłożył słuchawkę i powiedział do mnie:

– Wypadek na morzu. Jednego z nich nadal nie mogą znaleźć.

Czułem, że całe to zdarzenie jest początkiem końca naszej sielanki. W takiej sytuacji trzeba było działać, zrobić cokolwiek, ale

wiedziałem, że każde działanie będzie nas przybliżało do końca tego pięknego snu.

– Tutejsza policja nie ma nurków, trzeba czekać, aż do akcji włączy się Straż Przybrzeżna z Mokpo, ale wtedy będzie już za późno – tłumaczył.

Pan Ahn zaczął przygotowywać swój kombinezon. Wstałem i zapaliłem światło, żeby zrobić to samo, mimo że na poważnie nurkowałem dopiero od roku. Pan Ahn ubierał się i jednocześnie spoglądał na mnie, jakby chciał zapytać, po co to robię. Byłem pewien, że będzie lepiej, jeśli pojedę z nim. On sam wszystkiego mnie nauczył, nie przepuścił żadnego błędu. Znałem też trochę podwodne skały w pobliżu wyspy. Spojrzałem mu w oczy, wiedziałem, że walczy z myślami, ale w końcu polecił mi zabrać linę, którą mogliśmy się obaj powiązać.

Popędziliśmy do latarni. Gdy wysiadaliśmy z samochodu, zauważyłem Ray-Bana sunącego spod klifu do swojego samochodu jak wściekły nosorożec. Zbiegliśmy ścieżką prowadzącą nad wodę, gdzie przewodniczący krzyczał coś i przywiązywał cumę łódki do polera na nabrzeżu. Udało mu się znaleźć trzech, z czego dwóch leżało teraz w łódce – jeden nieprzytomny, drugi krzyczał z wyciągniętą przed siebie nogą. Ostatni nadal był gdzieś w wodzie.

Pan Ahn chwycił tego nieprzytomnego, przewodniczący niósł sprzęt, a ja wziąłem na plecy rannego w nogę, który wył jak zwierzę i cały czas ruszał się spazmatycznie. Kilka razy o mało przez niego nie upadłem i gdyby ktoś dał mi wtedy pozwolenie, najchętniej zrzuciłbym go z siebie i patrzył, jak spada w dół klifu. Gdy tak szliśmy, przewodniczący opowiadał nam, co się wydarzyło.

Pierwszy z powrotem przy łódce był Ray-Ban. Wynurzył się nagle z morza dwadzieścia minut po umówionym czasie. Zapytany, co z resztą grupy, zaczął tylko krzyżeć. Przewodniczący zorientował się, że tamci się rozdzielili i że trzeba będzie ich szukać po kolei. Udało mu się znaleźć jeszcze dwóch, z czego jeden stracił przytomność od razu, kiedy wciągnęli go na łódkę. Ostatniego nie udawało się namierzyć, przewodniczący uznał więc, że powinni popłynąć do latarni i zająć się tym nieprzytomnym. Gdy dotarli do brzegu, zadzwonił najpierw do pana Ahna, a zaraz potem pod numer alarmowy. Mówił, że pan Ahn jako pierwszy przyszedł mu na myśl.

Żadne służby ratunkowe nie dotarły jeszcze na miejsce, kiedy w końcu wdrapaliśmy się na górę. Ray-Ban siedział sam w samochodzie otulony kocem, słychać było, że włączył ogrzewanie na pełną moc. Był przerażony.

Rannego w nogę posadziliśmy na przednim siedzeniu, nieprzytomnego pan Ahn położył z tyłu i od razu przystawił mu do twarzy maskę tlenową.

– Jak to się stało? – zapytał pan Ahn.

– Wszystko zrobiłem, jak trzeba. – Głos Ray-Bana był silny i kipiał pewnością siebie.

Pan Ahn trącił go w ramię, mówiąc:

– A jednak coś tam się musiało stać.

– Nie dotykaj mnie! Niedobrze mi, chyba umrę! – Ray-Ban odepchnął go od siebie.

– Mów. – Pan Ahn nie dawał za wygraną.

– Wielka, silna fala. Oberwałem w głowę, chciałem przytrzymać się skały, żeby mną nie rzuciło nie wiadomo gdzie, ale uniosło mnie w górę. Zadowolony?

Właśnie przed tym pan Ahn próbował ich ostrzec. Formacje skalne, morskie wąwozy, prądy wodne o niesłychanej sile. Kto nie zna topografii dna morskiego, nie ma pojęcia, jaką energią dysponują masy wody wokół wyspy. Nie wie też o tym, że prąd morski, który z łatwością porwał Ray-Bana, ma tylko metr szerokości i nawet najmniejszy ptak może ujść z życiem, jeśli tylko wie, w którą stronę uciec. Lecz bez wiedzy, dokąd uciekać, można trafić prosto na dno – w głębiny, z których nie ma już powrotu.

– Siedź tu i czekaj na karetkę – rozkazał mu pan Ahn.

Przewodniczący został z rannymi w samochodzie, ktoś musiał wytłumaczyć ratownikom, co się stało. Nawet ja wiedziałem, że tych dwóch pozostałych nie można zostawić samych z Ray-Banem.

Pan Ahn i ja wzięliśmy łódkę i popłynęliśmy na wyspę. Byłem sceptycznie nastawiony do tej akcji ratunkowej. Niewiele wskazywało, że zaginiony żyje. Może gdyby prąd morski nie zniósł go na dno morza, sytuacja byłaby trochę inna. Liczyliśmy na łut szczęścia. Wiatr był delikatny, a fale spokojne. Musieliśmy jak najlepiej wykorzystać ten moment, zanim morze znowu się obudzi. Zakotwiczyliśmy łódkę, założyliśmy sprzęt i wskoczyliśmy do

lodowato zimnej wody. Miałem wrażenie, że pod pachami mam lód. Przy czarnym klifie na chwilę się zatrzymaliśmy. Zszedłem na półkę urwiska, strzelając ustami (wpychając powietrze do błony bębenkowej, jakbym połykał ślinę, aby dostosować ciśnienie). Nad balustradą kłębiły się jeżowce. Poniżej kryła się ciemna wnęka. Widoczność była mniejsza niż dziesięć metrów. Pan Ahn skierował kciuk w dół, dając mi znak do nurkowania, a ja odpowiedziałem mu kciukiem w górę.

Piętnaście metrów, dwadzieścia, dwadzieścia pięć... przy trzydziestu dwóch metrach pan Ahn dał mi sygnał „stop”. Popłynęliśmy bardziej na południe, wzdłuż ściany klifu porośniętego rafą koralową. Po kilku minutach pan Ahn wskazał palcem na łukowatą skałę, spod której świeciło delikatne światło. Przepłynęliśmy pod nią i zobaczyliśmy zaginionego mężczyznę leżącego nieruchomo w zagłębieniu. Lampa na jego głowie cały czas świeciła. Pan Ahn pokazał mi, bym ukląkł z nim przy ciele, po czym skrzyżował palce przed maską nieboszczyka, dając mi znać, że bym nie spoglądał na jego twarz. Ale zrobił to za późno. Dostałem duszności, tak jak wtedy, nad jeziorem Seryong.

Kiedy z jeziora wyłowili dziewczynę, jej otwarte oczy wydawały się patrzeć prosto na mnie.

„Raz, dwa, trzy, Baba Jaga patrzy”.

Pan Ahn zatrąbił i wyciągnął mnie tym samym z uścisku wspomnień. Wynurzaliśmy się powoli, trzymając ciało między sobą, jednak sześć metrów pod powierzchnią wody pokazał mi, że musimy jeszcze chwilę poczekać, by nie wynurzyć się zbyt szybko. Po kilku minutach mogliśmy znów powoli płynąć w górę.

Tafłę wody muskało światło latarni morskiej, w oddali słychać było syreny.

Ostatecznie były dwie ofiary śmiertelne. Ten nieprzytomny już się nie ocknął, wyzionął ducha. Dwóch, którzy przeżyli, przetransportowano do szpitala w Mokpo, gdzie czekały na nich komory hiperbaryczne. Pan Ahn i ja byliśmy tymi, którzy wyciągnęli ciało z wody, a przewodniczący był właścicielem łódki, na której pechowa grupa wyruszyła nocą w morze – to oczywiste, że musieliśmy wszyscy wsiąść do radiowozu i pojechać na przesłuchanie.



Ray-Ban i jego znajomi pochodzili z wpływowych rodzin, byli dziećmi dobrze sytuowanych urzędników albo prezesów wielkich firm. Ojciec Ray-Bana był wysokiej rangi urzędnikiem państwowym, dwóch innych było dziećmi prezesa wielkiego koncernu i generała w armii południowokoreańskiej, a ten, którego wyłowiliśmy – synem prokuratora generalnego. Rodzice o wszystkim już wiedzieli i byli na miejscu. Widok zwłok własnych dzieci ich otępił. Musieli się na kimś zemścić, skoro nie dało się zakuć w kajdanki morza.

Przesłuchiwano nas drobiazgowo, musieliśmy kilkakrotnie opowiadać o wszystkim, co wydarzyło się tego wieczora, od kłótni przed pensjonatem począwszy, a na znalezieniu ciała pod wodą skończywszy. Byliśmy oceniani pod kątem zasadności naszych działań, ich skuteczności. Zarządzono autopsję w ekspresowym tempie.

Każdemu z nas próbowali coś przypisać. Pan Ahn został oskarżony o użycie przemocy wobec Ray-Bana. Tłumaczył, że siniaki na ciele powstały, gdy mokry kombinezon opinał ciało w połączeniu z ciśnieniem pod wodą, jednak zupełnie to zignorowano.

Przewodniczący został uznany za pozbawionego skrupułów starca, zaślepionego przez okazję do zarobku, w wyniku czego życie straciło dwóch obiecujących młodzieńców.

A co do mnie, zajęło im niecałą godzinę, żeby się dowiedzieć, kim jestem. To, jak często zmieniałem szkołę, informacje o bójce z kolegą z klasy, to, że przez siedem lat tułałem się bez wyraźnego celu i mieszkalem teraz od prawie roku w bezimiennym pensjonacie – to było dla detektywów jak feromony. Ustawili się za mną niczym zgraja wygłodniałych psów.

Okolo południa pojawiły się wyniki autopsji, które okazały się naszym wybawieniem. Ten, którego ciało znaleźliśmy w morzu, zmarł na atak serca. Zabił go strach. Tego drugiego wykończył uraz ciśnieniowy. U obu potwierdzono wysoki poziom alkoholu we krwi. Ekspert medycyny sądowej potwierdził wersję pana Ahna. Równocześnie jeden z ocalałych zdał już złożyć zeznania.

Dojechali do pensjonatu około czwartej po południu i zapłacili przewodniczącemu z góry za to, by następnego dnia rano wypłynąć. Później, kiedy już trochę popili, zmienili zdanie. To głównie Ray-Ban

namawiał ich do nocnego wypadu. Bo jeśli morze za dnia jest rowerkiem, to w nocy jest harleyem-davidsonem. Alkohol, harley-davidson, odwaga po pijaku. Co mogło pójść nie tak?

W zeznaniach można też było przeczytać, że grupka siłą odsunęła przewodniczącego, kiedy próbował ich zatrzymać.

Zostaliśmy oczyszczeni z zarzutów, ale nie wypuszczono nas od razu. Gdy policjanci dorwali się do syna słynnego mordercy, nie chcieli odpuścić tak łatwo. Skąd miałem pieniądze na życie, dlaczego mieszkalem w pensjonacie, co pan Ahn robił ze mną przez cały czas?

Byliśmy wolni dopiero o szóstej po południu. W holu komisariatu czekali już dziennikarze. Powtórzyła się historia z fleszami i pytaniami. „Kiedy nauczyłeś się nurkować?”, „Dlaczego rzuciłeś szkołę?”. Jednak największe wrażenie zrobiło na mnie: „Co sądzisz o wyroku śmierci?”. Odwróciłem się w stronę, z której padło to pytanie, i znalazłem tam twarz młodego dziennikarza.

Kara śmierci... zapytaj lepiej, czy byłem kiedykolwiek katem, wtedy będę mógł ci odpowiedzieć. Moją najbardziej znaną ofiarą jest oczywiście mój ojciec, ale okazjonalnie zakładam pętlę na szyje innych ludzi. Moja dawna korepetytorka, kuzyni, którzy krzyczeli na sam mój widok, pies w upalny dzień. Uważaj więc, ty tam.

Pan Ahn położył mi rękę na ramieniu i dwa razy delikatnie potrząsnął, mówiąc: „Idziemy!”.

Gdy wracaliśmy samochodem do Wioski z Latarnią, panowała cisza. Pan Ahn prowadził, przewodniczący spał. Ja oczami wyobraźni widziałem tatę na szubienicy.

Pamiętam, jak pierwszy raz odgrywałem kata. Mieszkaliśmy wtedy w Gunsanie. Było lato, uczyłem się do egzaminów. W bibliotece zauważyłem książkę *Kara śmierci. Teoria i praktyka*, ale przeszedłem obok niej kilka razy, tylko spoglądając, zanim w końcu po nią sięgnąłem. Otworzyłem na pierwszej stronie i przepadłem bez reszty. Przeczytałem całość, siedząc na podłodze pod regałem. Odłożyłem książkę na miejsce i poszedłem do domu. Nic już nie miało znaczenia, chciałem jedynie wymazać z pamięci zdjęcie szubienicy, które zobaczyłem. Był upalny dzień, prawie trzydzieści stopni, a ja narzuciłem na siebie ciężki koc i leżałem tak, dopóki nie ogarnęła mnie szkarłatna ciemność.

Stałem potem pod starym drewnianym budynkiem, przed którym rosnęło drzewo kaki. Zachodzące słońce oświetlało dach, a wejście zamykały solidne drzwi. Popchnąłem je i wszedłem. Wnętrze było jasne, mimo że brakowało okien i lamp. Na środku pomieszczenia stał stolik przykryty czarnym obrusem. Część pokoju odgradzała biała zasłona. Usłyszałem, jak coś się za nią porusza, podszedłem więc tam i ją odsunąłem. Zobaczyłem mężczyznę klęczącego na macie. Głowę miał zakrytą kapturem, jego spoconą szyję oplatał gruby sznur. Był barczysty, a potężne ramiona raz po raz lekko mu się trzęsły. Usłyszałem spod kaptura coś jakby westchnienie lub szloch.

– Wykonać! – rozkazałem.

Podłoga się otworzyła i mężczyzna zniknął.

Odrzuciłem koc i usiadłem. Za oknem wypalone, pomarańczowe słońce wisało na ciemniejącym wieczornym niebie.

Mężczyzną, którego kazałem stracić, był tata.

– Już po wszystkim – odezwał się nagle pan Ahn. Nie bardzo jeszcze rozumiejąc, co do mnie mówi, zamrugąłem tylko oczami. – Zapomnijmy o tym – dodał.

Otrząsnąłem się w końcu ze wspomnień. Byłem z powrotem w samochodzie, którym wracaliśmy z komisariatu. Pokiwałem głową w stronę pana Ahna. Bez obaw. Zapomnę o tym. Był tylko jeden szkopuł, drobny problem pod tytułem „Sunday Magazine”.

Nie mogłem spać. Mimo potwornego zmęczenia mój umysł nie chciał odpuścić, po nieprzespanej nocy szykowałem się do pracy. Spodziewałem się, że będzie to mój ostatni dzień w aptece. Jej właściciel na pewno już dowiedział się o mnie wszystkiego. Wchodząc do środka, zebrałem poranną prasę leżącą przy szklanych drzwiach wejściowych.

## **Wypadek przy podwodnych klifach. Syn mordercy w ekipie ratunkowej**

Minionej nocy doszło do wypadku na morzu w pobliżu półwyspu Hwawon z udziałem grupy studentów, którzy wrócili na ferie zimowe ze studiów za granicą. Dwóch z nich straciło życie, dwóch jest rannych. Do tragedii doszło, gdy podczas

nurkowania trafili na prąd przybrzeżny przy podwodnych klifach. Dwóch doświadczonych nurków stacjonujących w okolicy ruszyło im na ratunek. Jedną z ofiar znaleźli pod wodą, druga zmarła na lądzie w wyniku poniesionych obrażeń. Podwodne klify w sąsiedztwie półwyspu Hwawon znane są w środowisku nurków z silnych prądów. Nawet doświadczone osoby nie wyprawiają się tam nocą.

Jednym z tych, którzy ruszyli na ratunek, okazał się osiemnastoletni dziś Choi Sowon, syn skazanego na śmierć Choi Hyonsu, winnego tragedii na jeziorze Seryong. Wiadomo, że młody Choi żył przez ostatnie lata w wielu miejscach, w naszych stronach zaś mieszka już od około roku.

Usiadłem przy biurku na zapleczu. Musiałem wyglądać jak sowa, z szeroko otwartymi oczami i ze sztywnymi plecami. Na czole miałem pierwsze krople zimnego potu. Oddychałem ciężko, kłuło mnie w klatce piersiowej. Czuję, jakby cały świat właśnie wbił mi ostrze w żebra.

Wszedłem do internetu i zacząłem przeglądać portale informacyjne. Wrzuciłem w wyszukiwarkę nagłówek artykułu, w wynikach wyszukiwania pojawiało się moje nazwisko. Nikogo nie obchodził wypadek, wszędzie pisali o „synu Choi Hyonsu”. Kliknąłem na pierwszy z brzegu artykuł, pod którym wyświetliły się od razu tysiące komentarzy. Nawet nie przeczytałem samego tekstu. Komentarze miały z reguły ten sam wydźwięk: „Nawet jeśli syn mordercy zrobił coś dobrego, nadal jest synem mordercy”.

Zamknąłem okno z artykułami i przed oczami miałem tylko zakładkę z wyszukiwarką, a w niej jedną frazę: „syn Choi Hyonsu”. Była już na pierwszym miejscu w rankingach wyszukiwania. Minęło siedem lat, a opinia publiczna nadal żywo interesowała się tamtymi wydarzeniami. Czy internauci zdążyli za mną wysłać psy gończe? Już widziałem, jak zaraz do sieci trafią zdjęcia z tamtej pamiętnej bójki w szkole.

Mój szef zjawił się w aptece, kiedy skończyłem sprzątać. Usiadł przy biurku i zabrał się do czytania gazety – dałem mu na to czas. Po półgodzinie, kiedy uznałem, że pewnie skończył, podszedłem do niego i usiadłem na krzeselku obok.

– Ja już pójdę – powiedziałem do niego.

Nic już nie wiedziałem. Co zrobię jutro, gdzie pójdę, czym się zajmę? Teraz nawet bez pomocy „Sunday Magazine” mój mały, bezpieczny świat legł w gruzach. Szef założył nogę na nogę i spojrzał na mnie. Nie odwróciłem wzroku, jak nakazywałoby dobre wychowanie, nawet nie pochyliłem głowy. Nie zrobiłem przecież nic złego.

– Słuchaj – zaczął – za kilka dni wszystko ucichnie. Wracaj do pracy.

Tego się nie spodziewałem. Byłem przygotowany na to, co zawsze do tej pory, że każe mi wyjść i nie wracać.

– Dziękuję za wszystko – odezwałem się w końcu.

Skłamałbym, mówiąc, że niczego nie żałowałem. Po prostu nie mogłem znieść myśli o tym, że ktoś się nade mną lituje. Doświadczenie mnie nauczyło, że nie można polegać na czyjejś litości. Jej dni zawsze były policzone, a o jej końcu decydował ten, kto się litował. Rozstanie przebiegłoby w atmosferze podziękowań, odprawa przewyższyłaby moje miesięczne zarobki, usłyszałbym oczywiście, że zawsze mogę zajrzeć, jeśli znowu potrzebowałbym zajęcia.

Skończyłem pracę o czwartej po południu i wróciłem do Wioski z Latarnią. Samochodu pana Ahna nie było, zajrzałem więc przez okno do naszego pokoju, ale był pusty. Może pan Ahn pojechał kupić coś do jedzenia, ale skoro tak, to zatrzymałby się przecież w aptece, która jest zaraz obok sklepu. Nie pojechał też zbierać informacji do książki, nad którą pracował, bo torba, którą zawsze wtedy ze sobą zabierał, wisiała teraz przy drzwiach. Odstawiłem rower na podwórzu.

– A ty kiedyś przyjechał? – odezwał się nagle przewodniczący zza moich pleców. Tak mnie zaskoczył, że aż się wyprostowałem.

– O, jest pan w domu – zacząłem. – Było tak cicho, że myślałem, że nikogo nie ma.

– Byłem u siebie – odpowiedział, po czym podał mi jakieś pudełko. Dodał, że kurier przyniósł je wcześniej.

Było nieco większe od pudełka na buty i nie miało nigdzie adresu nadawcy. Wypisano na nim tylko moje nazwisko i adres.

– Gdzie pan Ahn? – zapytałem.

– A nie wiem. Zjedliśmy razem obiad, potem się zdrzemnąłem. Jak się obudziłem, nigdzie go nie było.

Wziąłem pudełko i poszedłem do naszego pokoju. Po drodze odwróciłem się na chwilę, żeby spojrzeć na przewodniczącego. Czy chciał się nas teraz pozbyć?

W pokoju otworzyłem przesyłkę. W środku był notes pana Ahna, zegarek, który zakładał, kiedy rozmawiał z ludźmi w związku z książką, pendrive w kształcie monety, który mu kupiłem za pierwszą wypłatę w aptece, kilka listów i kartki brudnopisu związane gumką. Co to wszystko miało znaczyć? Na samym dnie pudełka był jeszcze gruby plik kartek. Pierwsza z nich była czysta, wziąłem więc drugą. Co to było? Moje oczy najpierw powędrowały w dół, zanim zdążyłem zrozumieć znaczenie tytułu.

## Prolog

### ***Jeziro Seryong, 27 sierpnia 2004***

*Dziewczyna stała na przystanku pod szkołą, kopiając w krawężnik czubkiem buta. Głowę miała opuszczoną i wpatrywała się w ziemię. Tylko jej jasne, blade czoło było czasem widoczne, kiedy wiatr rozwiewał jej włosy.*

*Na krótką chwilę zastoniła ją przejeżdżająca ciężarówka. Potem na przystanek podjechał srebrny busik z popołudniowej szkoły plastycznej. Jakiś samochód znowu ją zakrył. Ciężkie, wilgotne powietrze przeszył radosny głos:*

*– Dzisiaj z wami nie jadę, mam urodziny, szykuję przyjęcie.*

*Busik zawrócił i odjechał. Dziewczyna, znowu sama, ze zwieszonymi ramionami przeszła na drugą stronę drogi, wpatrzona w ziemię. Sunghwan przyglądał się jej, stojąc na początku ścieżki prowadzącej w kierunku autostrady. Dziewczyna podniosła głowę, spinka w jej włosach zamigotała w sierpniowym słońcu. Patrzyła na Sunghwana nerwowo, a ten prawie się do niej odezwał: „Hej, wszystkiego najlepszego!”*

*Poszła ku głównemu wejściu do miejscowego arboretum. Sunghwan zapalił papierosa i patrzył, jak się od niego oddala. Kilka minut wcześniej zauważył przy autostradzie grupkę*

*dzieciaków z osiedla firmowego. Szły do McDonalda z prezentami w rękach. Wyglądało na to, że będzie tam przyjęcie urodzinowe. Tyle że to na pewno nie jej przyjęcie.*

*Usłyszał, jak tradycyjny zespół ludowy zaczyna grać. Tego dnia miał się odbyć coroczny rytuał ku pamięci starej wioski Seryong, która zniknęła pod wodą, gdy wybudowano zaporę. Dzieci pracowników firmy będą się dzisiaj bawić w McDonalddie, ale reszta – ludzie ze starej wioski – przyjdzie na uroczystość.*

*Mieszkańcy Seryong byli podzieleni na dwie grupy: miejscowych, czyli ze starej wioski, i pracowników zapory. Obie grupy mieszkały na nizinie poniżej zapory, po przeciwnych stronach rzeki. Robotnicy zajmowali wybudowane specjalnie dla nich małe osiedle przy arboretum. Na północ od arboretum stały jeszcze trzy kolejne budynki: 101, 102 i 103, w których mieszkali szeregowi pracownicy i ochrona. Dziewczyna, nosząca imię Seryong na pamiątkę jeziora, mieszkała z ojcem w budynku 101, który wyglądał jak dwupiętrowa forteca. Sunghwan zajmował 102. Ojciec dziewczyny był właścicielem terenów, na których stało osiedle firmowe, arboretum i trzy dodatkowe budynki.*

*Sunghwan wiedział, że dzieci z obu stron rzeki nigdy się ze sobą nie bawiły. Seryong natomiast nie bawiła się absolutnie z nikim. Chociaż urodziła się w starej wiosce, mieszkała teraz na terenach przypisanych ludziom z firmy, co sprawiało, że nie należała do żadnej z grup. Pewnie dlatego swoje jedenaste urodziny spędzała samotnie.*

*Sunghwan spojrzał w niebo, wciąż mając w ustach papierosa. Zbierały się ołowiane chmury, powoli zasłaniały słońce. Cykady zamilkły. Było gorące, parne, nieprzyjemne piątkowe popołudnie.*

Kartki wypadły mi z rąk. To napisał pan Ahn – miał na imię Sunghwan. Tekst został napisany w trzeciej osobie, ale to jego styl, wszędzie bym go rozpoznał. Domyślałem się, co czekało na mnie na następnych stronach: „Sunday Magazine” wykuł to w mojej pamięci na zawsze, nie musiałem czytać dalej. Ale dlaczego on to zrobił? Dlaczego opisał po swojemu to, co wydarzyło się wtedy nad

jeziorem Seryong? I po co wysłał to do mnie, skoro mieszkamy w jednym pokoju? Nie rozpoznawałem wprawdzie charakteru pisma na pudełku, ale kogo innego mógłby być? No i gdzie pan Ahn się teraz podział?

Wskoczyłem na rower i pojechałem pod latarnię morską. Usiadłem na brzegu klifu i wpatrywałem się w morze. Wtedy był piątek. Dwudziesty siódmy sierpnia dwa tysiące czwartego. Tamtego popołudnia dziewczyna jeszcze żyła. Myślami cały czas wracałem do owego lata siedem lat wcześniej.

Dwa dni po tym popołudniu, w niedzielę dwudziestego dziewiątego, przeprowadziliśmy się do Seryong. Tata otrzymał posadę kierownika ochrony na zaporze. W naszym mieszkaniu w budynku 102 były tylko dwie sypialnie. Rodzice zajęli główną, a w tej drugiej mieszkał już pan Ahn. Tak zostaliśmy współlokatorami.

Tego samego dnia pokazał mi ścieżkę, tę prowadzącą do autostrady, o której napisał w swoim prologu. Mama kazała nam znaleźć tatę – wysłała go po drobne zakupy, ale od dwóch godzin nie wracał. Wspięliśmy się wąską dróżką i znaleźliśmy się przy autostradzie, obok postoju, gdzie rodzice się zatrzymali w drodze do Seryong. Zaintrygowało mnie to. Kiedy jechałem tu z nimi, po krótkiej przerwie zjechaliśmy zjazdem na Seryong i poruszaliśmy się jeszcze trochę, zanim trafiliśmy nad jezioro. Pan Ahn domyślił się, co takiego mnie zaintrygowało, wskazał ręką na ścieżkę i powiedział:

– To magiczny skrót.

Prawie mu uwierzyłem. Z moją ówczesną orientacją w terenie mogłem to zrozumieć tylko dzięki magii. Spacer ścieżką zajął nam pięć minut, a droga samochodem nad jezioro to było jakieś dziesięć. Nie tylko to było tutaj nietypowe. Postój przy autostradzie był taki, jakich wszędzie wiele, ale dla mieszkańców wioski stanowił nieomal lokalne centrum. Przydrożne bary były ich restauracjami, sklepik przy stacji benzynowej – ich supermarketem, w tutejszym McDonalddie dzieciaki urządzały imprezy, a stoliki z parasolkami na tarasie widokowym robiły za miejscowy ogródek piwny.

To tam znaleźliśmy tatę, a obok niego dwie puste butelki po soju. Usiedliśmy obok niego i podziwialiśmy jezioro poniżej.

– Opowie mi pan o tej magii? – zapytałem pana Ahna.

– Jakiej magii? – zaciekał się tata.



– O magii tej ścieżki – odpowiedziałem.

Tata spojrział pytająco na pana Ahna, na co on tylko się zaśmiał i zwrócił się do mnie:

– Sowon, wiesz, czym jest spirala, prawda?

Zakręciłem w powietrzu palcem, żeby mu pokazać, że wiem.

– No właśnie. Jezioro leży u stóp góry, a nowa wioska dalej, na nizinie – tłumaczył. – Autostrada ciągnie się wzdłuż pasma gór. Wyobraź sobie, że jezioro to poziom pierwszy, parking to poziom drugi, a łącząca je droga jest jak spiralna klatka schodowa. Ścieżka natomiast to drabina łącząca bezpośrednio te dwa poziomy.

Zapomnieliśmy, że przyszliśmy tu po to, by sprowadzić tatę do domu, i zostaliśmy razem z nim na tarasie. Każdy z nas coś pił – ja colę, tata kolejne soju, a pan Ahn piwo. Niebo zrobiło się purpurowe, cienie się wydłużyły, docierał do nas delikatny zapach jeziora. Pan Ahn wskazał na odległy punkt, gdzie równina spotykała się z niebem, mówiąc, że tam jest już morze, zatoka Dungnyang. Mówił, że jeśli w nocy wieje bryza z południa, przez okno naszej sypialni można poczuć zapach wody. Ale kiedy je otworzyłem, zamiast tego doleciał do mnie głos. Jej głos.

„Raz, dwa, trzy, Baba Jaga patrzy”.

– Gdzieś ty był cały ten czas? – zawołał przewodniczący po moim powrocie spod latarni.

– Pan Ahn wrócił? – odpowiedziałem pytaniem.

– Nie. Ale przyjechał ktoś na skuterze. Zostawił to. – Przewodniczący wręczył mi kolejne pudełko.

Tym razem był chociaż nadawca: „Przyjaciół”. Charakter pisma nie wskazywał ani na pana Ahna, ani na osobę, która przysłała pierwsze pudełko. Nigdy też żaden z nas nie zwracał się do drugiego per „przyjaciół”.

W przesyłce było wydanie tego przeklętego „Sunday Magazine” i poźółkły but nike. Tylko jeden, rozmiar trzydzieści osiem. Na wewnętrznej stronie języka ktoś wpisał nazwisko i imię. Napis był wyblakły, ale wystarczająco czytelny.

„Choi Sowon”.

Miałem buty nike raz w życiu. Tata kupił mi je, kiedy wygrałem konkurs matematyczny w szkole – miałem wtedy jedenaście lat.

Rzeczywiście wpisał tam moje nazwisko. Zgubiłem te buty, gdy mieszkaliśmy w Seryong.

Zamknąłem pudełko. Kto to przysłał i czego ode mnie chciał? Jeśli zemsty, dlaczego nękał mnie, a nie tatę, który czekał na wyrok w więzieniu w Seulu?

Wyciągnąłem pościel i położyłem się, mimo że było jeszcze wczesnie. W głowie kłębiły mi się kolejne pytania: gdzie jest pan Ahn? Co robił o tej porze, gdziekolwiek był? Dlaczego się nie zgłaszał? Kto przysłał „Sunday Magazine”? Czy to przypadek, że rzeczy pana Ahna i ta następna przesyłka przyszły tego samego dnia? Do tej pory wydawało mi się zawsze, że za tymi wycinkami wysyłanymi do szkół i sąsiadów stał ktoś bliski jednej z ofiar z Seryong. Bo kto inny ścigałby mnie tak uparcie? Ale ten but, który dzisiaj dostałem, wszystko zmienił. Nikt obcy nie mógł wiedzieć, jak wiele ten przedmiot dla mnie znaczył.

Próbowałem zadzwonić do pana Ahna, ale jego telefon nie odpowiadał. Włączyłem jego laptopa i podpiąłem pendrive. Gdzieś tam przecież była elektroniczna wersja jego manuskryptu. Musiałem znaleźć fragment, o który mi chodziło. Fragment, który podpowiedziałby mi, kto za tym stoi, bez potrzeby czytania całości. Na pendrive wgrano dwa foldery: Źródła i Jezioro Seryong. W tym drugim znalazłem dziesięć plików tekstowych. Otworzyłem *Ostateczną Wersję* i wyszukałem słowo „nike”.

„Poprzedniej wiosny Sowon wygrał konkurs matematyczny w szkole, a Hyonsu kupił mu w nagrodę buty nike”.

Klikałem w „Znajdź następny”, pokazało mi się kilka kolejnych zdań, wszystkie mówiły o Hyonsu. W końcu pojawiło się jednak coś innego.

„Yongje wyjął trampki z torby. – Czy to pańskiego syna?”

Popatrzyłem jeszcze chwilę na imię na ekranie, wziąłem głęboki oddech i przewinałem tekst dalej.

Po przejrzaniu kilku zdań dotarłem do kolejnej części.

„Sunghwan słyszał czasami krzyki dziewczyny, słyszał, jak woła »tato!«, ale wiedział już, że nic nie da się zrobić. Właśnie to nazwisko wypisane czarnymi literami unosiło się przed jego oczami w podwodnej otchłani. Oh Yongje”.

Yongje. Jego twarz przebiegła mi przed oczami. Nasi sąsiedzi ze stojedynki. Włosy stanęły mi dęba. Ojciec dziewczyny! On miał moje nike. Czy to oznacza, że stał za tym wszystkim? Ale przecież nie żył już od siedmiu lat. Cały świat wiedział, że to mój tata go zabił. Od tego wszystkiego zaczęło mnie ścisnąć w brzuchu.

# Jeziro Seryong I

Sunghwan rozsunął szklane drzwi oddzielające salon od loggii. Wiał wiatr z południa, słone morskie powietrze wypełniło pogrążony w ciemności pokój. Ścieżka przed budynkiem pokrywała się mgłą, zaczynało mżyć. Do okna loggii przywierały krople deszczu. Było cicho, na dworze ani żywej duszy. Dobiegły go dźwięki muzyki. Znajomej piosenki.

*Fly me to the moon and let me play among the stars...*

Wyciągnął komórkę i zadzwonił do Choi Hyonsu, ale odezwała się tylko poczta głosowa.

Choi Hyonsu miał być nowym kierownikiem działu ochrony na zaporze Seryong, a co za tym idzie, od poniedziałku również nowym przełożonym Sunghwana. Hyonsu planował przeprowadzkę na niedzielę, ale jeszcze tego dnia, w piątek, chciał wpaść i zobaczyć mieszkanie, które mieli dzielić. Wyglądało na to, że planował przeprowadzić się z rodziną. Mówił, że będzie o ósmej, a dochodziła już dziewiąta. Nie mógł zapomnieć, umawiali się raptem kilka godzin wcześniej, w południe, i nie odzywał się od tamtej pory z informacją o zmianie planów.

Sunghwan z powrotem zasunął drzwi i zaciągnął zasłony. Nie mógł zabronić swojemu nowemu szefowi przyjechać, nawet tak późno, ale nie musiał wcale siedzieć i czekać jak głupi, nie miał do tego cierpliwości. Ani czasu. Miał co innego do roboty. Wysłał wiadomość: „Kod do drzwi mieszkania to 214365”.

Wrócił do swojego pokoju, którego okno wychodziło na arboretum, rzucił telefon na biurko i zaczął się przebierać. Będzie łatwiej, jeśli na miejsce dotrze już po części przygotowany i z ekwipunkiem. Przywiązywał właśnie nóż dla nurków do łydki, kiedy zaskoczył go dźwięk telefonu. To był jego ojciec. Często dzwonił o tej godzinie, kiedy sobie trochę popił. Sunghwan już słyszał w głowie jego głos: „Jak długo jeszcze będziesz próbował coś napisać? Masz już trzydzieści dwa lata, a pracujesz w ochronie. Nie po to harowaliśmy na twoją szkołę, żebyś teraz marnował życie”.

Sunghwan włożył adidas i wyskoczył przez okno pokoju, nie zwracając uwagi na dzwoniący telefon. Zarzucił na ramiona plecak, w którym miał aparat do robienia zdjęć pod wodą i pozostały potrzebny sprzęt. Włączył lampkę na czole i ruszył w kierunku rzadko używanej, niestrzeżonej furtki za budynkiem 101, prowadzącej do skrótu nad jezioro.

Po drodze jego uwagę przykuło na wpół otwarte okno w stojedynce. To był pokój Seryong, którą widział jeszcze kilka godzin wcześniej, jak stała oparta o wiatę przystanku i kopała czubkiem buta w krawężnik. Na jej parapecie tliła się teraz spirala na komary, delikatna strużka dymu unosiła się i rozptywała w powietrzu. Na ścianie naprzeciwko wisiało zdjęcie dziewczyny – miała włosy związane na czubku głowy, ciemne oczy patrzące na wprost, wyglądała jak baletnica z obrazów Degasa. Poniżej zdjęcia stało białe biurko, a na nim trzy małe świece: jedna zielona, dwie czerwone. Tuż obok siedziały pluszaki w papierowych czapeczkach, które zakłada się na przyjęcia. Przed nimi, wygrywając melodyjkę, kręciło się małe zabawkowe diabelskie koło z żarówką imitującą księżyc i figurką dziewczynki lecącej w jego kierunku. To stąd płynęła muzyka, która niosła się po okolicy w wieczornej mgle. Sunghwan poprawił plecak i odwrócił się. Scena, którą właśnie zobaczył, wyprowadziła go nieco z równowagi. Seryong najwyraźniej urządziła sobie własne przyjęcie urodzinowe przed pójściem spać. Jej ojciec nie pozwoliłby na to, żeby jakieś świece paliły się bez nadzoru przez całą noc i żeby okno nie było dobrze zamknięte. Jego białe bmw zazwyczaj stało zaparkowane przed budynkiem, ale teraz Sunghwan nie mógł sobie przypomnieć, czy je tam widział. Przed oczami miał obraz pluszaków zajmujących się ogniem od świeczek

i płonących coraz mocniej, języczki ognia tańczące lekko w wieczornej bryzie.

Zamrugnął kilkakrotnie oczami, żeby pozbyć się tej wizji, i poszedł dalej. Nie powinien tak długo być w tym miejscu, pod oknem młodej dziewczyny – on, samotny mężczyzna. Powinien już iść ścieżką nad jezioro.

Sunghwan przyjął posadę w ochronie na zaporze Seryong z powodu bonusu w postaci zakwaterowania w górach, obok jeziora. Płacili nieźle. Mniej niż na kolei, ale więcej, niż dostawał jako pomocnik w stadninie koni wyścigowych. Umowę podpisał na rok, dzięki czemu nie czuł, że utknął w jednej firmie.

Gdy po raz pierwszy wybrał się na taras widokowy przy autostradzie, poczuł, że lepiej nie mógł trafić. Był pierwszy czerwca, ani za zimno, ani za gorąco. Dzień był mglisty, na perłowym niebie widniał jedynie delikatny zarys słońca. W taką pogodę najlepiej podziwiać jezioro rozciągające się poniżej, które powstało – teraz widział to wyraźnie – gdy zapora spiętrzyła wody rzeki spływającej na południe, do morza, z góry Paryong. Dwa wąskie, proste szczyty stały po dwóch stronach nowego jeziora: szczyt Seryong, bliżej tarasu widokowego, i szczyt Soryong, po przeciwnej stronie. U stóp Seryong rósł gęsty olchowy las, a na farmie obok stała stara, zniszczona stodoła. Poniżej wjazdu na tę farmę zaczynała się ścieżka prowadząca do zapory. Samo jezioro kształtem przypominało kobiecy korpus, rzeka była jej długą szyją, w okolicy piersi znajdowała się przystań, a pośrodku mieściła się wyspa Hansoldung. Rzeka, która wyływała z zapory, przecinała na pół pola aż po sam ocean. Nad jej brzegami ulokowała się wioska Seryong. Na koronie zapory był jeden z trzech mostów drogowych. W miejscu, gdzie się kończył, u podnóża szczytu Soryong, znajdowało się biuro ochrony. Na dole, nad brzegiem rzeki po stronie szczytu Soryong, tuż przy śluzach ulokowano biura zapory i budynki elektrowni. Po drugiej stronie, u stóp szczytu Seryong, leżało arboretum. Brzegi rzeki i dwie części wioski łączyły jeszcze dwa mosty bardziej w dole rzeki. Ten drugi służył głównie wiosce, trzeci natomiast prowadził do lokalnej drogi i to przy jego wylocie stało kilka sklepów i przychodnia. Cztery kilometry dalej znajdowało się kolejne miasteczko. Arboretum Seryong usytuowano na rozległej

prywatnej ziemi, która zaczynała się u podnóża szczytu Seryong i ciągnęła do pasażu handlowego. Prowadziły do niego dwie bramy: tylna od strony pierwszego mostu oraz główna – od strony centrum miasteczka. Odległość między obiema bramami wynosiła jeden kilometr. Górna część pasażu handlowego przechodziła w pagórkowaty teren stykający się z podstawą szczytu Seryong, gdzie rosły cyprysy. Krajobraz był uroczy, a okolica przypominała piękny ogród, nad którym migotały wszędzie kamery monitoringu. Arboretum – bardziej niż to, czym faktycznie było – przypominało posiadłość średniowiecznego lorda.

Sunghwan myślał, że przy odrobinie szczęścia uda mu się tu znaleźć natchnienie, które przybliży go do bycia autorem bestsellerów, a on sam w końcu będzie mógł dać ojcu odpowiedzi na jego niekończące się pytania. Ale w ciągu dwóch miesięcy od przybycia zdołał napisać raptem dwa zdania: „Seryong była najpopularniejszą dziewczyną w okolicy. Wszystko nosiło jej imię – z autostrady zjeżdżało się zjazdem Seryong, podstawówka była Szkołą Podstawową Seryong, do lekarza szło się do przychodni Seryong, kradzież zgłaszało się na posterunku Seryong, w arboretum Seryong podziwiano się drzewa”. Więcej nie był w stanie z siebie wycisnąć. Wprawdzie to, że książka będzie o dziewczynie, było pewną inspiracją, która tu na niego spłynęła, nie wiedział jednak, co miałyby w tej książce robić i skąd się tam właściwie wzięła.

Sunghwan szybko się znudził. Praca była monotonna, robiło się coraz goręcej. Wody jeziora zapraszały, ale nie wolno mu było w nim nurkować, nie mógł zanurzyć nawet palca. Sprzęt do nurkowania wisiał nieużywany w szafie. Jezioro Seryong było zbiornikiem pierwszej klasy, zasilalo w wodę cztery miasta i dziesięć powiatów w okolicy. Otoczono je drutem kolczastym. Nie wolno było nawet wspinać się na szczyt Seryong. Po tym, jak farmę w dole, na której dawniej hodowano kozy, zniszczono podczas budowy zapory, stara stodoła odgrywała rolę schronienia dla dzikich zwierząt. W strefie ochronnej zabronione było budowanie czy nawet wyburzanie czegokolwiek. Droga biegnąca wokół zbiornika była częściowo zamknięta dla ruchu. Jezioro stanowiło, krótko mówiąc, ogromną strzeżoną studnię.

Ochroniarze pilnowali okolicy całą dobę. Było ich sześciu, z czego czterech mieszkało w budynku 103. Sunghwan dzielił mieszkanie w budynku 102 z byłym szefem ochrony, nawróconym na chrześcijaństwo, który na drzwiach wejściowych umieścił baner: „Wyznawca Jezusa Chrystusa” i poświęcił się niemal całkowicie „głoszeniu Słowa Bożego”. Jego kazań musiał wysłuchiwać właśnie Sunghwan, który na dodatek przez twórczą niemoc nabawił się bezsenności. Kiedy kładł się spać, ogarniała go panika, a kiedy wstawał i włączał laptopa, miał wrażenie, że pochłania go gęsta mgła. Zaczął bać się nocy. Gdy nie mógł zasnąć, szwendał się po arboretum, od czasu do czasu trafiając na inne nocne istoty: starego dozorcę, który gdy sobie popił, urządzał czasem spacer o drugiej w nocy, i Erniego, kota z okolicy, często pokazującego się w pobliżu okna Sunghwana.

Kiedy spotkali się po raz pierwszy – Sunghwan i Ernie – kot ani trochę się nie bał. Patrzył na niego tym typowo kocim, znudzonym spojrzeniem, po czym odwrócił się i zniknął za furtką. Sunghwan poszedł wtedy jego śladem, przeszedł skrótem prowadzącym do autostrady, aż znaleźli się przy drodze nad brzegiem jeziora. Patrzył, jak Ernie, niczym się nie przejmując, kontynuuje przechadzkę we mgle. Szedł dalej za kotem, aż dotarli do starej stodoły całkiem spory kawałek od drogi. Budynek był w kiepskim stanie. Część podłogi się odkształciła, w powstałej przestrzeni ktoś położył duże drewniane pudełko wyłożone różowym kocykiem, niedaleko którego stały miseczki z kocią karmą i wodą. Było oczywiste, że ktoś tam co jakiś czas zagląda.

Począwszy od tamtej nocy, Sunghwan zaczął regularnie zwiedzać okolicę w pobliżu stodoły. Wymykał się ze swojego pokoju przez okno, tak żeby jego przełożony się nie zorientował, i szedł drogą nad jeziorem. Te wędrowki okazały się jednak bezużyteczne w przywoływaniu nieobecnej wciąż muzy. Jego niepokój się nasilał.

Nadal nie mógł pisać, kiedy jego szef oznajmił, że zmienia pracę i przenosi się na jezioro Chungju. Gdy po odejściu przełożonego Sunghwan omawiał z innym ochroniarzem w biurze zmiany w grafiku, dowiedział się, że szykuje się upamiętniająca starą wioskę Seryong coroczna uroczystość. Urządzano ją zawsze dwudziestego siódmego sierpnia, w dniu, w którym starą wioskę pochłonęła woda.



Był to odprawiany przez mieszkańców nizin rytuał, któremu towarzyszył wiejski festiwal. Przyjęcie odbywało się po południu, nad brzegiem jeziora, w pobliżu wyspy Hansoldung.

Sunghwan nie był pewien, czy w ogóle warto tam iść, to był jego wolny dzień. Jego kolega nic nie odpowiedział, patrzył tylko w ekran monitoringu, by po jakimś czasie rzucić: „To jezioro jest naprawdę dziwne”. Sunghwan również spojrzał w ekran. W miarę jak mgła rzedła, wyspa Hansoldung wyłaniała się zupełnie jak nagrobek pośrodku jeziora. Nie było na niej nic oprócz samotnej sosny z rozszczepionym pniem.

– Co w ogóle znaczy „Hansoldung”? Wzgórze samotnej sosny? – zaciekawił się Sunghwan.

– Kto to wie? – odpowiedział drugi ochroniarz. – Ale mówią, że stara wioska leży u stóp tej sosny. Że nadal jest nietknięta. Podobno nawet tabliczki z nazwiskami wiszą jeszcze na furtkach.

Sunghwan zamrugał, po plecach przebiegły mu ciarki.

– Tak przynajmniej mówią – ciągnął ochroniarz. – Jest w tym jakiś sens, jak się zastanowić. Zaporę wybudowali z dziesięć lat temu, ale nie robili nic z wioską, po prostu ją zatopili. Wiesz, że to była druga największa wieś w gminie?

– Rozmawiałeś kiedykolwiek z kimś, kto naprawdę ją widział?

– Nie. Starzy mieszkańcy strzegą wszystkiego jak wielkiej tajemnicy. Zachowują się, jakby wioska była święta. Nie lubią, kiedy ktoś obcy tutaj węszy, są chyba przesądni. W końcu, jak by nie patrzeć, żyją sobie wygodnie w nowej wiosce, ale nad nimi wisi wielki zbiornik wody. W zeszłym roku była tu telewizja, jednak mieszkańcom nizin to się nie spodobało. Zepsuli samochód stacji telewizyjnej i pobili zarządcę tamy, który dał zgodę na filmowanie.

– Myślisz, że coś w tym jest? Że niby jezioro jest święte? – spytał Sunghwan.

– Podczas corocznego rytuału ludzie modlą się do smoczego boga podwodnej wioski. Dla nich to święte miejsce. Wśród mieszkańców krąży przekonanie, że jeśli obcy wtargnie do podwodnej wioski, śpiący smok się obudzi, a potem nastąpi katastrofa. Kiedy po raz pierwszy o tym usłyszałem, po prostu się roześmiałem.

– A teraz w to wierzysz? – pytał dalej Sunghwan.

– Nie widziałeś, co robi o zachodzie słońca, nie? – odpowiedział pytaniem drugi ochroniarz, mówiąc o jeziorze jak o osobie. – Popatrz sobie na ekran minutę, dwie zaraz po tym, jak słońce się schowa. Kiedy nad powierzchnią wody zapanuje ciemność, wokół Hansoldung zacznie się zbierać mgła. Wygląda wtedy zupełnie jak dym z kominów. Pewnego dnia, kiedy wpatrywałem się w ekran, usłyszałem głos staruszki: „Kochanie, wejdź. Zjedz kolację”. – Mężczyzna nie odrywał oczu od monitora. – Gadam jak nawiedzony, co nie?

– Nie, niezupełnie...

– Nie mogę się doczekać, aż mi się umowa skończy. Nawet nie będę się oglądać za siebie.

Tamtej nocy Sunghwan nie spieszył się, wracając do domu. Kiedy się położył, nie mógł zasnąć. Tajemnice starej wioski spuściły jego wyobraźnię ze smyczy – wydawało się, że w końcu będzie mógł zacząć to, po co tu przyjechał. Wreszcie mógł napisać swoje arcydzieło. Przed oczami miał podwodną wioskę, resztki żaru tłące się w domowych paleniskach. Głos starej kobiety, którego nigdy nie słyszał, łaskotał go w uszy: „Sunghwan, zjedz kolację z babcią”. Jak się tam dostać? W głowie miał wizje Atlantydy. Może to jezioro wybrało jego, a nie odwrotnie? Teraz już musiał zobaczyć wioskę na własne oczy. Powinien zrobić zdjęcia, żeby lepiej ulokować akcję powieści. Przeprowadzanie się przez płot w ekwipunku nurka nie wchodziło w grę, musiał jakoś zdobyć klucz.

Wyszedł z pracy nad ranem, po dwóch nocnych zmianach z rzędu, z kopią klucza w kieszeni. Ochroniarze zawsze oficjalnie przekazywali sobie klucze podczas zmiany, miało to zapobiec ich wyniesieniu. Sunghwan zaryzykował więc, zostawił swoje stanowisko puste i podjechał do sklepu metalowego, żeby na poczekaniu wyrobić kopię.

Po południu wybrał się na taras widokowy przy autostradzie, skąd patrzył na wioskę. Rozciągała się od przystani daleko poza wieżę poboru wody, a wyspa Hansoldung znaczyła krawędź zabudowy. To dlatego przystań była tak dobrym miejscem, żeby dostać się nad jezioro. Sunghwan kupił na tę okoliczność żyłkę wędkarską, farbę fluorescencyjną, splotki i ciężarki. Kiedy wracał do domu, zauważył też stojącą na przystanku Seryong.

Zastanawiał się później, wieczorem, kto właściwie był na jej urodzinach. Czekając, aż zrobi się ciemno, malował ciężarki zakupioną farbą. Kiedy wyschły, przywiązał je do żyłki w odstępach po około pół metra. Miał to być jego własnej roboty miernik głębokości, dzięki niemu mógł obliczać, jak bezpiecznie się zanurzać i na jakie ciśnienie pod wodą być przygotowanym. Elektroniczne głębokościomierze wykonane na podstawie poziomu morza były bezużyteczne w wodach słodkich na dużych wysokościach. To dlatego, że ciśnienie absolutne wynosiło tylko połowę poziomu morza. W jeziorze Seryong ten prymitywny wskaźnik głębokości będzie lepszy niż elektroniczny. Żyłka miała go też prowadzić na miejsce kolejnym razem – kiedy już znajdzie wioskę pod wodą, przymocuje żyłkę dyskretnie gdzieś przy brzegu, żeby się nią kierować którejś następnej nocy.

Miernik głębokości był gotowy, a nowy przełożony nadal się nie pokazywał. Sunghwan próbował uspokoić nerwy dwoma puszkami piwa, ale szybko zdał sobie sprawę, że to głupota – nurkowanie pod wpływem było bardzo złym pomysłem. Tak się denerwował, że zapomniał o podstawowej rzeczy. Czekał do dziewiątej wieczorem, robiąc pompki i truchtając dokoła mieszkania, aby pozbyć się z organizmu alkoholu. To się miało stać tej nocy, jutro miał znowu pisać, zanim zacznie się nowy tydzień w pracy. Musiał zejść do jeziora niezauważony i zrobić zdjęcia zatopionej wioski.

Wyszedł przez okno i przemknął pod oknem Seryong, a potem przez furtkę na skrót. Kiedy był już po drugiej stronie, włączył latarkę czołową. Podkręcił moc, ale nadal niewiele widział – mgła napływająca znad jeziora była zbyt gęsta, wszystko rozmazywała, jak w zamieci. Zaczęło też padać. Wyłączył latarkę na końcu ścieżki, czyli tam, gdzie jak wiedział, zainstalowany był monitoring. Otuliła go ciemność.

Szedł wzdłuż płotu otaczającego jezioro i dotarł do przystani dziesięć minut później. To było jedyne zejście do wody – solidna stalowa furtka. Była tej samej wysokości co płot, w którym ją umieszczono. Zauważył wprawdzie niewielką przestrzeń między dolną krawędzią furtki a opadającym brzegiem jeziora, jednak było tam za wąsko, żeby mógł się przecisnąć. Klamkę owinięto grubym łańcuchem zabezpieczonym kłódką. Sunghwan włączył latarkę na

minimalną moc, żeby ją otworzyć, i kiedy już znalazł się po drugiej stronie, użył tego samego łańcucha i kłódki, by zamknąć się od środka. Chciał mieć pewność, że nikt go nie zaskoczy.

Betonowa rampa prowadząca w dół do przystani miała jakieś dwadzieścia metrów długości, po obu jej stronach rosły bujnie zarośla. Na przystani zacumowano Josong, barkę należącą do firmy konserwującej zaporę. Sunghwan położył swój plecak obok jej kabiny, wyciągnął żyłkę, przywiązał ją do pomostu i zaczął się przygotowywać do zejścia pod wodę. Założył płetwy, do ust włożył ustnik aparatu tlenowego. Spojrzał na zegarek – było wpół do dziesiątej.

Zanurzył się w jeziorze. Pod powierzchnią wody włączył latarkę na maksymalną moc i zanurzył się głębiej, ostrożnie rozwijając żyłkę. Kiedy był już na głębokości warstwy skoku termicznego, zauważył w dole żółtą linię dzielącą pasy jezdnia na dawnej drodze biegnącej teraz po dnie jeziora. Prąd podpowierzchniowy był silny, ale widoczność okazała się całkiem niezła. Sunghwan obwiązał luźno żyłką pień drzewa i zanurzał się dalej, dotykając śliskiej powierzchni skał.

Kilka minut później stanął obiema nogami na dnie. Woda była już na tyle zimna, że przyprawiała go o ból głowy. Było ciemno i cicho. Wszystko dokoła pozbawione kolorów. Jedyne droga, oświetlona światłem latarki, wydawała się błyszczyć srebrzyście. Daleko przed nim, już na krawędzi światła, majaczył zarys starej wioski. Popłynął wzdłuż drogi, głęboko w ciemność, czując jednocześnie strach i podniecenie.

Przy wjeździe do wioski leżał głaz z wyrytym napisem: „Witamy w wiosce Seryong”. Obok niego stała nadal wiata przystanku, tyle że była to już sama metalowa rama, bez szklanych paneli. Owinął żyłkę wokół rdzewiejącego znaku drogowego i ruszył dalej. Na ruinach młyna rosła bujnie podwodna roślinność, ryby przepływały przez dziury w ścianach. Na ulicy leżał przewrócony słup telefoniczny, na polu stał niszczyjący kultywator. Sunghwan znowu przymocował żyłkę do tego, co akurat miał koło siebie, i płynął dalej. Mijał rozsypujące się murki, poluzowany gont, odkryte stalowe belki, połamane framugi, porzucane dachówki, rozkładające się powalone drzewa, wózek dziecięcy bez jednego kółka, studnię

zamkniętą stalową pokrywą. Pomyślał, że tak może wyglądać świat po zagładzie ludzkości, i poczuł, jak narastają w nim skrajne emocje. Odkryta przez niego Atlantyda była pusta i piękna zarazem. Fascynowało go tu poczucie nieskończonej samotności. Magia tego miejsca zawładnęła nim całkowicie już przy pierwszym zetknięciu.

Zaczął rozglądać się po tym, co jeszcze zostało z wioski, pływając dokoła zupełnie jak otaczające go ryby – po ulicach, mostkach, kamiennych murkach. Podwodnym aparatem uwiecznił wszystko, co widział, w razie gdyby kiedyś jeszcze miał wątpliwości, czy to, co tu zobaczył, istnieje naprawdę. Tam, gdzie zostały tylko kawałki ścian, oczami wyobraźni widział parę staruszków jedzących spokojnie kolację. Siedząc na ławce dawnego przystanku, wsłuchiwał się w rozmowy innych czekających na autobus. Słyszał, jak pchająca ulicą wózek młoda matka opowiada o poznaniu swojego męża. Odnalazł w końcu mężę. Wystarczyło tylko zebrać wszystkie te historie i książka gotowa.

Czas pod powierzchnią płynął jednak tak kapryśnie jak prądy wodne. Czasem Atlantydy kierowała ręka czarownika. Nim się spostrzegł, minęła godzina i czuł się lekko odrętwiały. Wszystko przed jego oczami zaczęło falować, i to wcale nie z powodu ruchów wody. Wioska nabrała nagle niesamowitych kolorów, poczuł przyływ ekstazy – zaczynały się skutki podtrucia azotem.

„Jeszcze tylko jedno”, obiecał sobie i skierował obiektyw aparatu na tabliczkę na furtce. Chciał zapamiętać nazwisko rodziny mieszkającej kiedyś w domu w najwyższym punkcie wioski. Zrobił zdjęcie, błysk flesza pochłonął tabliczkę i tylko czarne litery zawisły w przestrzeni przed jego oczami. „Oh Yongje”.

Była za piętnaście jedenasta, zostało mu już tylko sto dwadzieścia barów tlenu, więc należało się zbierać. Zaczął wypuszczać powietrze z kamizelki wypornościowej, żeby powoli wznosić się ku powierzchni. Nie miał tyle czasu, by wrócić tą samą drogą – musiał wynurzyć się prostopadle do góry z miejsca, gdzie się znajdował.

Wynurzając się z prędkością dziewięciu metrów na minutę, patrzył w dół na wioskę, którą zostawiał pod sobą. Krajobraz z powrotem zaczynał przypominać starą, czarno-białą fotografię.

Pamięcią sięgnął na krótko wstecz, do tabliczki na furtce domu. Mężczyzna i jego ładna córka. Oh Yongje.

Przypomniał mu się jego pierwszy weekend w Seryong, jeszcze zanim zaczęły się zmagania z bezsennością i blokadą twórczą. Jego przełożony pojechał na weekend do domu w Seulu i Sunghwan został sam. Około północy, kiedy zapadał w sen, powietrze przeszył krzyk. Otworzył szeroko oczy, ale wszędzie wokół panowała cisza. Opuścił z powrotem powieki, myśląc, że może mu się to przyśniło, ale zza okna usłyszał ciche szlochanie. Chwycił latarkę i spojrzał w ciemność nocy. Dziewczyna chowała się w kucki za splątanymi gałęziami cyprysu i obejmowała się własnymi rękami. Kiedy Sunghwan skierował na nią światło latarki, skuliła się jeszcze bardziej i wyszlochała: „Niech pan nie patrzy. Proszę, niech pan nie patrzy...”.

Z jej głosu emanował głęboki wstyd. W pierwszym odruchu miał ochotę spełnić tę prośbę, ale wyglądała, jakby ktoś jej coś zrobił. Nos miała spuchnięty, gardło pełne flegmy, co było słychać w ciężkim oddechu. Wszędzie widział ślady zadrapań, miała na sobie jedynie bieliznę. Nagle, w jednej chwili, osunęła się na ziemię. Sunghwan się otrząsnął, wyskoczył przez okno, otulił ją kocem, który ze sobą zabrał, i pospieszył do samochodu, trzymając ją na rękach. Przypomniał sobie, gdzie ostatnio widział całodobową przychodnię. Zastanawianie się, czyje to dziecko i co się tej dziewczynie naprawdę przytrafiło, nie było teraz najważniejsze. Potrzebowała pomocy.

Lekarz, młody mężczyzna obcięty na rekruta, przebadął ją, zlecił zdjęcia rentgenowskie i potwierdził, że ma złamany nos.

- Co jej się stało? – zapytał Sunghwana.
- Nie wiem. Zemdlała pod moim oknem.

Niedługo potem zjawił się policjant, który, jak się okazało, znał dziewczynę. To była Seryong, córka właściciela arboretum. Wyjął komórkę i zadzwonił do jej ojca, który po krótkim czasie pojawił się w przychodni. Miał na sobie granatowy garnitur i wypastowane buty.

– Widzę, że nie przyjechał pan prosto z domu – zauważył policjant, zwracając się do ojca dziewczyny.

– Jechałem właśnie do domu, kiedy odebrałem telefon – odpowiedział, zerkając przelotnie na córkę. Stał w drzwiach i mierzył

wzrokiem Sunghwana. Jego ciemne tęczaówki były bardzo szerokie. – A pan to kto? – zapytał w końcu.

– Mieszkam w stodwójce – wykrztusił z siebie Sunghwan.

– Od kiedy? Nigdy pana nie widziałem.

Sunghwan czuł, że ciężko mu oddychać. W oczach tego mężczyzny było coś niepokojącego. Odezwał się jednak:

– Wprowadziłem się kilka dni temu – mówił powoli, starając się zachować spokój. – Nie wiedziałem, że to pańska córka.

– A dlaczego to właśnie pan ją tu przywiózł?

– To może ja też o coś zapytam: dlaczego pańska córka zemdląta tuż pod moim oknem?

Ojciec dziewczyny zwrócił się do lekarza:

– Są jakieś dowody napaści?

Lekarz powtórzył tylko to, co wcześniej powiedział już Sunghwanowi: że ma złamany nos i obrażenia sugerujące pobicie jakimś przedmiotem.

– I to tyle? – zapytał mężczyzna. – Bo ja tu widzę, że jakiś obcy facet przywozi do przychodni moją córkę, i to półnagą, w samej bieliźnie.

Sunghwan patrzył osłupiały. Dopiero teraz dotarło do niego, jak ta cała sytuacja wygląda z boku.

Policjant spojrzał na Seryong, która przez cały czas ukradkiem nerwowo zerkąta na ojca.

– Co on ci zrobił? – zapytał ojciec córkę. Stał teraz zwrócony do niej i palcem wskazywał na Sunghwana. – Wyrządził ci krzywdę? Dotykał cię?

Sunghwan wstrzymał oddech.

– Nie – wyszeptała dziewczyna.

– Co ci się w takim razie stało? – dopytał policjant.

Dziewczyna patrzyła to na lekarza, to na policjanta, potem spojrzała na Sunghwana i z powrotem na policjanta. Wyraźnie uciekała przed ojcem wzrokiem. Jej wielkie kocie oczy błyszczały, ale nie od łez. Była przerażona. Nie odezwała się w końcu.

– Powiedział pan, że nazywa się Ahn Sunghwan? – zapytał policjant. – Czy może pan chwilę poczekać przed drzwiami?

Ale Sunghwan nie mógł tego zrobić, życie dziewczyny wydawało się wisieć na włosku.

– Pan też, panie Oh – powiedział funkcjonariusz do ojca dziewczyny.

Pan Oh ani drgnął, wpatrzony w swoją córkę.

– Panowie! Słyszycie mnie?!

Sunghwan i pan Oh spojrzeli po sobie i skierowali się do drzwi.

– To nie potrwa długo – rzucił jeszcze policjant.

Ojciec Seryong zajął krzesło tuż przy drzwiach, oparł się o podłokietnik i spoglądał na Sunghwana. Jego ciemne, szeroko otwarte oczy budziły skojarzenia z dzikim zwierzęciem szykującym się do skoku. Sunghwan usiadł naprzeciwko niego, starając się sprawiać wrażenie spokojnego i wyluzowanego. Próbował uspokoić umysł i myśleć trzeźwo, ale w głowie miał tylko gniew i upokorzenie. Oddychał coraz ciężiej, chciało mu się palić, lecz nie mógł teraz wyjść na papierosa. Kto wie, co tamci uknuliby pod jego nieobecność, kiedy nie mógłby niczemu zaprzeczyć ani się obronić. Z gabinetu lekarskiego nie dochodziły do nich żadne odgłosy. Minęło dwadzieścia minut, które ślimaczyły się niemiłosiernie. Sunghwan był już u kresu wytrzymałości, gdy w końcu w drzwiach stanął policjant.

– Mówi, że się bawiła – zaczął – w Baba Jaga patrzy z kotem, który czasem przychodzi do arboretum. I wtedy wpadła na drzewo. – Funkcjonariusz stał teraz na środku korytarza i tłumaczył, co właśnie usłyszał. – Kiedy zamierzała wrócić do domu, po ciemku pomyliła budynki. Z nosa leciała jej krew i dlatego zemdląca. Chce powiedzieć, że bardzo dziękuje sąsiadowi, że jej pomógł i przywiózł ją tutaj. I że nigdy jej nie dotykał.

Sunghwan podniósł się nagle wzburzony.

– Twierdzi pan, że ona się tylko bawiła z kotem? W środku nocy? W bieliźnie? Serio?!

– Mówi, że to ulubiona zabawa tego kota – odpowiedział policjant.

– A co z jej zadrapaniami? I zakrwawionym ramieniem? – pytał dalej Sunghwan.

– Mówi, że kot ją zadrapał. Musiała naprawdę mocno uderzyć w to drzewo. Rentgen pokazuje wyraźnie, że ma złamany nos.

Teraz to ojciec dziewczyny podniósł się z krzesła.



– Czyli żeby mieć pewność, że nic jej nie zrobił, mam ją zabrać do ginekologa? – dopytywał.

– Na pana miejscu zabrałbym ją po prostu do laryngologa. To przede wszystkim jej nos wymaga teraz uwagi – odpowiedział rzeczowo policjant.

Mężczyzna wszedł do gabinetu i po chwili wyniósł stamtąd córkę owiniętą w koc. Wychodząc, zabijał wzrokiem Sunghwana, ale nie odezwał się ani słowem. Policjant chwycił Sunghwana za łokieć.

– Możemy teraz pojechać na posterunek – powiedział.

Sunghwan odtrącił jego rękę. Wiedział, że przywiezienie dziecka do przychodni nie wymagało wizyty na policji, zwłaszcza w sytuacji, kiedy dziewczyna oczyściła go z wszelkich podejrzeń.

– Spokojnie – zareagował policjant, chwytając go ponownie za łokieć. – Pan to zgłosił, to niech pan chociaż wypełni oficjalne oświadczenie.

Już na posterunku Sunghwan spisał wydarzenia mijającej nocy, walcząc ze sobą, żeby nie rzucić długopisem o ścianę. Zaciskał na nim palce ze złości, w głowie aż mu huczało. Dlaczego dziewczyna kłamała? Dlaczego nie mówiła prawdy o tym, co jej się stało tej nocy? Dlaczego jej ojciec tak bardzo próbował oskarżyć go o wykorzystanie córki? I dlaczego policjant wydawał się tak obojętny, jakby nie zależało mu wcale na znalezieniu sprawcy? To oczywiście, że ta trójka coś ukrywała, coś poza zasięgiem jego i lekarza.

Sunghwan sam wyobraził sobie, co się wydarzyło. Wiadomo, że pobił ją ojciec – widział agresję w jego oczach i strach, z jakim ona na niego patrzyła. Chciała uciec, ale nie miała dokąd, ukryła się więc w zaroślach niedaleko jego okna. Ojciec musiał jej szukać i właśnie wtedy na jego nieszczęście do akcji wkroczył wścibski sąsiad. Sunghwan wyobrażał sobie złość pana Oh, kiedy zabierał jego córkę do przychodni i kiedy niedługo potem zadzwoniła do niego policja. Funkcjonariusz dobrze wiedział, że Seryong była regularnie bita i że nowy sąsiad znalazł się w bardzo niefortunnym położeniu, ale pan Oh miał w tej okolicy jaką taką władzę, dlatego mógł sobie pozwolić na udawanie, że o niczym nie wie.

Było jasne, że pan Oh, a być może także lokalna policja będą próbowali wrobić Sunghwana po to, żeby ukryć, co się naprawdę dzieje w tym domu. To jednak nie do końca trzymało się kupy –

w Korei rodzice rzadko trafiali za kratki za przemoc wobec własnych córek. Może cierpiała na tym ich reputacja, ale to tyle. Reakcja ojca Seryong była nieproporcjonalna do sytuacji. Zupełnie jakby ktoś odpalał piłę łańcuchową, żeby zebrać pajęczyny w rogu. Tym bardziej że rzucanie fałszywych oskarżeń mogło się dla niego skończyć kolejnymi kłopotami z prawem.

Później w pracy Sunghwan się dowiedział, że pan Oh był w trakcie burzliwego rozwodu – toczyła się walka o opiekę nad dzieckiem. Z wykształcenia dentysta, był też właścicielem budynku w mieście S, mieszczącego jedenaście prywatnych gabinetów lekarskich, w tym jego własny. Do tego wszystkiego był jedynym synem wpływowego właściciela ziemskiego i trzymał rękę na polach, które zapewniały wiosce utrzymanie. Sunghwan zrozumiał, że pan Oh, oskarżając go w gabinecie lekarskim, wyraźnie dawał mu do zrozumienia: „Trzymaj się z dala od moich spraw”.

W ciągu niemal dwóch miesięcy od tamtej nocy nie wszczęto żadnego dochodzenia. Sunghwan słyszał czasami krzyki dziewczyny, słyszał, jak woła „tato!”, ale wiedział już, że nic nie da się zrobić.

Właśnie to nazwisko wypisane czarnymi literami unosiło się przed jego oczami w podwodnej otchłani. Oh Yongje.

Komórka zaczęła dzwonić. Hyonsu spojrzał na ekran, żeby sprawdzić, kto to. Dzwoniła Eunju, znowu. To już piąty raz w ciągu godziny. Pisała też esemesy.

„Odbierz telefon”.

„Jadę. Jesteś już na miejscu?”

„Nie ma cię tam, prawda? Znowu pijesz z kolegami?”

Tak, Hyonsu pił. Tak, był z kolegami. Tyle że nie był ani w Seulu, ani w pobliżu zapory w Seryong. Siedział w barze w Gwangju, gdzie zrobił sobie przystanek po drodze. Dlatego też nie odbierał – gdyby się przyznał, gdzie jest i co robi, byłaby wściekła. Z powrotem zajęł się meczem baseballa, który wszyscy oglądali na wielkim telewizorze. Tigersi grali z Lionsami na stadionie w Daegu. Tigersi srogo obrywali, kamera pokazywała ich łapacza, jak stał z rękami na biodrach – jego drużyna przegrywała kolejne punkty.

Hyonsu też tam kiedyś stał. Większość sezonów spędził jako rezerwowi łapacz w nieistniejącej już drużynie Hanshin Fighters.

Jego komórka znowu zadzwoniła, ale tym razem to nie była żona, tylko Kim Hyongtae, kolega, który zatrudnił się w firmie ochroniarskiej w tym samym roku.

– Gdzie ty, do diabła, jesteś? – Hyonsu nienawidził tego karcącego tonu. – Twoja żona dzwoniła. Tłumaczyłem jej, że cię tu nie ma, ale upierała się, żeby ci dać telefon. Jest wkurzona. Mówiła, że dzisiaj masz być na zaporze. Prawda to?

– Właśnie tam jadę.

– To zadzwoń do niej i jej to powiedz! Przecież ty wiesz najlepiej, jaka ona jest.

Hyonsu zaczął się zastanawiać, jakie legendy krążą na temat charakteru Eunju. Wstał od stolika z telefonem przy uchu. Hyongtae już się rozłączył, ale potrzebna mu była wymówka, żeby wyjść. Jego koledzy popatrzyli na niego, a on znacząco pokazał na telefon i skierował się do wyjścia.

– Przepraszam, pan Choi Hyonsu? Ten zawodnik? – zapytał nagle człowiek siedzący przy stoliku niedaleko wyjścia.

Hyonsu się obejrzał, zaskoczony i trochę speszony, że ktoś go rozpoznał.

– Ja też kończyłem Liceum Daeil – powiedział mężczyzna, podnosząc się z miejsca.

Hyonsu wsunął komórkę do kieszeni i ucisnął dłoń nieznanego. Złożył autograf na świstku papieru, który tamten nagle wyciągnął, mówiąc, że to dla syna. Facet chciał z nim usiąść i razem się napić, ale Hyonsu przeprosił, mówiąc, że nie może już dłużej zostać, i wychylił tylko na szybko jeden kieliszek. Naprawdę zamierzał już iść, nie chciał odpowiadać na potok pytań od dawnego kolegi ze szkoły, którego nawet nie kojarzył. Kiedy otwierał drzwi samochodu, przyszła kolejna wiadomość: „Gdzie pijesz?”. Jedno z ulubionych pytań Eunju. Innym ulubionym było: „Dlaczego?”. Hyonsu – ku jej cichej satysfakcji – nigdy nie umiał na nie odpowiedzieć. Pytać alkoholika, dlaczego pije, to jak pójść na czyjś grób i zapytać: „Dlaczego nie żyjesz?”. Było tyle powodów do napicia się, ile barów, ale tym razem powód był naprawdę dobry – jeden

z zawodników, z którymi grał od czasów liceum, otworzył własną knajpę.

Kim Ganghyon został w lidze trzy lata dłużej, w pewnym momencie był nawet miotaczem w drużynie Fighters, ale dwa lata tułania się po zabiegach i fizjoterapii wykluczyły go na stałe z gry. Próbował potem swoich sił w różnych mniejszych biznesach, ale zaliczał porażki tak szybkie jak jego piłki na boisku. Bar z soju nieopodal kampusu w Gwangju był jego piątym podejściem.

Hyonsu miał wprawdzie zamiar wpaść z wizytą, ale ta konkretna nie była akurat zaplanowana. To właśnie Eunju podrzuciła mu ten pomysł nad ranem, kiedy powiedziała, że powinien pojechać obejrzeć ich nowe mieszkanie przed niedzielną przeprowadzką. Szykowała się długa droga, ale ona się upierała.

– Musimy znać rozkład mieszkania, żeby wiedzieć, co ze sobą zabrać.

– W niczym nie musimy się rozeznawać – protestował Hyonsu. Nie widział żadnego sensu w tym, na co ona się upierała. – Jest takiej wielkości jak to tutaj.

– Mieszkania na prowincji są mniejsze, niż wszyscy ci mówią. I rozkład może być inny – nie dawała za wygraną.

– Czyli chcesz, żebym tam tylko pojechał i się rozejrzał? – pytał, wkładając buty.

– Nie tylko. Mówiłeś, że tam już mieszka jakiś młody facet. Pogadaj z nim. Sprawdź, jak to wygląda z pokojami, jak będziemy dzielić salon, korzystać z kuchni i tak dalej. Musimy to wszystko wyjaśnić na samym początku, żeby nie było potem dziwnych sytuacji.

– Mam z nim usiąść i obgadać, jak będziemy korzystać z pralki i jak podzielimy rachunki za wodę? – dopytywał.

– Może dasz radę go przekonać, żeby przeniósł się gdzie indziej. Dla niego to też będzie niekomfortowe tak mieszkać z rodziną przełożonego.

Hyonsu stał i patrzył na nią z niedowierzaniem. Ależ ona była bezczelna. Zastanawiał się, czy taka się urodziła, czy gdzieś się tego nauczyła. Jak miał przekonać przyszłego podwładnego, żeby gdzieś się wyniósł? Szczerze mówiąc, mało go tak naprawdę te warunki mieszkaniowe obchodziły.

W każdym razie zadzwonił do tego człowieka, który nazywał się Ahn Sunghwan, i uprzedził, że wpadnie koło ósmej wieczorem. Pomyślał, że po drodze równie dobrze może też zajrzeć do baru Ganghyona w nagrodę za spełnianie poleceń Eunju. To i tak był w końcu ten sam kierunek.

Przyjechał koło szóstej, miał zamiar tylko wręczyć staremu znajomemu drobny prezent, wypić może jeden kieliszeczek i pojechać dalej. Ale tak się złożyło, że spotkał jeszcze trzech innych kumpli ze szkolnej drużyny. Żaden z nich już nie grał, wszyscy brnęli jakoś przez życie, pracując tu i ówdzie. Wypili razem, zamówili coś do jedzenia, potem znowu pili. Rozmawiali o szkolnym obozie, na którym zawarli pakt, że zostaną najlepszymi zawodnikami na świecie, i na którym postanowili wspólnie, że będą kiedyś sławni. Wspominali, jak tabuny fanek podążały za przystojnym Ganghyonem, jak Hyonsu przeprowadził genialne zagranie w półfinale na poziomie krajowym. Jedna butelka szybko zamieniła się w osiem, przy czym głównym pijącym był Hyonsu. Minęły godziny, zanim zadzwonił Kim Hyongtae, wrywając go z baru.

Komórka znowu się odezwała, kiedy dojechał do bramek przed wjazdem na autostradę. Eunju. Będzie dzwonić, dopóki nie odbierze. Hyonsu wyłączył telefon. Autostrada była zakorkowana, pewnie z powodu piątkowego wieczoru. Gdy jednak minął bramki, zauważył kilka radiowozów na poboczu i ciarki przebiegły mu po plecach. Jeśli sprawdzali kierowców, miał kłopot. Trzy miesiące wcześniej unieważnili mu prawo jazdy za prowadzenie po pijanemu.

Tamten wieczór był bardzo podobny. Pił ze znajomymi w barze i oglądał mecz w telewizorze, a Eunju udało się do niego dodzwonić, bo miała numer do Hyongtae. Było mu dobrze i beztrudno, kiedy Hyongtae podawał mu telefon, uśmiechając się złośliwie. Hyonsu się zaczerwienił. Eunju zachowywała się patologicznie za każdym razem, kiedy pił. Do niego jedyne co godzinę dzwoniła żona i dopominała się, żeby wracał do domu. W pewnym momencie przestał od niej odbierać, ale tym razem nie mógł nic zrobić, skoro zadzwoniła pod numer kolegi.

- Halo? – powiedział, biorąc do ręki komórkę.
- Gdzie jesteś? Co robisz? Znowu pijesz?
- Jemy kolację, nie piję – usprawiedliwił się.

– To dlaczego nie odbierasz?  
– Nie słyszałem. Słuchaj, nie możesz dzwonić pod numer Hyongtae.

– To odbieraj telefon!  
Czuł, że zaraz pójda utartą ścieżką i zaczną zwyczajową kłótnię. Musiał coś zrobić.

– Co u was? – zapytał.  
– Sowon wymiotuje i ma gorączkę. Wcześniej chciał, żebym pomogła mu się ubrać. Podobno obiecałeś mu, że pójdziecie na narty.

Serce podeszło mu do gardła.

– I nie pojechałaś z nim do szpitala?

– Już zadzwoniłam po karetkę.

Wybiegł z baru. Nie był nawet świadomy, że prowadzi po pijanemu, zapomniał w tym wszystkim, że tego wieczoru pił. I wtedy go zatrzymali. Błagał policjanta, tłumaczył, że jego syn jest chory.

– Jasne – usłyszał w odpowiedzi.

Musiał dmuchnąć w alkomat, urządzenie zapiszczało. Oczywiście, że tak. Policjant kazał mu zjechać całkiem na pobocze. Hyonsu miał wielką ochotę wcisnąć pedał gazu i uciec. Miał dziewięć dziesiątych promila, trzy razy przekroczył dopuszczalny limit. Zabrali go na komisariat, gdzie też słowa o chorym synu nie zrobiły na nikim wrażenia. Pisał oświadczenie, kiedy Eunju znowu zadzwoniła.

– No i gdzie jesteś? – Jej głos był ostry.

– Jestem w drodze, już niedaleko. Co mówi lekarz? – wyszeptał do telefonu.

– To może być zapalenie opon mózgowych. Musimy jechać do większego szpitala.

– To jedźcie! – wykrzyczał.

– Co to ma być?! Czy ja głupia jestem? Jasne, że jedziemy! Jesteśmy w taksówce do Szpitala Donga. Dzwonię, żeby ci powiedzieć, żebyś tam jechał!

Policjant podsłuchiwał ich rozmowę i zrobił się trochę miłszy. Przyspieszył całą sprawę i kiedy już było po wszystkim, Hyonsu wziął taksówkę i popędził do szpitala.

Gdy dojechał na miejsce, Sowon leżał w łóżku na końcu sali. Eunju trzymała go za rękę. Syn zauważył go jako pierwszy.

– Tata!

– Nie piłeś, tak? – sarknęła Eunju.

– I jak? – zapytał tylko Hyonsu, patrząc na syna. Chciał go dotknąć, ale miejsca między łózkami było za mało dla kogoś, kto miał prawie dwa metry wzrostu i ważył sto dziesięć kilo. Jego gabaryty poza boiskiem ciągle stanowiły problem.

– Co tak późno? – zapytała Eunju.

– Jaka jest sytuacja? – spytał znowu o stan syna Hyonsu.

– Muszą zrobić punkcję.

– Punkcję? A co to?

– Muszą z kręgosłupa... – Eunju spojrzała na Sowona i nie dokończyła. – Mówią, że to normalna procedura, ale chcą, żebyśmy podpisali oświadczenie, że nie będziemy ich skarżyć, jeśli coś pójdzie nie tak. Czekałam z tym na ciebie, bo jak miałabym sama podjąć taką decyzję?

Hyonsu miał ochotę na nią wrzasnąć: „Przecież i tak zawsze robisz, co chcesz!”. Zamiast tego zapytał:

– Gdzie jest lekarz?

Eunju wskazała mu mężczyznę stojącego przy pokoju pielęgniarek. Hyonsu podszedł do niego, walcząc z gniewem. Dowiedział się po chwili, że na razie opanowali sytuację dzięki podaniu sterydów, ale potrzebna będzie punkcja. Będą musieli wkłuć się w kręgosłup, żeby odciągnąć nieco płynu i zmniejszyć ciśnienie w samym mózgu. Pobrany płyn mogliby przebadać i dzięki temu sprawdzić, czy chodzi o infekcję bakteryjną, czy wirusową.

– A jaka to różnica? – zapytał Hyonsu.

– Zapalenie wirusowe łatwo wyleczyć i wszystko będzie dobrze – odpowiedział lekarz.

– A to drugie?

– W przypadku bakterii może dojść do powikłań: utraty słuchu, opóźnienia w rozwoju, epilepsji...

Hyonsu zrobiło się czarno przed oczami. Nogi prawie się pod nim ugięły, nie mógł nawet przeczytać, co było napisane na oświadczeniu. Zanim się podpisał, kilka razy upuścił długopis.

Zabrali Sowona do gabinetu zabiegowego. Hyonsu do nich dołączył, Eunju została na zewnątrz. Asystent zdjął dziecku koszulkę i kazał mu przyjąć pozycję płodu, tak żeby leżał na boku. Sowon

jednak cały czas się wiercił, przerażony tym, co go czekało. Zobaczył długą igłę, którą dla niego szykowali. Asystent próbował go przytrzymać, ale nie dawał rady. Sowon spojrzał na ojca z błaganiem w oczach. Lekarz zrobił to samo.

– Może pan pomóc, żeby się nie ruszał?

Hyonsu przykucnął przy łóżku, wcisnąwszy się między metalową ramę a ścianę. Pocił się, oddychał ciężko.

– Sowon – odezwał się łagodnie. – Pamiętasz, co robię, kiedy sam się boję?

Chłopak przestał się wiercić.

– Pamiętasz?

Sowon ułożył wargi jak do gwizdania.

– Dokładnie tak. Tak właśnie zrobimy. Ja będę gwizdać na głos, a ty razem ze mną, ale po cichu, w głowie. Jak już skończymy całą piosenkę, będzie po wszystkim. Prawda, doktorze?

– Właśnie tak – zgodził się lekarz, przygotowując znieczulenie miejscowe.

– Co zagwizdżemy? – zapytał Hyonsu.

Sowon wyprostował palce wskazujący i środkowy, pokazując w ten sposób poruszające się nogi. Hyonsu się domyślił, że chodzi mu o pierwszą scenę *Mostu na rzece Kwaj*, który często oglądali razem. Jednostka brytyjskich jeńców maszeruje w kierunku japońskiego obozu, gwizdząc *Marsz pułkownika Bogeya*. Sowon nigdy tak naprawdę nie zrozumiał samego filmu, ale często go przewijał i oglądał po kilka razy pierwszą scenę.

Hyonsu położył palce na metalowym brzegu łóżka i zagwizdał raz, dając sygnał, że będzie zaczynał. Gwizdał melodię i maszerował palcami wzdłuż metalowej barierki, imitując kroki, zawracanie, kołysanie się do rytmu. Na twarzy syna pojawił się delikatny uśmiech.

Sowon usnął, gdy tylko cały zabieg dobiegł końca. Lekarz wyjaśnił, że ciśnienie wywierane na jego mózg zelżało i na pewno czuje się teraz lepiej. Ale Hyonsu nie odszedł od łóżka, nadal przy nim kucnął, trzęsąc się. Co jeśli Sowonowi coś się jednak stało? Co jeśli straci słuch, nie będzie mógł chodzić, jeździć na rowerze, wspinać się na drzewa albo będzie miał ataki? To była okropna noc, najbardziej przerażająca w jego trzydziestosześcioletnim życiu.



Kiedy podniósł głowę, zobaczył Eunju. Jej czarne spojrzenie uderzyło go jak strumień zimnej wody. To była mieszanka obrzydzenia, urazy, strachu i łez. Nie wiedział, co mógłby jej powiedzieć, żeby ją pocieszyć.

Infekcja okazała się wirusowa, ale Sowon został w szpitalu miesiąc. Lekarzom trudno było uporać się z ciśnieniem w jego mózgu i musieli zrobić jeszcze dwie kolejne punkcje. W jego małe ciało wpompowali chyba wszystkie znane im leki.

Hyonsu jeździł między szpitalem, pracą i domem. Przywoził jedzenie dla żony i syna, załatwiał sprawunki, zostawał w szpitalu na noc. Nie miał okazji powiedzieć Eunju o tym, że zawiesili mu prawo jazdy. Stopniowo rozmyły się jego obawy o wsiadanie za kierownicę bez ważnego pozwolenia, a do czasu, gdy Sowon mógł już wrócić do domu, właściwie o sprawie zapomniał.

Wszystko się uspokoilo. Eunju wróciła do pracy w stołówce w liceum, Hyonsu pracował jak zawsze w ochronie, chodził do baru, oglądał baseball, a wsiadając za kółko pod koniec każdego dnia, nie pamiętał albo odkładał na później wszystko to, co musiał zrobić. Nadal ignorował telefony Eunju, kiedy pił z kolegami, i martwił się prowadzeniem pod wpływem dopiero wtedy, gdy na horyzoncie pojawiała się opcja kontroli policyjnej. Tak jak w tej chwili.

Hyonsu wyrzął przez okno, kolejka samochodów przed nim zaczęła się poruszać. Na szczęście dla niego to nie była kontrola, tylko wypadek. Policjanci zamknęli pas ruchu i zajmowali się skutkami kolizji. Jeden z nich machnął, żeby jechać dalej. Hyonsu minął funkcjonariuszy ostrożnie, ale kiedy tylko znalazł się na autostradzie, przyspieszył od razu do stu dwudziestu na godzinę. Silnik zaprotestował i samochodem lekko zatrzęsło, lecz Hyonsu nawet tego nie zauważył, był tylko zmęczony i przygnębiony. Myślał o nowym mieszkaniu, które właśnie kupili, czy może raczej które kupiła Eunju.

Dziesięć dni wcześniej oznajmiła, że ma zamiar nabyć stumetrowe mieszkanie w Ilsanie. Hyonsu przyjrzał się jej dokładnie – uznał, że zwariowała. Tłumaczyła, że na rynku pojawiła się okazja, właściciel stracił wszystko i chciał sprzedać nieruchomość jak najszybciej. Budynek stał w fajnej okolicy, niedaleko dobrych szkół.

Hyonsu domyślał się, że mieszkanie było dobre, skoro Eunju tak o nim mówiła, ale nie mógł pojąć, w jaki sposób podjęliby się tego finansowo. Nawet gdyby wycofali całą kaucję za obecne mieszkanie i dołożyli do tego wszystkie oszczędności, ciągle brakowałoby im trzydziestu milionów wonów. Na taką sumę nie dostaliby pożyczki. A nawet gdyby, jak mieliby opłacić podatki i odsetki od takiej kwoty? Lepiej przecież jeść trzy solidne posiłki dziennie w wynajmowanym mieszkaniu, niż ssać palce z głodu we własnym.

– To dlatego twoje życie wygląda, jak wygląda – upierała się Eunju. Ona wyliczyła wszystko inaczej. Położyła przed nim pięć zeszytów zapisanych rachunkami.

– Co to jest? – zapytał.

– A jak myślisz?

To były pieniądze, dużo pieniędzy, brakujące trzydzieści milionów wonów i jeszcze więcej, żeby pokryć dodatkowe opłaty. Eunju zaczęła standardową gadkę, którą częstowała go zawsze, kiedy pił:

– Myślisz, że to dla siebie tak oszczędzam i skąpię? Nie, robię to dla nas.

– A co z odsetkami? Jak je spłacimy?

– Możemy wynająć to nowe mieszkanie.

– To gdzie wtedy będziemy mieszkać?

– Znajdź pracę, w której dadzą nam mieszkanie służbowe.

To oznaczało przyjęcie posady na jakimś zupełnym odludziu. Hyonsu nie chciał wyprowadzać się z Seulu. Pracował dla firmy ochroniarskiej związanej z rządem, robił to, odkąd odszedł z drużyny baseballowej. Jego pierwszy kontrakt to była zapora w górach w prowincji Chungchong. Powietrze było tam czyste i spokojne, firma zapewniała mieszkanie. Problem jednak w tym, że wszystko, czego potrzebowali, w tym przedszkole Sowona i supermarket, znajdowało się w mieście po drugiej stronie góry. Eunju sięgnęła do swoich oszczędności i kupiła mu używanego matiza. Był jej wdzięczny za ten samochód, ale w ogóle nie wzięła pod uwagę jego wzrostu. Za każdym razem miał wrażenie, że wciska się w metalową zbroję. Siedzenie musiał odsuwać najdalej, jak się dało, żeby móc prowadzić. Chciał zaproponować, by kupili coś większego, ale

wiedział, że ona go zabije, jeśli tylko się odezwie słowem. Mamrotał więc zawsze do siebie, jak to wszystko w jego życiu jest za ciasne.

Ten matiz służył praktycznie cały rok jako karetka. Sowon zapadał po kolei na wszystkie możliwe choroby: od zapalenia spojówek po odrę. Wspinali się tym samochodem pod stromą górę po zmroku z gorączkującym dzieckiem. W śnieżne noce ich życie było zdane na łaskę tego małego matiza. Hyonsu nie był pewien, czy jest gotowy na powrót do małej miejscowości, zwłaszcza po tej historii z zapaleniem opon mózgowych.

– Na jak długo?

W umyśle Hyonsu walczyły ze sobą dwa uczucia: słodycz frazy „nasze mieszkanie” i lęk o to, co przyniesie przyszłość.

– Trzy lata. W tym czasie spłacimy część pożyczki.

– Ale dlaczego nie kupimy czegoś mniejszego? Możemy obniżyć poprzeczkę i nadal mieć swoje cztery kąty bez zarzynania się. Jesteśmy tylko we trójkę, damy radę w mniejszym mieszkaniu.

– Nie, nie damy – upierała się Eunju.

– To jak budowanie zamków na piasku. Skąd wiemy, że zawsze będziemy mieć pracę? Skąd wiemy, co się wydarzy w przyszłości?

– Ja wiem, co się wydarzy w przyszłości – odparła Eunju z triumfem w głosie. – Kupimy mieszkanie.

Nie było miejsca na kompromis. Wyglądało na to, że to mieszkanie stanowiło w mniemaniu Eunju przepustkę do świata klasy średniej, o której zawsze marzyła.

Hyonsu zdobył się na odwagę i złożył wniosek o przydział na stanowisko na prowincji. Dostał je od razu. Nikt nie chciał pracować na wsi, wszyscy marzyli o pracy w dużym mieście. Jego pierwszym dniem na zaporze Seryong miał być trzydziesty sierpnia. Eunju kupiła mieszkanie i jeszcze tego samego dnia znalazła najemcę. Tylko jedno nie dawało jej spokoju w tej nowej sytuacji – mieszkanie służbowe miał z nimi dzielić jakiś obcy mężczyzna.

Hyonsu spojrzął na zegarek – była 21.03, godzina i trzy minuty po czasie umówionym z Ahnem Sunghwanem – jego nowy współpracownik miał na niego czekać. Wyjął komórkę z kieszeni i włączył ją. Cztery nieodebrane połączenia – dwa od Eunju, naturalnie, i dwa od Sunghwana, który ostatecznie wysłał mu wiadomość z kodem do drzwi. Hyonsu oddzwonił do niego, ale

tamten nie odbierał. Wsunął telefon z powrotem do kieszeni, rozchylił nieco okna i wyprostował fotel. Wisząca pod lusterkiem wstecznym fluorescencyjna czaszka szczyrzyła zęby. To był prezent urodzinowy od Sowona. Uśmiechnął się, myśląc o synu. Jedyne, co dzieciak miał po nim, to leworęczność. Do Eunju też nie był specjalnie podobny. Najbardziej przypominał nieżyjącą już matkę Hyonsu, zarówno z wyglądu, jak i z charakteru. Podobało mu się to. Wyobrażał sobie, że Sowonowi pisane jest coś innego, lepszego. Czaszka nie była tylko ozdobą, wyrażała jego dumę z syna, który tak się od niego różnił.

Gdy mijął znak „MOP Seryong 2 km”, białe bmw podjechało do niego od tyłu i zaczęło błyskać światłami. Jechali właśnie na zakręcie, pod górę, a pasem obok sunęły trzy ciężarówki wyładowane stają. „Dupek”, pomyślał Hyonsu, zerkając na bmw widoczne w lusterku wstecznym.

Biały matiz w końcu zjechał na drugi pas, ustawiając się przed ciężarówkami, ale zrobił to tak niespiesznie jak pies, który właśnie się obudził z drzemki. Yongje wcisnął klakson i przemknął obok. Dlaczego ten głupi samochód nie zjechał wtedy, kiedy błyskał na niego światłami? Tak powolny wóz nie powinien w ogóle znaleźć się na tym pasie. Spojrzał na niego jeszcze raz w lusterku wstecznym. Fluorescencyjna czaszka uśmiechała się zza przedniej szyby matiza. Yongje zdjął rękę z klaksonu i przyspieszył. Matiz wkrótce zniknął mu z pola widzenia, a on myślami wrócił do Hayong. Rozwód, batalia o opiekę na córkę, zakaz zbliżania się, alimenty. Jak śmiała?

Nie dalej jak przed kilkoma godzinami zadzwonił do niego prawnik. Yongje był w pokoju hotelowym w Seulu, gdzie przyjechał na konferencję ortodontyczną. Usłyszał w słuchawce coś, czego nie słyszał prawie nigdy w życiu: „Przegraliśmy”.

Prawnika jego byłej żony był znany ze swojej skuteczności. W czasie rozpraw, na które Hayong nawet nie raczyła się stawiać, wychodził z siebie, żeby wykazać, jak „zaburzona” jednostka Oh Yongje psychicznie i fizycznie znęcała się nad żoną i córką przez dwanaście lat. Na nieszczęście Yongje na te opowieści były dowody. Zdjęcia nagiej Hayong pokrytej śladami pobicia, zdjęcia różg, którymi

je bił i które porozwieszał po całym mieszkaniu, podpisane oświadczenia Hayong, raporty lekarskie dotyczące każdego siniaka, jedno z pobić, które koniec końców doprowadziło do poronienia. Były nawet taśmy z nagraniami ich kłótni, a do tego nagrane zeznania Seryong. Dziewczyna miała dobrą pamięć, opowiadała wszystko ze szczegółami, gdzie i jak ojciec poprawiał wszystkie pomyłki jej i matki. Na koniec wyrażała jeszcze szczerą, ckliwą nadzieję, że to matka dostanie pełne prawo do opieki nad nią.

Argumenty prawnika Yongje o tym, że Hayong zostawiała rodzinę, kiedy jej się podobało, że nie byłaby w stanie sama się utrzymać, że nie miała specjalnych zdolności wychowawczych, na nikim najwyraźniej nie zrobiły wrażenia. Jej prawnik dołączył do dokumentacji zaświadczenia o kursach kulinarnych ukończonych przez jego klientkę, jakby to coś zmieniało. Certyfikat piekarniczy? Świadectwo z kursu kuchni koreańskiej? Yongje przypominał sobie, jak chodziła na takie zajęcia w mieście mniej więcej dwa lata wcześniej. Mówiła, że to takie hobby. Wychodziła z domu regularnie raz w tygodniu, wsiadała do busika dla dzieci z kółka artystycznego razem z Seryong i wracała też z nią. Yongje nigdy się nad tym nie zastanawiał, nie wzbudziło to jego podejrzeń. Nie miał nic przeciwko temu, żeby lepiej gotowała, nie przyszło mu jednak do głowy, że przez cały ten czas przygotowywała się do rozwodu.

Po tym, jak prawnik długo się tłumaczył z niepowodzenia, powiedział na koniec: „Chyba nie zna pan zbyt dobrze tej kobiety”.

Yongje aż zeszywniał. Jak ten nieudacznik śmiał odwrócić uwagę od swojej porażki, ubliżając mu? Nie podobało mu się też, że o Hayong mówił „ta kobieta”. Nikomu nie wolno było tak mówić o jego żonie. Yongje poradził prawnikowi, żeby nazywał „tą kobietą” swoją własną głupią żonę, i rozłączył się. Rzucił telefon na łóżko i patrzył bezmyślnie w okno. Dwadzieścia pięter niżej ludzie i samochody poruszali się gładko.

Jego własny świat jeszcze trzy miesiące wcześniej też poruszał się gładko: wszyscy go słuchali i robili, co kazał. Ale pod koniec kwietnia Hayong nagle zniknęła. Tego dnia pojechali nad morze świętować rocznicę ślubu, jedli kolację w restauracji z widokiem na morze. Wszystko było w jak najlepszym porządku. Problemy się zaczęły, kiedy zadzwonili po kierowcę, który miał odwieźć ich do

hotelu. Facet zażyczył sobie więcej, niż było w ofercie, tłumacząc, że ceny poszły w górę. Yongje powiedział mu dosadnie, co o tym sądzi, że nie z nim takie numery. To wtedy Hayong zrobiła coś szokującego: z przerażonym wyrazem twarzy wyjęła pieniądze ze swojego portfela i wręczyła je kierowcy, mówiąc, że jej mąż się tak zachowuje, kiedy za dużo wypije.

Gdy byli już w pokoju, porządnie ją obił. Zawiózł ją potem na przełęcz Hangyeryong, zabrał jej portfel i komórkę i kazał wysiąść z samochodu. W jego mniemaniu miała dzięki temu przemyśleć swoje zachowanie, a nie odejść i wystąpić o rozwód.

Z początku niczym się nie przejmował, minęły w końcu tylko dwa dni, ostatecznie znajdzie przecież drogę do domu. Miał zamiar przyjąć ją z powrotem, jeśli błagałaby o wybaczenie, i wymierzyć jej odpowiednią karę. Ale kiedy mijał tydzień, a ona nie dawała znaku życia, postanowił sam ją odnaleźć i ściągnąć do domu. Szykował się na spuszczenie jej takiego manta, że nie będzie chodzić przez miesiąc albo dwa.

Było tylko kilka miejsc, do których mogła pójść. Obdzwonił jej ojca, krewnych, tych kilka przyjaciółek, które miała, wszystkich, z którymi ostatnio kontaktowała się przez telefon, ale nigdzie jej nie było. Nikt jej nie widział. Odnalazł ostatecznie jakiś ślad w hotelu w Sokcho. Powiedzieli mu, że zadzwoniła do nich z telefonu alarmowego, mówiąc, że miała wypadek, i poprosiła o podeślanie taksówki, za którą potem zapłaciła czekiem na sto tysięcy wonów. Namierzył taksówkarza, który nawet dobrze ją pamiętał. Ale numeru czeku oczywiście nie zapisał.

Yongje zwrócił się o pomoc do firmy Wsparcie, z której korzystał już dawniej. Ci tak zwani profesjonaliści w dwa tygodnie zmniejszyli stan jego konta, ale nic nie znaleźli. Odezwała się wreszcie po miesiącu, pod koniec maja, kiedy pocztą przyszły do niego papiery sądowe. Patrząc na nie, Yongje śmiał się jak szalony. Po pierwsze, dlatego że mu ulżyło, iż Hayong nie zapadła się jednak pod ziemię, po drugie, ponieważ to było zupełnie niepoważne. To on przemienił córkę elektryka w księżniczkę, obsypując ją kosztownościami. A ona teraz odplacała się za jego hojność rozwodem.

Wynajął prawnika. Najpierw trzeba było wygrać sprawę, a potem odnaleźć Hayong. Prawnik przygotował plan działania: na

razie koniec z korygowaniem Seryong – byłoby niekorzystnie, gdyby krążyły o nim jakieś plotki. Yongje w większości stosował się do zaleceń i nie zostawiał na Seryong żadnego śladu, z wyjątkiem tego jednego razu, kiedy kretyn ze stodwójki wszedł mu w drogę i prawie zrobił z tego aferę. Nie wyobrażał sobie nawet, że mógłby przegrać, stosował się przecież do zaleceń prawnika, nie szukał Hayong ani nie wywierał nacisku na jej ojca.

Gdy skończył rozmawiać z prawnikiem, wyjął butelkę wody z minilodówki i usiadł na łóżku. Za jednym zamachem wypił połowę zawartości. Gdzie była Hayong? Jak zebrała wszystkie te materiały i jak udało jej się je ukrywać, zanim wyciągnęła to jako oręż w sądzie? Jedno było pewne: nagrania pochodziły z ostatnich dwóch lat. Dokładny czas, kiedy zaczęła wszystko rejestrować, wskazywał raport lekarski dotyczący jej poronienia. To było dwie wiosny temu, w okolicach sprawy z kotem. Yongje analizował tamten dzień dokładnie, jak pod mikroskopem.

Nie lubił spędzać czasu z ludźmi. Nie odwiedzał zjazdów absolwentów, nie grał w golfa, nie chodził pić. Jego życie towarzyskie sprowadzało się do jednego dnia w miesiącu, kiedy podejmował się pracy charytatywnej razem z innymi lekarzami z jego budynku. W wolnym czasie oddawał się jedynej prawdziwej pasji: budował skomplikowane konstrukcje w swoim warsztacie w piwnicy. Każdej wiosny ścinał okazały cyprys i rozpoczynał nowy projekt. Ciął drzewo na odpowiednie kawałki, zdierał korę, suszył je w zacienionym miejscu, po czym ciął na drobne fragmenty wielkości wykałaczki. Ten ostatni krok był jedynym, który robiła za niego maszyna. Kiedy miał już wszystko, co było mu potrzebne: plansze, narzędzia, kleje i żywice, mógł tworzyć wyimaginowane światy. Las, studnia, chatka, kościół, mostek – wszystko razem tworzyło magiczną wioskę albo zamek. To było jego hobby, odkąd tylko sięgał pamięcią. Wymagało od niego zmysłu plastycznego i cierpliwości, czasu i skupienia. W każdą Wigilię odślaniał swoje nowe dzieło, a zdumienie malujące się na twarzach żony i córki wynagradzało tysiącrotnie cały wysiłek. Czuł satysfakcję za każdym razem, kiedy spoglądał na swoje dzieło wystawione na pokaz w salonie obok ich rodzinnego zdjęcia. Następnej wiosny, gdy zaczynał pracę nad nowym projektem, stary trafiał do magazynu.

Przed trzema laty zbudował kopułę, coś na kształt igloo. Wewnątrz niej umieścił całe miasto – domy, ulice, parki. Na jednej z ławek posadził rodzinę: męża trzymającego synka, a obok żonę i córkę. Ich twarze wykonał naprawdę drobiazgowo, żeby były jak najbardziej naturalne, na koniec je pomalował. Na latarni ulicznej umocował małą żarówkę, żeby dodatkowo oświetlić postaci, z migających światełek ułożył cały gwiazdozbiór na sklepieniu kopuły. To było jego najdoskonalsze dzieło, przedstawienie rodziny marzeń.

W noc poprzedzającą odsłonięcie był tak podekscytowany, że nie mógł zasnąć. Entuzjazm jego rodziny zaczął z biegiem czasu przygasać. Dla kogoś postronnego ich reakcje były żywe i szczerze, ale jego intuicji nie mogły oszukać – widział różnicę między udawaniem a prawdziwym zachwytem. Był pewien, że tym razem Hayong i Seryong będą szczerze go chwalić. Serce biło mu szybciej, kiedy to sobie wyobrażał, ale gdy z dumą pokazał im nowy model, one zareagowały mało entuzjastycznie. Aplauz Seryong był umiarkowany, a uśmiech Hayong sztuczny, jej oczy wcale się nie cieszyły. Kiedy zapytał ją o opinię, odpowiedziała, że oczywiście jej się podoba – ale równie dobrze mogłaby powiedzieć, że wcale nie.

Następnego ranka Yongje zabrał kopułę z domu. Przykrył ją płachtą i schował w magazynie. Zniósł olchowe gałązki, które miały służyć jako różgi.

Minęła zima i przyszła wiosna. Pierwszego kwietniowego poranka, kiedy przyjemnie świeciło słońce, Yongje wszedł do magazynu zamkniętego wcześniej przez całą zimę. Nadszedł czas, by rozpocząć kolejny projekt, zapomnieć o przykrym świątecznym incydencie i zatracić się w tworzeniu nowego świata. Pogwizdując, chwycił drabinę. Odsunął od ściany mały wózek stojący w magazynie i z pudła na narzędzie wyjął toporek. Wtedy właśnie usłyszał coś nietypowego – jakby łkanie albo miauczenie. Zamarł. Dźwięki dochodziły z wnętrza kopuły.

Podszedł ostrożnie i jednym szybkim ruchem ściągnął płachtę. W środku siedziała kotka podobna z umaszczenia do rysia. Podniosła ogon i wygięła grzbiet, sycząc ostrzegawczo. Za nią zauważył trzy kocięta. Wejście do kopuły było zniszczone, ściany powykrzywiane, jedna strona stropu się zapadła. Miasto było już nie



do poznania, laleczki, które tworzyły rodzinę na ławce, poniewierały się pod kocimi łapami.

Ogarnęła go wściekłość. To było niewybaczalne. Cokolwiek, co ważyło się tknąć jego pracę, należało odpowiednio ukarać. Chwył kotkę za kark, jej pazury poszarpały rękaw jego koszuli i wbiły się w ramię, które zaczęło palić bólem. Puścił. Z zadrapań płynęła krew. Kotka szykowała się do kolejnego ataku, odstawiała kły i syczała.

Widok jego własnej krwi rozbudził w nim ducha walki. Trzymając w ręku toporek, odrzucił za siebie dach ukochanej kopuły. Kotka skoczyła na tylnych łapach w kierunku jego klatki piersiowej. Toporek świsnął w powietrzu, kotka upadła na ziemię ze zmasakrowanym łbem. Rozejrzał się w poszukiwaniu kociąt, ale one w tym czasie uciekły. Chwyciwszy martwą kotkę za ogon, odwrócił się w kierunku drzwi i zobaczył Hayong i Seryong. Stały tam, patrzyły na niego, a ich twarze były blade. Nie odrywały oczu od zabitego zwierzęcia. Podeszedł do przodu, a one lekko się odsunęły, jakby trzymał tam martwego człowieka, a nie głupiego kota. Wyrzucił truchło na podwórze.

– Zadzwoń po Yima – rozkazał żonie.

Hayong nic nie powiedziała, w ogóle nie zareagowała. Stała tam tylko razem z Seryong i gapiała się na niego. Wydawało mu się, iż już ją nauczył, że nie wolno jej patrzeć na niego z obrzydzeniem, że zawsze ma odpowiadać „tak”, kiedy każe jej coś zrobić, że zawsze ma wykonywać polecenia w ciągu kilku sekund. W jego głowie tykał zegar. Cztery, trzy, dwa...

Tym razem miały szczęście, bo prędko zjawił się Yim, konserwator terenu, jakby wezwany telepatycznie. Gdyby nie on, te dwie musiałyby wykopać dół tymi swoimi ślicznymi rączkami.

Kiedy Yongje został sam, przeczesał magazyn w poszukiwaniu kociąt. Znalazł dwa i zakopał je żywcem razem z matką w dole, który przygotował wcześniej Yim. Ostatniego kociaka nie mógł znaleźć, tamten miał dzisiaj szczęście, jak jego żona i córka.

Przez resztę dnia w domu było cicho. Yongje płonął żywym ogniem. Te dwie nigdy nie kiwnęły nawet palcem, żeby w domu panowały spokój i szczęście, choć dla niego było to takie ważne. Tamtego wieczoru jakby się zmówiły, żeby go doprowadzić do wściekłości. Seryong wzdychała za każdym razem, kiedy napotkała

jego spojrzenie. Jeśli się mijali, trzęsła się i robiła krok w tył. W nocy Hayong go sprowokowała. Miała czekać na niego w łóżku, a znalazł ją w gabinecie, jak rozmawiała przez telefon. Brzmiała bardzo pozytywnie i żywo, kiedy mówiła do słuchawki: „Spróbuję”. Do niego nie odzywała się tak optymistycznie już od lat.

– Co spróbujesz? – zapytał Yongje, cicho stojąc w drzwiach. Widział, jak żona sztywnieje.

– Nic takiego. – Rozłączyła się i odwróciła twarzą do niego.

Czuł, jak krew napływa mu do głowy. To brzmiało zupełnie jak: „Nie musisz wiedzieć”. Należało poprawić jej maniery. Był gotowy okazać jej surowość, nauczyć ją, jak nie należy się zwracać do męża. Poprawi ją w taki sposób, jaki będzie zrozumiały nawet dla tak głupiej kobiety.

– Co ty powiedziałaś?

– Nic.

Widział w jej oczach, że zorientowała się, co zaraz nastąpi.

Było oczywiście za późno. Stał już przed nią, uderzył ją pięścią w policzek. Tak mocno, że upadła na biurko, walnęła w nie brzuchem i osunęła się na podłogę.

– Powtórz to!

– Dziewczyny z grupy prosiły... żeby pokazać, jak się piecze szarlotkę...

Podniósł ją za włosy i rzucił nią znowu o biurko. Jak śmiała kłamać? Wziął jej komórkę i przejrzał historię połączeń. Numer zastrzeżony.

– Kto to jest?

Zacisnęła usta, jej oczy zrobiły się puste. Cisza i puste oczy to był jej sposób, żeby uciec przed jego kontrolą. Doprowadzała go tym do szału. Tylko jedno można było zrobić – musiał sobie trochę ulżyć, bijąc ją, ale lekko, a potem sięgał po różgę. Rozbieranie jej do naga i chłostanie nie powodowało wewnętrznych obrażeń, które wymagały interwencji lekarza. Mimo to bolało i upokarzało ją na tyle, żeby otworzyć tę jej upartą gębę i wyrzucić słowa, o które mu chodziło: „Proszę, wybacz mi”. Na tym etapie nigdy jej nie wybaczał, to oczywiste. Ostatnim krokiem był seks. W ten sposób wtłaczał w nią uległość.

Wszystko jak dotąd szło normalnym trybem, jednak tym razem, zamiast błagać męża o wybaczenie, Hayong trzymała się za brzuch i jęczała z bólu. Z początku myślał, że to tylko kolejny trik, aby uniknąć odpowiedzialności. Kiedy jednak zobaczył krew płynącą jej z krocza, zorientował się, że nie udaje. Nie miał wyjścia, musiał zabrać ją do szpitala.

Okazało się, że był to jedenasty tydzień ciąży. Lekarz zapytał, czy wiedziała. Odpowiedziała, że nie, myślała tylko, że ma nieregularny okres. Zdumienie malujące się na jej twarzy sugerowało, że mówi prawdę. Yongje zapytał, czy to był chłopiec, ale lekarz odpowiedział tylko, że na tak wczesnym etapie nie można tego jednoznacznie stwierdzić.

Zawieźli Hayong na salę operacyjną, a Yongje siedział na krześle pod drzwiami i czekał pogrążony w myślach. Był w takim samym szoku jak ona, albo nawet bardziej. W jego życiu brakowało tylko jednego: syna. Próbował uzupełnić brakujący fragment przez dziewięć lat, ale Hayong nie zachodziła w ciążę, ani razu im się nie udało. Robili badania, lecz nic nie wykazywały, żadne z nich nie było bezpłodne. Lekarze mówili, że powinni trochę odpuścić i być cierpliwi. Yongje zdążył się jednak poddać. Na myśl o tym, co działo się w sali operacyjnej, przeszywały go dreszcze. Miał wrażenie, że ktoś tnie całe jego ciało na kawałki. Był przekonany, że właśnie traci syna.

Gdy już przywiózł Hayong do domu, wytłumaczył jej dokładnie, jak jej lekkomyślność i słabe zaangażowanie zabiły mu syna. Wyjaśnił, jakiego szoku doznał po operacji, jak poczuł się oszukany, podczas gdy ona spokojnie sobie spała. To najwyraźniej był punkt zwrotny dla Hayong, bo ta „rozmowa” była pierwszą, którą nagrała i przekazała do sądu.

Zastanawiało go to, bo kobieta, którą znał, nie była bystra ani skrupulatna. Nie miała na tyle silnego charakteru, żeby wykorzystać córkę przeciwko niemu w sądzie. Wiedziała, co stanie się z Seryong, jeśli ona od niego odejdzie. Hayong nagle okazała się działać zupełnie dla niego niezrozumiale. Zakończyła oświadczenie przesłane do sądu następującymi słowami: „Tkwiłam w tym koszmarze przez dwanaście lat, bojąc się, że mój mąż zabije mnie i córkę, jeśli kiedykolwiek wspomnę o rozwodzie lub zdecyduję się

uciec z dzieckiem. Teraz zdaję sobie sprawę, że tak naprawdę najgorszy los czeka mnie właśnie, jeśli nie zakończę tego małżeństwa”. Co ją odwiodło od posłuszeństwa i popchnęło do buntu? Kto za tym stał?

To musiał być jej ojciec. Prawnik jednak zabronił Yongje robić cokolwiek, nie mógł więc go przekonać, żeby się nie wtrącał w nie swoje sprawy. A miał pewność, że to właśnie on był w to zaangażowany. Teraz już nie musiał się powstrzymywać. Było po procesie, prawnik został odprawiony.

Yongje wyjechał z hotelu i udał się prosto do Yongin. Ulica ze sklepami elektronicznymi opustoszała, w warsztacie jego teścia nie było żadnego ruchu. Gdy Yongje wszedł do środka, starszy mężczyzna ostrożnie odłożył słuchawkę telefonu.

– Gdzie jest Hayong? – zapytał Yongje.

Teść, nie odzywając się, wstał z krzesła i przetarł szmatką ekran telewizora.

– Nie mam z nią kontaktu – odpowiedział.

– Mieliście dla siebie cztery miesiące. Spodziewałem się, że przemówisz jej do rozsądku i odeślesz ją do domu. Właśnie się dowiedziałem, że to ty uknułeś ten cały misterny plan.

Do warsztatu wszedł klient z odkurzaczem.

– Powiedz jej, że ma tydzień. Jeśli do tego czasu nie wróci, nie zobaczy już Seryong.

Jego teść tylko na niego patrzył.

– Wyrok sądu nic dla mnie nie znaczy – ciągnął Yongje. – Hayong będzie wiedziała, co mam na myśli.

Yongje jechał do domu. Nie zamierzał się odwoływać – zamiast wydawać pieniądze na kolejnego prawnika, da jeszcze jedną szansę firmie Wsparcie. Każe im przeczesać cały kraj i przyprowadzić ją do domu, ale tak, żeby nawet włos jej z głowy nie spadł. Nikt inny nie mógł jej tknąć, ona należała do niego. Miała wrócić tam, gdzie jej miejsce, i to właśnie tam zostanie jej wymierzona kara. Najpierw jednak planował rozprawić się z małą zdrajczynią pod własnym dachem, zanim mu ją zabiorą.

Dojechał do domu w strugach deszczu, złożył parasol i wchodził powoli po schodach do budynku. W mieszkaniu znalazł jeden z butów Seryong leżący w wejściu do salonu. Zdjęła je i cisnęła byle

gdzie, rozwydrzona smarkuła. Zauważył brud na podłodze, ślady jej dłoni na lustrze nad szafką na buty i worek na kapcie rzucony niedbale razem z plecakiem na podłogę przy drzwiach. Słyszał muzykę z jej pokoju. Oparł parasol o ścianę, włączył światło w salonie i dostrzegł pustą tablicę, na którą poprzedniego dnia rano nakleił jedenaście karteczek z ważnymi informacjami. Nie spadły na podłogę, sprzątaczką też ich nie zerwała, zbyt dobrze znała jego nawyki. To była Seryong. To ona zawsze stwarzała problemy.

Znalazł karteczki na zdjęciu rodzinnym nad sofą, przyklejane do jego twarzy. Pierwsza była na środku jego czoła: „Jadę do Seulu na konferencję. Wracam jutro po południu”. Drugą miał na lewym oku: „Wszystko ma być na miejscu, jak wrócę”. Trzecią przykleiła na prawym oku: „Przestrzegaj zasad”. Kolejnych osiem zwisało z jego ust jak długi jęzor: „Nie nanieś brudu”, „Nie dotykaj palcami lustra”, „Odbieraj telefon przed trzecim dzwonkiem”, „Nie ubieraj się w rzeczy matki”. Wyglądał z tymi wszystkimi karteczkami idiotycznie. Seryong drwiła sobie z niego. Tętno mu przyspieszyło, zaczęło mu pulsować w uszach. Podstępna żona i niewdzięczna córka.

Zerwał karteczki i przeszedł do sypialni. Okazało się, że Seryong zrobiła wszystko to, czego jej zabronił – puder Hayong był wszędzie na jej toalecie, dokoła porzucane próbki balsamów, szminki i tusze do rzęs. Otworzył szafę żony, wyglądała jak po wizycie złodziei. Yongje odłożył kluczyki do samochodu i portfel na komodę i odwiesił garnitur do szafy, po czym podwinął rękawy koszuli i poszedł w kierunku pokoju Seryong. Otworzył drzwi i zobaczył widok, jakiego chyba jeszcze nigdy w tym domu nie uświadczył.

Na podłodze wałała się para krótkich spodenek, koszulka wykręcona na lewą stronę, pozwijane skarpetki, resztki petard, skrawki papieru i balony. Na jej biurku paliły się trzy małe świece, a jej pluszaki siedziały obok w kapelusikach imprezowych na głowach. Model diabelskiego młyna, który Hayong kiedyś jej kupiła, obracał się powoli i wygrywał melodyjkę. Yongje myślał, że już dawno go wyrzucił. Przez na wpół otwarte okno wpadał do pokoju deszcz i gasił spiralę na komary na parapecie.

Seryong spała. Włosy miała rozpuszczone, na twarzy krzykliwy makijaż, ubrana była w jedną z białych bluzek matki, która wyglądała

na niej jak sukienka. Ledwo zakrywała bieliznę. Jego córka wyglądała jak młodociana prostytutka z filmu *Taksówkarz*.

Yongje wziął głęboki oddech. Wypełniał go gorący, dziki gniew, który palił jego wnętrzności jak kieliszek wódki wypity na czczo. Pochylił się do jej ucha.

– Seryong – powiedział.

Nie było żadnej reakcji. Jej oczy poruszały się powoli za zamkniętymi powiekami, na granicy między jawą i snem. Wyciągnął rękę i poszturczał ją w szyję kciukiem. Jej skóra była miękka i delikatna w dotyku.

– Otwórz oczy.

Oczy Seryong zatrzymały się pod powiekami.

– Tata wrócił – mówił do niej dalej.

Widział, jak jej powieki zaczynają się trząść. Zaczęła ciężiej oddychać, mięśnie jej twarzy zesztyniały. Ale nie otworzyła oczu.

– Och, Seryong – powiedział i przycisnął kciuk do jej szyi. To było ostrzeżenie, po którym musiała na niego spojrzeć.

Rozchyliła powieki. Zaczęła nerwowo szukać wzrokiem jego twarzy, badając, czy spotka ją teraz kara.

– Wszystkiego najlepszego, skarbie. – Pociągnął ją za szyję, żeby usiadła.

Potem mogła tylko patrzeć, jak jego pięść ląduje na jej twarzy. Kiedy przestał uderzać, leżała znieruchomiła na łóżku. Złapał ją za włosy i siłą posadził, po czym pociągnął, żeby na niego spojrzała. Krew ciekła jej z nosa po brodzie. Usta miała uparcie zamknięte, mimo że jęczała z bólu.

– Widzę, że świetnie się bawiłaś. – Rzucił w nią karteczkami.

Potrząsnęła głową.

– Zrobiłaś sobie niezłe przyjęcie. – Uderzył jej twarzą o ścianę, po czym upadła na łóżko. Coś, co wyglądało jak ziarna granatu, wypadło jej z ust. Pomyślał, że to jej przednie zęby, i włączył światło, ale nie mógł ich znaleźć. I tak nie było już z nich pożytku. Zgasił świeczki palcami i wyłączył pozytywkę. Młyńskie koło dobrze leżało w dłoni, miało idealny rozmiar.

Seryong przesunęła się na pupie bliżej biurka, potrząsała głową, próbowała się uśmiechać. Zupełnie jakby go błagała: „Proszę, tatusiu, nie”. Zamachnął się na nią diabelskim młynem, który

zadrapał jej policzek i rozbił się na kawałki, gdy zahaczył o rant biurka i upadł na podłogę. Seryong, wciąż z wymuszonym uśmiechem, zeszywniała. Łza popłynęła jej po policzku, a spód bluzki, którą miała na sobie, zabarwił się na żółto.

– Czy nie mówiłem ci, żebyś nie ruszała rzeczy matki?

Jedna z jej powiek się zatrzęsała. Yongje zastanawiał się, czy zdawała sobie sprawę, że zabawka ją ledwo drasnęła, bo on tak chciał, a nie dlatego, że chybił.

– Wstawaj! Trzeba ci wytłumaczyć, co zrobiłaś źle. – Wyciągnął ze spodni czarny skórzany pasek.

Seryong powoli wstała, podpierając się o ścianę.

– Rozbieraj się! – powiedział, po czym usłyszał hałas od strony okna i spojrzał.

Na parapecie siedział kot i gapił się na niego. Tylne łapy miał zgięte, szykował się do skoku, jego futro było najeżone. Był niemal wielkości rysia, przypominał kotkę, którą Yongje kiedyś zabił. Czy to mógł być ten jeden, którego wtedy nie znalazł?

W tej krótkiej chwili Seryong sięgnęła po świece. Zanim zrozumiał, co ona robi, jedna z nich poleciała w jego stronę. Zamachnął się, żeby ją odtrącić, ale było za późno – trafiła go w czoło, a gorący wosk trysnął mu w oczy. Druga świeczka uderzyła go w nos, szkło roztrzaskało się na podłodze. Chwycił się za twarz, krzycząc, próbując zetrzeć wosk z twarzy, oczu i nosa.

Kiedy znowu mógł normalnie spojrzeć, nie było już w pokoju ani Seryong, ani kota. Złapał ręcznik z łazienki i wytarł twarz. Była poparzona, bolała.

Yongje nie był mężczyzną, który się spieszył, zawsze poruszał się powoli i dostojnie. Ale to nie był odpowiedni czas na elegancję. Pobiegł ciężko do kuchni, rzucił się do zamrażarki i wyciągnął porcję lodu, którą trzęsącymi się rękami włożył do plastikowego woreczka. Przycisnął pakunek do twarzy i poszedł do sypialni po kluczyki.

Wyskoczył z mieszkania i wciąż trzymając lód przy twarzy, wycofał samochodem w dół podjazdu. Kiedy znalazł się już na ulicy, obrócił auto i popędził do głównego wejścia do arboretum. Tylko tam mogła pobiec, a tylne wejście będzie zamknięte.

Szlaban głównego wejścia się podniósł, kiedy do niego podjechał. W jego żyłach płynęła esencja wściekłości, która

wypierała jakiegokolwiek resztki racjonalnej myśli – tego, co oddziela ludzi od bestii.

Mrużył oczy, polował na Seryong, jakby była zwierzyną łowną, jego zmysły się wyostrzyły, żeby szukać jakichkolwiek śladów. Jak on ją za to ukarze? Jego tętno było jak grzmoty. Jechał przed siebie, przeczesując wzrokiem okolicę. Brama do szkoły była zamknięta, w przychodni panowała ciemność, kilka sklepów, które stały wzdłuż ulicy, też było nieczynnych. Musieli zamknąć wcześniej z powodu uroczystości nad jeziorem. Świeciło się tylko na stacji benzynowej i komisariacie. Widział przez szerokie szklane drzwi, że nie było tam nikogo, tylko stary policjant drzemał z nogami na biurku. Zbierała się mgła, ale do tego był akurat przyzwyczajony. To nie z jej powodu nie widział nigdzie swojej córki. Ona po prostu zapadła się pod ziemię.

Okrażył wioskę, wszędzie było dziwnie cicho. Pewnie z powodu wiejskiej pogody uroczystości skończyły się wcześniej.

Skierował się w stronę zapory i zadzwonił do Yima, który akurat pił na tarasie przy autostradzie. Zapytał, czy Seryong mignęła mu gdzieś w okolicy, ale Yim nigdzie jej nie widział.

Yongje kazał mu zamknąć główne wejście do arboretum, przeszukać z ochroną teren i zadzwonić, jak tylko ją znajdą, a sam pojechał do biura ochrony zapory. Strażnik, który akurat był na służbie, wyjrzał przez okienko. Yongje kilka razy już się z nim widział przed domem. Jak on się nazywał? Park?

- Pojawiła się tu może moja córka?
- W środku nocy? – zapytał zaskoczony Park.
- Widziałeś ją czy nie?
- Nie.

Yongje spojrział w kierunku oświetlonego przez latarnie mostku dla obsługi zapory, ale nic innego tam nie widział. Mgła gęstniała i utrudniała widoczność.

- Mogę tam pójść? – zapytał ochroniarza.
- Żadne dziecko nie poszłoby tam w środku nocy.
- Słuchaj – zaczął Yongje, sapiąc. – Zdejmij łańcuch z wjazdu, żebym mógł się rozejrzeć.
- Nie mogę – usprawiedliwiał się Park, kręcąc głową. – Nie wolno mi schodzić ze stanowiska.



Yongje nie był zadowolony z postawy tego faceta. Już prawie przypomniał mu, do kogo należy budynek, w którym Park mógł mieszkać, ale powstrzymał się i zamiast tego podszedł do mostku. Nikogo tam nie było.

Zadzwoił znowu do Yima, który wciąż nic nie wiedział. Zostało już tylko jedno miejsce: droga nad brzegiem jeziora.

Nawet przy włączonych światłach nie widział dalej niż na kilka metrów. Na drodze mgła była jeszcze gęstsza, do tego cały czas padało. Dojrzał coś białawego przy wjeździe na farmę – nie kształt, lecz ruch. Ale kiedy tam podjechał, niczego nie znalazł. Potarł czoło lodowym pakunkiem, skóra zaczynała już powoli schodzić. Czy na pewno widział tu ruch? A może zmyliła go mgła? Człowiek nie może tak po prostu zniknąć. Gdzie ona się podziała?

Wziął latarkę i pobiegł w stronę starego domu na farmie. Dokoła panowała całkowita cisza. Dach budynku był wykrzywiony, nie weszłaby do środka. Podszedł do starej stodoły i otworzył drzwi. Uderzył go odór zgnilizny i chmara komarów. Tam też jej nie było.

Wrócił do samochodu i pojechał z powrotem do przystani. Zatrzymał samochód przy metalowej furtce i chwycił latarkę. To było już ostatnie możliwe miejsce. Kopnął furtkę, była zamknięta. Pod nią zauważył szczelinę na tyle dużą, żeby Seryong mogła się przez nią przeczołgać. Poświecił latarką przez płot i zbadał okolicę. Rosły tam krzaki, brzeg ciągnął się aż do samej zapory, prawdopodobnie był to dobry kilometr. Musiałby zagonić całą wioskę, żeby przeszukać taki odcinek.

– Córeczko, wiem, że tam jesteś!

Żadnej odpowiedzi, tak jak przypuszczał.

– Wiem, że się schowałaś, ale możesz wyjść. Tata już się nie złości. – Ogromnym wysiłkiem zdobył się na ciepły, delikatny głos. – Tata miał dzisiaj po prostu zły dzień.

Od strony jeziora zerwała się wilgotna bryza, szeleszcząc zaroślami. Yongje stał przy płocie i skrupulatnie przeczesywał brzeg światłem latarki.

– I wtedy tata przyjechał do domu i nic nie było na swoim miejscu. Tata chciał tylko odpocząć po całym dniu, wiesz? – Yongje aż kipiał ze złości. Co on właściwie robił? Stał w deszczu, mókł

i wołał słodkim głosem. W końcu wyrzucił z siebie to, co naprawdę myślał: – A ty jeszcze wszystko pogorszyłaś, mała dziwko!

Chwycił latarkę w zęby, złapał obiema rękami za płot i wsadził czubek buta w wolną przestrzeń, żeby się łatwiej podciągnąć. Po chwili jednak oprzytomniał. Nie było sensu wspinać się przez drut kolczasty u szczytu płotu, tym bardziej że tutaj raczej jej nie znajdzie. Która jedenastolatka chowałaby się nad ciemnym jeziorem w środku nocy? Wiedział, że jego córka nie jest taka odważna. Była pewnie gdzieś w arboretum. Potarł rękami o spodnie.

– Seryong, liczę do trzech. Wyjdź, to zapomnimy o całej sprawie! Jeden... dwa...

Nic.

– W porządku, zobaczymy, jak długo tu wytrzymasz. – Obrócił się i odszedł.

Yim i ochroniarz nazwiskiem Gwak niczego nie znaleźli, mimo że przeszukali całą okolicę. „To pewnie Hayong ją nauczyła, jak się chować”, myślał Yongje gorzko, wracając w stronę zabudowań. Miał zamiar jeszcze raz przejść tę samą drogę, analizując, gdzie popełnił błąd, co przeoczył. Ale kiedy był już na miejscu, zauważył światło w salonie mieszkania 102. To tam była! Nie mógł uwierzyć, że wcześniej o tym nie pomyślał. Jasne, że szukałaby pomocy u kogoś, kto już raz okazał się dla niej miły. Podeszedł do drzwi budynku i nacisnął dzwonek. Nie było odpowiedzi. Zadzwoił jeszcze raz i jeszcze. Cały czas nie było reakcji. Podeszedł pod okna budynku i nasłuchiwał. Dochodziły do niego delikatne dźwięki telewizora. Czy oni się tam chowali, wypatrując go? Czy tamten kretyń jej teraz dotykał? Jeśli tak, pogrzebie tego zboczeńca żywcem. Jeżeli ukrywał Seryong przed ojcem, upewni się, żeby spędził dziesięć lat za kratkami za porwanie.

Yongje okrążył budynek. Okno sypialni było przymknięte, ale nie zamknięte, w środku było ciemno. Popchnął je, żeby je otworzyć, i wskoczył na parapet. Pokój był pusty, drzwi sypialni nie domknęto, wpuszczały odrobinę światła z salonu. Yongje zdjął buty i zostawił je na parapecie, po czym wszedł dalej.

Na biurku obok pustej puszkę po piwie stał laptop, przy nim szklana butelka z niedopałkami, notes, długopis i komórka. Telewizor trajkotał cały czas w salonie. Przeszukał główną sypialnię, balkon,

piwnicę, nawet szafy. Nikogo nie znalazł, chociaż wyglądało na to, że jeszcze przed chwilą ktoś tu był. Ten kretyn pewnie zawiózł ją do przychodni. Tym razem nie będzie już dzwonił na policję, tylko przywiezie ją prosto tutaj.

Wyjął garść chusteczek z pudełka na stole kuchennym, wytarł ślady, które zostawił w całym mieszkaniu, i wyszedł przez okno sypialni.

W domu zamknął okno w pokoju Seryong i wyłączył wszystkie światła, po czym przyniósł sobie krzesło do salonu. Będzie na nich czekał na swoich warunkach.

Hyonsu raz po raz pocierał ręką oczy. Cały czas padało i otwieranie okna w matizie nie wchodziło w grę, a brakowało mu świeżego powietrza i robił się śpiący. Manipulowanie klimatyzacją też nie pomagało. Odpływał myślami. Jechał sto dwadzieścia kilometrów na godzinę, ale miał wrażenie, że przebija się przez gęstą smołę albo leci balonem. Napisy na znakach, które mijał, wydawały mu się abstrakcyjnymi symbolami.

Dlatego właśnie przegapił zjazd na Seryong. Zanim udało mu się zawrócić na autostradzie i znaleźć się ponownie przy zjeździe, minęła godzina. Dzwonił do Sunghwana, ale tamten nie odbierał ani komórki, ani stacjonarnego. Jeśli nie było go w domu, jaki sens w ogóle tam jechać? A może tak było nawet lepiej? Nie musiałby poruszać niezręcznych kwestii z człowiekiem, który wkrótce miał być jego podwładnym, a Eunju mógłby powiedzieć, że zrobił dokładnie to, o co prosiła. Powiedziała by jej, że pojechał, ale dotarł na miejsce później, niż zakładał, Sunghwana już nie było i tylko wysłał mu kod do drzwi esemesem.

Wsunął komórkę z powrotem do kieszeni i zapiął guzik, jak zawsze. Musiał być teraz na uliczce handlowej. Było już jednak późno i kilka sklepów, które mijał, się pozamykało. Puste ulice pochłaniała mgła, zacierając kontury. Nigdy wcześniej nie widział czegoś takiego – ta mgła była niczym żywy organizm. Myślał już, że znowu przegapił właściwy skręt, kiedy dostrzegł znak, którego szukał.

Skręcił w prawo i jechał dalej przed siebie drogą, która zaczęła się wznosić. Mgła spływała z czarnego nieba jak lawina. Widoczność

jeszcze się pogorszyła. Latarnie przy drodze w tych warunkach nie spełniały już swojej funkcji. Szukał wjazdu oczami ciężkimi od alkoholu. Rozpoczęło się strome podejście. Droga zrobiła się nagle ciemniejsza i węższa, musiał wziąć ostry zakręt, niemal o sto osiemdziesiąt stopni, ale nie zwalniał. Samochód ledwo wyrobił, zakołysał się, próbując sobie poradzić z siłą odśrodkową. Zaraz potem pojawił się kolejny zakręt. Hyonsu nacisnął hamulec i szarpnął kierownicą. Kiedy spostrzegł, że z mgły wyłania się jakiś biały obiekt, było już za późno. Usłyszał tylko pisk opon swojego samochodu. Wzrok miał dobry, oczy przyzwyczajone przez lata grania w baseball do śledzenia szybko poruszających się obiektów – nie było dla niego innej możliwości, jak tylko widzieć dokładnie każdą sekundę tego, co się rozegrało na drodze.

Biały obiekt uderzył w przód samochodu, osunął się na asfalt i upadł, wydając głuchy dźwięk.

Hyonsu pomyślał, że albo usłyszał krótki krzyk, albo to on sam krzyknął. Głowa odskoczyła mu w tył, potem od razu w przód, wiedziona siłą bezwładności, pas bezpieczeństwa ścisnął go w żebra. Serce podskoczyło mu do gardła, wszystko przed jego oczami nagle się zatarło. Jego ciało potrzebowało chwili, żeby odnaleźć się w sytuacji, a żeby podnieść głowę, musiał poczekać jeszcze dłużej.

Nie ruszał się, ręce miał wciąż zaciśnięte na kierownicy. Nie patrzył na białe ciało leżące nieopodal matyza, oświetlone reflektorem samochodu. Wzrok utkwiał w drogę przed sobą, ale jego umysł odtwarzał coś, co się odbyło sześć lat wcześniej, tego dnia, kiedy uświadomił sobie, że nic w życiu nie pójdzie już tak, jak zaplanował.

Stadion Jamil, dziewiąta runda, pałkarz na pierwszej bazie. Fightersi remisują. Na boisku jest już rezerwowany zawodnik, wysłany wcześniej przez trenera. Przed końcem ostatniej rundy trener zarządził podmianę łapacza i miotacza. Z głośników rozległa się zapowiedź: „Zmiany u Fightersów, nowy miotacz, Lee Sangchol, nowy łapacz, Choi Hyonsu”. Ogarniały go podekscytowanie i trema, kiedy wychodził na boisko. Spojrzał w tłum stojący za linią pierwszej bazy, gdy zajmował pozycję. To był pierwszy raz w tym sezonie, kiedy Eunju przyszła go zobaczyć w grze. Przyproceedziła ze sobą

pięcioletniego Sowona. Chłopiec stał obok matki i krzyczał. Zapierający dech w piersiach głos przeleciał przez tłum i przeszył mu uszy.

„Tata!”

Był taki czas, gdy Hyonsu był gwiazdą. Słyszał, że ma zadatki na łapacza wszech czasów. Jako zalety wymieniano jego naturalną siłę i umiejętność przewidywania zachowań przeciwników. Jako wady wskazywano brak odwagi i niestabilność obrony. Mówiono, że jeśli poprawi swoje mocne strony i pokona słabości, stanie się niezrównany. A przynajmniej słyszał to jeszcze w koledżu. Kiedy zaczął zajmować się grą profesjonalnie, coś się popsuło, popełniał błędy w kluczowych chwilach meczu.

Chodziło głównie o jego lewe ramię. Czasami dostawał w nim drgawek, nagłych i ograniczonych tylko do tego miejsca ataków konwulsji. Zaczęło się w liceum, a w wojsku jeszcze się pogorszyło i zdarzało regularnie. Na boisku oznaczało to, że przepuszczał piłkę i nic nie mógł na to poradzić, musiał poczekać, aż atak przejdzie. Nikt nie rozumiał, co się z nim dzieje. To była jego tajemnica, której się w dodatku wstydził i która go przerażała. Ortopeda był bezradny, dopiero psychiatra odkrył, że to symptom psychicznej presji. Doradził mu unikanie stresu, co oznaczało ni mniej, ni więcej, tylko pożegnanie się z grą. Nie chciał tego robić. Chciał odnosić sukcesy, już nie tylko dla siebie, ale też dla syna. Chciał, żeby Sowon zobaczył, jak jego tata zdobywa sławę, wykonując *home run* w finałowych rozgrywkach. Chciał, żeby Sowona rozpieęła duma z bycia synem takiego ojca. Ale miotacze mu nie ufali, gracze na boisku sztywnieli, kiedy widzieli, że włącza się do gry. Nie angażowano go do najważniejszych rozgrywek, mimo że dawał z siebie wszystko. Tkwił w okolicach ligi amatorskiej ze wszystkimi tego skutkami: pustymi trybunami, marną gażą i strachem przed niekorzystnym transferem lub nawet wydalaniem.

Dopiero niedawno pozwolili mu wykazać się w prawdziwym meczu i oto stał tutaj. Dostał szansę na spełnienie marzeń. Musiał się skupić. Pierwszy pałkarz szykował się do zagrania. Hyonsu zasygnalizował miotaczowi, żeby tamten wykonał *inside slider*. Piłka otarła się o kask pałkarza i uderzyła w ziemię za bazą domową. Zawodnik znalazł się na pierwszej bazie. Następny pojawił się na

miejscu. Ze stanowiska trenera przyszedł znak, żeby utrzymać rozgrywkę na polu wewnętrznym. Hyonsu zasygnalizował piłkę podkręconą, ale Lee był najwyraźniej nie w formie, ewidentnie nie docierały do niego żadne znaki. Czwarta piłka, poprzedni pałkarze przeszli na kolejne bazy. Trzeci pałkarz pojawił się na stanowisku, czubkiem buta kopał ziemię przed sobą. Hyonsu obserwował go bacznie kątem oka. Znał tego zawodnika, wiedział, jakie lubi zagrania. Trener dał sygnał, żeby wykonać *strikeout*, jako następny miał się pojawić główny pałkarz. Problem w tym, że Lee niczego nie dostrzegał, robił wszystko, tylko nie to, co trzeba. Pierwszy rzut na oucie, drugi trafił w ziemię. Serce telepało Hyonsu w piersi, kiedy blokował piłkę. Robiło się coraz gorzej. Musiał podejść do Lee i uspokoić go.

Zakomunikował mu, żeby wykonał swój popisowy rzut, gdzie piłka leci prosto, a potem upada przed bazą. Piłka nadleciała nisko, z trzaskiem odrzuciło ją w kierunku środka boiska, dzięki czemu gracz na drugiej bazie mógł podbiec na trzecią i szykować się na zdobycie bazy domowej, której bronił Hyonsu. Gracz z boiska odrzucił do niego piłkę. Zawodnik przeciwników ślizgiem rzucił się na bazę, jedną nogę wyrzucając za siebie w powietrze. Wszystko zrobiło się czarne, jego ręka zakłuła nagłym bólem. Hyonsu skulił się na ziemi, złapana piłka wytoczyła mu się z rękawicy. Nic nie mógł na to poradzić, nie mógł teraz poruszyć ręką, czuł, jakby rozgrzany metalowy hak wbijał się w jego mięśnie. Na widowni zapadła nagła cisza.

Rok później Hyonsu nadal żył tą chwilą. Nie opuszczały go myśli o tej jednej sekundzie, która zdawała się trwać wieczność, ani o brutalnej ciszy na widowni, podczas gdy jego marzenia i nadzieje legły w gruzach. Jedynym dźwiękiem był wtedy krzyk Sowona: „Tata!”.

Hyonsu zdołał puścić kierownicę. Czy to Sowon właśnie krzyknął? Wytarł spocone dłonie o koszulę. Nie mógł oderwać oczu od nieruchomego białego kształtu na drodze. Może uderzył tylko w znak albo dzikie zwierzę? Ale wiedział już, co to było. Dziecko ubrane na biało. Dziewczyna, która nadleciała z nienacka, muskając przednią szybę długimi włosami. Wyłoniła się nagle z mgły, jak duch.

Wysiadł z samochodu na chwiejnych nogach. Jego buty chlapały na skąpanej w deszczu drodze. Gdy szedł przez mgłę, poczuł zapach. Sól, ocean. To przywołało wspomnienia. Pola sorgo falujące krwistą czerwienią w świetle księżyca, nadmorska bryza unosząca się nad łądkami, błyski latarni morskiej pojawiające się zza góry daleko za polami. Chłopiec idący przez pole z butami ojca w jednej ręce, a z latarką w drugiej.

Hyonsu się zatrzymał, dziewczyna leżała kilka kroków od niego. Połowa włosów zakrywała jej twarz, druga połowa leżała skręcona w wielki lok. Spod włosów wypływały strużki krwi. Jedna noga wystawała prosto spod białej sukienki, druga była wygięta pod nienaturalnym kątem. Dziewczyna wydawała się nie oddychać.

Czy ona nie żyje? Nie miał odwagi jej dotknąć. Nie miał odwagi na nią spojrzeć. Nawet nie myślał o wezwaniu karetki. Miał ściśnięte gardło. Impuls podpowiadał mu, żeby się odwrócić, wsiąść do samochodu i uciec od tego upiornego koszmaru, jak najszybciej się da. Rozejrzał się, dokoła nie było żadnych domów, nie jeździły też auta, nad drogą świeciły tylko latarnie. Spojrzał na swój wóz i mógłby przysiąc, że za popękaną przednią szybą widzi, jak Eunju i Sowon siedzą obok siebie, patrząc na niego zszokowani i smutni, dokładnie jak tamtego dnia, kiedy jego ramię go zawiodło. Pomyślał, że ich nowe mieszkanie, nowe życie wisiały teraz na włosku.

Wrócił w pobliże samochodu, w głowie kłębiły mu się przeróżne myśli, ale zdawały się podążać jednym konkretnym torem. Spojrzał za siebie na ciało leżące na drodze. Jeśli ktoś inny tędy przejedzie, zauważy je od razu. Co wtedy z nim i co z Sowonem?

Podszedł jeszcze raz do dziewczyny i przyklęknął przy niej. Poprzez włosy, które zakrywały jej twarz, dostrzegł, że była mocno umalowana. Ciężki tusz do rzęs sprawiał, że jej powieki przypominały otchłań. Pomiędzy jej poranionymi wargami dostrzegł bezzębne dziąsło. Co jej się stało?

To nie było w porządku. To było bardzo nie fair. Nigdy nie zabił nawet muchy, nigdy nie popełnił żadnego wykroczenia, nigdy niczego nie ukradł. Nie marzył o niczym wyjątkowym po tym, jak jego kariera sportowa legła w gruzach. Chciał jedynie utrzymać rodzinę, sprawić, że jego syn będzie dumny, i czasem napić się trochę soju. Czy to za dużo? Gniew pieniaący się pod warstwą strachu zaczął

przybierać na sile i docierać na powierzchnię, gdy Hyonsu patrzył na dziewczynę. Kim ona, do diabła, była? Dlaczego jeśli chciała z sobą skończyć, nie rzuciła się po prostu do jeziora? Po co wskakiwać mu pod koła, jemu – ojcu, który od lat się zarzyna, żeby ledwie się otrzeć o klasę średnią?

Hyonsu wyciągnął rękę w kierunku dziewczyny, zamierzał ją podnieść. W chwili gdy wsuwał rękę pod jej plecy, w kieszeni koszuli zadzwoniła jego komórka i rozległa się melodia Beethovena. Zesztywniał, serce biło mu niczym wielki młot. W tej samej chwili otworzyły się oczy dziewczyny jak dwie czarne dziury. Z jej ust wydobyło się jedno jedyne słowo: „Tata”.

Nie wiedząc nawet, że to robi, zamknął dłonią usta ofiary. Telefon dzwonił mu cały czas w sercu, świat pogrążał się w ciemności, głos dziecka odbijał się echem gdzieś bardzo daleko: „Tata”.

Gdy echo przestało wołać, Hyonsu stał na mostku na zaporze. Trząśnięcie całego ciała, ramiona zwisały mu bezwładnie po obu stronach ciała. Co się właściwie stało? Co takiego zrobił? Od miejsca wypadku oddzielało ich teraz jakieś sto metrów. W myślach jeszcze raz prześledził swoje działanie: pamiętał jej ciężar w ramionach, gdy szedł przez mgłę, pamiętał, że patrzył, jak spada do jeziora. Pamiętał też, jak w ciemności nocy pojawiła się biała ręka. Jego biała lewa ręka, ta, nad którą nie miał kontroli, niczym wielki rekin pojawiła się nagle i mocno ściskając usta dziewczyny, uciszyła ją. Dziecko walczyło jeszcze przez moment, ale uścisk ręki był zbyt silny. Po chwili wszystko ucichło. Dziewczyna przechyliła głowę na bok, jej kończyny zwiotczały.

Czy to naprawdę była jego ręka?

Chwycił ciało i zaniósł je na mostek na zaporze, po czym wrzucił w otchłań jeziora. Patrzył, jak spada do wody, i usłyszał szept od strony jeziora: „Tata”.

Sunghwan przestał się wznosić, kiedy poczuł, że trafił do cieplejszej warstwy wody. Nie był dokładnie pewien, w którym miejscu jeziora się znajduje, bo nie wynurzał się tą samą trasą co przy wejściu pod wodę. Pomyślał, że tutaj wykona dekompresję, i sprawdził godzinę. Za dziesięć jedenasta. Wskaźnik na butli tlenowej pokazywał, że



miał zapas na siedem minut. Rozluźnił się i zamknął oczy. Mógł zostać jeszcze tych kilka minut.

Pod wodą dźwięk roznosi się cztery razy szybciej. Dlatego dokładne określenie, skąd pochodzi, jest mocno utrudnione. Po pięciu minutach dekompresji Sunghwan coś usłyszał, delikatny, słaby dźwięk. Brzmiało to, jakby ktoś nurkował albo coś wrzucał do jeziora. Albo jak zwłoki wpadające do wody... Skupił się i nasłuchiwał.

Pewną wskazówką było dla niego to, że nie usłyszał już nic innego. Jeśli do wody wpada przez przypadek żywa istota, słyhać, jak walczy, próbując się ratować. Nawet samobójcy odruchowo walczą o życie, kiedy już znajdują się pod wodą.

Ten odgłos pomógł mu też mniej więcej określić jego własne położenie. Sposób, w jaki dźwięk rozchodził się pod wodą, sugerował, że coś zostało do niej wrzucone z wysokości. A na pewno z miejsca położonego wyżej niż przystań. Był niemal pewien, że znajduje się wobec tego w pobliżu mostku na zaporze, który prowadzi do wieży poboru wody. Nieważne, czy ktoś wskakiwał do wody, czy się do niej rzucał, czy wrzucał tam cokolwiek innego – można było to zrobić jedynie z tego miejsca.

Spojrzał w górę. W świetle lampki, którą miał na czole, zauważył obiekt w wodzie nad sobą, coś jakby zerwany żagiel. Kiedy to było już bliżej, dostrzegł ciemne włosy, bladą twarz, białą sukienkę falującą wokół ciała, nogi wyciągnięte jak do kopania. To była dziewczyna. Opadała twarzą w dół. Miała otwarte oczy i ich spojrzenia się spotkały. Czuł, jak brakuje mu tchu. Mała, bosa stopa otarła się o jego ramię, zanim opadła głębiej.

To była ona, Seryong. Czuł, jakby porywał go wir. Musiał się upewnić. Obrócił się, odepchnął nogami, zapominając zupełnie, że był w trakcie dekompresji. Nie zwracał uwagi na to, ile powietrza mu zostało. Wyciągnął przed siebie rękę, chcąc jeszcze chwycić dziewczynę w mętnej wodzie. Zauważył coś czarnego, falującego. Jej włosy. Obrócił ją w swoją stronę, żeby spojrzeć na jej twarz.

To była ona! Oczy miała posiniaczone, przednie zęby wybite, wargi rozcięte. Ale to ona. Sunghwan poczuł, że ogarnia go paraliż. Wymknęła mu się z ręki i zaczęła opadać w otchłań. Pozwolił jej na

to. Zostało mu w dłoni coś małego i twardego, ale od razu o tym zapomniał. Nie mógł oddychać, lecz nie z powodu tego, co zobaczył – brakowało mu powietrza. W ostatnim odruchu rozsądku odpiął pas, wychylił głowę w górę i poruszył nogami, żeby zacząć wynurzanie. Podpłynął w dół dalej, niż przypuszczał. Na powierzchni przywitał go zimny deszcz.

Unosił się na wodzie twarzą do nieba. Bolał go kark, szczerkał zębami, ciało miał przemarznięte. Jedynie dłoń, którą chwycił Seryong za włosy, paliła go żywym ogniem. Co się stało? Co on tam zobaczył? Rozejrzał się dokoła, ale wszędzie była gęsta mgła. Stwierdziwszy, że przystań znajduje się za nim, popłynął w jej kierunku.

Kiedy wyszedł na brzeg, sprawdził czas. Było piętnaście po jedenastej. Opuścił dom ledwie kilka godzin wcześniej, ale miał wrażenie, jakby minął cały dzień. Zdjął lampkę, maskę i płetwy i wrzucił to wszystko do plecaka. Czuł, że o czymś zapomina, ale chciał być już jak najdalej od tego miejsca. Otworzył kłódkę, zdjął łańcuch z metalowej furtki i zamknął ją ponownie, będąc już po drugiej stronie. Szedł powoli skąpaną w deszczu drogą, myśląc o tym, co wcześniej zobaczył. Nie mógł tego nigdzie zgłosić, nie po tym, jak już raz pożartł się z jej ojcem – byłby teraz głównym podejrzanym. Jak miałby wytłumaczyć, dlaczego wdarł się na zabezpieczony teren? Wcześniejsze oskarżenia o gwałt na Seryong brzmiały teraz jak żart. Wszyscy myśleliby, że to on ją zabił. Gdyby tylko skończył nurkowanie tak, jak planował. Gdyby tylko wynurzał się po linie, a nie prosto do góry. Gdyby tylko nie przyszedł tej nocy nad jezioro, nie chciał zaspokoić ciekawości, gdyby nigdy nie usłyszał o wiosce Seryong... Wszystkiego teraz żałował.

W arboretum i w kompleksie mieszkalnym panowała cisza. Białe bmw należące do Yongje stało zaparkowane przed stojedynką. Okno Seryong było zamknięte, zasłony zaciągnięte, w całym domu ani jednego światła.

Było pewne, co się wydarzyło: Oh Yongje bił córkę tak długo, aż ją zabił, a potem wyrzucił jej ciało do jeziora.

Sunghwan wdrapał się do mieszkania przez okno i opadł na sofę w salonie. Jaki byłby pożytek ze zgłaszania tej sprawy? Ona już nie żyła, policja nie mogła tego zmienić. Jej ciało za kilka dni

wypłynie na powierzchnię, niech wtedy łamią sobie głowy. Zostawi to wszystko do rozwikłania, nie będzie się mieszał. Coś jednak nie dawało mu spokoju i co gorsza, nie umiał nawet sprecyzować, co to było.

Przeszedł do sypialni i chwycił komórkę. Miał dwa nieodebrane połączenia, o 21.03 i 22.30, numer chyba należał do jego nowego szefa, ale nie sprawdzał już tego. Był rozdrażniony. Bolały go ręce i plecy. W mieszkaniu było ciepło, lecz on cały czas przesiąknięty był zimnem jeziora.

Napuścił do wanny ciepłej wody. Zdejmując kombinezon, włożył rękę do kieszeni i wyjął z niej kompas. Było tam jednak coś jeszcze – spinka do włosów z kryształową gwiazdką. Przypomniawszy sobie, jak trzymał Seryong za włosy i jak coś twardego zostało mu potem w dłoni. Musiał to odruchowo wsunąć do kieszeni, nie myśląc długo.

Jego mięśnie zaczęły powoli odpuszczają, kiedy leżał w wannie, myśli nabrały prędkości. Jeśli prąd wodny zniesie Seryong w pobliże zapor, wyłapią ją filtry. Ale jeśli opadła bliżej wieży poboru wody...

Pod wieżą poboru wody na zaporze Seryong znajdowała się rura o średnicy półtora metra. Kiedy o świcie otworzą się śluzy, ciało może trafić właśnie tam, a razem z nim wszelkie dowody tego, co się stało.

Sunghwan zanurzył się głębiej w wannie, aż cała głowa znalazła się pod wodą. „Nic nie widziałem”, pomyślał.

Hyonsu miał wyłączonego komórkę. Musiał ją wyłączyć po tym, jak Eunju zadzwoniła do Kim Hyongtae, żeby go jakoś namierzyć. W ten sposób mąż dawał jej do zrozumienia, że przynosi mu wstyd. Miał trzydzieści sześć lat, a zachowywał się jak nastolatek. Spróbowała jeszcze raz zadzwonić do Hyongtae, ale on przysięgał, że nie ma z nim Hyonsu.

- Mówił, że jedzie nad jezioro Seryong – tłumaczył.
- Tyle że miał się odezwać.
- Proszę się tak nie martwić. Takiego chłopca to może porwać tylko anioł śmierci.

To miał być żart, ale wcale nie był zabawny. Nie poprawił jej humoru, wręcz przeciwnie.

– Naprawdę go tam z panem nie ma? – dopytywała.

Po drugiej stronie słuchawki usłyszała westchnienie, a po chwili odpowiedź:

– Proszę tu przyjechać i samej się przekonać. A przy okazji, jak już tu pani będzie, to się razem napijemy.

Hyonsu nie odbierał telefonu tylko wtedy, kiedy pił. To był bardzo irytujący nawyk i nawet jej uporczywe czepianie się nie było w stanie tego zmienić. Zamknęła na chwilę oczy, żeby się uspokoić. Naprawdę pojechał nad jezioro czy siedział gdzieś i pił? Nie było jak się przekonać, nie miała już do kogo zadzwonić. Kim Hyongtae był jedynym znajomym Hyonsu z pracy. Jego koledzy z drużyny rozsiali się po całym kraju. Zadzwoniła do domu, bo może tam się pojawił.

– Taty jeszcze nie ma. – Telefon odebrał Sowon. – Nie dzwonił.

Zamknęła klapy komórki i weszła do bloku, w którym znajdowało się nowe mieszkanie. Wysiadła na dziewiętnastym piętrze i zatrzymała się przed niebiesko-szarymi stalowymi drzwiami mieszkania 1901. Na chwilę zapomniała o mężu.

Kiedy była tu po raz pierwszy, od razu czuła, że to mieszkanie jest jej nowym domem. A teraz pierwszy raz wchodziła tu jako właścicielka. Poprzedni właściciel wyprowadził się przed kilka godzinami, jutro będzie tu już ich najemca. Przez tych kilka ekscytujących wieczornych godzin całe mieszkanie było tylko jej.

Eunju wyjęła z kieszeni džinsów skrawek papieru z kodem do drzwi mieszkania: 2656940. Wcisnęła cyfry na zamku i potwierdziła gwiazdką – drzwi się otworzyły, zamek zapikał krótko. Weszła do środka, czujnik ruchu uruchomił światła. Stała tak przez chwilę, promieniejąc i rozglądając się jak aktor w finałowej scenie filmu. Korytarz wejściowy idealnie nadawał się na przechowywanie roweru Sowona, a wyglądałby jeszcze lepiej z fikusem w doniczce. Włączyła kolejne światła i zauważyła na podłodze ślady butów. Skoro tak, to ona tym razem też nie zdejmie swoich.

Niespiesznie przeszła przez wszystkie pokoje, zajrzała w każdy kąt, ze szczególną satysfakcją przyglądając się łazience z lawendowymi kafelkami i wanną. Były tam też pokój najbliżej wejścia, który planowała przeznaczyć na pomieszczenie do nauki dla Sowona, przeszklona loggia z pięknym widokiem, przestronny, widny salon, główna sypialnia z osobną łazienką i kuchnia ze

zmywarką. Prawdziwe mieszkanie ludzi z klasy średniej. To z nawiązką wynagradzało dwie godziny metrem i autobusem. Położyła torebkę na blacie kuchennym i podeszła do okna. Daleko w dole widziała plac zabaw z drabinkami, huśtawkami, drążkami i piaskownicą. Wróciła pamięcią do placu zabaw z jej rodzinnej okolicy, Bongchon-dong.

Siedmioletnia Eunju musiała opiekować się młodszym rodzeństwem. Wieczorami, gdy robiło się już ciemno, huśtała się na huśtawce z rocznym Giju uwiązany na plecach, próbując go ukołysać do snu, podczas gdy on ciągnął ją za włosy malutkimi rączkami. Czteroletnia Yongju, jej siostrzyczka, bawiła się już sama w świetle latarni. Eunju te niekończące się wieczory wypełniała modlitwami o to, żeby czas przyspieszył i przerzucił ją od razu do chwili, kiedy będzie na tyle duża, żeby odejść z domu.

Mieszkali w starym autobusie, w którym jej matka, Jini, przy kilku stolikach serwowała klientom wino ryżowe. Pięknie śpiewała, jak nikt inny umiała kokieteryjnie wykonać *Łzy Mokpo*, akompaniując sobie pałeczkami do jedzenia. Jej obfity biust wypełniał bluzkę hanboku, nigdy też nie odmawiała mężczyznom, nieważne, czy chodziło o napiwek, czy o rękę wsadzoną pod ubranie. Śmiała się głośno, szeroko otwierając przy tym usta, i kręciła tyłkiem jak kaczka. Często miała na pieńku z innymi kobietami w okolicy.

Eunju mogła się pojawić w domu dopiero, kiedy Giju spał. Matka biła ją, jeśli się budził i płakał. Trójka dzieci spała z tyłu autobusu, odgradzona prowizoryczną ścianką ze sklejki. Obowiązki Eunju kończyły się w chwili, kiedy kładła śpiącego Giju na kocyku elektrycznym. Próbowwała wtedy nie zwracać uwagi na śpiewy dochodzące z drugiego końca autobusu i myślała o domu swojej koleżanki, Hyon, którą odwiedziła dokładnie raz. Hyon mieszkała w najładniejszym domu w sąsiedztwie – czystym, pachnącym, na tyle dużym, że każdy miał tam swój pokój. Eunju zdawała sobie sprawę, że taki poziom życia nie przychodzi ot tak. Podjęła decyzję, że nie będzie nigdy żyła jak jej matka.

Lata później na zajęciach z etyki w szkole dowiedziała się o pojęciu wolnej woli. Nauczycielka tłumaczyła: „Ci, którzy wierzą we własną przyszłość, mają możliwość kształtowania swojego życia”. Tego dnia Eunju dokonała bardzo uczciwej i drobiazgowej analizy

samej siebie – w czym była dobra, w czym radziła sobie średnio, co musiała zrobić, żeby zająć tam, gdzie sobie wymarzyła. Patrzyła na swoje odbicie w małym lusterku. Nie miała zadatków na aktorkę. Była ładna, ale nie aż tak, żeby mężczyźni za nią szaleli. Wyniki w szkole mówiły jasno, że nie była geniuszem, nie brylowała też ani w zajęciach plastycznych, ani w sporcie. Nie radziła sobie z muzyką, była raczej niezdatna, nie pisała wcale lepiej niż inni. Ale przynajmniej miała w życiu cel. Miała do czego dążyć, była pracowita i zaradna. To wystarczająco dużo, żeby wierzyć we własną przyszłość.

Obmyśliła plan: będzie mieszkać z matką, aż skończy siedemnaście lat, do chwili kiedy ukończy szkołę. Zda maturę i opuści dom tego samego dnia, gdy znajdzie pierwszą pracę, najlepiej taką, która pozwoli jej na tani kwaterunek. Będzie oszczędzać przez trzy lata, żeby starczyło jej na przyszły czynsz za samodzielny pokój. Nie będzie się nigdy oglądać za siebie.

Tak też zrobiła. Po skończeniu szkoły znalazła pracę w księgowości w tkalni w Gwangju, najdalszym możliwym miejscu od Seulu, a przynajmniej tak jej się zdawało. Tej samej nocy spakowała swoje rzeczy. Żałowała, że zostawia Yongju i Giju, oboje byli jeszcze dziećmi, ale musiała się stamtąd wyrwać. Mieszkała w pokojach kwaterunkowych dla pracowników zakładu i skrupulatnie odkładała pieniądze. Po trzech latach stać ją było na pokój w suterenie z umową na rok, tak jak zaplanowała. Ale radość z osiągnięcia celu nie mogła przesłonić tęsknoty za rodzeństwem. Miała nigdy nie oglądać się za siebie, ale myślała o nich co noc. Czy Yongju dostała się do liceum? Czy mieli co jeść?

Jakiś czas później jechała autobusem do Seulu z sukienką dla Yongju i zegarkiem dla Giju. Tylko się z nimi zobaczy i wróci. Ale nie udało jej się uniknąć spotkania z matką, która przygotowała już tobołek z rzeczami Yongju i przekazała go Eunju razem z siostrą. Miały odtąd mieszkać razem. Po roku w drzwiach pojawili się matka i Giju z całym dobytkiem. Cała trójka mieszkała u Eunju kilka kolejnych lat, dopóki matka nie zmarła na raka, Yongju dostała pracę jako nauczycielka angielskiego, a Giju poszedł do wojska. W tym samym roku Eunju wyszła też za mąż.

Jej wybranek był trzy lata młodszy, ale równie dobrze mogło ich dzielić lat trzynaście. Nie miał pojęcia absolutnie o niczym poza baseballlem. Po tym, jak skończył ze sportem, wracał codziennie do domu pijany. Zmusiła go do znalezienia pracy i zajmowała się nim, a sama podejmowała się rozmaitych prac. Była kelnerką, kasjerką w supermarkecie, pomocą medyczną, pracowała też w szkolnej stołówce. Dla Eunju to mieszkanie, kupione po dwunastu latach małżeństwa, było czymś więcej niż domem – było namacalnym dowodem na to, że nie jest jak matka. Dowodziło, że udało jej się wybić z biedy, i stanowiło obietnicę lepszej przyszłości dla syna. Nie będzie go wysyłała w świat z niczym, tak jak ona opuszczała dom z pustymi rękami.

Wróciła do salonu. Nie chciała wychodzić, ale było już późno. Zatrzymała się przy drzwiach i jeszcze raz spojrzała na mieszkanie. Niedługo tu wróci, za trzy lata. Do tej pory będzie robić wszystko, co w jej mocy, żeby to, co widzi, nadal było prawdą. Wyjęła z torebki kredkę do makijażu i przykucnęła przy drzwiach wejściowych. Pomacała dłonią, znalazła miejsce, gdzie linoleum nieco odstawało, i odrobinę je odchyliła. Napisała na betonowej podłodze: „Kang Eunju” i „Choi Sowon”. Wahala się przez chwilę, ale dopisała jeszcze: „Choi Hyonsu” – a co, niech też ma.

Na dole, na parterze, chwyciła komórkę i spróbowała zadzwonić do Hyonsu. Tym razem był sygnał, ale nikt nie odebrał. Przyjemne uczucie, jakie nią wcześniej owładnęło, wyparowało. To też swego rodzaju talent – doprowadzać żonę do białej gorączki, nie robiąc właściwie nic. Może włączył telefon, żeby do kogoś zadzwonić, do Kim Hyongtae albo innego znajomego. Nieważne. Teraz było jasne, że ignorował tylko ją. Omiótł ją powiew ciepłego, zgniłego powietrza z kratki ściekowej na ulicy. Spojrzała na telefon, była za dziesięć jedenasta.

„W porządku, Hyonsu – pomyślała. – Zobaczmy, kto tym razem wygra”.

Zadzwoniła do niego jeszcze raz.

## Jeziro Seryong II

Dźwięk budzika wyrwał Hyonsu ze snu. Po omacku starał się go wyłączyć, zanim się zorientował, że to jego komórka, którą miał w kieszeni koszuli. Siłował się chwilę z guzikiem, wyjął telefon i wyłączył budzik, po czym rzucił komórkę na bok, jakby to był gorący ziemniak. Był cały spocony, ciężko oddychał. Przez dłuższy czas nie mógł oprzytomnieć.

Siedział w samochodzie na siedzeniu kierowcy, a na zewnątrz padał lekki deszcz. W delikatnej mgłę samochody jeździły w tę i z powrotem, ludzie przemykali schowani pod parasolami. Przed sobą widział bloki i zdał sobie sprawę, że jest w Ilsanie, koło parku niedaleko „ich nowego mieszkania”. W schowku znalazł bilet z bramki na autostradzie. Przeczytał na nim, że przejechał przez skrzyżowanie Seryong o 23.08. Teraz zegarek pokazywał 5.10 rano. Minęło sześć godzin. Co się w tym czasie z nim działo? Dlaczego ze wszystkich miejsc na świecie był właśnie tutaj?

Wysiadając z samochodu, zauważył, że koszulę ma pobrudzoną krwią. Dostrzegł też ciemne plamy na rękach, przedramionach, wokół bioder. Kłapa samochodu miała wgniecenie, przednia szyba była spękana, wyglądała jak pajęczyna, a prawy reflektor był rozbity. Czy całą drogę jechał samochodem w takim stanie? Dlaczego to zrobił? Miał luki w pamięci. Każdy fragment, jaki sobie przypominał, był straszniejszy niż poprzedni. Mgła, deszcz, dziewczyna przelatująca mu przed oczami jak widmo, pisk hamulców i w końcu on sam niosący jej ciało.



Na szczęście w parku było pusto. Hyonsu otworzył bagażnik i wyjął z niego ubranie robocze. Po raz pierwszy od wypadku myślał racjonalnie. Musiał przede wszystkim zrobić coś ze swoim wyglądem. Pomędzy drzewami miłorzębu zauważył toaletę. Przebrał się w kabinie, zakrwawioną koszulę wepchnął głęboko do kosza na śmieci i zmył z siebie ślady krwi. Sprawdził jeszcze, czy niczego nie przeoczył, i poszedł do małego sklepiku po paczkę papierosów. Wyciągnął potem jednego, stojąc pod drzewem w parku, i zapalił. Rzucił palenie jakieś pół roku temu, Eunju nie dawała mu spokoju, ale teraz musiał się zaciągnąć jak nigdy wcześniej. Wydawało mu się, że ziemia się trzęsie, ale to on się trząsał. Oparł się plecami o drzewo, pytania uderzały w niego jak pociski. Co by było, gdyby w ogóle nie pojechał nad jezioro? Co jeśli byłby trzeźwy? Co jeśli nigdy nie zawiesiliby mu prawa jazdy? Wtedy nie wrzuciłby jej po wypadku do jeziora i nie uciekł, prawda? „Wypadek” i „jezioro”, te dwa słowa nie dawały mu spokoju. Papieros wypadł mu nagle z ręki. Tam było coś jeszcze. Pomędzy „wypadkiem” a „jeziorem” kryła się prawda, która na razie do niego nie docierała, bo była zbyt brutalna, zbyt przerażająca.

Podbiegł do samochodu i chwycił telefon. Miał dwanaście nieodebranych połączeń od Eunju, siódme z nich było o 22.48, następne o 22.50. Teraz już sobie przypominał, że komórka dzwoniła bez przerwy, kiedy kucał przy dziewczynie, co wcale mu nie pomagało, jego głowa huczała wtedy od myśli o tym, żeby uciekać, ratować się, zapomnieć o tym wszystkim. Nie mógł pojąć, dlaczego zrobił coś takiego. Jeśli się obawiał, że ktoś go usłyszy, powinien był przecież wyłączyć dzwonek, a on zamiast tego trzymał dłoń na jej ustach, dopóki dźwięk nie zamilkł. Czemu? Czy słowo „tata”, które wtedy powiedziała, brzmiało głośniejsze niż dzwonek telefonu?

Odłożył komórkę. Co się stało, to się nie odstanie, rozmyślanie o tym niczego nie zmieni. Musiał jakoś wyrzucić z pamięci ten epizod, ale jak? Jutro mają się przeprowadzać, jedyny sposób, żeby już nigdy nie jechać do Seryong, to rzucić pracę. A jedyny sposób, żeby to wytłumaczyć Eunju, to opowiedzieć jej całą prawdę. Tylko jak miałby to zrobić? Co jej powiedzieć? Że pojechał obejrzeć mieszkanie, a zamiast tego sprzątnął młodą dziewczynę? Że jechał za szybko i po pijaku? Że spanikował, udusił dziewczynę, kiedy się

okazało, że jednak żyje i mówi „tata”, po czym wrzucił ciało do jeziora i zwiął? I że teraz bardzo mu przykro, ale nie mogą zacząć nowego życia, o które ona tak się starała, o którym marzyła przez lata? Nie. Eunju nie zrozumie. Może znalazłaby jednak jakieś wyjście? To w końcu kobieta, która w tajemnicy przed nim zbierała pieniądze na pięciu kontach. Może zaproponuje mu pięć rozwiązań, żeby mógł sobie wybrać najłatwiejsze? Może martwiłaby się razem z nim, dzieląc jego przeżycia? Nie byli wprawdzie parą, która nie może bez siebie żyć, ale trochę razem przez dwanaście lat przeszli, był też ojcem jej syna. To przecież coś.

Zostawił samochód w warsztacie niedaleko, powiedzieli mu, że będzie gotowy na trzecią po południu. Spędził więc trzy godziny w łaźni, gdzie zasnął po trzech albo czterech butelkach soju. Obudził się o piątej po południu.

Samochód wyglądał jak z salonu, jakby nigdy nic się nie wydarzyło. Ulżyło mu. Uwierzył, że wszystko będzie dobrze. Nie było teraz żadnego dowodu na to, że cokolwiek się stało. Zapłacił kartą kredytową, o której Eunju nie wiedziała i miała się nigdy nie dowiedzieć.

– O, czyli żyjesz? – przywitała go, kiedy tylko wszedł do mieszkania. – Nie odbierasz, nie odpisujesz, nie wracasz do domu. – Eunju stała przed nim, blokując mu przejście, cała w gniewie, z rękami skrzyżowanymi na piersi. – Robisz ostatnio wszystko, na co masz ochotę.

Sterczał w miejscu, nie bardzo wiedząc, co zrobić, wszędzie w mieszkaniu stały już kartony przygotowane do przeprowadzki.

– Tak po prostu wyszło – odparł. Naprawdę chciał jej powiedzieć, żeby go przepuściła, bo ma jej coś bardzo ważnego do zakomunikowania.

– I nawet tam nie pojechałeś. Powiedziałeś tamtemu facetowi, że jedziesz, a w ogóle się tam nie pokazałeś.

– Rozmawiałaś z nim? – Hyonsu był zaskoczony.

– A czemu by nie?

– Skąd miałaś numer?

– A co, myślisz, że nie umiem znaleźć? – odparowała. – Pewnie masz to gdzieś, ale wszystko załatwiłam. On woli się nie przenosić, więc będzie w pokoju razem z Sowonem. Będzie z nami jadł

i dokładał się do zakupów – tłumaczyła. – Dlaczego ty nie możesz niczego załatwić? Mówiłam ci, że to ważne.

Hyonsu aż zeszytywniał z wściekłości. Jeśli ona załatwiła to wszystko przez telefon, to po jaką cholerę go tam wysyłała? Czy w ogóle zdawała sobie sprawę, że to wszystko stało się z jej winy?

Zanim pomyślał, co właściwie robi, jego ręka wylądowała na jej twarzy. Eunju straciła równowagę i poleciała w tył – upadła na sofę w salonie, po drodze zahaczając o spakowane pudła.

– Nie wierzę! – zareagowała po krótkiej chwili. Jej policzek zaczynał właśnie puchnąć. Za nią stał Sowon, z osłupieniem obserwujący całą sytuację. – Uderzyłeś mnie?! – Jej głos był cienki i wysoki, oczy jej pociemniały.

Hyonsu, niewiele się zastanawiając, odwrócił się i wybiegł z mieszkania. Szedł długo przed siebie i wylądował w końcu w barze. Pijąc, myślał o swoim ojcu, sierżancie Choi, potężnym mężczyźnie, który potrafił pięścią rozwalić meble i który bił żonę i dzieci zawsze, kiedy był pijany. Za każdym razem, gdy Hyonsu zapominał, ile ma siły, przypominał mu się ojciec. Kiedy otwierając butelkę, łamał całą szyjkę, zamiast zdjąć kapsel; kiedy podkręcając kurek kuchenki, urywał go; kiedy drzwi wypadały z zawiasów, gdy on tylko próbował je otworzyć.

Ale poza tym nie był wcale jak ojciec – tak sobie przynajmniej tłumaczył. Musiałby zupełnie oszaleć, żeby podnieść rękę na żonę lub syna. Przed chwilą się jednak okazało, że był w błędzie. Albo może rzeczywiście oszalał. Bo właściwie jak wytłumaczyć to, że bez żadnego zastanowienia, ot tak, zabił dziewczynę, po czym wrócił do domu i uderzył żonę? Musiał się sam przed sobą przyznać: był mordercą. Ale w miarę jak alkohol zaczynał działać, jego nastawienie łagodniało. Tłumaczył sobie wkrótce, że rzeczy się po prostu dzieją. Powinien iść do domu, wykąpać się, przespać. Kiedy się obudzi, wszystko będzie normalnie, będzie mógł pojechać do Seryong i zacząć pracę. Będzie mógł zapomnieć o wszystkim i żyć dalej spokojnym życiem. Tak, tak właśnie robi. Wyszedł z baru, mrużąc pod nosem:

– Czarny sierżant, sierżant Choi, z Wietnamu tu wrócił się, usta ma zamknięte, a hełm jego ciężki... W ramiona mu rzućmy się. W ramiona mu rzućmy się.

Yongje wstał. Całą noc czatował przy oknie, lecz ani Seryong, ani ten dupek ze stodwójki się nie pojawili. Nie spuszczał oka ze ścieżki przed budynkami, nawet się nie zdrzemnął. Tylko dwa razy odszedł ze stanowiska: raz do toalety i raz po wodę. Ochroniarz i Yim tkwili przy monitoringu i mieli od razu meldować, jeśli coś zauważą. Ale żaden z nich się nie odzywał. Yongje przeszedł do pokoju Seryong. Na kocu i ścianach były ślady krwi, a na podłodze kawałki zielonego wosku, metalu i szkła. Wtedy coś dostrzegł: zasłona była umazana krwią. Seryong musiała więc uciec przez okno, ocierając się krwawiącym nosem o zasłonę. Gdyby to wcześniej zauważył, nie marnowałby czasu na szukanie jej po okolicy. Jej okno wychodziło dokładnie na sąsiedni budynek. Yongje od razu poszedłby tam, gdzie się schowała.

Dlaczego wcześniej nie zwrócił na to uwagi? Nie przyszło mu do głowy, żeby rozejrzeć się w jej pokoju. W ataku wściekłości wybiegł po prostu przez drzwi, dając tamtemu dupkowi czas na ukrycie Seryong.

Do pokoju wpadał przez okno zapach mokrych drzew. Na zewnątrz była lekka mgła. W budynku obok panowała zupełna cisza, nie świeciły się żadne światła.

Obserwując cały czas sąsiedni budynek, Yongje zadzwonił do Yima.

– Niech pan weźmie miernik pola elektromagnetycznego i przyjdzie do mnie natychmiast – powiedział do słuchawki.

Dziesięć minut później pukali do drzwi w stodwójce. Otworzył ten idiota, zaspany.

– Przepraszam, że tak wcześnie rano – usprawiedliwiał się Yongje bardzo grzecznym tonem.

Dupek patrzył zdziwiony na niego i Yima.

– Wykryliśmy nieprawidłowości w instalacji. Możemy się rozejrzeć? – Yongje wskazał ruchem głowy na miernik w ręku Yima.

– Teraz? – zapytał zaskoczony Sunghwan, ale odsunął się, żeby ich przepuścić. – Tylko zróbcie to szybko, chciałbym iść dalej spać.

Yongje przeciągnął Yima przez całe mieszkanie, zajrzeli w każdy róg i zakamarek, ale Seryong nigdzie nie było. Nie trafili też na żadną wskazówkę. Wszystko było dokładnie tak samo jak

minionej nocy. W szafie zauważyli plecak, którego nie było tu w nocy, ale kiedy Yongje chciał do niego zajrzeć, pojawił się tamten dupek.

Yongje nie chciał wychodzić, wciąż był pewien, że ona gdzieś tu jest. Musiała gdzieś być. Ale Yim skończył wszystko, co miał zrobić, i powinni iść. W drzwiach wyjściowych Yongje spróbował jeszcze trochę przedłużyć sprawę.

– Mieszka pan tu sam? Myślałem, że jest was dwóch.

– Mój poprzedni szef został przeniesiony do Chungju, a nowy wprowadza się jutro – odpowiedział Sunghwan, wycierając nos dłonią, a potem dłoń o koszulkę.

Yongje przeszło przez myśl, że to obrzydliwe. Próbował jeszcze zapuścić żurawia do salonu.

– Musi być panu nudno samemu.

– Niespecjalnie. Bardziej mnie wkurza, że Tigersi przegrali z Lionsami.

– A nie wychodził pan wczoraj wieczorem?

Sunghwan oparł się o framugę.

– Nie, mówię przecież, że oglądałem mecz – odpowiedział.

– A, bo widzi pan, chcieliśmy zajrzeć już wczoraj, ale nikt nie otwierał.

– No tak, to pewnie wtedy, jak poszedłem do sklepu przy autostradzie – odparł Sunghwan, ale dopiero po chwili. – Skończyło mi się piwo.

Yongje przypomniał sobie pustą puszkę po piwie obok laptopa. Może ten dupek powierzył komuś Seryong, może innemu ochroniarzowi. Poszli do stotrójki pod tym samym pretekstem szukania awarii w sieci, ale tam też niczego się nie dowiedzieli.

Yongje zachodził w głowę, gdzie jeszcze mogła podziewać się jego córka, i podjechał do przychodni. Otworzył mu lekarz, wyrwany ze snu. Powiedział, że po osiemnastej nikogo już u niego nie było. Gdyby tamten kretyn wezwał karetkę, Yongje wiedziałby o tym. Nie mógł jej też zabrać do innej przychodni, bo nie miał samochodu. Dla pewności Yongje zadzwonił do korporacji taksówkowej i zapytał, czy ktokolwiek obsługiwał poprzedniego dnia kursy z Seryong. Nikt.

Pojechał nawet do sklepu przy autostradzie i spytał, czy młody, szczupły mężczyzna średniego wzrostu kupował tam poprzedniego dnia piwo.

– Były tu wczoraj tuziny takich ludzi – usłyszał w odpowiedzi.

Yongje był w kropce. Wiedział, że koleś jest zamieszany w sprawę, ale nie mógł znaleźć żadnego dowodu. Zaczął pytać w wiosce, co Seryong robiła poprzedniego dnia po szkole. Kierowca busika powiedział mu, że nie zabrała się z resztą na zajęcia, inne dzieciaki jej nie widziały, co nie było wielką niespodzianką – jego córka trzymała się z dala od rówieśników. Poza domem była kimś zupełnie innym. Ta Seryong, którą on znał, była wersją mini matki: uparta, bystra, arogancka. Ale wszyscy inni znali ją jako wycofaną i łagodną. Słuchał o tym od dawna.

Zajrzał w historię jej połączeń i zobaczył, że przez ostatnie trzy miesiące nie używała telefonu. Przejrzał wszystkie rachunki z minionych dwóch lat – Seryong dzwoniła tylko do matki i do domu. Yongje czuł, jak wzbiera w nim gniew. Nie na córkę, ale na Hayong. To ona wychowała Seryong na samotniczkę. Bardziej się zajmowała sprawą rozwodową niż własnym dzieckiem.

Przyszło mu do głowy, że przecież jego teść, bez wątpienia we wszystko zamieszany, może coś wiedzieć.

– Dlaczego dzwonisz z tym do mnie? – zapytał tamten.

– Może matka zabrała ją w tajemnicy. Wiesz coś o tym?

– Gdybyś był nią, przeszedłbyś w środku nocy taki kawał drogi aż tutaj? I czy ona w ogóle zna mój adres?

Nie było sensu z nim rozmawiać, Yongje się rozłączył.

Nie miał innego pomysłu, zadzwonił więc do firmy obsługującej autobusy w regionie. Przez Seryong przejeżdżał tylko jeden autobus z miasta S, mniej więcej raz na godzinę. Kierowca raczej by pamiętał, że zabierał bosą dziewczynkę w białej sukience, w krzykliwym makijażu i z obitą twarzą. Nikt jej jednak nie widział. To oznaczało, że nadal musiała być gdzieś w okolicy.

Wiedział, co musi zrobić. Najpierw zadzwonił do swojego gabinetu i powiedział, że nie będzie go przez kilka kolejnych dni. Zaraz potem zgłosił zaginięcie na policji i wydrukował ulotki ze zdjęciem Seryong i swoim numerem telefonu. Porozwieszał je wszędzie, gdzie mógł. Skrzyknął dwudziestu ludzi z wioski, którzy razem z dwoma psami stanowili teraz jego drużynę poszukiwawczą. Podzielił ich na dwie grupy i wysłał w przeciwne strony.

Znał się osobiście z kierownikiem operacyjnym utrzymania zapory, co dało mu dostęp do klucza do przystani. Mógł teraz sprawdzić, czy nie ma tam jakichś wskazówek.

Dwa lata wcześniej Yongje przyjął u siebie w gabinecie najstarszą córkę kierownika. Zapamiętał ją dobrze, bo miała ostre zęby, które kojarzyły mu się z szympansem. Narobił się przy tych zębach, ale policzył całkiem korzystnie, kalkulując sobie, że dobrze będzie zaznajomić się bliżej z jej ojcem, w razie gdyby trzeba było kiedyś trochę się potargować o opłaty za korzystanie z jego terenu, na którym mieszkali pracownicy zapory, albo reagować na ich skargi. Miał wtedy rację, choć ta znajomość przydała mu się w nieco inny sposób, niż początkowo zakładał. Na wszelki wypadek zrobił kopię klucza, żeby nie musieć drugi raz prosić o przysługę.

Poszukiwania trwały do wieczora, utrudnione przez padający od dwóch dni deszcz. Jedyнным śladem po Seryong był różowy kocyk, którym najwyraźniej wyściełała pudełko dla kota w starej stodole. Yongje znał ten kocyk bardzo dobrze. Mała Seryong była do niego niezwykle przywiązana i zabierała go ze sobą wszędzie, żeby dodawał jej otuchy.

Kocyk był cały w kociej sierści, znaleźli go obok pustych misek. Dla Yongje było jasne, że to kryjówka tego kota, który pojawił się poprzedniego wieczoru na parapecie, a którego matka i rodzeństwo zniszczyły jego piękną konstrukcję. Seryong musiała się nim opiekować przez cały ten czas. Czy tym zdradom nie było końca? Mężczyźnie, który przyniósł kocyk, kazał odłożyć go dokładnie tam, gdzie go znaleźli. Chciał, żeby kot wrócił na miejsce. Kiedy już odszuka Seryong, zajmie się i zwierzęciem, na jej oczach. Ale najpierw musiał się skupić na człowieku, który pomagał jej się ukryć.

Yongje wrócił do arboretum, żeby przyrzeć się nagraniom monitoringu. Cztery dni wcześniej jeden z ochroniarzy miał wypadek, teraz więc Yim zajmował biuro ochrony.

– Znaleźliście ją? – zapytał Yim, gdy tylko zobaczył Yongje.

– Wiedziałaś o tym kocie w stodole, prawda? – odpowiedział pytaniem.

Yim zacisnął tylko usta i już się nie odzywał.

Yongje czuł, jak znowu wzbiera w nim gniew. Rodzina Yima zajmowała się arboretum od dwóch pokoleń. Yim był dobrym

znajomym ojca, ale nie tylko dlatego Yongje go tu zostawił. Nie było drugiego jak on, z jego talentem do kształtowania krajobrazu, znajomością drzew i miłością do samego arboretum. Doskonale umiał wszystko naprawić, czy chodziło o elektrykę, czy o sprawy czysto mechaniczne. Yongje nie potrzebował nigdy nikogo innego. Ale nie mógł wybaczyć, kiedy ktoś uczestniczył w jakichś działaniach za jego plecami. Teraz Yim był numerem trzy na jego prywatnej liście ludzi, z którymi musi zrobić porządek.

Yongje przeglądał nagranie z poprzedniej nocy. Na bilecie z bramki na autostradzie widniała godzina 21.20, Seryong uciekła zatem mniej więcej około 21.40. Tylną furtkę zamykano o 21.00, a kamery nie zarejestrowały żadnego ruchu przy głównej bramie. Gdzie ona się podziała? W tej okolicy nie było gdzie się schować na cały dzień.

Pomyślał nagle o jednej lokalizacji, która wcześniej mu umykała: o samym jeziorze. Tylko tam jeszcze nie szukali. To jednak oznaczało, że Seryong nie żyje, znalazła się na zawsze poza jego zasięgiem. Za nic w świecie nie chciał o tym myśleć. Musiał je obie, matkę i córkę, sprowadzić tam, gdzie ich miejsce.

Yongje wrócił do domu, znowu była 21.20. Chciał prześledzić kroki Seryong, żeby odkryć, którędy pobiegła, uciekając od niego.

Wiedział, dlaczego miała pełny makijaż i włożyła bluzkę matki: tęskniła za nią. Jakiś czas temu też to zrobiła, została wtedy ukarana. Wczoraj miała urodziny i na pewno tęsknota za matką jeszcze wyraźniej dała się jej we znaki. Tym bardziej że nie miała z kim świętować.

Jej pokój był czysty, nie znalazł też śladów krwi, które były tam wcześniej. To na pewno robota kobiety, która przychodziła do nich sprzątać. Yongje wynajął ją po tym, jak zniknęła Hayong. Od tamtej chwili wieści o tym, co dzieje się u niego w domu, zaczęły przeciekać do mieszkańców wioski. Ta kobieta była numerem cztery na jego liście.

Yongje zdjął skarpetki. Seryong poprzedniej nocy też była boso. Otworzył okno, dokładnie o 21.40 wszedł na parapet i zeskoczył przed budynkiem. Poczuł na stopach zimną, wilgotną ziemię. Deszcz ciągle padał, mgła była nawet gęstsza niż poprzednio. W arboretum było ciemno, prawie wylądował na drzewie, ale nie włączył latarki, bo



Seryong też żadnej nie miała. Rozejrzył się, ścieżkę w kierunku głównej ulicy spowijał mrok – za daleko od latarni. W stodwójce też było ciemno. Wiedział, że poprzedniej nocy powinno być tam świecić światło, ale zignorował to. Jedyne źródło światła, w dodatku słabe, znajdowało się przy głównej bramie, na skraju arboretum. Po drugiej stronie biegła ciemna droga. Uliczka przy mieszkaniach była bliżej, do tego lepiej oświetlona, ale Seryong spodziewała się, że będzie jej szukał.

Miała dwie opcje: ciemną ścieżkę, na której nie czekał tata, i jasną, przed budynkami, oznaczającą jednak spotkanie z nim. Strach przed nieznanym w ciemności kontra realna krzywda. Co zwyciężyło? To drugie, tak nakazałby jej instynkt. Pobiec w stronę, która przynajmniej w tamtej chwili dawała większe szanse na przeżycie. W dodatku to była ścieżka prowadząca do kota, którym opiekowała się przez minione dwa lata. Może od samego początku tam właśnie chciała uciec.

Yongje otworzył tylną furtkę i wyszedł na ścieżkę. Szedł przed siebie we mgle, wodząc palcami po drucianym płocie – tak na pewno zrobiła też ona. Przejście zajęło mu dużo mniej czasu, niż się spodziewał. Kiedy znalazł się na końcu dróżki, spojrzął na zegarek – była 21.55. Wyszedł na drogę prowadzącą do jeziora. W pobliżu wieży poboru wody sprawdził jeszcze raz godzinę: 22.02. To właśnie tutaj wczorajszej nocy widział podejrzany ruch. Wyjął telefon i przejrzał historię połączeń. Zeszłej nocy dzwonił do Yima mniej więcej z tego miejsca. To, co dostrzegł na wyświetlaczu, składało się w całość: do Yima telefonował o 22.01. Ten podejrzany ruch, który tu wtedy zauważył, to była ona.

Spróbował zobaczyć sytuację jej oczami. Kiedy we mgle skierowały się na nią światła samochodu, musiała być pewna, że to on. Musiała szybko gdzieś się ukryć. Yongje włączył latarkę i rozejrzył się. Był dwa kroki od furtki do przystani. Podeszedł tam. Może zauważyła, że pod furtką było trochę miejsca. Może już wcześniej dobrze o tym wiedziała.

Swoją kopią klucza otworzył kłódkę i zdjął łańcuch, po czym przeszedł przez furtkę. Wyobrażał sobie, jak ona przeczołgała się pod spodem, kiedy jego samochód przemykał tuż obok. Co zrobiła potem? Czy zeszłaby niżej, nad wodę? Mgła była gęsta. Usiadł

pośród zarośli rosnących po obu stronach rampy. Ona zrobiła to samo? Musiała się zastanawiać, czy ją widział, czy podjedzie z powrotem i zatrzyma się przy furtce. Wyłączył latarkę. Zrobiło się zupełnie ciemno. Słysząc było tylko szum wody przepływającej przez śluzy. Siedziała tu na pewno, skulona, trzęsąc się na dźwięk jego głosu, chyląc się, żeby nie dosięgło jej światło jego latarki. Nawet nie miałyby okazji, by pomyśleć o strachu przed ciemnymi wodami jeziora. Tylko co stało się potem? Czy kiedy już nie było go w pobliżu, wyszła z powrotem na drogę? Czy pobiegła do stodoły? Ukryła się jeszcze gdzie indziej? Yongje włączył latarkę i rozejrzał się po jeziorze. Zauważył barkę Josong przycumowaną do przystani i podszedł tam.

Kucając na pokładzie łodzi, spoglądał na brzeg, furtkę, rampę. Wtedy dostrzegł coś białego na powierzchni wody, uczeponego do pomostu. Zeskoczył, pochylił się i to wyciągnął. Trzymał w palcach kawałek białego materiału, jedwabiu, jak z bluzki, którą Seryong miała na sobie. Ale zanim mógł bliżej mu się przyjrzeć, coś innego zwróciło jego uwagę. Pod powierzchnią wody błysnęło. Poświecił tam latarką i zobaczył coś zielonego, fluorescencyjnego. Zanurzył rękę w wodzie i palcami wyczuł jakby cienką linkę. Pociągnął delikatnie i z wody wydobył żyłkę z uwiązany do niej szałwiami. Zauważył, że była do czegoś przymocowana. Przegryzł ją zębami i odwiązał ten kawałek, który był przywiązany do pomostu. Trzymał teraz około trzech metrów żyłki ze szałwiami, nigdzie jednak śladów haczyka. To ewidentnie nie był sprzęt wędkarza, nie był to też śmieć, który znalazł się tam przypadkiem. Może ktoś z obsługi zapory to zamontował? Trzeba będzie się dowiedzieć.

Po powrocie do domu dokładnie obejrzał kawałek materiału. To musiała być ta bluzka. Kupił ją Hayong przed rokiem, na jej urodziny. Biała bluzka bez rękawów, z wąskimi plisami i suwakiem na plecach. Pamiętał, jak pomagał jej go zasunąć, bo sama nie mogła dosięgnąć. Próbował sobie wyobrazić, jak ten skrawek mógł znaleźć się w wodzie. Wyobraził sobie, jak Seryong biegnie nad brzeg, przeciska się pod furtką i wtedy jej ubranie o coś zahacza. Oderwany kawałek materiału deszcz zmywa powoli do jeziora. Ale gdzie się podziała sama Seryong? Szukał już wszędzie, prześledził wszystkie tropy. Czy możliwe, żeby ktoś tam z nią był? Wyobraził ją

sobie, jak wyglądała ostatnim razem, kiedy ją widział: długie rozpuszczone włosy, tapeta na twarzy, bluzka zwisająca jej z ramion, bosa stopy. Coś nagle przemknęło mu przed oczami, cień wspomnienia z poprzedniej nocy: kiedy zatrzymał wtedy samochód przed przystanią, czy furtka była zamknięta na łańcuch i kłódkę? Pamiętał, że sprawdzał, czy jest otwarta, i okazało się, że nie. Kłódka i łańcuch zamykały furtkę. Od środka! Tego dnia rano, kiedy sam się tam wybrał, otworzył kłódkę wiszącą od środka, a wychodząc, odruchowo powiesił ją i zamknął od zewnętrznej strony. Tętno mu przyspieszyło. Jeśli w nocy kłódka wisiała po wewnętrznej stronie, to znaczyło, że ktoś tam był! Ktoś inny miał klucz. Teraz już rozumiał: ktoś ją zgwałcił i zamordował, a potem wrzucił ciało do jeziora. Musiał się teraz koniecznie dowiedzieć, kto uwiązał żyłkę do pomostu.

Gdy tylko otworzyły się sklepy w mieście S, Yongju zajrzał do wszystkich mających cokolwiek wspólnego z wędkowaniem, pokazywał żyłkę i pytał. Nikt nie miał pojęcia, po co komu było potrzebne coś takiego – dopiero w ostatnim sklepie, do którego zaszedł, usłyszał coś przydatnego: że mógł tego użyć ktoś, kto nurkuje. Z tą informacją Yongje popędził do klubu wodnego i zwrócił się prosto do właściciela.

– To miernik głębokości – osądził tamten od razu. – Przydaje się, kiedy ktoś chce nurkować w zbiornikach wodnych w górach. Na wysokości standardowe mierniki nie działają dobrze. Ta farba świadczy, że ktoś tego używa do nurkowania nocą. Spławiki mogły też służyć jako punkty orientacyjne.

– Co to właściwie oznacza? – pytał Yongje.

– Jeśli się tę żyłkę uwiązuje po drodze, można potem dzięki niej wrócić na brzeg dokładnie tą samą drogą.

– Czyli to żadna amatorszczyzna?

Właściciel klubu tylko pokręcił przecząco głową.

Nurkowanie w jeziorze Seryong było surowo zabronione. Dlatego pewnie ten ktoś nurkował nocą. Nie wiadomo tylko, czy był w wodzie dokładnie wtedy, kiedy Seryong tam pobiegła, czy może którejś innej nocy. Należało znaleźć tego nurka.

Wrócił do domu, wziął prysznic, ogolił się, przebrał, po czym poszedł do mieszkania kierownika ochrony zapory.

Siedzieli w salonie naprzeciw siebie.

– Znalazł pan coś? – zapytał kierownik.

Yongje tylko pokręcił głową.

– Czy ktoś z załogi zapory nurkuje?

– Nurkuje? Myśli pan, że wpadła do jeziora? – Mężczyzna był zaskoczony pytaniem.

– Nie jestem pewien. Ale to też jakaś możliwość.

Kierownik wahał się przez chwilę, zanim się znowu odezwał.

– Bierze pan pod uwagę, że mogli ją porwać? To całkiem prawdopodobne, wie pan, jest pan zamożny...

– Już byśmy coś usłyszeli, gdyby tak było. Minęły dwa dni. Sprawdzam wszystkie możliwości i dlatego tu przyszedłem – tłumaczył Yongje. – Myślałem, że może zna pan kogoś, kto mógłby przeszukać dno.

– Sam nie wiem. Na innych zaporach mają kluby nurków, ale u nas akurat nie.

– Na pewno jest wśród załogi ktoś, kto nurkuje dla zabawy. Jesteśmy prawie nad oceanem. – Yongje nie dawał za wygraną.

– Wiedzielibyśmy o tym.

– Mogę jednak prosić o przysługę? – zapytał Yongje.

Kierownik nie czuł się komfortowo, ale przytaknął.

– Czy mógłby mi pan pokazać nagrania z waszego monitoringu? Chodzi o drogę nad brzegiem od za kwadrans dziesiąta tamtej nocy, dwudziestego siódmego.

– Przepraszam, ale nie mogę – odpowiedział kierownik. – Taśmy są zamknięte w pomieszczeniu kontroli i tylko pracownicy mają do nich dostęp.

– Ale przecież wpuszczacie tam nawet wycieczki szkolne – protestował Yongje.

– To co innego. Wycieczki zgłaszane są oficjalnie i są wtedy częścią naszych obowiązków. Nie możemy tam zapraszać nikogo innego.

– Nawet jeśli zaginęło dziecko?

– Wiem, jak pan się czuje. Doskonale wiem. Dlatego pożyczyłem panu tamten klucz.

– I jestem za to bardzo wdzięczny. Ale tylko jeszcze...

– Za ten klucz mógłbym naprawdę mocno beknać...

Yongje musiał odpuścić.

– To może pan je przejrzy i powie mi, czy coś tam widać?

Kierownik robił się wyraźnie poirytowany.

– Nic nie zobaczymy. Tamte kamery przy jeziorze nie są na podczerwień, w nocy są bezużyteczne. W dodatku była mgła.

– Ale światła samochodu albo latarki by wychwyciły?

– Niech pan uruchomi policję. Na ich żądanie udostępniemy taśmy bez gadania.

– Zgłaszałem już zaginięcie. Nie mogę czekać, aż się ogarną. Co by pan zrobił, gdyby to pańska córka zaginęła? Czekalby pan, aż policjanci raczą się zabrać do roboty?

Kierownik spojrzał w kierunku drzwi, zza których podsłuchiwała ich jego starsza córka, i przegonił ją.

– Proszę – próbował jeszcze Yongje. – Chodzi tylko o godzinę, między za dziesięć dziesiąta a za dziesięć jedenasta.

Kierownik w końcu odpuścił.

– Dobrze, pojedziemy razem – zgodził się.

Zostawił Yongje w biurze ochrony przy głównym wejściu, a sam pojechał dalej, żeby przejrzeć taśmy. Na służbie był tego dnia znowu Park. Yongje podszedł do niego i poprosił o kubek wody. Skorzystał z okazji i najswobodniej, jak umiał, zapytał go, co robi w wolnym czasie.

Park odpowiedział, że śpi albo jedzie do rodziny.

– Nie ma pan hobby? – zapytał Yongje. – Podobno niektórzy lubią nurkować, a jesteście nad oceanem.

Park się skrzywił.

– Do nurkowania trzeba mieć kasę. Za naszą pensję to można sobie co najwyżej magazyn o nurkowaniu poczytać.

– A ten młody ze stodwójki? On nie nurkuje? – pytał Yongje.

– A, nie wiadomo. Nic o sobie nie mówi.

Więcej się z Parka nie dało wycisnąć. Nawet nie zaproponował, żeby Yongje zaczekał w środku. Patrzył tylko w ekran monitoringu, po czym nagle wstał. Kierownik wracał do samochodu.

– W tym czasie rzeczywiście przejeżdżały tędy samochody – opowiadał, kiedy wracali.

– Widać może jakie? – zapytał Yongje.

– Za ciemno. Ale było widać światła dwie po dziesiątej i sądząc po prędkości i kierunku, to był samochód.

Yongje przytaknął. To jego wóz.

– Ale to dziwne – mówił dalej kierownik. – Zazwyczaj prawie nie ma tu ruchu po zmroku, a tamtej nocy były w sumie dwa samochody.

Yongje wstrzymał oddech. Byli już z powrotem przed swoimi mieszkaniami.

– Ten drugi był koło dwudziestej drugiej czterdzieści. Jechał naprawdę szybko i nagle się zatrzymał. A po jakichś dwudziestu minutach odjechał.

– Wiadomo, gdzie to było?

– Ciężko mi powiedzieć, nie jestem ekspertem, ale mam nadzieję, że choć trochę pomogłem.

– Tak, bardzo – odpowiedział Yongje. – Dziękuję.

Yongje poszedł do biura ochrony arboretum, gdzie znalazł dokumenty mieszkańców kompleksu. Wyszukał PESEL tego idioty ze stodwójki. Drugi samochód. Stał tam dwadzieścia minut.

Instynkt mu podpowiadał, że powinien zacząć od tego młodego sąsiada.

Nocne zmiany były dla Sunghwana jak zesłanie. Od szóstej wieczorem do ósmej rano, długie godziny zupełnie samemu. Noce były nieznośnie ciche, ciemne i zdecydowanie za długie. Słysząc było tylko wodę przepływającą przez śluzy. Nie było nic innego do roboty, jak patrolować budynek. Sunghwan zazwyczaj czytał, siedział w internecie albo próbował pisać. Tej nocy jednak coś innego przykuło jego uwagę.

Dokoła jeziora umieszczonych było osiem kamer monitoringu: cztery obok przegrody oddzielającej śmieci od jeziora, po jednej na wieży poboru wody, na przystani, wyspie Hansoldung i jedna w miejscu, gdzie droga nad brzegiem kończyła się ślepo. Tych osiem kamer, w odróżnieniu od pozostałych na zaporze i w okolicy, było starych, miały może z dziesięć lat i kiedy zapadała ciemność, były do niczego – ekrany do nich podłączone robiły się czarne. Tylko czasem było widać światła samochodów przejeżdżających obok. Zazwyczaj jechały tamtędy, bo ktoś pomylił drogę, nie było tu nic, po co warto by kiedykolwiek przyjeżdżać, i wszystkie te samochody

zawracały po chwili w ślepych zaułku. Nieczęsto widać było cokolwiek innego. Tym razem jednak nadarzyła się taka rzadka okazja.

Było krótko po 22.00, Sunghwan siedział przy biurku z kubkiem kawy, gapiąc się bez większego zainteresowania w ekrany, kiedy zauważył białe światło na przystani – tak słabe, że łatwo było je przeoczyć. Wstrzymał oddech i patrzył. Światło się zatrzymało, poruszyło, pokręciło chwilę i zupełnie zniknęło. To musiała być latarka. Ktoś wszedł do przystani i potem z niej wyszedł. Ale kto? Odruchowo pomyślał o sobie poprzedniej nocy. Jego lampka prawdopodobnie zostawiła podobne ślady, miał nadzieję, że Park, który wtedy pracował, zdrzemnął się albo zajmował czym innym. Nie wspominał potem, że widział cokolwiek na swojej zmianie. Sunghwan odchylił się i oparł o krzesło. Czy to mógł być Oh Yongje? Nie było mowy o tym, żeby tam teraz iść i sprawdzać, przypomniał sobie, jak rano niespodziewanie musiał go i jego kumpla wpuścić do mieszkania. Przyszło mu wtedy do głowy, że to dziwne, z jakim zaangażowaniem szukają awarii sieci. Jeśli on nie zabił swojej córki, to musiał jej teraz szukać. Jeśli ją jednak zabił, to odgrywał znakomity teatr, prezentując siebie jako zmartwionego ojca.

Sunghwan chodził w tę i z powrotem przed pomieszczeniem kontroli systemu. Chciał wejść do środka i sprawdzić nagrania z nocy, kiedy to on sam przekradał się do przystani. Nie mógł tam jednak tak po prostu wejść, sam był pod nadzorem kamer na swojej zmianie. Cokolwiek zrobi, w poniedziałek rano zobaczy to jego kierownictwo.

Okolo północy uspokoił się nieco. Nawet jeśli było coś na nagraniach, nie mógł już nic na to poradzić. Usiadł z powrotem na krześle przy biurku.

O świcie przestało padać. Kiedy wychodził z pracy, mgła zdążyła się już nieco przerzedzić. Maszerował drogą wzdłuż brzegu, patrząc pod nogi, i przy tylnym wejściu do arboretum uderzył go nagle wizerunek Seryong.

*Zaginęła dziewczyna*

*Oh Seryong*

*11 lat, piąta klasa Szkoły Podstawowej Seryong*

*Widziana ostatnio około 21.40 w piątek 27 sierpnia  
Długie włosy, jasna cera, znamię wielkości monety  
na lewej stronie szyi  
Ubrana w dużą białą bluzkę  
Proszę o kontakt z ochroną arboretum*

Na zdjęciu Seryong była w kostiumie baletnicy, ale Sunghwan od razy wrócił pamięcią do ich ostatniego spotkania, pod wodą.

Uciekł spod zdjęcia i pobiegł do mieszkania tak szybko, jak mógł. Musiał się czym prędzej zająć kilkoma sprawami, żeby nic nie rzuciło podejrzeń na niego. W suszarce leżał mokry kombinezon, w plecaku miał aparat do zdjęć pod wodą i lampkę, nie mówiąc już o całym sprzęcie do nurkowania. Oh Yongje go na szczęście nie widział, ale jego nowy szef miał się wprowadzić za dwie godziny. I kto wie, kiedy policja zacznie chodzić i zadawać pytania.

Sunghwan rzucił zdjęcia podwodnej wioski z aparatu do chmury, po czym wykasował je z urządzenia. Sprzęt do nurkowania i kombinezon włożył do pudełka. Miał zamiar wysłać je do swojego brata w Suwonie. Kiedy wypisywał adres, zadzwoniła jego komórka. To był ten policjant, którego poznał wtedy w przychodni. Sunghwan miał przyjść na komisariat i odpowiedzieć na kilka pytań w związku ze zniknięciem Seryong. Wsunął pudełko do szafy i wyszedł.

Kiedy tylko usiadł przed policjantem, tamten przeszedł od razu do sedna.

– Widział ją pan w piątek wieczorem?  
– Nie – odpowiedział Sunghwan.  
– Mieszka pan obok, na pewno nie?  
– Nie zapyta pan jej ojca, jak to się stało, że mu córka w środku nocy zniknęła?

Policjant uderzył dłonią o blat biurka.

– Zaginęła, nikt nie widział jej od piątkowego wieczoru. Niech pan pomyśli, jak on się musi czuć. Niech pan, tak po ludzku, okaże trochę współczucia! Nie widział jej pan?

Sunghwan pomyślał, że to go naprawdę zdenerwowało. Ale nie wzburzył się, myśląc o tym, co ten stroskany ojciec, mądry i przystojny przedstawiciel lokalnej elity, zrobił swojej córce?



Policjant przesłuchiwał go jeszcze przez pół godziny, zadając zupełnie bezsensowne pytania, aż Sunghwan zaczął się niecierpliwic. Jego nowy szef miał przyjechać, zapowiadał się na dziesiątą, a zegar na ścianie pokazywał już dwadzieścia po. W dodatku Sunghwan zostawił komórkę w mieszkaniu. Nie uszło to uwadze policjanta.

– Widzę, że się panu gdzieś spieszy. To wszystko na dzisiaj, ale na pana miejscu nie wyjeżdżałbym stąd na razie – ostrzegł go.

– Co pan ma na myśli? – dopytywał Sunghwan.

– Taka przyjacielska porada – odparł tamten. – Nie jest pan stąd. No i ta sprawa wtedy z tą dziewczyną...

To nie wróżyło dobrze. Pomyślał, że może należało wcześniej zgłosić, co zobaczył, gdy wynurzał się z jeziora, ale teraz było na to za późno. Mieszkał obok niej, był przyjezdny, już raz wcześniej był zamieszany w jej sprawy domowe. Gdyby nagle zaczął opowiadać inną wersję wydarzeń, nie skończyłoby się to dla niego dobrze.

W całej wiosce porozklejane były plakaty ze zdjęciem Seryong. Szedł do domu z pochyloną głową i patrzył pod nogi, żeby ich nie widzieć. Zatrzymał się przy wejściu do arboretum. Jakiś obcy chłopiec stał przed znakiem „Witamy” i wpatrywał się w zdjęcie Seryong, kciuk miał zatknięty w sprzączkę u spodni. Wtedy Sunghwan zauważył też, że chłopca obserwuje Oh Yongje.

– Hej! – krzyknął Yongje do dzieciaka.

Chłopiec podniósł głowę.

– Co tu robisz? Nie znam cię! – krzyczał dalej.

Chłopiec odwrócił się do niego.

– To teren prywatny, nie możesz tu wchodzić.

Obaj przez chwilę tylko stali i patrzyli na siebie.

– Mój tata jest kierownikiem ochrony na zaporze, właśnie przyjechaliśmy – odpowiedział chłopiec. – A pan to kto? – zapytał łagodnie.

Jego matka wspominała, że chodzi do piątej klasy, miał więc jakieś jedenaście lat. Ale w ogóle nie wydawał się speszony, stojąc tak przed facetem w wieku jego ojca. Musiał mieć śmiałość we krwi.

Nawet sam Yongje wydawał się pod wrażeniem.

– Słodki – zauważył.

– Takie rzeczy to się mówi, jak się kaczkę karmi – zaprotestował chłopiec.

– A kto ci tak powiedział?

Jakby w odpowiedzi na to pytanie biały matiz nadszedł z przeciwnej strony. Sunghwan podszedł w kierunku chłopca, a samochód zatrzymał się bliżej Yongje. Wszedł z niego wielki mężczyzna. Wielki mężczyzna z małego samochodu. Sunghwan pomyślał, że musiał być sportowcem.

– Tata! – zawołał chłopiec. – Znalazłeś pana Ahna?

Jego nowy szef przekroczył ulicę w trzech krokach.

– Jeszcze nie. – Hyonsu spojrział na plakat.

Sunghwan miał właśnie zamiar się przedstawić, ale uprzedził go Yongje.

– Oh Yongje, właściciel arboretum.

Hyonsu nieco zeszywniał.

– A, tak. Jestem nowym kierownikiem ochrony na zaporze – odpowiedział zupełnie, jakby dopiero się obudził. – Wprowadzamy się właśnie do sto dwa.

– Tak mi się zdawało, że widzę furgonetkę z kartonami – mówił Yongje. – Mieszkam w sto jeden. Dał już pan znać administracji?

– Jak tylko skończymy wszystko wnosić – wymamrotał Hyonsu.

Sunghwan zastanawiał się, czy jego nowy szef jest na coś chory, czy może po prostu to skrajny introwertyk. Chłopiec nie wyglądał na pocieszonego. Miał pewnie nadzieję, że jego ojciec olbrzym potrząśnie trochę tym aroganckim typem.

– Proszę to zrobić teraz – ponaglił Yongje. – Trzeba panu przyznać nieograniczony dostęp do posesji i przypisać miejsce parkingowe. – Yongje spojrział jeszcze na matiza i odszedł w swoją stronę.

Wtedy dopiero Hyonsu zerknął na Sunghwana, który podszedł bliżej.

– To ja jestem Ahn Sunghwan – zaczął. – Przepraszam, że was nie przywitałem.

– Choi Hyonsu – przedstawił się olbrzym i wyciągnął rękę.

Sunghwan uściśnął ją. Była zimna i wilgotna.

– A ja jestem Choi Sowon – przedstawił się chłopiec i też wyciągnął rękę.

– To ty jesteś więc moim współlokatorem. – Sunghwan uściskał mu dłoń.

– Tak, to ja. – Sowon rzucił okiem w kierunku Yongje, który szedł do swojego mieszkania, i mówił dalej głośno i wyraźnie: – Mój tata miał współlokatora w szkole, Kim Ganghyona, tego miotacza. Zna go pan, prawda? Grał w Fightersach.

Yongje zatrzymał się na chwilę i odwrócił, żeby na nich spojrzeć. Chłopiec udał, że wykonuje perfekcyjny rzut niewidzialną piłką, która poleciała w kierunku Yongje. To oczywiście, że była wymierzona idealnie w niego.

– Mój tata był najlepszym łapaczem Fightersów – mówił Sowon. – Gdyby tylko nie uszkodził sobie ramienia, byłby dzisiaj sławny.

Yongje stał dalej w miejscu, nie był zły na małego, ale też nie wykazywał szczególnego rozbawienia.

– Idź z panem Ahnem – powiedział Hyonsu do syna i poklepał Sunghwana po ramieniu ciężką dłonią. – Ja się wybiorę do administracji.

Sowon przytaknął. Sunghwan polubił tego dzieciaka.

– Proszę iść do tylnego wejścia – zawołał do Hyonsu. – Administracja jest za mieszkaniami.

Hyonsu wcisnął się do samochodu i odjechał. Yongje nadal stał w miejscu, kiedy Sunghwan i Sowon szli przed siebie ścieżką.

Przez głowę Sunghwana przemknęła myśl, że to ciekawe, jak bardzo ojciec i syn się od siebie różnili. Nie tylko fizycznie, ich charaktery też były zupełnie odmienne.

Choi Hyonsu... Sunghwan nie mógł skojarzyć tego nazwiska. Może ojciec Sowona był tylko rezerwowym graczem i dlatego nic o nim nie wiedział. O Kim Ganghyonie coś tam słyszał, trafił nawet do reprezentacji narodowej. Zapamiętał, żeby sprawdzić potem nazwisko swojego nowego szefa.

Chwilę później minęli Yongje, który cały czas stał pośrodku ścieżki. Sunghwan poczuł dreszcze. Szeroko otwarte ciemne oczy Yongje utkwione były w Sowonie. Jak ta wielka rura przy wieży poboru wody, która zasysała wszystko, co było w jej pobliżu.

Hyonsu otworzył nagle oczy. Wpatrywał się w sufit, oddychał ciężko. Głos, który go wołał, ucichł, ale sen jeszcze się nie rozplynął. Pola sorgo koloru krwi, szumiące w ciepłej bryzie, słony posmak mgły i morza, światło latarni morskiej gdzieś na horyzoncie. Tkwił tak, mrugając, dopóki ten obraz nie wyblakł. Leżał na podłodze w salonie nowego mieszkania. Nie miał poduszki ani kołdry. Był cały spocony, bolały go plecy. Usiadł, jego lewa ręka zwisała bezwładnie. Zdawało mu się, że się poprawiło, odkąd przestał grać. Po raz pierwszy od sześciu lat obudził się ze sparaliżowaną ręką.

W domu było pusto, tylko na stole stało śniadanie. Obok niego były jeszcze pojedyncze pudła, których już wczoraj nie dali rady ruszyć.

Hyonsu poszedł do łazienki i odkręcił wodę pod prysznicem, ale tylko gorącą. Zdjął koszulę i usiadł na brzegu wanny. Pochylił się, żeby woda dosięgnęła jego bezwładnej lewej ręki. Ciężko mu było usiedzieć, w głowie mu dudniło. Było mu zimno, nos miał zatkany. Poprzedniej nocy upił się do nieprzytomności i usnął na podłodze w salonie. Eunju nawet nie pomyślała, żeby go chociaż przykryć kocem. Zasłużył sobie. Gdyby mógł, powiedziałby jej, że wczorajszego dnia nie byłby w stanie przeżyć na trzeźwo.

Kiedy dotarli do Seryong, był wykończony. Nie fizycznie, ale psychicznie. Odwaga, która wstąpiła w niego wcześniej, kiedy sobie popił, wyparowała przez noc. Droga nad jezioro była jak zakładanie sobie powrozu na szyję albo stanie na krawędzi mostu na chwilę przed skokiem. Kiedy dojechali na miejsce, Sunghwana nie było w mieszkaniu, nie odbierał też komórki. Hyonsu otworzył drzwi, żeby mogli wnieść pakunki, i poszedł go szukać. Lepiej było wyjść pod pretekstem szukania go, niż zostać i kłócić się z Eunju, gdzie co ma iść.

Zamarł, kiedy zobaczył plakat przy wejściu do arboretum. To była ona. Twarz na zdjęciu i ta, która wryła mu się w pamięci, nieco się różniły, ale nie na tyle, żeby jej nie rozpoznał. Stał i patrzył zszokowany. Chwilę później poznał jej ojca... Okazało się, że jest właścicielem całego terenu. I że będą od teraz sąsiadami. Hyonsu zaczął panikować.

Nie poszedł do biura administracji. Nie chciał, żeby ktokolwiek wiedział, że będą tu mieszkać, najchętniej uciekłby daleko stąd.

Ale gdzie mógłby pójść? Eunju dała mu listę rzeczy, które trzeba kupić: woda, worki na śmieci, mleko, żarówki, sznur na pranie. Równie dobrze mógłby zacząć od tego prostego zadania. Poszedł do sklepiku przy autostradzie i koniec końców został na kilka łyków. Jakiś czas potem Sunghwan i Sowon przyszli po niego. Pamiętał jak przez mgłę, że pomagali mu wstać.

Hyonsu spojrzął na swoją lewą rękę. Czucie zaczynało wracać, pojawiło się mrowienie na całej długości, aż po czubki palców. Razem z czuciem zaczęły też napływać do niego nowe, nieokreślone emocje. Wspomnienia zamknięte w odrętwiałej ręce rozchodziły się po całym ciele, w miarę jak wracała ona do życia. Odczucia zaczęły w nim wariować, było mu jak w kalejdoskopie. Wszystkie zmysły równocześnie skierowały się na wspomnienie jednej chwili, każdy po swojemu przypominał o tym, co się wtedy stało. Wydawało się, że już nigdy nie będzie ucieczki, że jedynym wyjściem będzie znieczulanie zmysłów. Wyszedł czym prędzej z łazienki i prawie wpadł na Eunju, która stała z workiem na śmieci w ręce. Nawet nie zauważył, jak odruchowo schował lewą rękę za plecami.

– Idziesz gdzieś? – zapytał ją i od razu pożałował, że się w ogóle odezwał. Nie trzymała przecież w ręce torebki, tylko worek na śmieci.

Eunju się nie odezwała, tylko odwróciła, przymknęła oczy i poszła w swoją stronę. Słyszał jej ciężkie kroki. Zachowywała się tak już od soboty. Hyonsu wyszedł w końcu do pracy.

Kiedy był już w biurze ochrony, spojrzął w lustro i zauważył, że zapomniał się ogolić. Sunghwan, który był tam od jakiegoś czasu, uśmiechnął się współczująco i podał mu swoją golarkę.

– Od września jestem na śluzach – tłumaczył Sunghwan. – Miałem w sobotę nockę, więc jutro mam wolne.

Hyonsu przytaknął.

Następne godziny przeleciały szybko. Poznał swoich nowych pracowników, poszedł się przywitać z tymi od konserwacji i rozeznał się, gdzie co jest i jak funkcjonuje zaporę. Koło jedenastej miał w końcu chwilę dla siebie; chwycił z szuflady pęk kluczy.

– Idzie pan gdzieś? – zapytał Sunghwan.

– Powiedzieli, że powinienem jeszcze rozejrzeć się po zaporze.

– Mam iść z panem?

– Nie, nie trzeba. – Hyonsu machnął na niego. – Poradzę sobie.

Chciał obejrzeć miejsce wypadku w spokoju. Mógł też teraz dobrze przyjrzeć się samemu jezioru. Bał się konfrontacji ze wspomnieniem, ale musiał się upewnić, że niczego nie przeoczył, że nie zostawił żadnego śladu. Bił się z myślami – równie mocno chciał iść i sprawdzić, co uciec. Był tak pochłonięty sobą, że nie rozpoznał od razu mężczyzny stojącego przy furtce prowadzącej do ekranu wyłapującego śmieci. Zorientował się dopiero, kiedy stanęli niemal twarzą w twarz. To był Oh Yongje.

– Różni się pan? – zapytał Yongje.

Hyonsu odchrząknął, poczuł się jak w potrzasku. Ten człowiek był ostatnią osobą, którą chciał tutaj zobaczyć. Zrobił małe przedstawienie sprawdzania łańcucha i kłódki. Zauważył, że na słupie nad brzegiem są cztery kamery monitoringu, każda skierowana w inną stronę. Neonowe kule ze styropianu unosiły się na powierzchni wody, znacząc położenie ekranu.

– Ma pan klucz? – zapytał Yongje, wskazując na furtkę.

Hyonsu udał, że nic nie słyszał.

– Jak pan myśli, co to jest? – pytał dalej Yongje, nie zwracając uwagi na to, że Hyonsu nie odpowiada. Wskazał palcem na ekran, na wodzie unosiło się coś białego. – Powiem panu, co ja myślę. Mnie to wygląda na bluzkę mojej córki.

Yongje stał tam i bez większych emocji patrzył w dal na wodę. Hyonsu przeszły ciarki po plecach. Czy ten facet miał sokoli wzrok? Jak on to mógł stwierdzić z takiej odległości?

– Sprawdźmy to – zaproponował Yongje.

– Mam tam pana wpuścić? – Głos Hyonsu brzmiał obco nawet dla niego samego.

– Nie jestem pracownikiem, musi pan pójść przodem, zgadza się?

Hyonsu niechętnie otworzył furtkę. Zeszli drewnianymi schodkami ramię w ramię. Yongje odłamał długą gałąź i podszedł do słupa. Biały przedmiot tkwił na jednej z neonowych kul mniej więcej dwa metry od słupa. Yongje złapał się go i manipulował gałęzią, próbując zahaczyć o przedmiot w wodzie. Był blisko, ale nieco mu brakowało, a kiedy w końcu mu się udało, był mocno wychylony nad

powierzchnię jeziora. Hyonsu poczuł, jak wzbiera w nim przerażająca chęć, żeby wepchnąć tego faceta do wody i przytrzymać na tyle długo, by nie musiał go już nigdy oglądać. W ustach poczuł kwaśny smak, jego lewa ręka zaczęła dygotać.

Wtem coś białego upadło przy jego nogach. Odsunął się zaskoczony. Yongje był z powrotem przy nim, na jego czole pulsowała żyła, wargi miał dziwnie wydęte. Odezwał się cicho:

– Miałem rację. Trzeba to teraz zgłosić.

Policja pojawiła się na miejscu po dwudziestu minutach. Kierownictwo zapory od razu wydało zgodę na poszukiwania i w ciągu następnych godzin czterech nurków przeszukiwało wody zbiornika, począwszy od miejsca, w którym pojawiła się bluzka.

Wzdłuż płotu zaczęli zbierać się gapie, wkrótce było ich około czterdzieścioro. Tłumek krzyczał do nurków i mówił im, co powinni robić. Starszy mężczyzna ganił ich za zakłócanie spokoju jeziora. Pozostali musieli go odciągnąć siłą.

Nurkowie wypływali na powierzchnię co pięć minut, sygnalizowali coś sobie i zanurzali się z powrotem. Posuwali się stopniowo na południe. Za każdym razem, kiedy wypływali, w żyłach Hyonsu buzowała adrenalina. Gdy wracali pod wodę, czuł kwaśny zapach własnego potu, patrząc bez wytchnienia na powierzchnię wody. Zupełnie zapomniał o Yongje. Nie zdawał sobie też sprawy, że od dłuższego czasu u jego boku stał Sunghwan. Zorientował się dopiero, kiedy tamten się odezwał.

– Proszę tylko nie patrzeć.

Nie bardzo rozumiał, co tamten miał na myśli, ale też niewiele się tym przejmował.

– Kiedy spojrzysz się nieboszczykowi w oczy, jest już za późno. – Sunghwan mówił dalej, po cichu. – Przed tym spojrzeniem nie ma dokąd uciec. Trzeba wtedy skierować wzrok na coś w oddali. Na drugi brzeg jeziora albo w górę...

Niebo pociemniało, słońce schowało się za ciężkimi, ołowianymi chmurami, zerwał się wilgotny wiatr. Hyonsu nie stał już nad brzegiem jeziora. Był teraz obok swojej matki, przed starą studnią na polu sorgo. Nie dochodziły z niej żadne dźwięki, lina przywiązana do pleców nurka się napinała. Drugi nurek, stojący przy studni, trzymał koniec liny i raz po raz wycierał pot z twarzy. Powietrze było lepkie,

od słodkiego zapachu sorgo robiło się niedobrze. Słyszał, jak za jego plecami mamrotali do siebie mieszkańcy wioski.

– Wiedziałem, że któregoś dnia coś się tu stanie.

– Tę studnię trzeba było już dawno przykryć.

– Co by to dało? Pijany był, poślizgnął się.

– Co też pan opowiadasz? Ubranie zdjął i złożył w kostkę, a potem się niby poślizgnął?

– Sam by się nie zabił. Na pewno był opętany. Myślał, że to jezioro, i chciał popływać.

– Biedna kobiecina, co ona teraz z czwórką dzieci pocznie...

Lina schodząca w głąb studni zaczęła się poruszać, ludzie przestali gadać. Na pola napłynęła mgła, wiatr kołysał krwawoczerwone łodygi sorgo. Matka chwyciła Hyonsu za rękę. Zrobiło mu się niedobrze.

Wszystko się na siebie nakładało i jednocześnie rozpadało. Przez szczeliny w rzeczywistości usłyszał, jak ktoś krzyknął: „Znaleźli ją!”.

Nurkowie wyłynęli na powierzchnię w pobliżu wyspy Hansoldung i skierowali się w stronę brzegu, przy którym stał Hyonsu. Pomiedzy sobą trzymali kępę długich czarnych włosów. Kiedy byli bliżej brzegu, Hyonsu dostrzegł chude, blade ręce, potem ramiona i plecy. Wkrótce ciało wyniesiono na brzeg. Miała na sobie tylko bieliznę. Nurkowie ułożyli ją na czarnym worku, jej głowa była przechylona na jeden z boków, akurat ten zwrócony ku Hyonsu. Patrzyła na niego ciemnymi, pustymi oczami. Jej opuchnięte, sine wargi wyszeptały: „Tata”.

Hyonsu wstrzymał oddech. Cały świat wokół niego się zatrzymał. W tej przerażającej chwili tylko jego lewa ręka rzucała się jak złowiona ryba. Wspomnienie, które próbował uciszyć, pędziło do niego jak pociąg. Zrobił krok w tył, mrużąc oczy. Jego twarz płonęła. Oczy tej dziewczyny odciskały na nim niezmywalne piętno, żeby już nigdy nie mógł zapomnieć, żeby jego podświadomość nie mogła tego niczym przykryć. „To nie był wypadek. Zabiłeś mnie”.

– To moja córka – odezwał się nagle Yongje.

Hyonsu oprzytomniał.

Yongje przykrył ciało dziewczyny białą bluzką. Jego oczy były takie same jak jej.



– Zapali pan? – zapytał detektyw, wyciągając paczkę papierosów.

– Nie palę – odpowiedział Yongje.

– Rozumiem.

Detektyw włożył sobie papierosa w usta i usiadł naprzeciwko Yongje, który siedząc oparty na krześle, obserwował, jak tamten szuka zapalniczki. Był po czterdziestce, dobrze zbudowany, wysokie czoło. Jego wielkie, kwadratowe trzonowce wyglądały jak śluzy na zaporze. Młodszy partner podał mu zapalniczkę. Detektyw wydmuchnął długą smugę dymu w kierunku Yongje.

Ci dwaj pojawili się na miejscu godzinę po wyłowieniu ciała. Byli z policji w mieście S, najwyraźniej sprawa była na tyle poważna, że przekazano ją do centrali regionu. Urządzili sobie tymczasową kwaterę w miejscowym komisariacie.

Yongje został wezwany jako pierwszy. Potrzebowali jego zeznania.

– Wszystko podałem, kiedy zgłaszałem zaginięcie – powiedział im.

– Poprosimy jednak jeszcze raz. I proszę podawać najdrobniejsze szczegóły.

Yongje wyrztał przez okno na zachodzące słońce. Jeszcze kilka godzin i zrobi się tak ciemno, że nie będzie nic widać.

Wcześniej, po południu, zauważył Ahna Sunghwana, jak stał zaraz obok nowego szefa ochrony nad jeziorem. Miał ochotę złapać go za ubranie i wrzucić do jeziora, żeby to on sam zaczął jej szukać.

Yongje otrzymał wiadomość od firmy Wsparcie. Hayong nadal pozostawała nieuchwytna, ale dowiedzieli się całkiem sporo o tym koleśku z sąsiedztwa. Tak naprawdę dowiedzieli się prawie wszystkiego, co można było o nim znaleźć, łącznie z numerem buta. Szczególnie ciekawe było, że mieli do czynienia z synem zawodowego nurka. Sunghwan zaczął schodzić pod wodę w wieku jedenastu lat i służył w marynarce wojennej. Wyglądało na to, że jednak był nurkiem, i to z doświadczeniem w służbach specjalnych...

Yongje nie znał się w ogóle na nurkowaniu, ale coś jednak wiedział. Na przykład że ciała w normalnych warunkach wypływają na powierzchnię po trzech, czterech lub pięciu dniach. To dlatego wybrał się tego dnia nad jezioro. Minęły dokładnie trzy dni od

zaginięcia Seryong. Obliczył sobie, że jej ciało powinno pojawić się w okolicy ekranu na śmieci, jeśli nikt nie uwiązał do niej kamieni. To tam zaniósłby ją ruch wody. Na ekranie znaleźli jedynie jej bluzkę, miał więc rację tylko po części. Był wtedy pewien, że została zgwałcona, zamordowana i wrzucona do wody. Z całych sił walczył z odruchem rzucenia się na Sunghwana. Nie mógł mu jednak niczego udowodnić, miał jako dowód jedynie kawałek żyłki, a to było stanowczo za mało. Nawet jeśli żyłka była jego, to jeszcze wcale nie oznaczało, że cokolwiek zrobił ani że w ogóle był nad jeziorem tamtej nocy. Yongje musiał mieć niepodważalny dowód, dopiero wtedy mógłby go pogrążyć.

Seryong jednak w końcu znaleziono. Powiedzieli mu, że leżała na dnem na plecach, półnaga. Dopiero kiedy zobaczył jej ciało, prawda o jej śmierci zaczęła do niego docierać – miał wrażenie, że ciągle spada. Cofnął się, ramiona mu się trzęsły. Był oburzony, że jego córka leży obnażona na oczach innych ludzi. Jak to możliwe, że jego świat był niszczone w taki sposób? I nic nie mógł na to poradzić. Zacisnął zęby i patrzył tylko, jak jej ciało zasuwa w czarny worek. Położą ją potem na stole i zmasakrują, żeby zbadać przyczynę śmierci. Chciał ją podnieść, wymierzyć jej policzek, obudzić i zabrać do domu. Chciał krzyczeć.

– Panie Oh – odezwał się detektyw, przyglądając się zamyślonemu Yongje.

– Kiedy będą wyniki sekcji?

– Za kilka dni – odpowiedział, nie spuszczać oczu z Yongje. – Wtedy powinno być już wiadomo, czy to był wypadek, czy nie.

– A pan co myśli?

– Myślę, że może tu chodzić o morderstwo. A pan?

Yongje milczał.

– Wiedział pan, że była w jeziorze? – pytał dalej detektyw. – Nowy szef ochrony zeznał, że zastał pana nad brzegiem, tam gdzie znalazł pan ubranie.

– Po prostu domyśliłem się, że tylko tam jeszcze nikt nie szukał.

– Dlaczego? Jest tyle innych miejsc. Mogła na przykład zostać porwana.

– Czy pan ma córkę? – zapytał Yongje.

Młodszy detektyw rzucił mu przelotne spojrzenie, nie przerywając wklepywania wszystkiego do laptopa.

– Mówi pan więc, że to taka ojcowska intuicja?

– Tak.

Detektyw pokiwał głową.

– No dobrze. Zacznijmy od początku – kontynuował przesłuchanie. – O której godzinie córka wyszła z domu?

– Chyba około dwudziestej pierwszej czterdzieści.

– A co robiła do tamtej pory?

– Spała u siebie w pokoju.

– Czy w takim razie lunatykowała i wyszła?

– Nie, obudziła się i wybiegła.

– A dlaczego wybiegła? – pytał dalej detektyw.

– Nie lubiła być korygowana – przyznał Yongje.

– Korygowana? Jak korygowana? Mówi pan przecież, że spała.

– Wróciłem z konferencji w Seulu. Dom wyglądał jak chlew.

Dlatego ją obudziłem – wyjaśniał Yongje.

– Obudził ją pan biciem? Czy najpierw obudził, a potem zaczął bić? – dopytywał detektyw.

Yongje skrzyżował ręce na piersi i przez chwilę wpatrywał się w swoje kolana. W końcu się odezwał:

– To drugie. Pamiętam, że uderzyłem ją w policzek.

– I po tym od razu uciekła? Jak najdalej od bijącego taty, czyli nad jezioro?

– Ona się łatwo denerwuje, a wtedy robi się pobudliwa. Rzuciła we mnie palącą się świeczką i uciekła przez okno. Wybiegłem za nią, ale nie mogłem jej już znaleźć.

Opowiedział im potem o swoich poszukiwaniach, jak objechał całe jezioro, jak wydawało mu się, że widzi biały poruszający się obiekt koło starej stodoły, że stał przy furtce do przystani, myśląc, że może przecisnęła się pod nią. I jak nigdzie nie mógł jej znaleźć.

– Nie wracała całą noc – tłumaczył dalej. – Następnego dnia zgłosiłem zaginięcie i zorganizowałem poszukiwania. Zaglądaliśmy wszędzie w arboretum i wiosce, w lesie, na farmie, na przystani, przeszliśmy brzegami jeziora. Ale nic nie znaleźliśmy.

– Nic?

– Zupełnie nic.

– Jak w takim razie nieznanie niczego zasugerowało panu, że mogła wpaść do jeziora? – pytał detektyw.

– Jeśli nie było jej nigdzie na powierzchni ziemi, to gdzie mogłaby się podziać? O ile mi wiadomo, latać nie umiała.

Puścili go po dwóch godzinach. Wieści zdążyły się już rozejść i do wioski zjeżdżali dziennikarze. Robiło się ciemno.

Yongje szybkim krokiem przeszedł przez arboretum. Chciał już być w domu, wziąć prysznic, napić się czegoś wysokoprocentowego, żeby przytłumić myśli huczące mu w głowie. A potem się położyć i leżeć.

Pod domem stał zaparkowany matiz. Yongje pomyślał, że to żalotne, że taki wielki facet jeździ takim autem – zrozumiałby, gdyby to był samochód jego żony. Spojrzał na fluorescencyjną czaszkę wiszącą przy lusterku wstecznym. Coś mu przypominała, ale nie umiał jej umiejscowić.

Wrócił myślami do poprzedniego dnia, kiedy tamten mały przyglądał się plakatowi ze zdjęciem Seryong. Yongje nie spodobało się, w jaki sposób chłopak patrzył na jego córkę. Chciał go porządnie kopnąć i kazać mu odczepić się od niej. Wtedy podjechał do nich ten olbrzym. Yongje przypomniał sobie, że już wtedy rzuciła mu się w oczy ta czaszka pod lusterkiem. Przeszło mu przez myśl, że gdzieś ją widział, i to całkiem niedawno. Szybko się okazało, że mimo swojej postury ten wielkolud jest cichy, nieśmiały i wycofany. Za to dzieciak miał tupet! Przerastał swojego nieudanego ojca o wiele poziomów.

Czy Seryong kiedykolwiek stanęłaby w obronie taty z takim zawzięciem? Yongje próbował sobie przypomnieć, grzebał we wspomnieniach, ale ostatecznie się poddał. Co on właściwie robił? Stał przed swoim ciemnym, pustym domem, siląc się na znalezienie jakiegokolwiek dowodu na to, że córka go kochała. Czy Hayong w ogóle wiedziała, że jej córka nie żyje? Śmierć Seryong była tematem numer jeden, a jej matka nawet się nie pofatygowała, żeby zadzwonić. Kto okazał się tym lepszym rodzicem? Przyzwyczał się do tego, że wypełniał go gniew, ale teraz owładnęło nim zupełnie inne uczucie – smutek. Owiąło go niczym zimny podmuch. Usiadł na schodach.

Patrzył bez celu przed siebie, na samochody zaparkowane przed budynkami. Jego bmw, biały matiz. Biały matiz... czaszka. Nagle – w końcu – wspomnienie tak błahe, że trudno było je uchwycić, wypłynęło na powierzchnię. Trzy ciężarówki wiozące stal, biały matiz, na którego musiał trąbić, żeby ustąpił mu miejsce na drodze. To było zaraz koło zjazdu na Seryong! Zatrąbił na niego i przyspieszył. Fluorescencyjna czaszka szczyrzyła zęby zza szyby. To był piątek wieczorem, niedługo potem zginęła Seryong. Czy to ten samochód? Ilu ludzi mogło mieć białego matiza z czaszką podwieszoną pod lusterkiem? Jeśli to był on, co to mogło oznaczać?

Tamtej nocy nad jeziorem był drugi samochód. Jechał bardzo szybko, potem zatrzymał się gwałtownie, a po dwudziestu minutach już go nie było. Co się wydarzyło w czasie tych dwudziestu minut? Wyobrażał sobie, jak Seryong krzyczy z przerażenia, próbując przeczołgać się pod furtką. A może wybiegła na drogę dokładnie w chwili, kiedy tamten jechał...

Yongje wstał i poszedł nad jezioro. Na ciemnym niebie wisiał czerwono-pomarańczowy księżyc w pełni. Zbierała się lekka mgła. Szedł powoli przez noc, słuchając wody przepływającej przez zapórę i odgłosu własnych kroków. Poza tym było zupełnie cicho.

Sunghwan przeszedł przez furtkę na przystań. Chciał odruchowo zapiąć łańcuch od środka, ale przyszło mu do głowy, że nie ma sensu, bo przecież będzie tu minutę, może dwie. Kiedy był już bliżej wody, zatrzymał się i chwilę nasłuchiwał. Cykady. Przy krawędzi pomostu kucnął i pochylił się, znalazł ręką filar, ale niczego przy nim nie było. Serce mu zamarło. Sprawdził pozostałe filary – wprawdzie pamiętał dokładnie, gdzie przywiązał żyłkę, ale upewnił się mimo to. Nic nie znalazł. Poszukał jeszcze ręką w wodzie, lecz bez rezultatu. Włączył latarkę i poświecił na powierzchnię jeziora. Nic.

Dopiero tego dnia, kiedy nurkowie przeczesywali jezioro, przypomniał sobie, co go tak męczyło, gdy wychodził z wody tamtej nocy. Miał wtedy przeczucie, że o czymś zapomniał, i wreszcie uświadomił sobie o czym. Żyłka. Przywiązał żyłkę do pomostu, a potem jeszcze do kilku miejsc w zatopionej wiosce.

Kiedy usłyszał, co się dzieje, wytłumaczył się jakoś Parkowi i ruszył nad jezioro. Nie miał żadnego planu. Nie mógł przecież

niczego zrobić, kiedy nad brzegiem zebrała się cała wioska. Nawet gdyby nurkowie znaleźli żyłkę, nadal był bezradny, ale nie mógł też tak po prostu siedzieć na miejscu i czekać.

Hyonsu stał na brzegu, blady, spocony, gapił się na całe to zamieszanie. Widać było, że kosztuje go to sporo nerwów. Jeśli spojrzalby w oczy dziewczynie, byłoby po nim. Sunghwan widział to już wcześniej, tacy ludzie stawali się opętani.

Kiedy gapie zaczęli krzyczeć, że znaleźli dziewczynę, Sunghwan chciał zasłonić oczy Hyonsu, ale taki gest byłby zbyt poufały. Zamiast tego wyszeptał, żeby nie patrzył. Obserwował potem bezradnie, jak Hyonsu zostaje wciągnięty w okropności śmierci.

Najbardziej zaskakujące było zachowanie Oh Yongje. Podczas poszukiwań stał na brzegu i wszystkiemu się przypatrywał, jego spojrzenie było spokojne, wydawał się niezaangażowany. Kiedy jednak przynieśli ciało, zmienił się diametralnie – był wtedy rozpaczającym ojcem. Co było w takim razie prawdą? Jego spokój czy cierpienie?

Odciągnął przełożonego, potem czekał, aż zapadnie ciemność, żeby wrócić i poszukać żyłki. Miał na sobie ubranie robocze, w razie gdyby na kogoś się natknął. Mógłby wtedy udawać, że jest w pracy i wykonuje swoje obowiązki.

Ale teraz wymachiwał ręką i nie mógł jej znaleźć. Może przywiązał ją słabiej, niż miał wrażenie, i się poluzowała. Wydawało mu się nieprawdopodobne, że nurkowie się na nią nie natknęli, ale też nikt jeszcze o niej nigdzie nie wspomniał. Może uznali, że umieścili ją tam ludzie od konserwacji zapory. Albo może policja nie ujawniała wszystkich zebranych informacji. Sunghwan tak naprawdę obawiał się jednak, że to Oh Yongje ją znalazł. Wtedy na pewno pokazałby ją policjantom i wspomniał jeszcze o tej nocy, kiedy Sunghwan przywiózł dziewczynę do przychodni. Serce po raz kolejny mu zamarło. Zrobiło mu się niedobrze.

Wstał i niemal się przewrócił, widząc, że Yongje stoi tuż za nim.

– Co pan tu robi? – zapytał Yongje, przechylając nieco głowę.

Sunghwana zatkało. Serce mu waliło. Nie miał pewności, czy czasem nie krzyknął.

– Wędkuje pan w środku nocy?

– Robię obchód, w ramach pracy – odpowiedział w końcu, szczęśliwy, że jednak włożył ubranie robocze.

– I robicie też obchody w wodzie? – Yongje podszedł jeszcze bliżej, blokując mu drogę. – A co tam widać, jak się pochyli i zanurzy rękę?

Kiedy Sunghwan już odrobinę odnalazł się w sytuacji, uświadomił sobie, że Yongje musiał go śledzić. Jak inaczej wytłumaczyć, że obaj znaleźli się tutaj w środku nocy?

– Dawno temu, kiedy policja nie miała jeszcze własnych nurków – zaczął tłumaczyć Sunghwan – zatrudniała ludzi do wyławiania ciał.

Yongje wsadził ręce do kieszeni i słuchał.

– Mówimy na nas „krokodyle” – ciągnął Sunghwan.

Ojciec uczył go, żeby oddać napastnikowi portfel i uciekać. To samo miał zamiar zrobić teraz – dać Yongje to, czego chce, ale na własnych zasadach.

– Przestrzegamy pewnych reguł, przesądów – mówił dalej. – Po pierwsze, nie wchodzić do wody, kiedy pada. Po drugie, nie wchodzić do wody po alkoholu. Po trzecie, nie ruszać zwłok, które stoją.

– Ciekawe, stojące zwłoki... – zauważył Yongje. Jego czoło lśniło w świetle czerwonego księżyca.

– Ci, którzy zajmują się topielcami, mają swoje przesady. Mówi się, że krokodyl zaślepiony przez szansę zarobku umiera tego dnia, kiedy tknie stojące zwłoki. Czasami znajduje się ich pod wodą, ramię w ramię z topielcem. Stojące zwłoki to podwodny upiór, czekający, żeby zabrać kogoś w zaświaty.

– I co to ma do rzeczy? – zapytał Yongje.

– Jestem synem krokodyla. Tamtej nocy siedziałem w domu z piwem i oglądałem mecz. Gdy się skończył, zaczęło padać – odpowiedział Sunghwan i podszedł do furtki.

Yongje nie zatrzymał go, był zajęty dopasowywaniem do siebie kawałków usłyszanej właśnie opowieści: żyłka, Seryong, krokodyle. Zawołał:

– Mam pytanie.

Sunghwan się odwrócił.

– Nie było tu wtedy pańskiego nowego szefa?

Tego się nie spodziewał. Co się działo w głowie tego człowieka?

Yongje pytał dalej:

– Może chciał obejrzeć mieszkanie albo co?

– Nie, nie było go – odpowiedział Sunghwan.

– Czy on jest z tych okolic?

– Dlaczego pan pyta?

– Wydaje mi się, że już gdzieś się spotkaliśmy – odparł Yongje.

– Dlaczego sam go pan nie zapyta? Po co tak węszyć? – odpowiedział Sunghwan i dodał szybko: – Jak pies.

Odwrócił się i wyszedł przez furtkę. Wiedział, że po zadanym ciosie najlepiej jest oddalić się i ukryć. Yongje nie szedł za nim. Sunghwan zamknął furtkę od zewnątrz. Niech się tamten przeczołga albo wspina. W ogóle go to nie obchodziło. Zatrzymał się po chwili przy wieży poboru wody, wyciągnął z kieszeni notes i długopis. Zapisał: „Hyonsu i Yongje już się wcześniej spotkali. Tylko kiedy?”. Przejrzał notatki, trzeba je będzie w końcu uporządkować – wszystko, co wydarzyło się od piątku, gdy widział Seryong przy przystanku, do teraz. Wszystko, począwszy od tego, co widział, a na tym, co wiedział, skończywszy. Musiał się jakoś zabezpieczyć, a do tego potrzebna mu była dokładna znajomość sytuacji.

Kiedy wchodził do mieszkania, Eunju naskoczyła na niego.

– Pan sam? A gdzie mąż?

Sunghwana zmroziło. Twarz kobiety miała uprzejmy wyraz, ale jej oczy kipiały złością. Za nią stał Sowon, przyłożył sobie do głowy palce wskazujące, udając, że ma rogi, i puścił oko do Sunghwana. Dawał mu znać, że jego matka jest zła.

– Nie wiem, coś mnie zatrzymało w pracy – wymamrotał Sunghwan.

– Myślałam, że jesteście razem. Mąż nie odbiera, do pana też się nie mogłam dodzwonić.

Sunghwan wsadził rękę do kieszeni i wyjął komórkę. Pamiętał, że wyłączał ją w drodze do przystani. Ostatnią rzeczą, jakiej wtedy chciał, to żeby telefon zaczął mu dzwonić.

– Był wyłączony – usprawiedliwił się.

– Nie wie pan, dokąd mógł pójść? – pytała dalej Eunju.

Stała skamieniała jak posąg, wydawało się, że już nigdy nie ruszy się z miejsca.



– Mamo, pan Ahn chyba jest głodny. – Sowon ciągnął matkę za rękaw.

Odrzuciła go.

– Najpierw tata musi wrócić z pracy, potem możemy jeść.

Poprzedniego wieczoru też tak mówiła. Zupełnie jakby to zadaniem Sunghwana było pójść i przyprowadzić szefa na kolację.

– Poszukam go – zaoferował.

Eunju odwróciła się i poszła do kuchni.

– Na pewno przyjdzie – powiedziała, jakby odpuszczała całą sprawę. Miała dar przekonywania ludzi, żeby robili to, co chciała, bez mówienia im niczego wprost.

Sunghwan odwrócił się i wyszedł. Sowon pobiegł za nim, krzycząc jeszcze: „Ja też pójdę!”.

Eunju odkrzyknęła, żeby o tym nawet nie myślał, ale Sowona nie było już w mieszkaniu.

Ścieżkę prowadzącą do autostrady spowijała ciemność. Delikatna błękitna poświata widoczna była jedynie na szczycie Seryong, pochodziła z iglicy przy tarasie widokowym i sklepikach.

– Mama jest dzisiaj naprawdę zła – zagadnął Sunghwan, włączając latarkę. Sowon trzymał się blisko niego.

– Tak – zaczął chłopiec. – Bo tata złamał obietnicę.

– Jaką obietnicę?

– Że nie będzie już pił. Mama mówi, że za pieniądze z butelek można by wybudować pałac.

Sowon brzmiał smutno, Sunghwan postanowił więc zmienić temat, zanim będzie za późno.

– A jak tam twoja nowa szkoła? Podoba ci się?

– Jest bardzo mała. Tylko jedna klasa na każdy rok.

– A ile jest dzieci?

– U mnie w klasie tylko trzynaście.

– To chyba fajnie – zauważył Sunghwan. – Wszyscy się wtedy kolegują.

– Nie bardzo – odpowiedział Sowon. – Dzieci z wioski nie zadają się z tymi od zapory. Nie wiem, z którymi mam się trzymać, bo dzieci od zapory też się ze mną nie zadają.

– Żadne z nich?

Sowon zaprzeczył ruchem głowy.

– Mówią do siebie, że mieszkam w „tych” domach.

Z Seryong też nikt się nie chciał zadawać. Mówili o niej dokładnie to samo.

Sowon kontynuował, zupełnie jakby wyczuł, że Sunghwan pomyślał o Seryong.

– Tam jest obrazek, który ona narysowała. Ta, co... zaginęła, ta z plakatu. To taki... artystyczny rysunek.

Sunghwan uśmiechnął się mimo woli.

– A co to za rysunek? – zapytał.

– Na parapecie siedzi kot i patrzy na drzewa. Drzewa trochę błyszczą, bo jest pełnia. Za jednym z nich widać długie włosy. One tak powiewają, jakby ktoś właśnie biegł się schować. Widać biegnące nogi dziewczyny między drzewami. I są też gołe stopy, idą do nieba – wytłumaczył Sowon. – Napisała, że tytuł to *Raz, dwa, trzy, Baba Jaga patrzy*. Chyba bawili się w to między drzewami, tymi, co rosną za domem. Te części dziewczyny to chyba widzi kot, kiedy się bawią – dokończył, po czym spojrzał w górę na Sunghwana. – Ona... nie żyje, prawda? – wyszeptał. – Widziałem ją.

Sunghwan był zaskoczony. Nie przypominał sobie, żeby dostrzegł Sowona nad jeziorem.

– Kiedy? – zapytał.

– Po szkole dzieci z wioski poszły oglądać nurków. Ja też poszedłem.

– Widziałeś wszystko?

Chłopiec przytaknął, miał ponury wyraz twarzy. Sunghwan poczuł ciarki na plecach.

– Chciałem podejść do was i wtedy ją wyciągnęli. Nie wiedziałem, że to ona. Miała dziwną twarz. Chciało mi się rzygać i chciałem iść, ale nie mogłem. Jakiś dorosły zasłonił mi oczy i powiedział, żebym nie patrzył. Jak już ją włożyli do karetki, zabrał rękę i powiedział, że to ona.

Sunghwan spojrzał w górę, na iglicę przy autostradzie. Poczuł przyływ niepokoju.

– Jej kot – mówił dalej Sowon – nie wie, że ona nie żyje. Czekał na nią pod jej oknem dzisiaj wieczorem.

– Widziałeś Erniego?

– Skąd pan wie, jak się nazywa?

– Słyszałem kiedyś, jak go wołała – odpowiedział Sunghwan. – A ty skąd wiedziałaś, że to jej pokój?

– Przyniosłem mu puszkę tuńczyka, a on nie uciekł. Powiedziałem „kici, kici” i postawiłem przy nim puszkę. Zjadł wszystko. A kiedy jadł, patrzyłem w okno i zobaczyłem jej zdjęcie, to samo co na plakacie. Chciałem przestać patrzeć, ale nie mogłem. Myślałem, że coś do mnie powie.

– Bałeś się – wytłumaczył chłopcu.

Sowon pokręcił głową.

– Nie. Myślałem, że może wcale nie umarła.

Dotarli do tarasu i sklepików przy autostradzie.

– Co masz na myśli? – zapytał Sowona.

– Ta dziewczyna na zdjęciu – zaczął, ale się wahał. – Jest bardzo ładna.

Latarnia świeciła akurat na twarz chłopca. Sunghwan zauważył, że się rumieni.

Hyonsu stał boso w najwyższym punkcie tarasu widokowego, niebezpiecznie wychylając się za barierkę. Spoglądał w ciemność przed i pod sobą. Sunghwan się zatrzymał. Za dnia można było stamtąd podziwiać jezioro, ale o tej porze, po tym, jak zebrała się mgła i zasłoniła wszystko aż po krawędzie gór... Co on właściwie robił? I gdzie podziały się jego buty?

Sowon zawołał: „Tata!”.

Hyonsu otrząsnął się, obrócił i spojrział w ich stronę. Był blady i nieobecny, oczy miał szeroko otwarte, patrzył nimi na Sowona, ale widać było, że go nie dostrzega. Wyglądał dokładnie jak wtedy, kiedy wyciągnęli ciało Seryong z wody. Jakby zobaczył ducha.

Eunju kupiła worek jabłek z przyczepy na parkingu koło autostrady. W każdym worku było po dziesięć owoców zerwanych w sadzie po sąsiedzku. Zapłaciła tylko trzy tysiące wonów – to była cena, o jakiej w Seulu można tylko pomarzyć. Złość trochę jej przeszła.

Udała się na taras widokowy i położyła jabłka na stole tak, żeby leżały w cieniu parasola. Usiadła, wybrała sobie najładniejsze, najbardziej czerwone i soczyste, i wytarła o bluzkę. W chwili gdy zrobiła pierwszego gryza, zadzwonił jej telefon. To była jej siostra,

Yongju. Kawalek jabłka, który właśnie odgryzła, był zbyt duży, żeby go połknąć w całości, a szkoda byłoby wypluć. Odebrała połączenie i wymamrotała „cześć”, ale wyszedł z tego tylko niezrozumiały pomruk.

– Co? – zapytała Yongju. – Gdzie ty jesteś? Strasznie tam głośno.

Eunju przegryzła i mogła już swobodnie rozmawiać.

– Na tarasie widokowym – odpowiedziała siostrze.

– Co ty tam robisz? Mówiłaś, że tylko chodzą tam pić.

Eunju przyszła zapytać o pracę. W poniedziałek uporowała się z rozpakowywaniem, nagotowała, posprzątała. We wtorek rano była w szkole Sowona zapytać, czy potrzebują kogoś w stołówce. Nie potrzebowali. Potem przyszło jej do głowy, żeby dowiedzieć się w fast foodzie przy autostradzie. Płaciliby grosze, ale przynajmniej miałyby blisko. Dobrze płatnej pracy musiałyby szukać w mieście S, po drugiej stronie góry.

Tego ranka była w biurze do spraw zatrudnienia przy parkingu i tarasie widokowym, żeby złożyć CV.

– Pani położy – powiedziała od niechcenia młoda kobieta za biurkiem. Nawet nie spojrzała na Eunju, była zajęta nakładaniem kolejnej warstwy makijażu.

Miała położyć papiery i czekać czy położyć i iść? Eunju stała tak jeszcze chwilę i wreszcie zapytała:

– *Agassi\**, mam czekać na jakieś potwierdzenie, że pani przyjęła papiery?

Kobieta zamknęła przybornik z kosmetykami i spojrzała w górę.

– *Ajumma\*\**, pani położy to tutaj i idzie.

*Ajumma*?! Tak to mogła sobie mówić do kogoś w wieku swojej matki! Eunju nie spodziewała się, że ktoś ją omyłkowo weźmie za studentkę, ale nie wyobrażała też sobie, by ktokolwiek mógł pomyśleć, że jest aż tak stara. I dlaczego w ogóle ta dziewczyna tak się do niej odnosiła? Składała CV, pytając o pracę. Nie błagała o nic ani tym bardziej nie żebrała. Miała własne mieszkanie w Ilsanie i była jeszcze młoda. Zabrała swoje papiery i starała się, jak mogła, zachować fason.

– Słuchaj, *cycata agassi*. Jestem Kang Eunju, nie żadna *ajumma*.

Yongju śmiała się, słuchając relacji siostry.

– Czy ja wyglądam jak *ajumma*? – pytała Eunju. Yongju jednak nie podjęła tematu i zamiast tego zapytała:

– Ciągle nie rozmawiasz z Hyonsu?

– Ciągle – przyznała Eunju.

– A on nie przeprosił?

– Wydaje mi się, że coś się z nim w ogóle dzieje – odpowiedziała Eunju.

– Chyba jest mu tak wstyd, że nie wie, jak zacząć. Może ty zrób pierwszy krok – zaproponowała Yongju.

– Słuchaj – zaprotestowała Eunju – najgorsi są właśnie ci faceci, którzy piją całą noc, a potem biją żony. Nawet jeśli będzie błagał i próbował wszystko naprawić, nie wiem, czy mu wybaczę. Dlaczego miałabym to robić?

– Bo to był pierwszy raz. I to tylko policzek – upierała się Yongju.

Tak, to był tylko policzek, ale moc uderzenia odrzuciła ją w tył do salonu. Hyonsu nie zdawał sobie sprawy, ile ma siły. Wybaczyć mu to jakby uznać, że jej własne życie nic nie znaczy.

Zdawało się jej, że sama do tego wszystkiego doprowadziła. Za każdym razem przeproszał, a ona mu przebaczała, choć było jasne, że on nie dotrzyma słowa. Zawsze mu wierzyła, kiedy obiecywał, że przestanie pić. Rozpuściła go. Czekala teraz na właściwy moment. Kiedy przyjdzie do niej i poprosi o rozmowę, wtedy ona położy kres temu wszystkiemu. Wszystkiemu naraz: codziennemu picciu, papierosom, które znowu zaczął palić, nieodpowiedzialnemu zachowaniu, nieodbieraniu telefonów.

– Tak szczerze mówiąc – zaczęła Yongju – po co w ogóle kazałaś mu jechać, jeśli sama dałaś radę załatwić wszystko przez telefon? Poza tym wiesz, że faceci nie lubią, jak się do nich wydzwaniania, kiedy piją razem. On też ma się na co skarżyć.

Eunju czuła, jak zaczyna się denerwować. Jej siostra zawsze trzymała stronę swojego szwagra. Rozumiała się z nim lepiej niż z własną siostrą. Pewnie dlatego, że byli rówieśnikami, patrzyli na życie podobnie.

Eunju i Hyonsu poznali się, kiedy miała dwadzieścia siedem lat. Było lato. Spotkali się przez Yongju, choć siostra nie miała wcale zamiaru ich swatać. Właśnie została nauczycielką angielskiego,

promieniowała, wyglądała pięknie i prawie codziennie miała jakąś randkę. Tamtego lata wybrała się na krótką wycieczkę na wyspę Jeju w jakimś adoratorze, podczas gdy Eunju świętowała początek wakacji, leżąc przed wentylatorem w domu. Kiedy zastanawiała się, czy do ramyonu na obiad dodać pierożki, czy kluski ryżowe, zadzwoniła siostra. Okazało się, że była już na lotnisku na Jeju i zapomniała, że tego wieczoru miała umówione spotkanie z chłopakiem, którego nigdy wcześniej nie widziała, niejakim Choi Hyonsu, dwudziestoczteroletnim baseballistą. Był młody, dopiero co wyszedł z wojska, grał w lidze amatorskiej, ale miał się niedługo przenieść do profesjonalnej. Eunju nie miała zielonego pojęcia o baseballu.

– Mam iść na randkę z jakimś dzieciakiem? – zapytała siostrę.

– Teraz to żadna sprawa iść na randkę z młodszym. – Yongju broniła swojego pomysłu. – To profesjonalny sportowiec! Wykaż się odrobiną ciekawości.

Eunju, owszem, była ciekawa. Jacy właściwie byli gracze? Zaintrygowało ją, że był na dobrej uczelni, nawet jeśli dostał się tam tylko dzięki grze.

Wieczorem zajęła miejsce przy stoliku w eleganckiej kawiarni u stóp góry Mudung. Plan był taki, że jeśli ktoś zapyta o Kang Yongju, ona podniesie elegancko rękę, dając znać, że to o nią chodzi. Ale o wszystkim zapomniała, kiedy go zobaczyła. Nigdy wcześniej nie widziała tak potężnego mężczyzny, miała wrażenie, że to jeden z filarów budynku idzie w jej stronę.

– Czy pani Kang Yongju? – zapytał.

Miał na sobie zakurzone dresy i baseballówkę na głowie, zupełnie jakby w pośpiechu wybiegł z treningu.

Eunju podniosła się z miejsca.

– Miło mi – powiedziała.

Chłopak zdjął czapkę i ukłonił się uprzejmie, ale w taki sposób, jakby pozdrawiał nauczycielkę. Włosy miał krótko obcięte, wyglądał bardzo młodo. Eunju nie mogła oderwać od niego oczu, pojedyncze krople potu spływały mu po policzkach. Kiedy założył czapkę z powrotem, uśmiechnął się niezręcznie, zupełnie jak mały chłopiec. Wydawał się wrażliwy, co niesamowicie kontrastowało z jego

pokażną posturą. Jego delikatne spojrzenie zrobiło na Eunju duże wrażenie.

Czy tygrys może się przespać z kotem? Czy on jej niechcący nie zmiażdży, kiedy pójda do łóżka?

– Jestem Kang Eunju – odezwała się w końcu.

Hyonsu lekko uniósł daszek czapki, był zaskoczony.

Eunju odchrząknęła, z tego całego zakłopotania trudno jej było mówić.

– Yongju to moja młodsza siostra... Nie mogła dzisiaj przyjść, jest w podróży... Ja też byłam zajęta, ale poprosiła... Więc oto jestem.

– Aha... – odpowiedział. Tak wyglądało potem całe ich spotkanie. Nie pytał o nic, na wszystko odpowiadał krótkimi: „tak”, „nie”, „rozumiem”. Eunju przez cały ten czas zastanawiała się, czy nie jest nią zainteresowany, bo była od niego nieco starsza. Gdy jednak ich spojrzenia się spotykały, Hyonsu czerwienił się i lekko uśmiechał.

Dopiero kiedy wstawali i szykowali się do wyjścia, usłyszała od niego całe zdanie:

– Tego... jutro o pierwszej gramy mecz.

Zrozumiała, że to zaproszenie.

I tak miała wolne, nie miała innych planów, równie dobrze mogła pójść obejrzeć go w grze.

To był gorący dzień, trybuny były niemal zupełnie puste. Usiadła w niezadaszonej części, pod gołym niebem. Nie widziała twarzy Hyonsu, był za daleko, w dodatku nosił kask. Nie miała pojęcia, co dzieje się na boisku, i w końcu przysnęła w upale, a wtedy piłka upadła jej koło nóg. Otworzyła oczy, zaskoczona, i spojrzała na boisko – Hyonsu właśnie zdobywał drugą bazę, patrzył na nią. Widziała, jak pędzi przez kolejne bazy, wielkie stopy dudniły na suchej ziemi.

Jego *home run* pozwolił całej drużynie wygrać mecz. Przyszedł do niej na trybuny.

– Podaj mi piłkę – odezwał się bez żadnego „cześć” ani „jak się masz”. Podała mu ją, kompletnie osłupiała, a on wyciągnął pisak z kieszeni, nabazgrał coś na piłce i oddał ją Eunju.

– Muszę lecieć na autobus – rzucił na odchodne.

Eunju mogła tylko patrzeć, jak się oddala.

Na piłce napisał po angielsku: „Moją religią jest baseball. Sierpień '92, Choi Hyonsu”.

Po tym meczu przez dwa dni nie dawał znaku życia. Kiedy Yongju wróciła, Eunju od razu pokazała jej podpisaną piłkę. Znała oczywiście angielski na tyle, żeby zrozumieć słowa, które zapisał, ale nie potrafiła znaleźć w nich większego sensu.

Yongju niespecjalnie zainteresowała się samą piłką, zapytała o coś zupełnie innego:

– Powiedz: to jest Tim Robbins czy Kevin Costner?

Eunju jeszcze bardziej zgłupiała.

– Chodzi mi o jego sposób bycia – tłumaczyła siostra. – Którego bardziej przypomina?

Eunju nie bardzo wiedziała, jak odpowiedzieć. Hyonsu nie wydawał jej się podobny do Kevina Costnera. Nie kojarzyła też specjalnie Tima Robbinsa. I co to wszystko miało w ogóle ze sobą wspólnego?

Yongju przyglądała się jej.

– Nie jesteś Susan Sarandon – zawyrokowała. – Masz za małe cycki, to po pierwsze.

– O czym ty mówisz? – pytała zaskoczona Eunju.

– „Jego religią jest baseball” – mówiła Yongju. – To cytat z *Byków z Durham*.

– Z czego?

– To taki film o baseballu – tłumaczyła Yongju. – Susan Sarandon gra nauczycielkę angielskiego, która chętnie zaprasza do łóżka młodych graczy.

– Czyli? – zapytała zaskoczona Eunju. – Czy on sugeruje, że powinniśmy...

Yongju się zaśmiała.

– Nie, niekoniecznie. Może po prostu lubi ten cytat. W tym filmie ona ma na oku dwóch graczy. To właśnie Kevin Costner i Tim Robbins. Flirtuje z nimi oboma i sprawdza, który bardziej jej się podoba.

– Czyli on sugeruje, żebym się z nim przespąła – powiedziała Eunju.



– Nie – zaprotestowała Yongju. – Tłumaczę ci przecież, że nie musi mu o to chodzić. Spróbuj nas we trójkę umówić, to wybadam go i ci powiem.

Eunju przyglądała się siostrze – nauczycielce angielskiego, która co tydzień chodziła z innym chłopakiem. Miała w sobie więcej z Susan Sarandon, niż Eunju mogłaby kiedykolwiek dla siebie zamaryć. Ale faktem było, że okazałaby się pomocna.

Dwa dni później odezwał się Hyonsu. Wybierał się do Busanu i pytał, czy mogliby się zobaczyć przed jego wyjazdem. Eunju się zgodziła pod warunkiem, że będzie mogła przyjść z siostrą, bo miały w planach spędzić ten dzień razem.

– Tim Robbins – powiedziała Yongju, jak tylko zobaczyła Hyonsu.

Kiedy poszedł do toalety, Eunju zapytała od razu, jak właściwie wygląda Tim Robbins. Yongju podsumowała jego najważniejsze cechy:

– Metr dziewięćdziesiąt sześć wzrostu, chłopięcy uśmiech, słodki gapa.

Kiedy Hyonsu wrócił, Eunju dokładnie mu się przyglądała. Rzeczywiście widziała w nim cechy, które opisała siostra. Ale przypomniała sobie zdanie napisane przez niego na piłce i wydał jej się po prostu dupkiem udającym niewiniątko.

Yongju przerwała ciszę, mówiąc z uśmiechem:

– Wierzę w duszę, kutasa, cipkę, wcięcie w talii kobiety, podkręconą piłkę, błonnik, dobrą szkocką i w to, że książki Susan Sontag są do niczego. Wierzę, że Lee Harvey Oswald działał sam. Wierzę, że konstytucja powinna zabraniać sztucznej murawy i wyznaczonych pałkarzy. Wierzę w czułe punkty, soft porno...

Eunju czuła, jak twarz zaczyna ją piec. Co się, do diabła, działo z jej siostrą? Co ona nagle wygadywała?

Hyonsu uśmiechnął się tylko chłopięco i ciągnął dalej:

– ...w otwieranie prezentów w pierwszy dzień świąt, a nie w Wigilię. I wierzę w długie, wolne, głębokie, delikatne, wilgotne pocałunki, które trwają trzy dni.

Eunju w końcu zrozumiała, że to kolejny cytat z filmu. Yongju przyłożyła dłoń do policzka i udała, że mdleje z zachwytu:

– O ja cię...

Rozmowa ciągnęła się dalej między tą dwójką. Rozmawiali o baseballu, filmach, o nim, rozmaitych technikach gry. Nie było tam miejsca dla Eunju.

– Podobno łapacz w pierwszej kolejności uczy się nie mrugać, kiedy piłka leci mu prosto w twarz – powiedziała Yongju, uśmiechając się. W policzkach robiły jej się dołeczki.

Hyonsu był bardzo zaangażowany w rozmowę.

Eunju poczuła się gorsza, zdenerwowana, wykluczona. Yongju dostała po matce wszystko, co najlepsze: duże piersi i łatwość flirtowania. Eunju – tylko kulawe lekcje życiowe i zdolność przetrwania, a i to też wyłącznie dzięki temu, że matka mało się nią przejmowała. Siostrze udało się skończyć studia, znaleźć lepszą pracę, miała też łatwość w nawiązywaniu kontaktów. W miarę jak Yongju coraz śmieiej flirtowała z Hyonsu, Eunju czuła niepokój, bo zdążyła polubić tego chłopaka.

Gdy się żegnali, Hyonsu uściśnął rękę Yongju. Powiedział, że świetnie się bawił, po czym zwrócił się do Eunju:

– Nie będzie mnie cały następny tydzień. Mamy mecz w Daejonie w sobotę.

Później, wieczorem, Eunju zapytała siostrę o całą tę znajomość baseballa.

– Spotykałaś się już wcześniej z jakimś graczem?

Yongju tylko zachichotała. Trochę jakby litowała się nad starszą siostrą.

– Pamiętasz, jak miałam się z nim spotkać?

– Tak – odpowiedziała Eunju. – I co?

– Poczytałam trochę w internecie, żeby mieć z nim o czym rozmawiać.

Jeszcze tej samej nocy Eunju poszła do wypożyczalni i poprosiła o *Byki z Durham*. Nawet jeśli niewiele by z tego zrozumiała o samej grze, to przynajmniej wiedziałaby dokładnie, o co chodzi z Timem Robbinsem. Kiedy Yongju już zasnęła, Eunju usiadła sama przed telewizorem i oglądała. Cały czas jednak przeszkadzały jej niepokojące myśli, że jej siostra i Hyonsu tak dobrze się rozumieli.

Miała setki powodów, żeby pojechać w sobotę do Daejonu. Bo nic innego nie miała do roboty, bo bez sensu tak tylko siedzieć

w domu i czekać, aż skończy się urlop, bo chciała usłyszeć jakąś konkretną odpowiedź, bo nie chciała, żeby Tim Robbins nabierał życiowego doświadczenia w łóżku z młodszą, ładniejszą córką jej matki.

Wszystko wyglądało bardzo podobnie do meczu w Gwangju. Drużyna Hyonsu wygrała ostatecznie z Eaglesami siedem do czterech. Tym razem jednak Hyonsu porozmawiał chwilę z trenerem i nie pobiegł na autobus.

Tamtej nocy Eunju dowiedziała się bardzo wielu rzeczy. Że piłka, którą jej podpisał, była naprawdę ważna – to był jego pierwszy *home run*, odkąd dołączył do ligi. Że stracił ojca w wieku jedenastu lat. Że jego matka prowadziła jadłodajnię na budowie, w której też żyła z trójką jego młodszego rodzeństwa. Że mieszkał, razem z większością innych zawodników, w kwaterach zapewnionych przez drużynę. Że zarabiał tylko osiem milionów wonów rocznie, z czego większość wysyłał matce. Że wybrał się na randkę w ciemno, bo namawiali go koledzy, ale niespecjalnie czuł się gotowy na małżeństwo. Dowiedziała się nawet, że kotu nic się nie dzieje, nawet jeśli spędzi pod tygrysem całą noc.

Tamtej nocy poczęli Sowona. A teraz, w ten gorący letni dzień, poczuła, jak jej gniew wraca. Bo ten człowiek, któremu się poświęciła, zanim zdążyła się w ogóle dowiedzieć, jak to jest być z mężczyzną, wcale się nie okazał Timem Robbinsem. Jedyne, co łączyło tych dwóch, to mały rozum.

Wracając do domu i zbliżając się do arboretum, minęła tablicę z ogłoszeniami i zauważyła ofertę pracę. Szukali kogoś do ochrony w mieszkaniach zakładowych. Widziała to ogłoszenie już w dniu, w którym się wprowadzali, ale wtedy nie poświęciła mu w ogóle uwagi. Teraz jednak pomyślała, że mogłaby spróbować. Nie pracowała wprawdzie nigdy wcześniej w ochronie, nawet jej to przez myśl nie przeszło. Ale teraz, po rozmowie z tamtą smarkulą przy autostradzie, jej spojrzenie na sprawę nieco się zmieniło.

– Zadzwoń do ciebie za jakieś dwie godziny – powiedziała do siostry i rozłączyła się.

Przeczytała dokładnie ogłoszenie. Nie napisali nigdzie, że szukają koniecznie mężczyzny. Był tylko limit wieku: „do pięćdziesiątki”. Nie zastanawiała się więcej. Jej religią były konta

bankowe, a jej własne świeciły pustkami, odkąd kupiła mieszkanie. Papiery miała na szczęście ze sobą, poszła więc do biura administracji.

Oh Yongje siedział w swoim gabinecie sam i rozmawiał przez telefon. Eunju się zawahała. Słyszała od Sowona, co przytrafiło się jego córce, nie chciała mu zawracać teraz głowy. Jednak w momencie, kiedy odwracała się do wyjścia, zauważył ją, rozłączył się i odezwał:

– O co chodzi?

Nie sprawiał wcale wrażenia człowieka, którego spotkała tragedia. Miał na sobie czystą, wyprasowaną koszulę ze schludnie podwiniętymi rękawami.

Eunju wyciągnęła przed siebie papiery.

– Ja w sprawie pracy – wytłumaczyła.

Yongje patrzył na nią długo bez słowa. Zastanawiała się, czy on w ogóle się kiedykolwiek odezwie.

– To nie jest łatwa praca – powiedział w końcu.

– Tak, wiem o tym – odparła.

Przejrzał dokładnie jej CV i zaczął zadawać pytania. Miał nienaganne maniery i widać było, że to wykształcony człowiek. Tylko spojrzenie miał zimne. Eunju jednak niewiele sobie z tego robiła. To nie oczami wypłaca się ludziom pensję, a stawka była tu dwa razy wyższa niż na kasie w markecie.

– Kiedy może pani zacząć? – zapytał ją.

Eunju była szczęśliwa, że chciał ją przyjąć. Znalazła pracę na tym odludziu zaraz obok domu. Mało brakowało, a wypaliłaby: „Choćby i jutro”, musiała jednak zachować twarz i godność. Z profesjonalnym wyrazem twarzy odpowiedziała:

– Mogę zacząć w niedzielę.

– Tato! – krzyczał Sowon z za drzwi łazienki. – Jest ósma dwadzieścia!

Hyonsu siedział na brzegu wanny, mocując się ze swoją lewą ręką. Uczucie odrętwienia pojawiało się wcześniej od czasu do czasu, był do tego przyzwyczajony, ale nigdy do tej pory nie doświadczał go z taką częstotliwością. Teraz przytrafiło mu się niemal codziennie i nawet, kiedy czucie w końcu wracało, musiał

godzinami czekać, aż ręka będzie zupełnie sprawna. Poprzedniego dnia doznał tego, kiedy był w pracy. Zrobił sobie kawę i już miał siadać za biurkiem, gdy lewa ręka nagle zdrętwiała, a kubek roztrzaskał się na podłodze. Park spojrzął na niego zaskoczony. Hyonsu się zaczerwienił i zaczął masować rękę.

– To nic takiego – tłumaczył. – Zdarza mi się czasami. Zaraz przejdzie.

Ale po godzinie nadal nie było poprawy. Hyonsu nie wiedział, co robić, żadne jego dotychczasowe triki nie działały. Pod koniec dnia, kiedy wydawało się, że nic się nie zmieni, Park zapytał, czy mógłby coś wypróbować. Chwycił nóż do kartonu, wziął rękę Hyonsu i przycisnął końcówkę ostrza do środkowego palca. Natychmiast z miejsca ułucia popłynęła krew. Ale o dziwo do ręki wracało czucie, a po kilku minutach była zupełnie sprawna.

Hyonsu zaciskał i rozluźniał pięść, zawstydzony i zadziwiony.

– Jak to zrobiłeś? – zapytał Parka.

– Przytrafia się to czasem mojej matce – odparł tamten, wzruszając ramionami. – U niej to akurat nie w rękach, a w nogach. Miała ciężko w życiu, dużo uczuć w sobie tłumi. Czasami w ogóle nie może poruszyć nogami, tylko ten sposób u niej działa. – Park odłożył nóż z powrotem do szuflady i dodał: – U pana też pewnie dużo stresu.

Siedząc w łazience, Hyonsu szukał czegoś ostrego w szafce z lekami i w zestawie pierwszej pomocy, ale niczego takiego nie znalazł. Nawet nożyczki, na które się w końcu natknął, miały zaokrąglone końcówki. Rękę miał zupełnie odrętwiałą, równie dobrze mógł nosić u boku martwego węża. Sowon dobijał się do drzwi łazienki – jeszcze trochę i przez własnego ojca spóźni się do szkoły. W końcu wzrok Hyonsu padł na szklanę stojącą przy umywalce. Mężczyzna roztrzaskał ją o podłogę, szkło rozprysło się dokoła. Chwycił jeden z ostrych kawałków i nakłuł środkowy palec. Pojawiły się pierwsze krople krwi, a za nimi już cienki strumień, który popłynął mu na pozostałe palce. Hyonsu aż jęknął, zrobiło mu się dobrze, poczuł się uwolniony. Jakby coś, co od dawna w nim zalegało, opuszczało w tym momencie jego ciało. Palec zaczął go boleć.

Znowu pukanie do drzwi łazienki. Hyonsu szybko zmył krew i zabandażował palec. Zebrał odłamki szkła i wrzucił je do kosza na

śmiesi. Otworzył drzwi, spodziewając się zobaczyć Sowona, ale zamiast niego stał tam Sunghwan, który na dobrą sprawę wyrzucił Hyonsu z łazienki i wbiegł do środka.

Sowon czekał przy drzwiach wyjściowych, miał już na sobie plecak. Eunju zmywała po śniadaniu, odwrócona plecami. Nawet lepiej. Już dawno opuściły go chęci do przyznania się do wszystkiego, co się stało. W jego umyśle zostały tylko nic niewarte wyrzuty i żal. Nie powinien był tu przyjeżdżać, nawet jeśli to oznaczało utratę pracy. Był głupcem, kiedy wyobrażał sobie, że da radę. Dziewczyna bez przerwy jawiła mu się przed oczami, leżąc nieruchomo na drodze, mówiąc: „Tata”, słabnąc pod naciskiem jego lewej ręki, wpadając do ciemnego jeziora. Od tego, co zrobił, nie było już ucieczki. Ta świadomość czyniła go niezwykle osamotnionym. Jeśli Eunju dowiedziałyby się o wszystkim, pewnie powiedziałyby, żeby poszedł na policję i się przyznał, a tego nie mógł zrobić. Przerażała go myśl, że jego Sowon stałby się dla wszystkich synem mordercy. Już prędzej sam by się zabił, gdyby mu tak kazała. Nie, nie mógł jej powiedzieć. Z upiorem dziewczyny musiał radzić sobie sam. Już kiedyś mu się udało – gdy był mały i musiał walczyć z głosem wołającym go ze studni. Jakoś sobie poradzi, czas mu w tym pomoże. Był tego pewien.

– Idziemy! – powiedział do Sowona, zakładając czapkę z logo firmy.

Chłopiec założył swoją baseballówkę i zapytał:

– A pan Ahn?

– Jest jeszcze w łazience, pójdziemy dzisiaj bez niego.

Był bardzo mglisty poranek. Przed domem dwóch facetów dokładnie oglądało jego samochód. Ten w średnim wieku przyglądał się przedniej szybie, a młodszy sprawdzał coś przy zderzaku.

– Poczekał tu – powiedział Hyonsu do Sowona i przeszedł na drugą stronę uliczki. – Jakiś problem? – zapytał.

– Tylko patrzemy – odezwał się ten młodszy, pokazując odznakę policyjną.

– Szukacie czegoś?

Drugi detektyw obszedł samochód i stanął przy swoim partnerze.

– Podoba nam się pański dobór dekoracji – powiedział, pokazując na czaszkę przy lusterku.

Hyonsu starał się zachowywać spokojnie, ale powieka mu drżała.

– Syn mi ją dał.

– To on? – Detektyw w średnim wieku spojrzał w stronę chłopca.

Hyonsu się nie odezwał. Nie spodobało mu się, że tak patrzą na Sowona.

– Kiedy pan się tu sprowadził?

– Mówiłem już. W niedzielę.

– Mówił pan?

– Na przesłuchaniu na komendzie, tym innym policjantom – tłumaczył Hyonsu.

– Ach. – Detektyw podrapał się po nosie. – Kiedy pan zaczął pracę?

– W poniedziałek.

– Czyli dwudziestego siódmego?

– Nie, trzydziestego – poprawił Hyonsu.

– Był pan tu wcześniej?

Hyonsu spojrzał na Sowona czekającego ciągle na schodach.

– Nie – odpowiedział.

– Ciekawe. Ludzie zazwyczaj pojawiają się wcześniej, żeby zobaczyć co i jak, zanim się przeprowadzą.

– No, ja akurat nie.

– Kiedy pan naprawiał samochód? – pytali dalej.

To pytanie zupełnie go zaskoczyło, nie był w stanie odpowiedzieć od razu.

– Miał pan jakąś stłuczkę? – kontynuowali.

– Parę miesięcy temu – odparł.

– Nieźle, to musiał pan trafić na świetnych fachowców, bo auto wygląda jak naprawiane dopiero co. Pan da namiary, też skorzystam.

– Panowie, spieszę się do pracy – przerwał im.

Detektywi przytaknęli.

– Widział pan wcześniej dziewczynę? Zanim zginęła?

Hyonsu miał ochotę wrzeszczeć. Kiedy się odezwał, był rzeczywiście głośniejszy, niż zamierzał.

- Co to w ogóle za pytanie?
- O co panu chodzi?
- Przecież mówiłem, że zacząłem trzydziestego.
- A, fakt. – Detektyw popukał się palcem w skroń. – Widzi pan, starość nie radość.
- Czy to już wszystko?
- Nie mogę dać gwarancji, śledztwo trwa. Ale może pan już iść do pracy.

Detektywi odwrócili się i odeszli.

Kiedy się oddalali, zaczęli ze sobą rozmawiać, ale tak, żeby Hyonsu jeszcze mógł ich usłyszeć.

– Co jest z tym facetem? Myślisz, że kłamie? Skąd u niego ta histeria?

Hyonsu poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Spojrzał ukradkiem na swoje odbicie w szybie samochodu. To nie miało sensu. Przecież nie było go tutaj, przynajmniej oficjalnie, kiedy to wszystko się wydarzyło. Dlaczego więc ci dwaj wokół niego węszyli? Patrzył, jak się oddalają, jak ten starszy odpala papierosa.

– Tato! – Sowon stał nagle tuż obok niego. – Wszystko dobrze?

– Co?! – wykrzyknął Hyonsu. Z początku nie wiedział, co się dzieje. Tak go zaskoczył głos syna.

– Nie, już nic. – Sowon nasunął sobie czapkę bardziej na oczy i spojrzał w dal przed siebie. Policzki robiły mu się czerwone.

Hyonsu od razu pożałował. Prawie nigdy nie krzyczał na syna.

Tak naprawdę ostatni raz podniósł na niego głos, kiedy Sowon miał siedem lat. Mieszkali znowu w Seulu, niecały miesiąc wcześniej Hyonsu skończył kontrakt na jedną z zapór i znowu pracował w centrali firmy. Syn wyszedł pewnego popołudnia pobawić się na placu zabaw, ale nie wracał do wieczora. Hyonsu i Eunju, odchodząc od zmysłów, zaczęli go szukać po całej okolicy. Okazało się po jakimś czasie, że był na niezagospodarowanym placu na końcu osiedla. Na samym placu, otoczonym płotem z drutu, stały trzy kontenery. Pod jednym z nich było zagłębienie, akurat na tyle duże, że mogły tam swobodnie wchodzić koty. Stamtąd właśnie usłyszeli głos Sowona:

– Tato! – wołał. – Tutaj! – Jego głos był słaby i przytłumiony.



Hyonsu wsadził główkę latarki w zagłębienie i poświecił do środka. Sowon siedział skulony w przestrzeni rozmiarów wanny pod kontenerem. Hyonsu wsunął do środka rękę, Sowon chwycił ją i powiedział:

– Tato, chce mi się kupę.

Wyglądało na to, że usilnie wierzył w to, że tata podniesie teraz kontener, wyciągnie go i pozwoli się załatwić. Hyonsu nie wiedział, jak zareagować. Zagłębienie było za małe, żeby wyciągnąć dziecko ot tak. Kontenery można było przesunąć chyba tylko dźwigiem. Wydawało się niewiarygodne, że Sowon w ogóle dał radę się tam wcisnąć. Jak się potem okazało, trafił tam, idąc za małymi kotami. Do środka udało mu się jakoś wepchnąć, ale droga powrotna okazała się niemożliwa. Eunju pożyczyła skądś szpadel, ale nie zdał się na nic, nie sposób było wykopać na tyle dużej dziury, żeby wyciągnąć chłopca. Teren lekko opadał, był w dodatku twardy jak skała i kamienisty. Przestrzeń pod kontenerem wymyła woda podczas minionej pory deszczowej. Zadzwonili po pomoc i służby przyjechały po mniej więcej dziesięciu minutach. Ratownicy umieścili pod kontenerami poduszki powietrzne i napompowali je sprężarką – to wystarczyło, żeby lekko unieść ciężar. Hyonsu przez cały czas drżały policzki, nie mógł odpędzić od siebie koszmarnych wizji. Obrośnięta krzakami studnia, głos z jej wnętrza wołający: „Hyonsu!”, opuchnięta twarz ojca, kiedy w końcu go z niej wyciągnęli. Kontener odchylił się o jakieś dwadzieścia centymetrów. Jedna z poduszek nagle wybuchła, a w głowie Hyonsu pojawił się obraz Sowona miażdżonego przez kontener.

– Tato!

Głos syna wyrwał go z piekła koszmarnych wizji. Jeden z ratowników sięgnął w zagłębienie i chwycił Sowona, któremu żadna krzywda się nie stała. Policzki miał zaróżowione, oczy mu błyszczały. Był podekscytowany i dezorientowany tym, że służby ratunkowe przyjechały specjalnie po niego. Widząc to, Hyonsu stracił kontrolę nad sobą.

– Sowon! – wykrzyknął.

Chwycił chłopca za ramiona i zaczął nim potrząsać. Krzyczał na niego, wyzywał go, groził, że jeśli jeszcze raz zrobi coś takiego, wrzuci go do głębokiej studni. Sowon płakał, ale Hyonsu nie

przestawał. Nie umiał przestać. Nie potrafił już kontrolować lewej ręki. Dopiero ratownicy zdołali odebrać chłopca ojcu.

Tamtej nocy Eunju zabrała Sowona do sypialni i zamknęła się z nim od środka. Wcześniej wykrzyczała do Hyonsu, żeby nie zbliżał się do dziecka i nie dotykał go. Była głucha na wszelkie przeprosiny. Poszedł więc do pokoju syna i usiadł na jego małym łóżku. Bał się tego, co w nim wcześniej wybuchło. Czuł do siebie wstręt, że nie umiał nad tym zapanować. Jakąś godzinę później Sowon przyszedł go pocieszyć – Eunju o niczym nie wiedziała.

– Tato – odezwał się. – Będę spać z tobą.

– A mama? – zapytał Hyonsu.

– Powiedziałem, że idę zrobić kupę. – Sowon zakrył usta i zachichotał.

Tamten wybuch można było jeszcze wytłumaczyć rodzicielskimi lękami. Krzyczał, bo był zdenerwowany.

Hyonsu przełknął ciężko.

– Zaprowadzić cię do szkoły? – zaproponował.

– Jak chcesz. – Sowon nadal miał zwieszoną głowę.

Hyonsu wziął plecak syna w jedną rękę, drugą położył chłopcu na ramieniu. Sowon chwilę się jeszcze wahał, ale w końcu wetknął dwa palce w szlufkę u spodni ojca.

Hyonsu dostosował tempo marszu do syna. Latarnie zabarwiały poranną mgłę na żółtawo. Wtem drogę przed nimi przebiegł kot.

– Ernie! – krzyknął Sowon z zapalem.

Kot spojrzał w ich stronę, po czym czmychnął w zarośla.

– To czyjś kot? – zapytał Hyonsu.

– Nie – odpowiedział chłopiec. – Mieszka sam w stodole na farmie.

– Skąd ty to wiesz?

– Tak mówią w szkole – tłumaczył Sowon. – Kiedy szukali tej dziewczyny, zobaczyli, gdzie go przez cały czas chowała.

Hyonsu zamilkł na chwilę. Ten kot należał do niej.

– Ernie przychodzi do mojego okna w nocy. Stawiam dla niego puszkę tuńczyka na parapecie. On wskakuje i je. – Sowon spojrzał prosząco na ojca. – Kupisz trochę karmy dla kotów? Mama może zauważyć, że ciągle zabieram puszki tuńczyka.

– A gdzie ja ją kupię? – zapytał Hyonsu.

– W mieście jest sklep zoologiczny. Kupiłbyś, jak będziesz miał przerwę? Możesz potem schować do szafy, żeby mama nie widziała.

– A jak mama otworzy szafę?

– Tam są rzeczy pana Ahna. Nie otworzy.

Hyonsu przytaknął, a Sowon się rozpromienił, cały emanował miłością i zaufaniem. Takie chwile sprawiały, że Hyonsu miał siłę iść przez życie.

– Mówią, że miała tylko Erniego, żadnych innych przyjaciół – wyznał chłopiec. – Wiesz, że gdyby nie umarła, to siedzielibyśmy obok siebie w klasie?

– Twoja ławka jest obok jej? – zapytał nagle Hyonsu, poirytowany. Jak nauczyciel mógł posadzić nowego ucznia zaraz obok miejsca po zmarłym dziecku?

– Ona już nie ma swojego miejsca – odpowiedział Sowon. – Przesunęli jej ławkę na sam koniec, bo innym dzieciom było przykro, jak na nią patrzyły. Mówią – tłumaczył – że jej mama uciekła. I że ona też uciekła tamtej nocy z domu, bo tata bardzo ją bił. Mówią, że on ją ciągle bił. To ten facet, który się tak przyczepił do nas, kiedy się wprowadzaliśmy. Nie lubią go tu. Nie zadawaj się z nim.

Hyonsu był zdezorientowany. Dziewczyna tamtej nocy uciekła od ojca.

– Martwię się, bo mama będzie u niego pracować.

– Co?! – Hyonsu był tak przerażony, że oczy prawie wyszły mu z orbit.

– Wraciałem wczoraj ze szkoły i ją spotkałem. Mówiła, że dostała pracę w ochronie. Że musi iść do pracy, bo mamy spłacić mieszkanie. Tato – Sowon zaczął prosić ojca – pogódź się z mamą. Powiedz jej, żeby tam nie pracowała, bo ten facet jest zły.

– Taa... – odpowiedział Hyonsu. Byli już pod szkołą, Sowon na niego patrzył. – Tak. Zrobię to.

Chłopiec, któremu wyraźnie ulżyło, pobiegł do szkoły.

W pracy Sunghwan siedział przed monitorem komputera. W internecie krążyły już informacje o znalezieniu ciała Seryong, jej zdjęcia wyświetlały się na ekranie. Hyonsu odwrócił wzrok i podszedł do umywalki, żeby się ogolić.

– Sunghwan – zwrócił się do kolegi – dostaliśmy prośbę, żeby pracować więcej godzin w weekendy.

– Prosimy o to ci z konserwacji?

Hyonsu wyjął jednorazową maszynkę do golenia i rozcierał mydło na twarzy.

– Nie masz nic przeciwko? – zapytał. – Ja też wezmę trochę godzin, żeby nie było.

Sunghwan zmarszczył brwi.

– To przez te wszystkie media – tłumaczył Hyonsu – i zarządzenia. Zapłacą nam jak za nadgodziny.

– Dlaczego wtedy w piątek pan w końcu nie przyjechał? – zapytał Sunghwan znienacka.

Hyonsu patrzył na niego przez odbicie w lustrze.

– Coś innego mi wyskoczyło. A co? – zapytał.

– Ktoś kilka dni temu o to pytał. Czy przyjechał pan obejrzeć nowe mieszkanie przed przeprowadzką.

– Kto pytał? Policja?

– Jej ojciec, ten właściciel arboretum.

Hyonsu odkręcił wodę w kranie i wypłukał golarkę.

– I co mu powiedziałaś? – zapytał.

– Że pana nie było. A on potem pytał, czy pan jest z tych okolic. Wydawało mu się, że kiedyś się na siebie natknęliście.

Czy naprawdę się już wcześniej spotkali? Jeśli tak, to gdzie? Hyonsu nie wiedział, co myśleć. Ten facet nie wyglądał ani trochę znajomo, a zważywszy na to, co o nim wiedział, na pewno obracali się w innych kręgach.

W czasie przerwy obiadowej Hyonsu poszedł kupić karmę dla kota. Bał się, że w domu trafi na Eunju, ale jej nie było. Schował jedzenie w szafie i ostrożnie wyszedł z domu. Schodząc po schodach frontowych, zatrzymał się nagle.

Tuż przed jego samochodem Oh Yongje zaparkował swoje bmw. Hyonsu przypomniał sobie słowa Sunghwana. Nie chodziło o to, że się kiedyś już wcześniej „spotkali”. Sunghwan powiedział „natknęli”. Czy to możliwe, żeby Yongje widział go gdzieś na drodze tamtej nocy? Przeszły go ciarki. Ale wtedy jeszcze Yongje nie mógł wiedzieć ani jak wygląda, ani kim w ogóle jest. Nie mógł też zwrócić większej uwagi na samochód Hyonsu, który niczym się nie

wyróżniał – to nie był rzadki zagraniczny model. Spojrzał na swojego matyza. Zza przedniej szybki szczyrzyła do niego zęby fluorescencyjna czaszka. Wtedy przypomniał sobie, co tamci dwa powiedzieli rano: że podoba im się dobór dekoracji. I że to ciekawe, że nie przyjechał zobaczyć mieszkania zawczasu, bo przecież wszyscy normalnie tak robią. Pytali jeszcze, czy widział wcześniej dziewczynę i kiedy naprawił samochód. Hyonsu czuł, jak ogarnia go lęk i otępia jego umysł. Może Yongje zauważył tę czaszkę? Może dobrze już wiedzieli, że był tu tamtej nocy? Może wiedzieli, że ukrywa prawdę? Czy to Yongje kazał im go wypytywać? Czaszka nieustannie się z niego śmiała.

– Wróćmy do momentu, kiedy pańska córka uciekła. – Detektyw włączył dyktafon. – Która to była godzina?

Yongje poprawił się na krześle, złączył palce dłoni i położył je na udach. Zegar na ścianie tykał. Wezwali go na komisariat na trzecią po południu. Był tam jakiś nowy detektyw. Coraz więcej policji pracowało nad sprawą jego córki.

– Około dwudziestej pierwszej czterdzieści – odpowiedział.

– I ona tak po prostu wybiegła?

– Tak.

– Widzi pan, mamy wyniki sekcji – mówił detektyw. – Czy zaskoczę pana, kiedy powiem, że miała złamaną miednicę i wybite zęby? Miała krwotok w mózgu. Nie wie pan, jak do tego doszło?

Yongje był wstrząśnięty.

– To chyba brzmi, jakby uderzyła w nią ciężarówka – odparł.

– To nie musiała być ciężarówka – mówił detektyw. – Wystarczyłoby bmw. – Po krótkiej chwili detektyw mówił dalej: –

Wiemy, że pańska żona wniosła o rozwód, bo się pan nad nią znęcał. I nad córką też. A tego dnia, kiedy córka zginęła, przegrał pan sprawę w sądzie.

– Pan naprawdę myśli, że przejechałem własną córkę i wrzuciłem ją do jeziora?

Yongje oddychał ciężko, czuł, jakby ktoś kopnął go w brzuch.

– Ja na razie nic nie myślę – odpowiedział detektyw. – Wróćmy do tego momentu, o którym rozmawialiśmy. Zaczniemy jeszcze raz od jej ucieczki.

Uderzenie samochodu, połamane kości. Pamiętał, co mu mówili o nagraniach z kamer: światła jeszcze jednego samochodu, pędzące, zatrzymujące się nagle, znikające.

– No i? – ponaglił go detektyw.

– Czy znaleźli jakieś ślady gwałtu? – zapytał nieoczekiwanie Yongje.

– Nie. Ale chcielibyśmy wiedzieć, dlaczego wyglądała tak, jak wyglądała. Dlaczego miała na sobie dorosłą bluzkę i tyle makijażu? – Detektyw pochylił się lekko w przód, wyczekując odpowiedzi.

Niech sobie poczeka. Yongje musiał teraz pomyśleć. Jeśli uderzył ją samochód na drodze nad jeziorem, to nie mógł być nikt stąd. Żaden miejscowy nie jeździł tamtędy tak późno w nocy. To pewnie ktoś, kto nie znał okolicy, ktoś, kto zgubił drogę. Przez myśl przemknął mu matiz i szczerząca zęby czaszka. Czy to możliwe?

– Czytałem o tym w książkach – mówił detektyw. – Tatuś perwers ubiera swoją córkę w dorosłe ubrania i robi jej makijaż. Lubi pan książki?

– Co pan sugeruje? – odciął się Yongje.

– Nic takiego. Jestem ciekaw, jaki pan ma gust literacki.

Yongje musiał jak najszybciej stamtąd wyjść i zająć się sprawą. Zaczął odpowiadać na pytania bez przeciągania posiedzenia.

– Ubrała się w rzeczy matki. Już tak wcześniej robiła, choć wiedziała, że jej nie wolno.

– To pana tak zezłościło?

– Nie pozwalałem jej na to. Powiedziałem to bardzo wyraźnie. Ale tamtej nocy to nie było najgorsze. Zasnęła w tym wszystkim, a obok niej paliły się świece. Włosy miała rozpuszczone. To się mogło skończyć pożarem. Nie panowałem nad gniewem i uderzyłem ją. Rzuciła we mnie gorącym woskiem i uciekła. Ale to jeszcze nie znaczy, że ją potem zabiłem.

Detektyw nic nie powiedział, bawił się tylko machinalnie długopisem.

– Żądam szacunku! – wyrzucił z siebie Yongje. – Moja córka nie żyje. Jeśli chcecie ze mnie zrobić winnego, musicie mieć dowody.

– A to? – odpowiedział detektyw. – Pański samochód był tamtej nocy nad jeziorem dwa razy.

– Nie, tylko raz – bronił się Yongje. – Zatrzymałem się przy farmie i przy przystani. Drogą jechałem o dwudziestą drugą dwie. W domu byłem za dwadzieścia pięć jedenasta.

– Bardzo dokładnie – przyznał detektyw. – Zawsze pan tak zapisuje godzinę, kiedy dokądś pan jedzie?

– Te godziny sprawdziłem później – tłumaczył Yongje. – Mamy w arboretum nowy system monitoringu. Taśmy są w naszym biurze. Była wtedy mgła, ale dojrzy pan moje tablice rejestracyjne. Proszę sprawdzić, te nagrania potwierdzają wszystko.

Detektyw pokiwał głową z poirytowaniem.

– A co pan zrobił potem? – zapytał.

– Wydawało mi się, że zająłem wszędzie, gdzie tylko mogłem. Pojechałem więc do domu i czekałem. Myślałem, że sama wróci. Kamery by mnie nagrały, gdybym znowu wychodził.

– Mówią, że na ścieżce z tyłu, przy drzewach, nie ma kamery.

– Mówi pan, że uderzył w nią samochód, a tamtędy nie da się przejechać.

– Tak czy inaczej muszę obejrzeć pańskie auto – odpowiedział detektyw, wydymając wargi.

– Proszę – zgodził się Yongje. Wyjął kluczyki i położył na biurku. – Kiedy mogę ją zobaczyć?

– W każdej chwili. Ci od sekcji zrobili już wszystko, co mieli zrobić.

Yongje wrócił do domu na piechotę. Przed budynkiem stał matiz – Yongje zauważył już, że Hyonsu normalnie nie wraca tak wcześnie. Powinien być dopiero za kilka godzin. Zadzwoił po mechanika i obiecał zapłacić więcej, jeśli tamten pojawi się od razu.

Pół godziny później Yongje się dowiedział, że cały przód samochodu Hyonsu jest nowiutki.

– Jak bardzo nowiutki? – dopytywał.

– Trudno powiedzieć dokładnie, ale to świeża sprawa.

– Dałby pan radę jakoś ustalić, jak bardzo świeża?

– Nie. Trzeba by przejrzeć wpisy w warsztacie, w którym to robili.

Po tym wszystkim Yongje poszedł do swojej szopy. Ktoś potracił jego córkę samochodem, a potem wrzucił ją do jeziora... Yongje posmarował patyk klejem, po czym umieścił go na ścianie

budowanej fortecy. Palce mu się trzęsły. „Po co było uciekać i umrzeć w taki sposób?”, zapytał po cichu. Przykleił kolejny patyk. Sunghwan nie miał samochodu, nigdy nawet nie widział go za kierownicą. W jego papierach przeczytał jednak, że ma prawo jazdy. Czasem nurkował, ale zarzekał się, że tamtej nocy siedział w domu. Może upieranie się przy nim było błędem? Może należało wziąć pod uwagę innego sprawcę? Sprawcę, którego Yongje też miał na wyciągnięcie ręki.

Jeszcze raz przeanalizował wydarzenia tamtej nocy, tym razem uwzględniając, że znaczącą rolę odgrywał w nich jego nowy podejrzany. Zjechał z autostrady o 21.20, co oznaczało, że trafił na matiza około 21.15. Na nagraniach z monitoringu z zapory drugi samochód pojawił się o 22.40. Niemożliwe, żeby droga z autostrady, gdzie go widział, nad jezioro zajęła matizowi ponad godzinę. Może matiz jeszcze gdzieś się zatrzymał? Albo źle pojechał? Łatwo było przegapić drogę do Seryong, jeśli jechało się tam pierwszy raz, a już tym bardziej w mglistą noc. Jeśli matiz źle skręcił i pojechał w kierunku Paryong, to by się mogło zgadzać. Yongje musiał dowiedzieć się więcej o nowym sąsiedzie. Chciał też rzucić okiem na taśmy z monitoringu przy zjeździe z autostrady. Ale jak się do nich dostać? Poszedł do salonu i zadzwonił do swoich znajomych z firmy Wsparcie.

– Musicie mi znaleźć dwie rzeczy... – powiedział do słuchawki.

Eunju wstawiła ryż, podsmażyła cukinię, do gotującej się zupy z pasty sojowej wrzuciła pokrojone w kostkę tofu i wytarła stół. Bolały ją ramiona. W południe była na zakupach i przytargała do domu zupy instant, jajka, puszki tuńczyka, chipsy dla Sowona, przystawki. Teraz, kiedy miała pracę, będzie musiała zawczasu przygotowywać jedzenie. Wieczorem chciała powiedzieć wszystkim o zmianach. Pomyślała jeszcze o tym, że Sunghwan płacił za jej domowe posiłki, ale szybko odgoniła te myśli, to nie był czas na sentymenty. Ta trójka: Hyonsu, Sowon i Sunghwan doskonale poradzi sobie z tym, co znajdzie w kuchni.

Dokładnie w chwili, kiedy miała spróbować zupy, drzwi do mieszkania się otworzyły i do środka wszedł Hyonsu, czerwony na



twarży. Jej dobry nastrój prysnął. Na pewno już gdzieś się napił. Odwróciła wzrok i zanurzyła łyżkę w zupie.

– Muszę ci coś powiedzieć – zaczął Hyonsu.

Teraz chciał przeproszać? Po prawie tygodniu? Nie, mowy nie ma. Położyła łyżkę na blacie, poprawiła włosy i z kuchennej szuflady wyjęła małą kopertę – papiery rozwodowe. Wypełniła je kiedyś właśnie na taką okazję, gdy będzie musiała dać mu ultimatum. To był jej as w rękawie.

Skrzyżowała ręce na piersi, zakrywając kopertę, i czekała.

– Nie bierz tej pracy – mówił Hyonsu.

Eunju zamrugła z niedowierzania.

– Co takiego? – zapytała.

– Po prostu zostań w domu.

– A od kiedy mogę sobie pozwolić na to, żeby siedzieć w domu? Zarobiłeś kiedyś tyle?

– Są ważniejsze rzeczy niż pieniądze – mówił.

Eunju była wściekła.

– Zdajesz sobie w ogóle sprawę, ile odsetek musimy płacić? Jeśli teraz nie zaoszczędzimy, nigdy się nie przeprowadzimy. A co ze szkołą Sowona? Nie chcesz go posłać na studia? Wystarczy nam twoja jedna pensja?

– Wyjdź! – zagrzemiał Hyonsu.

– Co?!

– Wyjdź – powtórzył.

– Co ty sobie wyobrażasz? Jak śmiesz mówić mi, żebym to ja wyszła? Kiedy się pobieraliśmy, byłeś nikim – wyrzucała mężowi. – Dałam ci dziecko, utrzymywałam dom, pracowałam i oszczędzałam. I to mnie udało się kupić mieszkanie. A teraz to ty mi mówisz, że mam wyjść?!

– Nie obchodzi mnie to. Weź sobie to wszystko. Weź, co chcesz, i wynoś się.

Eunju zabrakło słów. Cała płonęła gniewem, nie mogła nawet otworzyć ust. To ona miała prawo powiedzieć jemu, żeby się wynosił. Jak on śmiał? On, który codziennie wracał do domu pijany. Zwariował? Tyle tylko, że nie krzyczał ani się nie awanturował, nie wydawał się też pijany. Jego głos był niski i spokojny.

– Odbiło ci – powiedziała do niego.

Hyonsu odezwał się wyraźnie i spokojnie, jakby mówił do kogoś przygłuchego:

– Wy-noś się.

Zabrał się do wyjścia, Eunju patrzyła za nim. Drzwi do mieszkania otworzyły się i zamknęły. Była w szoku. Jak można przejść do porządku dziennego nad tym, co się właśnie stało? Czy to naprawdę był on? Usiadła na brzegu łóżka. Trzęsły jej się nogi.

„On jest raczej skryty”, powiedziała jego matka, kiedy Eunju po raz pierwszy się z nią spotkała.

Miała rację, Eunju nigdy nie udawało się zobaczyć, co jej mąż tak naprawdę w sobie chowa. Były w jego duszy obszary, których nigdy przed nią nie odkrywał. Wydawało się czasem, że im więcej starała się o nim dowiedzieć, tym bardziej on się wycofywał. Był nieustępliwy, nie słuchał innych, choć nikomu, kto widział jego powierzchowną łagodność, nie mogło przyjść do głowy, jak bardzo jest uparty. Na pierwszy rzut oka wydawał się sumienny, ale szybko się okazywało, że tak naprawdę jest nieodpowiedzialny. Gdyby wcześniej to wszystko wiedziała, może nie doprowadzałby jej do szału już w pierwszym roku ich małżeństwa. Nie mieli jednak wiele czasu, żeby się dotrzeć. Poznali się w sierpniu, a pobrali w grudniu, bo nosiła już w sobie ich syna.

Wymusiła na nim, że po ślubie przestanie posyłać pieniądze rodzinie. W przeciwnym razie nie daliby rady utrzymać siebie i dziecka. Hyonsu nie podobał się ten pomysł, ale się zgodził. Ich ślub daleki był od tego, co sobie wymarzyła. Pobrali się w namiocie na boisku do baseballa, przyjęcie urządzili w barze. Ich domem stał się jej pokój w suterenie, ale nadal przepelniała ją nadzieja. Cały czas żyła tym, że w następnym sezonie Hyonsu dostanie się do ligi zawodowej.

Może by i się dostał, gdyby nie ten nieszczęsny wypadek samochodowy podczas ich miesiąca miodowego. Jechali wzdłuż wybrzeża, drogą nad samym morzem, kiedy nagle samochód podskoczył, wyrzucając ich w powietrze. Kiedy Eunju otworzyła oczy, pojazd leżał do góry kołami. Hyonsu wydostał się pierwszy i jej pomógł, na jego twarzy widziała wielkie zmartwienie. Wydawało się jej, że to wyraz miłości. Przytuliła się do niego, mówiąc, że nic jej nie

jest. Bo rzeczywiście nic jej się wtedy nie stało. Rozejrzała się, byli w rowie między drogą a piaszczystą plażą. W słabym świetle zmierzchu rów był ledwo widoczny i dlatego Hyonsu wydawało się, że droga przylega do plaży. Musieli teraz wyciągnąć samochód. Zebrali się wokół nich ludzie z plaży, każdy doradzał co innego, że to będzie trwało, że sporo za to zapłacą. Nagle pojawił się koło nich autobus, kierowca zaproponował, że użyczy im łańcucha i pomoże wyciągnąć samochód. Podpięli wóz do autobusu, jego kierowca ruszył, wyciągając pojazd z rowu z taką siłą, że wystrzelił on w kierunku Eunju. Przez chwilę nie wiedziała, co się dzieje, stała jak skamieniała, dopóki Hyonsu nie rzucił się między nią a samochód. Auto się zatrzymało, Hyonsu upadł na ziemię.

Uszkodził sobie mięsień uda. Nie była to bardzo groźna kontuzja, zwłaszcza u kogoś, kto rzucił się pod samochód, ale stanowiło to cios dla sportowca szykującego się do profesjonalnej kariery. Nie zdążył wrócić do formy przed wiosną, kiedy zaczęły się treningi. Pocieszał się tym, że uratował żonę i syna.

Eunju nadal bardzo wyraźnie pamiętała dzień, w którym Hyonsu po raz pierwszy zobaczył Sowona. Chwycił palec niemowlaka wielką trzęsącą się dłonią i wymamrotał: „Mój syn”. Na jego twarzy widać było radość, lęk i zdenerwowanie.

Nie „nasz syn”, ale „mój syn”... Nie pozwalał jej na żadne samodzielne decyzje, kiedy chodziło o dziecko. Kąpała je wtedy, gdy on uznał, że powinna. Gdy wracał z meczu, wpatrywał się w oczy dziecka, śmiał się z nim, rozmawiał, prawie rezygnując ze snu. Kiedy musiał przekazać jej syna do karmienia, był bardzo smutny, jakby pragnął sam go wykarmić. Kiedy był w trasie, dzwonił regularnie i pytał: „Co robi Sowon?”. Co innego mógł robić? Spał, jadł, płakał i brudził pieluchy. Hyonsu nigdy nie zapytał, co u niej.

Mimo to z początku się cieszyła, widząc, jak kocha ich dziecko. Po kilku miesiącach jednak jego obsesja zaczęła ją uwierać. Raz nawet zażartowała:

- Wyszedłeś za mnie, żeby mieć syna, prawda?
- Hyonsu zrobił wielkie oczy.
- No weź, przyznaj szczerze, że za nim szalejesz.
- Wcale nie szaleję – bronił się.
- Oczywiście, że tak. Nie widziałam nigdy tak oddanego taty.

- Obiecałem sobie, jak byłem mały, że nie będę jak mój ojciec.
- Dlaczego? Jaki on był?

Hyonsu nie odpowiedział. Zawsze zamykał się w sobie, kiedy pojawiał się temat jego ojca. To była jedna z tych rzeczy, o których nigdy jej nie opowiadał.

O swoich problemach z ręką też nigdy jej nie mówił. Kiedy Sowon miał trzy lata, w kieszeni Hyonsu znalazła recepty od neurologa. Chodził do lekarza od kilku lat, ale nigdy nic jej nie powiedział. Dowiedziała się od samego lekarza, że jego przypadłość jest fizycznym objawem nagromadzonego stresu, że nacisk, jaki wywierała na jego psychikę ambicja dostania się do profesjonalnych rozgrywek, wywołała fizyczne dolegliwości. Koniec końców mieli do czynienia z samospełniającą się przepowiednią – jego ręka odmówi posłuszeństwa, przez co on zawali mecz i nie awansuje.

Dla Eunju stres był wymówką tchórzy. Każdy żył pod presją. Jeśli trzeba było walczyć o przeżycie, to się walczyło, tak właśnie postępowała ona. Dla odmiany jej mąż pozwalał, żeby strach przejmował kontrolę nad jego życiem. Kiedy przestał grać, problemy z ręką ustały.

Gdy skończył ze sportem, uświadomiła sobie w pełni, że jest dużym dzieckiem. Nie miał znajomości, nie udało mu się nawet zostać nauczycielem WF-u w podstawówce. Ze swoim dyplomem prestiżowej uczelni zdołał się jedynie załapać na pracę w ochronie. Zaraz potem zaczął pić i palić. Starła się go nawet zrozumieć, zdawała sobie sprawę, jak przygnębiony musiał być, porzuciwszy sport, który był dla niego całym życiem. Ale sam się o to prosił. Teraz ciążyły na nim obowiązki, był głową rodziny i nie mógł wracać do domu pijany, staniać się na nogach czy walić pięścią w drzwi po nocy. Nie mogło być tak, że ciągle dzwonili do niej z policji, by przyszła po męża.

Ślub z nim to był największy błąd jej życia. Jak tylko sama przed sobą się do tego przyznała, nie przeszkadzało jej już tak bardzo wszystko to, czym rozczarowywał ją Hyonsu. Była wojowniczką z żelaznym postanowieniem, sama kierowała swoim życiem. Nigdy nie zapomniała swoich marzeń z dzieciństwa i zdecydowała się je spełnić, z jego pomocą lub bez.

Ale teraz, kiedy była już tak blisko, ten pijaczyna niszczył wszystko. Uderzył ją, ciągle pił i teraz jeszcze miał tupet, żeby powiedzieć jej, że ma się wynosić. Spojrzała na papiery rozwodowe, które ciągle miała w ręku. Już nie były jej asem w rękawie. Jeśli jego tak nic nie obchodziło, jeśli było mu obojętne, czy ona jest, czy jej nie ma, nie miała już żadnego narzędzia, którym mogłaby na niego wpłynąć.

Z zamyślenia wyrwał ją dzwonek do drzwi. Zauważyła, że ryż się przypala, a zupa za chwilę zacznie kipieć. Do tego jeszcze zadzwoniła jej komórka leżąca na stole. Wyłączyła kuchenkę, odebrała telefon.

– To ja – odezwał się w słuchawce głos jej siostry.

– Hej – powiedziała Eunju, idąc w stronę drzwi. – Poczekaj chwilę.

Otworzyła. Stało tam dwóch detektywów.

– Dzień dobry – przywitał się ten młodszy, pokazując odznakę.

Eunju odsunęła komórkę od ucha.

– Mamy kilka pytań.

W sobotę rano, o 8.55, Sunghwan i Hyonsu, wychodząc do pracy, zatrzymali się na schodach przed budynkiem. Mokrą od deszczu ulicą sunęła procesja samochodów, na czele której jechało białe bmw Yongje przyozdobione czarnymi taśmami. Za nim jechał karawan cadillac, dalej duża furgonetka, samochody stacji telewizyjnych i prywatne.

– Masz zapalniczkę? – zapytał Hyonsu z papierosem w ustach.

Sunghwan wyciągnął swoją i odpalił. Płomień tańczył na delikatnym, wilgotnym wietrze. Hyonsu osłonił go obandażowaną dłonią i zaciągnął się mocno. Był w podłym nastroju, miał cienie pod oczami.

– Padało w nocy? – zapytał Sunghwana.

– Lało jak z cebra – odpowiedział tamten i odruchowo uniósł brew. – Nie słyszał pan nic?

– Za dużo wypilem... – Hyonsu zaczął schodzić ze schodów. – Idziemy!

Sunghwan podążył za nim. Latarnie jeszcze świeciły, mokry wiatr poruszał liśćmi żywopłotu. Hyonsu szedł przed siebie ze

spuszczonym wzrokiem. Sunghwan przyspieszył, żeby do niego dorównać, i zastanawiał się, co się dzieje z jego szefem. Co on sobie znowu zrobił w rękę? Dwa dni wcześniej miał plaster na środkowym palcu. Wczoraj były to już trzy palce, a tego dnia cała dłoń. Czy on co noc tłukł rękami butelki po soju na tarasie widokowym przy autostradzie?

Poprzedniej nocy Hyonsu wrócił do domu pijany. Jak zwykle. Eunju zostawiła go na podłodze w salonie, tak jak właściwie każdej nocy, odkąd się wprowadzili. Padać zaczęło około trzeciej, wtedy też Sunghwan usłyszał jakieś dźwięki z salonu, a potem drzwi do mieszkania otworzyły się i zamknęły. Wyrzął ze swojej sypialni, Hyonsu nie było, na podłodze przy sofie leżał już tylko koc, który wyglądał w tamtej chwili jak skorupa wielkiego zwierzęcia. Dokąd poszedł jego szef? W środku nocy? W taką ulewę? Zastanawiał się, czy za nim nie pójść, ale zamiast tego wrócił do pisania. Zabrał się w końcu do tego, co planował od samego początku, odkąd tylko tu przyjechał. Na ekranie laptopa był otwarty plik o nazwie *Jeziro Seryong*.

Dziewczyna stała na przystanku pod szkołą, kopiąc w krawężnik czubkiem buta. Głowę miała opuszczoną i wpatrywała się w ziemię. Tylko jej jasne, blade czoło było czasem widoczne, kiedy wiatr rozwiewał jej włosy.

Spojrzał na zegarek, kiedy usłyszał, że drzwi się otwierają – czwarta nad ranem. Na głucho dźwięk wyrzął do salonu. Hyonsu leżał koło sofy. Sunghwan podszedł do niego, żeby sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku. Jego szef był przemoknięty, gołe stopy miał ubrudzone błotem aż po kostki. Do tego zakrwawione pięty.

– Szefie – wyszeptał.

Hyonsu nie odpowiedział. Nawet potrząsanie za ramiona nie pomagało, spał mocno ze spokojnym wyrazem twarzy, jakby śniło mu się coś miłego. Co się działo?

Sunghwan chciał z nim porozmawiać rano, ale teraz nie wiedział już, co zrobić. Jego szef najwyraźniej nie pamiętał nawet, że padało.

– To dzisiaj jest pogrzeb? – zapytał nagle Hyonsu. – Tej dziewczyny?

Byli akurat przy furtce prowadzącej na drogę nad brzegiem jeziora.

– Podobno dzisiaj mają ją skremować – odpowiedział Sunghwan. – Odprawia też szamański rytuał, żeby uwolnić jej duszę z jeziora.

Hyonsu wyciągnął kolejnego papierosa i wsadził go w usta.

– Widziałeś już kiedyś taki rytuał? – zapytał.

– Kiedy byłem dzieckiem – odparł Sunghwan, wyjmując zapalniczkę.

– Kiedy byłeś dzieckiem? – zdziwił się Hyonsu. – Dzieciom zazwyczaj nie pozwalają tego oglądać. Bo podobno może je opętać jakiś duch.

– Mój ojciec zajmował się wylawianiem topielców z rzeki Han – odpowiedział Sunghwan. – Jak tylko dostawał zlecenie, ja i moi starsi bracia szliśmy mu pomagać. Zaczynaliśmy nurkować, kiedy mieliśmy jedenaście lat. Tak że kilka rytuałów zdążyłem zobaczyć. – Sunghwan spojrzał na Hyonsu. – A pan?

– Raz, jak byłem mały. I to też nie całość.

– Dzisiaj to będzie prawdziwe przedstawienie – mówił Sunghwan. – Jeśli zaplanował je ten cały Oh Yongje, to na pewno.

Hyonsu wyrzucił niedopałek do śmieci jakieś dwadzieścia metrów od wejścia do biura ochrony.

– Widzimy się później – rzucił na pożegnanie.

Sunghwan dotknął opuszkami palców spinki do włosów Seryong, którą trzymał w kieszeni, i patrzył, jak Hyonsu oddala się w stronę biura. Od dawna chciał wrzucić spinkę do wody, ale nie miał okazji. Tego dnia było tak samo. Wyjął rękę z kieszeni i otworzył drzwi do swojego pomieszczenia.

Mieszkańcy zebrali się nad brzegiem jeziora o dziesiątej – Sunghwan widział ich na monitoringu. Zaczynał się rytuał. Szaman z głową obwiązaną białym materiałem wszedł na teren przystani, potrząsając bambusowym kijem, na którego końcu powiewał podłużny kawałek materiału. Za nim szedł Yongje, trzymając w ręku słomianą kukielkę z czymś przywiązanym do jej głowy. Muzycy z tradycyjnego zespołu ludowego zaczęli grać. Procesja zgromadzonych była bardzo długa, wyglądało to bardziej na wydarzenie kulturalne niż prawdziwy szamański rytuał.

Sunghwan przejrzał najnowsze doniesienia prasowe.

Jezioro Seryong: jedenastolatka znaleziona martwa w jeziorze, policja podejrzewa potrącenie.

Jezioro Seryong: śledztwo w sprawie śmierci jedenastolatki natrafia na trudności. Pięć dni po zajściu nadal nie ma podejrzanych.

Na ekranie szaman podszedł do końca pomostu i zaczął dźgać powierzchnię wody końcem bambusowego kija.

Sunghwan ściągnął z chmury swój filmik zatytułowany *Atlantyda*, chciał go trochę wyedytować. Teraz, kiedy oczy wszystkich skierowane były na jezioro, nie mógł zaryzykować kolejnego nurkowania. Miał do dyspozycji tylko to, co uchwycił tamtej jednej nocy.

Hyonsu wpadł do pokoju, jak tylko Sunghwan otworzył plik, schował go więc szybko pod innymi okienkami.

– Słuchaj – zaczął Hyonsu. – Co to za piosenka, której słuchaliście ty i Sowon? Coś tam z nocą czy jakoś tak – tłumaczył. – Ta, co brzmi, jakby wilki wyły.

Sunghwan uśmiechnął się pod nosem i wyjął swoją empetrójkę. Chodziło o gothic metal.

– Na pewno chce pan jej posłuchać?

– Wszystko będzie lepsze niż te hałasy. Dlaczego nie odprawia tego rytuału gdzie indziej? Czemu prosto przed kamerami?

– Przynajmniej nie robią tego na Hansoldung, tak jak na początku chcieli. Gdyby zarząd raz się zgodził, jezioro zaraz zaroiłoby się od żaglówek.

Hyonsu rzucił okiem na ekran z wyspą na środku jeziora.

– Dlaczego akurat tam? – zapytał.

– Dla tutejszych jest jak kapliczka. Kłaniają jej się, proszą o dobry poziom wody.

– A co Hansoldung ma wspólnego z poziomem wody? – pytał Hyonsu.

Sunghwan zaczął tłumaczyć. Dla prawidłowego funkcjonowania zapory należało przez cały czas utrzymywać odpowiedni poziom



wody w jeziorze. Wyspa Hansoldung była wskaźnikiem, który mieszkańcy wioski mogli zobaczyć na własne oczy. W czasie suszy stawała się pagórkami, przy maksymalnym poziomie wody była bardziej jak kopczyk na grobie. A przy planowym zalaniu była całkiem pod powierzchnią wody.

– Ale po co odprawiać rytuał na środku jeziora? – dopytywał Hyonsu.

– Hansoldung była najwyższym punktem starej wioski, przed zalaniem. Tam chyba urodziła się Seryong i tam też ją znaleźli. Założę się, że dyrektor miał niezłe przejścia z Oh Yongje, kiedy nie zgodził się na uroczystość na wodzie.

Hyonsu nagle zbladł i wybiegł. Sunghwan popędził za nim do drzwi, ale nie zdołał go złapać. Kiedy wrócił na miejsce, spojrzał na monitory i wiedział już, co się stało. Przed szamanem stał nie kto inny jak Sowon, z plastikową torebką w ręce. Inni zgromadzeni otoczyli ich i wyglądało to trochę tak, jakby szaman i chłopiec mieli stoczyć walkę. To na pewno był powód, dla którego Hyonsu tak nagle wybiegł.

Ale co Sowon tam w ogóle robił? Sunghwan głowił się przez chwilę, po czym coś sobie przypomniał.

W poprzedni czwartek wrócił do domu po ósmej. W pracy czytał o Seryong wszystko, co znalazł, i stracił poczucie czasu. W domu było dziwnie cicho, stół był tylko częściowo nakryty, drzwi do głównej sypialni – zamknięte. Sowon zamknął się też w ich pokoju. Sunghwan zapukał.

– Mama? – odezwał się chłopiec.

– Nie, to ja, współlokator.

Sowon otworzył i od razu było jasne, dlaczego w ogóle zamknął się w pokoju. Na parapecie siedział Ernie i jadł. Chłopiec pokazał Sunghwanowi worek kociej karmy w szafie.

– Mogę to tutaj zostawić? – spytał. – Mama nie powinna tego zobaczyć. Nie lubi kotów.

Sunghwan przytaknął. Ernie wesoło chrupał, co przypomniało mu, że sam był już bardzo głodny. Wtedy, bez pukania, do pokoju wtargnęła Eunju. Sunghwan i Sowon, jak umówieni, wstali szybko i zastłonili sobą okno.

– Mamo, powinnaś pukać – zaprotestował Sowon.

– Pukać do pokoju własnego syna? – Eunju wyciągała szyję, żeby dojrzeć, co przed nią ukrywają.

– Ale to też pokój pana Ahna.

Eunju puściła to mimo uszu i odepchnęła Sowona na bok.

– A to co? – zapytała.

Sunghwan spojrział na parapet. Erniego już nie było, stała tam tylko miseczka.

– Karma dla kota... – odezwał się Sowon z ociąganiem.

Eunju założyła ręce na piersi i stanęła obok syna.

– Panie Ahn, czy pan ma kota? – zapytała ze złością.

– To kot tej dziewczyny obok. – Sowon ruszył z pomocą.

– Kot „tej” dziewczyny? – dopytywała Eunju, oczy miała utkwione w Sunghwana.

– On nie ma domu, ale się przyjaźnili. A teraz przyjaźni się ze mną – tłumaczył Sowon.

– Wpuszczasz do domu brudne zwierzę? Karmisz je i bawisz się z nim? Wiesz, że możesz coś złapać? Wiesz, jakie one są brudne?

– Tata mówił, że nic się nie stanie.

– Ach tak? I co jeszcze? Czy to on kupił karmę?

– Tak... – odpowiedział Sowon, zupełnie pokonany.

Sunghwan widział, jak Eunju sztywnieje ze złości.

– Może będziemy go karmić za oknem? – zaproponował pojednawczo.

– Nie – odparła ostro Eunju. – Zaczniecie go karmić, on przyprowdzi inne koty, będą rozrywać worki ze śmieciami, a ja to wszystko będę musiała sprzątać – wyliczała. – Teraz mam na to jeszcze mniej czasu. Miałam wam powiedzieć później, ale będę pracować w ochronie osiedla. Zaczynam w niedzielę.

Potem dodała tylko, że kolacja gotowa, odwróciła się i wyszła.

– Ernie będzie głodny – smucił się Sowon. – Nie miał jak skończyć jedzenia. – Był bliski łez. – Pewnie już więcej nie przyjdzie.

Sunghwan położył chłopcu rękę na ramieniu.

– Możemy mu zanieść jedzenie – powiedział pocieszająco.

– Powie mi pan, jak się tam idzie? – Wilgotne oczy Sowona błyszczały teraz nadzieją.

Sunghwan się zgodził, ale pod dwoma warunkami: że Sowon będzie tam chodził tylko w dzień i że nie będzie siedział długo.

Patrząc na monitory, Sunghwan uświadomił sobie, że była sobota, Sowon nie musiał iść do szkoły i pewnie szedł nakarmić kota – stąd plastikowa torebka, prawdopodobnie z karmą. Musiał po drodze zauważyć, że coś się dzieje, i z ciekawości poszedł się temu przyjrzeć.

Ale teraz działo się coś niedobrego, musiał tam pobiec.

Nie zdążył jednak. Kiedy dotarł na miejsce, Hyonsu trzymał szamana za gardło, miał w oczach żądzę mordy, ludzie próbowali ich rozdzielić.

Sowon krzyczał do ojca, żeby przestał, koło jego nóg rozsypała się karma dla kota. Sunghwan wyciągnął go z tłumu, chłopiec wyrwał mu się z rąk i spojrzał na ojca.

– Sowon! – odezwał się Sunghwan stanowczo, potrząsając jego ramionami. – Jeśli obiecasz, że się nie ruszysz, pójdę po twojego tatę.

Sowon przytaknął, a Sunghwan pobiegł naprzód, tam gdzie dwóch mężczyzn zmagano się ze sobą. Chwycił komórkę i szybko zadzwonił do Parka, który siedział w biurze. Chwilę później powietrze przeszył dźwięk syreny, po którym Hyonsu puścił szamana i rozejrzał się. Szaman upadł na ziemię, chwytając łapczywie powietrze, ludzie się odsunęli. Hyonsu wpatrywał się w szoku w swoją zabandażowaną lewą rękę.

Sunghwan odciągnął go z przystani. Hyonsu odzyskał przytomność umysłu na chwilę, zanim dołączyli do Sowona. Odtrącił rękę Sunghwana.

– Wszystko dobrze? – zapytał syna.

Chłopiec przytaknął. Hyonsu spojrzał w górę, na szczyt Seryong, nadal zmieszany.

– Chodź. – Chwycił Sowona za rękę.

Sunghwan, wiedziony dziwnym przecuciem, spojrzał za siebie, w kierunku przystani. Yongje patrzył na Hyonsu, na twarzy miał złowieszczy uśmiech. Czy to możliwe, że zaaranżował wszystko specjalnie, by sprowokować Hyonsu? Trudno było czegokolwiek się domyślić, ale ten dziwny uśmiech zdradzał, że tamten coś knuje.

Przy mostku na zaporze Hyonsu zwolnił.

– Zabierzesz go do domu? – zapytał Sunghwana. – Nie chcę, żeby żona mnie teraz widziała. Zastąpię cię, dopóki nie wrócisz.

Podwładny podał mu klucze do biura. Hyonsu szedł na niepewnych nogach, Sunghwan chciał go podtrzymać, ale ten poszedł przed siebie. Usłyszeli gong sygnalizujący dalszy ciąg rytuału.

– Chodź – powiedział Sunghwan do chłopca i chwycił go za rękę.

W połowie drogi Sowon zatrzymał się nagle i zanim Sunghwan zdążył zapytać, co się stało, chłopiec zwymiotował, brudząc sobie spodnie, trampki i częściowo buty współlokatora. Spojrzał potem wstrząśnięty do góry, prawie płacząc.

– Nic się nie stało – pocieszył go Sunghwan. – W domu wszystko umyjemy.

Wyciągnął chusteczkę i wytarł chłopcu brodę. Jego mała buzia była tak blada, że niemal sina. Skórę miał wilgotną i zimną w dotyku.

– Ponieść cię? – zaproponował Sunghwan.

– Dam radę.

Przed narzędziownią w pobliżu mieszkań ustawiono już namiot, a w nim był stół zastawiony jedzeniem, przygotowany na uroczystości pogrzebowe. Kilka kobiet z wioski krążyło między mieszkaniem 101 a namiotem, co chwilę donosząc na stół coś nowego.

– Wiesz, gdzie jest mama? – zapytał Sunghwan, kiedy stali już przed mieszkaniem.

Sowon w odpowiedzi potrząsnął głową.

– A może chcesz do lekarza?

Chłopiec jeszcze raz zaprzeczył.

– W porządku – odparł Sunghwan.

Zabrał Sowona do łazienki, pomógł mu się umyć i przebrać, po czym położył go do łóżka.

– Proszę pana... – zaczął chłopak, zawahał się i po chwili mówił dalej: – Miała dobre pożegnanie, prawda?

– Chodzi ci o Seryong?

– Tak.

– To dlatego tam poszedłeś? – zapytał Sunghwan. – Chciałeś sprawdzić?

– Nie – odpowiedział Sowon. – Po drodze do Erniego chciałem jej zanieść kartkę... – Chłopiec znowu się zawahał i przez chwilę milczał. – Umarła w swoje urodziny. Szkoda mi jej było. Nikt w szkole jej nie lubił i mówią, że zawsze chodziła sama. Nikt jej nie dał kartki na urodziny. Nikt nawet nie wiedział, że je miała.

– I dlatego zrobiłeś dla niej kartkę?

Sowon przytaknął.

– I co napisałeś?

– Nie miałem pomysłu, więc napisałem tylko: „Wszystkiego najlepszego. Dużo szczęścia w niebie i dziękuję, że przysłałaś do mnie Erniego”. I dodałem, żeby już do mnie nie przychodziła.

Sunghwan poczuł, jak serce mu zamiera.

– Przychodziła do ciebie? – zapytał przerażony.

– W nocy. Gdy zasypiam, słyszę, jak mnie woła. Podnoszę zasłonę i widzę, jak kuca w cieniu pod drzewem, ma rozpuszczone włosy, opadają jej na plecy. – Sowon opuścił wzrok, mówił teraz ciszej. – Nie ma ubrania. Tylko bieliznę. Chce, żebyśmy się bawili w Baba Jaga patrzy.

– I idziesz się bawić?

– Nie. Tylko na nią patrzę zza zasłony. Chcę jej powiedzieć, żeby nie przychodziła, że musi teraz iść do nieba. Ale nie mogę.

– Bo się boisz?

– Nie wiem. Po prostu nie umiem przy niej mówić.

– Komu chciałeś dać tę kartkę?

– Jej tacie. Ale ten szaman mi ją zabrał i krzyczał na mnie. Potem chwycił mnie za szyję.

– Co on ci powiedział?

– Że ona nie może iść sama, że musi iść ze mną. Trząś dzwoneczkami i gapił się, przysunął twarz bardzo blisko. Patrzyłem na niego, nie bałem się. Ale potem tata... – Sowon zamilkł. – Chwilę trwało, zanim znowu się odezwał.

– Może źle, że tu przyjechaliśmy. To miejsce jest dziwne.

– Wcześniej też tak myślałeś?

– Nigdy tu nie byłem. Mama chciała wszystko wiedzieć, wysłała tu tatę, ale on nie pojechał.

– Nie? Dlaczego?

– Nie wiem. Pokłócili się o to. Mama chciała wiedzieć, czy pan znajdzie sobie jakiś inny pokój i jakie jest mieszkanie. Tata nie pojechał, zamiast tego upił się i nie było go całą noc.

Sunghwan spojrział na zegarek. Była prawie druga, musiał wracać do pracy. Ale jak miał zostawić tego dzieciaka samego?

– Niech pan nic nie mówi mamie – odezwał się Sowon. – O tej dziewczynie. Ani że tam dzisiaj poszedłem.

– A co, jeśli gorzej się poczujesz? – zapytał Sunghwan.

– To wtedy zadzwonię do pana.

Sunghwan pomyślał przelotnie, że coś się nie zgadza. Dlaczego zadzwoni do niego, a nie do swojego ojca?

– Mama tak naprawdę jest tu obok – odezwał się Sowon, pokazując dłonią w stronę sąsiedniego budynku. – Tata dziewczyny prosił, żeby mu pomogła przy pogrzebie. A mój tata z nią rozmawiał i mówił, żeby tam nie pracowała.

Sunghwan zrozumiał, o co chłopcu tak naprawdę chodziło, kiedy prosił, żeby nic nie mówić mamie, i kiedy mówił, że zadzwoni właśnie do niego, jeśli gorzej się poczuje. Tu nie chodziło o to, że bał się gniewu rodziców. Ten jedenastolatek doskonale rozpracował mechanizm ich kłótni. Starał się po prostu nie dawać im więcej powodów do awantur.

– Dobrze, nic nikomu nie powiem – zapewnił Sowona.

Chłopcu wyraźnie ulżyło, widać było, że się uspokoił, i po chwili zasnął. Sunghwan po cichu wyszedł z mieszkania.

Przed budynkami zrobiło się tłoczno, szamański rytuał przeniósł się pod dom Yongje. Na ziemi rozpalono wiązkę słomy, dozorca cesał włosy słomianej lalki. Sunghwan patrzył, jak szaman po chwili ją podpalił. Najpierw ogniem zajęły się nogi, w powietrze uniósł się słupek szarego dymu.

Mieszkańcy wioski zebrali się wokół szamana, patrzyli i rozmawiali ze sobą po cichu. Uważali, że śmierć Seryong była złym znakiem. Jej ciało znaleziono w zatopionej wiosce, nurkowie z ekipy ratunkowej nie pochodzili z tych okolic, byli obcy. Wszyscy mieszkańcy przyszli uczestniczyć w obrzędach, żeby odgonić od wioski złe moce.

Sunghwan szedł między ludźmi. Obok ogródka kwiatowego zauważył ubranego w czarny garnitur starszego mężczyznę ze

starannie uczesanymi włosami. Stał o lasce jak cień. Przypominał nieco Seryong i Sunghwan pomyślał, że to pewnie jej dziadek ze strony matki.

Eunju siedziała z pogrzebaczem przy palenisku, nad którym wisiał wielki kocioł. Tam właśnie znalazł ją Sunghwan.

– Proszę pani – odezwał się.

Odwróciła się, żeby na niego spojrzeć.

– Pani zajrzy czasem do domu.

– Dlaczego? – zapytała.

Sunghwan nagle zdał sobie sprawę, że to bardzo dobre pytanie. Gorączkowo szukał odpowiedzi.

– Sowon jest sam. Śpi.

– Dobrze, dzięki – rzuciła od niechcienia i odwróciła się z powrotem do paleniska.

Sunghwan wrócił do pracy. Jego pokój był pusty, na biurku leżały klucze, na ekranie komputera nadal wyświetlały się najnowsze wiadomości dotyczące śmierci Seryong. Krzesło stało w odległości kilku kroków od biurka. Sunghwan podszedł do komputera, żeby pozamykać otwarte okienka, kiedy usłyszał pukanie do drzwi. W progu stanęli dwaj mężczyźni.

– Pan Ahn Sunghwan? – zapytał ten w średnim wieku.

– A o co chodzi?

Stojący bardziej z tyłu młodszy mężczyzna wyciągnął odznakę. To byli detektywi.

– Widzę, że bardzo się pan interesuje sprawą. Znalazł pan tam coś ciekawego? – odezwał się detektyw w średnim wieku, pokazując na ciągle jeszcze niezamknięte okienka z wiadomościami.

– A panowie właściwie w jakiej sprawie?

Starszy mężczyzna, nie czekając na zaproszenie, przysunął sobie krzesło i usiadł.

– Chcieliśmy zapytać, gdzie pan był i co pan robił tamtej nocy.

– Już wszystko raz opowiadałem – odparł Sunghwan. – Poprzednim razem, panów kolegom. Oglądałem w domu mecz.

– A nie nurkował pan tu, w jeziorze?

Sunghwan stanął w pobliżu drzwi i skrzyżował ręce na piersi. To pytanie musiało kiedyś paść.

– Wiemy, że w tamtą noc był pan w jeziorze – mówił detektyw. – Wszedł pan do wody na przystani, wynurzył się pan w okolicy wieży poboru wody, po czym popłynął wpław z powrotem do przystani. Mamy to wszystko na nagraniach z monitoringu.

Detektywi mówili to z taką pewnością, jakby rzeczywiście widzieli to na własne oczy. A przecież Sunghwan najlepiej ze wszystkich wiedział, że na nagraniach z monitoringu nie można było niczego dostrzec. Młodszy detektyw przysiadł na krawędzi biurka i przyglądał mu się.

– Możecie mi pokazać te nagrania, na których mnie widać? – zapytał Sunghwan.

Starszy detektyw się uśmiechnął.

– Pan jest jedynym pracownikiem, który umie nurkować.

– Tu mieszka jednak trochę więcej ludzi niż sami pracownicy – odpowiedział Sunghwan.

– Słyszałem, że sam sprzęt waży ponad czterdzieści kilogramów – mówił dalej detektyw. – Butli z powietrzem nie przeczuciłby pan nad ogrodzeniem, nie wyobrażam sobie też, że wspinał się pan po nim ze sprzętem na plecach. Pod furtką jest za mało miejsca, zostaje tylko jedna droga: przez bramkę. A żeby ją otworzyć, potrzeba klucza. Kto, oprócz pracownika zapory, miałby dostęp do klucza?

Sunghwan nic nie odpowiedział.

– Niech pan jeszcze pomyśli, damy panu czas. Może pan sobie coś przypomni.

– Nie potrzebuję czasu – odparł Sunghwan. – Nie nurkowałem, odkąd tu przyjechałem.

Starszy z mężczyzn mu się przyglądał. Sunghwan czuł, jak dostaje gęsiej skórki. Starał się nie myśleć o niczym, żeby tamci dwaj niczego nie mogli z jego twarzy wyczytać.

– Cóż, nic nie poradzimy, że nie chce pan współpracować. Chcieliśmy tylko wiedzieć, co pan zobaczył.

Detektywi w końcu zebrali się do wyjścia. Na odchodne ten starszy powiedział jeszcze:

– Ale to, że pan nie mówi nam prawdy, czyni pana podejrzanym.

Sunghwan przełknął ciężko i starał się z całych sił zachować zimną krew. Tłumaczył sobie, że oni zwyczajnie blefują. Na



nagraniach mogli tylko dojrzeć maleńki punkcik światła. Skorzystali pewnie z pomocy profesjonalnych nurków, żeby odtworzyć jego ruchy. Jedynym prawdziwym dowodem na to, że Sunghwan tam był, była żyłka wędkarska. Sklep wędkarski w mieście na pewno mógłby jeszcze znaleźć ślad jego zakupów: żyłki i spławików, i to na krótko przed tymi wydarzeniami. Ale o tym detektywi nie wspomnieli, co mogło oznaczać, że nikt nie znalazł pozostałego kawałka żyłki w jeziorze. Najgorsze, że w takim razie Oh Yongje zatrzymał tę informację dla siebie – z sobie tylko znanego powodu.

Sunghwan zamknął okienka przeglądarki i zamarł – wideo *Atlantyda* ciągle było na ekranie, pod wiadomościami. Było tam przez cały ten czas, kiedy on robił, co mógł, by udowodnić, że nigdy nie nurkował w jeziorze. Czy jego szef je widział?

Taras widokowy przy autostradzie był opustoszały. Mimo weekendu ruch był mały, brakowało lokalnych pijaków, którzy zazwyczaj tam przesiadywali. Hyonsu był sam. Za każdym razem, kiedy tam przychodził, obiecywał sobie, że to już ostatni raz. I tak dzień po dniu. Stał się już oficjalnie alkoholikiem. Ale nic nie mógł poradzić na to, że tylko picie przynosiło mu ulgę.

Był nadal wzburzony, kiedy poszedł z powrotem do biura tego dnia rano, żeby zastąpić Sunghwana. Znowu stracił panowanie nad sobą – każdy, kto go tam widział, był już pewien, że coś z nim jest nie tak. Przerażony i zawstydzony, poprosił Sunghwana, żeby zajął się Sowonem, nie miał odwagi spojrzeć w oczy własnemu synowi.

Nie pamiętał dokładnie, jak trafił na wideo na komputerze Sunghwana, nie mógł sobie przypomnieć, czego właściwie tam szukał. Patrzył jak zaczarowany na podwodny świat uchwycony obiektywem kamery, w miarę jak ta posuwała się w głąb zatopionej wioski. Ostatnią sceną było zbliżenie na tabliczkę z nazwiskiem „Oh Yongje”, potem ekran robił się ciemny. Przypomniał sobie, co mówił wcześniej Sunghwan: „Tam chyba urodziła się Seryong i tam też ją znaleźli”. Przewinął wideo na ostatnią scenę i spojrzał na napis wyświetlany na samym dole filmu: „22.45, 27 sierpnia 2004”.

Szok, którego wtedy doznał, nadal go nie opuszczał. W tamtą noc ktoś tam był. Ktoś mógł być świadkiem.

Jeszcze raz obejrzał wideo od samego początku. Kamera nagrała drogę do wioski, wjazd do niej, tablicę z napisem „Witamy w wiosce Seryong”. Jego ręka, kierująca myszką, zaczęła dygotać. Sunghwan wspominał, że jego ojciec zajmował się wylawianiem topielców z rzeki, że on i jego bracia pomagali zawsze, kiedy była robota, że zaczął nurkować w wieku jedenastu lat. To Sunghwan nagrał to wideo. Nagle uświadomił sobie, co tak naprawdę mówi czas nagrania – jego podwładny był pod wodą dokładnie wtedy, kiedy wpadło do niej ciało Seryong.

Zanim Sunghwan wrócił do pracy, Hyonsu pobiegł na swoje stanowisko. Siedział tam potem całe popołudnie i analizował sytuację. Po raz pierwszy od przyjazdu jego mózg naprawdę działał. Jedno było pewne: jeśli ten młody coś widział, nie zgłosił tego policji. W przeciwnym razie Hyonsu siedziałyby już za kratkami.

Kim właściwie był ten cały Ahn Sunghwan? Hyonsu przeanalizował ich znajomość, ale nie przypomniało mu się nic niezwykłego. Miniony tydzień był jednak bardzo chaotyczny, może coś mu umknęło w natłoku wydarzeń. Jeśli Sunghwan coś zobaczył, dlaczego nikomu o tym nie powiedział? Może, myślał dalej Hyonsu, jeśli nie wiedział, kto to zrobił, nie chciał przy okazji się wsypać, że nurkował bez pozwolenia w jeziorze w czasie, kiedy doszło do morderstwa. Nie chciał stać się jednym z podejrzanych.

Przez następne dwa dni Hyonsu niezliczone razy otwierał i zamykał komórkę. Czuł podenerwowanie zawsze, gdy mijał się z Sunghwanem. Wiedział, że powinien go jakoś zagadnąć, spróbować się czegokolwiek dowiedzieć, ale jak miał to zrobić? Nawet proste pytanie: „Idziemy na piwo?” wydawało się niewykonalne.

Kiedy wracał do domu z tarasu po północy, myślał, że najlepiej będzie odpuścić i pozwolić, żeby się działo, co ma się dziać. Nawet jeśli Sunghwan go wtedy widział, to czy miał jakiś dowód?

Opadł na łóżko. Był sam – to była pierwsza noc Eunju w pracy. „Super – pomyślał Hyonsu gorzko. – Idź zarabiać te swoje pieniądze i daj mi święty spokój”.

Szedł znowu bosy przez pole sorgo z butami ojca w jednej ręce i latarką w drugiej. Była pełnia, pola pokryły się czerwienią, w oddali

szczeptały psy. Doszedł do studni, zatrzymał się i wziął głęboki oddech, po czym wrzucił do niej jeden but. Usłyszał plusk, obudził śpiącą studnię. Ochryply męski głos odezwał się z otchłani: „Hyonsu! Hyooooonsuuuu!”. Wrzucił do studni drugi but. Masz! Studnia go pochłonęła i tym razem usłyszał głos dziewczyny: „Tata!”.

Otworzył oczy. Zasnął na łóżku w sypialni, ale teraz leżał na podłodze w salonie, obok sofy. Lewa ręka znowu była zdrętwiała. Usiadł i włączył światło. Nie był mokry, ale nogawki spodni i stopy miał brudne. Na podłodze leżała latarka, wszędzie widział błotniste ślady. To znaczyło, że wychodził z mieszkania. Było już rano, w świetle słońca dostrzegł więcej śladów na schodach. Zaczynały się na klombie przed budynkiem – widać było, że wchodził tam i stamtąd wychodził. Podążył ich śladem. Przekroczył niski drewniany płotek oddzielający stodójkę od stojedynki, przeszedł przez podwórko stojedynki i wyszedł na drogę nad brzegiem jeziora. To nią szedł po ostatniej kłótni z Eunju, w czwartek wieczorem. Ślady stóp kończyły się na mostku na zaporze, dokładnie tam, gdzie wrzucił do wody ciało dziewczyny.

Przykucnął obok barierki mostku, docierała do niego przerażająca prawda: powracający sen, który dręczył go już od trzech nocy, nie był jedynie snem. To była rzeczywistość zamknięta we śnie i sen, który działał się naprawdę. Wspomnienie studni, które nawiedzało go, gdy jeszcze był chłopcem, sny, które miał nadzieję zostawić za sobą, kiedy wyprowadził się z domu. To wszystko właśnie do niego wracało, żeby się z nim rozprawić. Chciał się temu przeciwstawić, ale wiedział dobrze, jaka jest prawda. Jedyne, co mógł zrobić w ten poniedziałkowy poranek, to wstać i wrócić do domu, zanim któryś z ochroniarzy przyjdzie i zapyta, co tu robi.

Kiedy wchodził do mieszkania, Sunghwan właśnie szedł do łazienki, przez ramię miał przewieszony ręcznik. Spojrzał pytająco na szefa. Hyonsu nie miał już siły na jakiegokolwiek tłumaczenia. Cieszył się tylko, że to nie Sowon zobaczył, w jakim stanie wchodzi do mieszkania.

– Mogę ja pierwszy?

Sunghwan usłużnie odstąpił na bok, nadal patrząc na niego ze zdziwieniem.

– Proszę – powiedział.

Kiedy był już w łazience, zajął się ręką. Sięgnął po nóż do kartonu, który ukrył wcześniej w rogu, chwycił prawą ręką lewy nadgarstek i oparł go o pralkę. Ostrzem noża nakłuł lewą dłoń, ale czucie nie wracało, nawet po trzech próbach. Nie mógł tak pójść do pracy. Przysunął ostrze do nadgarstka, tam gdzie szła gruba niebieska żyła. Musiał być bardzo ostrożny, żeby nie przeciąć arterii ani ścięgna. Musiał zrobić płytkie, wąskie, szybkie cięcie. Kiedy ostrze dostało się do żyły, krew trysnęła jak z gejzera. W lewej ręce poczuł przyływ gorąca, ulżyło mu.

– Szefie! – Głos Sunghwana dobiegał jakby z oddali.

Zadowolenie Hyonsu przysło w chwili, kiedy tamten wparował do łazienki.

– Rany boskie! – wykrzyknął Sunghwan. – Co pan wyprawia?!

Sunghwan brzmiał, jakby miał atak paniki. Chwycił ręcznik i obwiązał nadgarstek Hyonsu, po czym popchnął go na ścianę i podniósł jego rękę tak wysoko, jak się dało.

Hyonsu pozwolił mu na to, mimo że był na niego zły. O co on robił tyle hałasu? Nie widział nigdy wcześniej krwi?

– W porządku – powiedział, ale prawie nie słyszał własnego głosu.

– Naprawdę głęboko! – Sunghwan sięgnął po świeży ręcznik i przyłożył go do nacięcia. Kazał Hyonsu trzymać go na miejscu, a sam przygotowywał bandaż. – Musimy jechać do lekarza.

– To tylko mała rana.

Sunghwan spojrzał na Hyonsu poirytowany.

– To właśnie robił pan przez ten cały tydzień?

Hyonsu był zły. Jak miał mu to wszystko wytłumaczyć? Nie chciał, żeby tamten myślał, że to histeria albo próby samobójcze, ale gdyby to powiązali ze sprawą, miałby problemy.

– Słuchaj, niekiedy ręka odmawia mi posłuszeństwa – zaczął tłumaczyć. – Mam to, od kiedy grałem w baseball. Lekarze mówili, że z nerwami wszystko okej, ale czasem tracę zupełnie czucie. Kiedy puszczam trochę krwi, poprawia mi się. To tylko małe nacięcie, nie chciałem się zabić. – Hyonsu nagle przestał mówić, był zawstydzony.

– Ale do lekarza musimy podjechać. – Sunghwan wypchnął go z łazienki. Przy drzwiach wejściowych otworzył szafkę na buty. – A to

dziwne – powiedział.

– Co takiego? – zapytał Hyonsu, wkładając buty.

– Nie ma moich adidasów. Tu je wczoraj zostawiłem, powinny tu być.

Na twarzy Hyonsu pojawił się grymas. To samo mówiła poprzedniego dnia Eunju. Nie mogła znaleźć swoich butów i spojrzała na niego podejrzliwie. Jakby on je gdzieś schował, żeby nie mogła iść do pracy.

– Zostań tu – powiedział szybko Hyonsu. – Sowon się zaraz obudzi. Dam sobie radę sam. – Otworzył drzwi i zanim wyszedł, rzucił jeszcze: – Nie mów nic mojej żonie.

Sunghwan stał i patrzył na Hyonsu. Jego twarz wyrażała trudne do nazwania emocje. Hyonsu wiedział, że tamten jest zdenerwowany. Rozumiał to, sam się tak czuł.

W przychodni lekarz zapytał:

– Jak to się stało?

Hyonsu nie wiedział, co powiedzieć. Wyjaśnienie wymagało psychologicznego podejścia. Spuścił wzrok i mówił:

– Czasem ręka mi drętwieje, tak że już nic nie czuję. Poprawia mi się, kiedy puszczę trochę krwi.

Lekarz nie przestawał patrzeć na niego nieufnie i zszywając ranę, dawał mu instrukcje.

– Proszę tego na razie nie zdejmować. Im wyżej będzie pan trzymał rękę, tym szybciej zejdzie opuchlizna.

Hyonsu dostał środki przeciwbólowe i mógł iść. Przed wejściem zapalił jeszcze papierosa. Stał przodem do ulicy, ale oczami wyobraźni widział, jak co noc niesie w kierunku jeziora czyjeś buty, a potem wrzuca je do wody z mostku. Pierwszej nocy to były kapcie, potem buty Eunju, teraz Sunghwana. Co będzie następne? Wiedział, że jest jedna para butów, którą musi ochronić przed człowiekiem budzącym się w nocy.

Poprzedniej wiosny Sowon wygrał konkurs matematyczny w szkole, a Hyonsu kupił mu w nagrodę buty nike. Ale zanim chłopak mógł ich nawet dotknąć, Eunju je przejęła.

– Są za małe – powiedziała. – Jutro je wymienię.

– Wcale nie są – bronił się Hyonsu. – Specjalnie kupiłem rozmiar większe.

Eunju odłożyła buty z powrotem do pudełka.

– Wiesz, jak szybko rośnie mu noga? Za tę jedną parę można mu kupić pięć innych.

Sowon był rozczarowany.

– Po prostu mu je daj! – wykrzyknął Hyonsu.

– Naprawdę chcesz mu podarować takie drogie buty? – pytała, niemal sycząc. – Przyzwyczaisz go do luksusów i potem będzie chciał tylko więcej i więcej.

Hyonsu wyrwał jej buty z ręki, wyciągnął szybko pisak z kieszeni i na wewnętrznej stronie obydwu języków napisał: „Choi Sowon”.

Tym razem podpisanie ich by nie pomogło. Musiał je ukryć, ale gdzie? Może powinien powiedzieć samemu Sowonowi, żeby je schował, tak żeby on nawet podświadomie nie umiał ich znaleźć? Ale jak mu to wszystko wytłumaczyć? Przydeptał niedopałek papierosa.

   \* Zwrot używany w stosunku do młodych, niezamężnych kobiet [wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczy].

   \*\* Zwrot używany w stosunku do kobiet około pięćdziesiątki.

## Prawo Martini

Pograżyłem się we wspomnieniach. To było na dzień przed jej pogrzebem, nie wiedziałem, co ze sobą zrobić. W szkole było tak nudno, że już wolałbym siedzieć w domu i słuchać narzekania mamy. Na przerwach podchodziłem do gazetki szkolnej i patrzyłem na zdjęcia Seryong. Chciałem jej powiedzieć: „Nie martw się o Erniego, zajmę się nim”.

Kiedy wróciłem ze szkoły, mamy nie było w domu. Na lodówce wisiała kartka: „Umyj ręce i odrób lekcje. Na blacie masz jedzenie”. Napisałem odpowiedź i przykleiłem obok: „Odrobiłem lekcje, idę do pana Ahna”. Wiedziałem, że nawet jeśli mama do niego zadzwoni, żeby sprawdzić, pan Ahn mnie nie wyda. To w końcu od niego wiedziałem o Ernieniu. Wyjąłem z plecaka książki i zapakowałem w ich miejsce kocią karmę, środek na komary, butelkę wody i trochę jedzenia. Zarzuciłem go sobie na plecy i wymknąłem się przez okno.

Podążałem za wskazówkami pana Ahna, kierując się do kryjówki kota w starej stodole. Kiedy przechodziłem pod oknem Seryong, spojrzałem do środka. Jak zwykle okno było otwarte, więc bez problemu mogłem zajrzeć. Zatrzymałem się pod nim i zerknąłem na zdjęcie Seryong wiszące na ścianie. Patrzyła na mnie zimnymi, ciemnymi oczami. Może miała mi za złe, że ignorowałem jej nocne wołanie zza zasłony? Odwróciłem się i przyspieszyłem kroku. Po plecach przeszły mi ciarki, czułem, jakby coś chciało złapać mnie za szyję. Zawsze tak było, kiedy tam stałem.

Po drodze dostrzegłem kilka punktów orientacyjnych: zejście do jeziora, wieżę poboru wody, przystań, fragment szosy, wjazd na starą farmę, olchowy las, opuszczony dom na farmie, drzewo kaki, na którym rosły owoce wielkości orzecha włoskiego. Na końcu stodołę.

Kiedy byłem już na miejscu, otworzyłem szeroko drzwi stodoły i wpuściłem do środka światło. Betonowa podłoga odśloniła swe szare oblicze. Beton ciągnął się po obu stronach przejścia. Poszukałem kąta, w którym, jak mówił pan Ahn, zapadła się podłoga. To tam chował się Ernie.

– Ernie – wyszeptałem. – Kici, kici.

Nie chciałem go wystraszyć. Otworzyłem puszkę z karmą i ostrożnie podsunąłem ją w kierunku zagłębienia w podłodze obok zardzewiałej belki. Nie musiałem długo czekać, po trzydziestu sekundach Ernie szybko wyszedł z ciemności. Pan Ahn wspominał, że ten kot zachowaniem podobny jest raczej do psa. Wyglądał trochę jak lew górski, ale tak naprawdę bliżej mu było do małego psiaka. Kiedy zjadł już wszystko, otarł się głową o moją nogę. Zrozumiałem, że teraz mogę już posiedzieć z nim w jego kryjówce.

Skrzynka, w której spał, wyglądała dokładnie tak, jak ją opisywał pan Ahn – duża i solidna, z łatwością mieściła nas obu. Był w niej jeszcze różowy kocyk, pan Ahn jednak nigdy mi o nim nie wspominał. W rogu czarną nicią ktoś wyszył imię. Spojrzałem na nie i serce zabiło mi mocniej: „Seryong”. Oparłem się o ścianę, było mi dobrze, czułem się bezpiecznie. Nie przeszkadzało mi wcale, że w stodole jest gorąco i duszno. Popsikałem się sprayem przeciw komarom i oparłem o skrzynkę. Czułem się, jakbym siedział w pokoju Seryong. Zasnąłem upojony tym przyjemnym uczuciem. Ernie przytulił się do mnie. Śniło mi się, że zakradam się do jej pokoju. Seryong leży na łóżku i śpi. Długie rozpuszczone włosy, blade policzki i smukłe łydki. Zamknięte oczy. Ręce wyciągnięte wzdłuż tułowia. Leży w samych majtkach. Kucam na biurku i spoglądam na nią.

Gdy się obudziłem, prawie krzyknąłem, widząc przed sobą mężczyznę. Siedział na podłodze, powyżej kryjówki Erniego i patrzył na mnie. To był ojciec Seryong. Wzdrygnąłem się i poczułem dziwne ukłucie w sercu. Odżyła wrogość z pierwszego spotkania. Co on tu



robił? Kota nigdzie nie było, mimo że wcześniej spał na mnie. Musiał uciec, kiedy wyczuł, że zbliża się pan Oh. Ernie też go nie lubił.

– Co tu robisz? – zapytał Yongje.

– Ale o co chodzi? – pytałem, gramoląc się z kociej kryjówki. – Nie jestem na pana terenie.

– Kot mojej córki tu mieszka – odpowiedział, patrząc na mój plecak, i się uśmiechnął. – Zaprosił cię tutaj?

Był nienaturalnie miły, wzbudziło to moją czujność.

– A co pan tu robi? – zapytałem go.

– Sam byłem tu kilka razy zaproszony – odparł, po czym się podniósł. Z jego twarzy zniknął uśmiech. – To kocyk mojej córki. Wolałbym, żebyś go nie używał.

Miał ten sam wyraz twarzy, który zobaczyłem, kiedy po raz pierwszy spotkałem go w arboretum.

Nic nie odpowiedziałem. Wsadziłem tylko ręce do kieszeni i patrzyłem na niego.

– Wiesz, że jutro jest jej pogrzeb? – zapytał znienacka.

Wiedziałem, ale w dalszym ciągu się nie odzywałem.

– O dziesiątej będziemy wywoływać jej duszę z jeziora, koło przystani – mówił, a ja stałem cicho. – Mam nadzieję, że przyjdiesz. Chciałbym ci podziękować za opiekę nad jej kotem. Po pogrzebie zamknę też jej pokój i już nie będziesz miał jak tam zajrzeć.

Oblałem się rumieńcem; przypomniałem sobie wszystkie te chwile, kiedy stałem pod jej oknem, czując ciarki na plecach. Musiał mnie wtedy zauważyć. Chwyciłem plecak i wyszedłem ze stodoły, z całych sił starając się nie zacząć biec.

– Przyjdiesz? – Zatrzymał mnie przy drzwiach.

Spojrzałem na niego i pokiwałem głową.

– Niech to zostanie między nami – dodał.

Przyjąłem zaproszenie. Nikomu nic nie powiedziałem, nawet panu Ahnowi. Wtedy myślałem, że to tylko zbieg okoliczności, i po tym wszystkim, co wydarzyło się później, zupełnie o tej rozmowie zapominałem. Dopiero teraz, czytając powieść pana Ahna, zrozumiałem, że Oh Yongje wszystko zaplanował. Wykorzystał mnie i swoją martwą córkę. Chodziło o to, żeby szaman sprowokował tatę. Ale po co? Czy tylko po to, aby nękać ojca? Czy to była kolejna część jego planu?

W tym momencie miałem w głowie wiele pytań. O czym detektywi rozmawiali z mamą? Jaki był związek Oh Yongje z firmą Wsparcie? Co to był za zły duch czający się na tatę w studni? Dlaczego mój tata tak bardzo niepokoił się o moje buty? Czułem podświadomie, że odpowiedzi na nie znajdę w pliku pana Ahna. Nie miałem jednak ochoty czytać więcej. Zastanawiałem się, po co on to wszystko spisał. Żeby to opublikować? Czy tylko po to, żebym ja mógł kiedyś poznać prawdę? Nie wiedziałem też, ile z tego rzeczywiście się wtedy wydarzyło, a ile było jedynie domysłami pana Ahna. Mógł równie dobrze niektóre rzeczy zmyślić. To, co tyczyło się moich rodziców, mógł z łatwością skompilować, rozmawiając z ludźmi, ale Oh Yongje? Kto byłby w stanie zajrzeć w głąb jego umysłu? Zarówno on, jak i jego córka teraz nie żyli, a jego żony – zgodnie z tym, co czytałem – nie było w tamtym czasie w Seryong. Zresztą wszystko to i tak nie miało większego znaczenia, jeśli tata naprawdę zrobił to, o co go oskarżono.

Przejrzałem zebrane chronologicznie artykuły prasowe, nie było tam jednak nic, czego bym już wcześniej nie wiedział z „Sunday Magazine”. Jedynie informacje o mamie były czymś nowym.

Jej ciało znaleziono cztery dni po pamiętnych wydarzeniach na brzegu rzeki Seryong, w pobliżu jej ujścia, jakieś sześćdziesiąt pięć kilometrów od jeziora. Przyczyną śmierci były obrażenia głowy. Przeczytałem, że tata zabił ją, po czym wrzucił ciało do jeziora, dokładnie tak samo, jak zrobił z Seryong. Śledczy podejrzewali, że mama i Oh Yongje zginęli od tej samej broni – drewnianego kija. Były na nim jeszcze ślady krwi pana Ahna i samego taty. Kij znaleziono na miejscu wydarzeń. Tata był nieprzytomny, przetransportowano go do szpitala. Miał otwarte złamanie prawego nadgarstka, zerwane więzadła, złamany nos i szczękę, wybite zęby i sepsę, bo kilka dni wcześniej poważnie zranił się w stopę. W czasie gdy artykuł oddawano do druku, nadal poszukiwano ciała Oh Yongje i śledczy mieli dopiero potwierdzić swoje przypuszczenia.

Przejrzałem następne artykuły. Było w nich wszystko, co już wiedziałem: raporty na temat stanu taty, leżącego dziesiąty dzień na oddziale intensywnej terapii, informacje o tym, że dwa razy prawie umarł, o tym, że w końcu odzyskał przytomność i został przewieziony do więzienia. No i o samym procesie. Przejrzałem

wszystko jeszcze raz – nigdzie nie było wzmianki o odnalezieniu ciała Oh Yongje. Jeśli pan Ahn pieczołowicie gromadził wszystkie informacje prasowe o tej sprawie, mogło to oznaczać, że tak naprawdę nigdy go nie odnaleziono.

Zacząłem przeglądać plik listów: wszystkie dostarczono na adres skrytki pocztowej w Haenam i nadano je na tej samej poczcie – w Amiens we Francji. Nadawcą była Mun Hayong. Widziałem jej imię w tekście, to była żona Oh Yongje! Ale dlaczego korespondowała z panem Ahnem? Przecież tych dwoje nigdy się nie spotkało... Listów było aż dziewięć, otworzyłem pierwszy z nich.

*Od kilku dni nie mogę spać. Nocami wychodzę do ogrodu, cicho, żeby moja przyjaciółka Ina się nie zbudziła. Stoję pod jabłonią. Ina martwi się o mnie, domyśla się, co mi chodzi po głowie. Powiedziała mi wczoraj: „Hayong, zrób to, co masz zrobić. Cokolwiek by to było, zrób to dla siebie, nie dla innych”.*

*Obiecałam jej to.*

*Po tamtych wydarzeniach nigdy już nie rozmawiałam z nikim o mojej córce. Bałam się, że popadnę w nieskończoną rozpacz. Ale opowiem Panu, co wiem, mimo że nie było mnie tam z nią, kiedy to wszystko się działo. Wiadomość o jej śmierci dotarła do mnie długo potem. Byłam w Casablance, żeby przedłużyć wizę, i o wszystkim dowiedziałam się dopiero, kiedy przyjechałam z powrotem do Francji. Czułam tylko ból i rozpacz. Było już po pogrzebie. Nie mogłam jeść ani spać. Ona musiała się czuć taka samotna, przerażona, musiało ją tak bardzo boleć... To, że odeszła przede mną, odczuwałam jako moją zbrodnię na niej, zupełnie jakbym ją zdradziła. Moje poczucie winy wkrótce przekształciło się we wściekłość na tego, kto jej to zrobił, mimo że zdawałam sobie sprawę, jakie to dla mnie niezdrowe.*

*Pana pierwszy list odnowił tę wściekłość. Myślałam sobie: jakim prawem ktoś taki, pisarz zbierający materiały do powieści, mógłby szczerze i uczciwie opisać to, co stało się z moją córką i co zrobił mój mąż? Mój adres dostał Pan od mojego ojca. Powiedział mi, że dawno temu dał mu Pan coś, co należało do Seryong. To nie umniejszyło mojej złości. Nieważne, jak bardzo*

*był Pan dla niej dobry, nadal nie miał Pan prawa wymagać ode mnie tak wiele.*

*Ale kiedy przysłał Pan paczkę, zupełnie nie wiedziałam, co robić. Manuskrypt był gruby, były w nim rzeczy, o których nie miałam wcześniej pojęcia. Potwornie okrutna prawda. Po co Pan to robił? Dlaczego mnie Pan dręczył? Dla pieniędzy? Dla sławy? Spaliłam wszystko, ale to, co tam przeczytałam, zostało we mnie. Znienawidziłam Pana i przysięgłam sobie, że spalę każdy następny list bez otwierania go.*

*Pan jednak jest bardzo sprytny. Na kolejnym liście nakleił Pan to małe zdjęcie, wiedział Pan doskonale, że nie będę umiała go podrzeć ani spalić. Ścieżka we mgle, latarnie, drzewa... Znałam to miejsce doskonale. Mam je przed oczami za każdym razem, kiedy myślę o mojej córce. Mężczyzna i chłopiec idący w stronę głównej drogi, chyba ojciec i syn. Otworzyłam tamten list.*

*Napisał Pan, że ten chłopiec to jego syn, że jest niewinny, że żyje jak wyrzutek. Chciał Pan, żeby mógł w końcu poznać prawdę, która go wyzwoli.*

*A co mnie to obchodzi?, myślałam sobie. Powinien żyć w bólu, tak jak ja. Ale wczoraj w nocy, kiedy stałam pod jabłonią, czekając na świt i wpatrując się w ciemność, zobaczyłam przed sobą chłopca w wieku mojej córki. Dziecko, o którym nie miałam nigdy wcześniej pojęcia, niewinne zupełnie jak Seryong. Kiedy czytałam ten artykuł z czasopisma, które Pan przesłał, kiedy myślałam o kłopotach, jakie ten chłopiec miał w każdej szkole, pomyślałam, że to okrucieństwo na miarę mojego męża. Zrozumiałam falę krytyki, gniewu, przekleństw, jaka go zalała, także z mojej strony.*

*Powiem więc Panu to, co chce Pan wiedzieć. Byłam z moim mężem dwanaście lat, wystarczająco, żeby go poznać.*

*Mam jeszcze jedną prośbę – kiedy książka będzie gotowa, proszę mi przesłać egzemplarz. Ja też chcę poznać prawdę.*

*Z poważaniem  
Mun Hayong*

Schowałem list z powrotem do koperty. Napisała go dwudziestego stycznia tego roku. Bałem się spojrzeć na pozostałe listy, nie wiedziałem, czy zdołam udźwignąć jej smutek, jej wspaniałomyślność i współczucie. Czułem się zagubiony. Nie chciałem niczego od tej kobiety, nic nie była mi winna. Miałem poczucie, że przed oczami widzę łąy niezliczonych ludzkich ofiar, których moja pamięć do tej pory unikała. Bronilem się przed tym widokiem. Długo stałem przed oknem zamazanym od soli i kurzu. Wydawało mi się, że przez to brudne okno widzę niebo, chmury, księżyc, spadające gwiazdy, deszcz i zamieć, morze i latarnię morską. Poczułem nagle ogromny głód.

Poszedłem do kuchni. Nalałem wody do garnka i postawiłem go na kuchence. Otworzyłem szafkę i bezmyślnie wpatrywałem się w jej zawartość. Co chciałem wyjąć? W środku leżała zaschnięta ściereczka do naczyń. Musiała tam być od co najmniej trzech miesięcy. Od wczesnej jesieni zeszłego roku, kiedy zmarła żona przewodniczącego klubu młodzieżowego. Chwyciłem ścierkę i wyszedłem na zewnątrz. Stałem na wietrze i wycierałem okna swojego pokoju. Ściereczka była cała w soli. Szyba robiła się jeszcze brudniejsza. Mój umysł był coraz bardziej dezorientowany. W głowie roilo mi się od nowych pytań. Czy Oh Yongje nie umarł? Mun Hayong w to wierzyła. W swoim liście pisała o nim w czasie terażniejszym. Miała na to jakieś dowody? A może to wiara wywodząca się z przekonania, że nie ma śmierci? Czy pan Ahn podejrzewał, że to właśnie on rozsyłał egzemplarze „Sunday Magazine” przez te wszystkie lata? List Mun Hayong zdawał się na to właśnie wskazywać. Od jak dawna wiedział? I jeśli to była prawda, dlaczego Yongje do tej pory nic mi nie zrobił? Miał przecież tyle okazji. Dlaczego chciał mnie wypędzić ze świata ludzi?

– Sowon!

Na dźwięk głosu wróciłem do rzeczywistości. W drzwiach stał przewodniczący klubu młodzieżowego.

– Co ty tam robisz? Zestaw garnek z ognia.

Wtedy zrozumiałem. Chciałem wyjąć z szafki makaron, a nie ścierkę do naczyń.

– Garnek się spalił...

– Sam się spalił, draniu? Spałem, ale poczułem dziwny swąd, więc przyszedłem sprawdzić. Cholera, gdybym nie zdążył na czas, cała chałupa poszłaby z dymem.

Wyłączyłem kuchenkę i usiadłem z powrotem przy biurku, zapominając o głodzie. Sięgnąłem po laptopa i kliknąłem na dysk USB. Były na nim dwa foldery: „Jezioro Seryong” i „Źródła”, otworzyłem ten drugi. Znajdowało się tam wideo pod tytułem *Atlantyda* i pliki MP3. Włączyłem plik o numerze jeden. Krótki szum, a zaraz po nim niski męski głos.

„Jestem bardzo szczęśliwy, kiedy myślę o tym, jak Sowon dorasta. Zdjęcia z jego urodzin, te, które mi przysyłasz, przyklejam sobie na ścianie, uwielbiam je. Kiedy miał czternaście lat, był jeszcze chłopcem, a w dniu piętnastych urodzin wyglądał już jak młody mężczyzna. To są takie rzeczy, których się nie zauważa, gdy jest się cały czas razem. Pamiętam dokładnie, jak wyglądał w pierwszy dzień podstawówki. Na sali gimnastycznej były wtedy setki dzieci i on pośród nich, spokojny i opanowany. Chciałbym mu kiedyś opowiedzieć, gdy będzie już mężczyzną, jaki byłem wtedy z niego dumny...”

Szybko wyłączyłem nagranie, ręce mi się trzęsły. Przez te lata bardzo chciałem zapomnieć ten głos. Tata. To, jak wypowiadał moje imię – dokładnie tak to zapamiętałem. Zamknąłem laptopa, nie miałem ochoty słuchać tego więcej, nie miałem ochoty czytać tego, co napisał pan Ahn. Tata nie był tym pewnym siebie olbrzymem, którego miałem w pamięci. Był słaby, był tchórzem. Chciałem o nim zapomnieć. Było mi tak smutno i źle, że nie mogłem złapać tchu, ale jego głos nadal brzmiał w mojej głowie: „Sowon”.

Słyszałem go wciąż w wietrze trzęsącym oknem. Myślałem, że już nic nigdy nie zmaćci mojego spokoju, że nic nie wytrąci mnie z równowagi. Nieprawda. Po raz pierwszy od siedmiu lat poczułem tatę obok siebie.

Wstałem. Podeszedłem do lodówki. Trzymałem otwarte drzwi i bezmyślnie wpatrywałem się w jej wnętrze. Zapomniałem, co zamierzałem wyjąć.

Ciągle słyszałem swoje imię i głos taty. „Sowon”. Zamknąłem lodówkę i usiadłem w kącie pokoju. Podmuch wiatru uderzył w okno. Tata zawołał na wietrze: „Sowon!”. Myślałem, że nigdy więcej nie

wpadnę w panikę. Myślałem, że nie mam się czym denerwować. Lecz było odwrotnie. Słyszałem jego głos dochodzący ze wszystkich stron. Znowu poczułem się zagubiony jak małe dziecko. Miałem ochotę wybiec na ulicę i kogoś zapytać. Co powinienem zrobić? Co mam zrobić, żeby zatrzymać ten głos?

Z listów Mun Hayong, które zacząłem czytać o świcie, pozostały już tylko dwa. Jej opowieść o Oh Yongje była szczera.

*Ciekawe jest przezwisko „aktor”. Pierwsza nazwała go w ten sposób siostra jego matki i tak już zostało. Przez jakiś czas mieszkał w Seulu z rodziną ciotki. Zajmowali mieszkanie na ostatnim piętrze w pięciopiętrowym bloku w Dangsang-dong. Musiał mieć jedenaście lat, bo wtedy był w piątej klasie Szkoły Podstawowej Seryong. Jego matka była tam nauczycielką. Uważała, że aby dostać się na prestiżową uczelnię, zwłaszcza medyczną, trzeba skończyć dobrą szkołę w Seulu, dlatego wysłali go do rodziny w stolicy. Nie układało mu się tam. Musiał dzielić pokój z kuzynem, którego uważał za idiotę. Samo to było dla niego obraźliwe. Poza tym kuzyn lubił ruszać jego rzeczy. Yongje był na tym punkcie przeczulony.*

*Dzieciaki w szkole były bardzo dokuczliwe. Męczyły go ciągle pytaniami, czy w takiej wiosce jak Seryong jest prąd, czy ma w domu telewizor. Czy jeżdżą tam samochody?*

*Od razu pierwszego dnia w szkole wdał się w bójkę. Za karę wychowawczynie kazała mu posprzątać toaletę. Miał wtedy na sobie nowy garnitur, który uszyła mu mama. Jakiś chłopak pociągnął go za krawat i zapytał, czy włożył wdzianko po ojcu.*

*Yongje pochodzi z bogatej rodziny. Jest synem właściciela ziemskiego. Kiedy był mały, każdego ranka ojciec trzymał go za rękę i spacerował z nim po szerokich równinach, mówiąc: „Yongje, ta ziemia należy do ciebie”.*

*Jego dziadek namówił młodą nauczycielkę, która właśnie zaczęła pracę w podstawówce w Seryong, aby poślubiła jego syna – i tak matka Yongje została żoną jego ojca. Po ślubie dowiedziała się, że ukończył tylko liceum rolnicze. Ale był bardzo bogaty. W każdym razie od urodzenia nazywali Yongje*

paniczem z Seryong. Dzieciaki w szkole wiedziały, kto jest szefem, bo był synem nauczycielki i właściciela ziemskiego.

Tamtego dnia, kiedy powiedział nauczycielce, co myśli o jej karze, ona odrzekła, że tutaj nie jest Seryong. Powiedziała, że jeśli coś takiego się powtórzy, każe mu sprzątać toaletę przez tydzień. Podobna sytuacja wydarzyła się nazajutrz. Wychowawczynie kazała mu wybierać: sprząkanie albo klęczenie za karę. Spakował więc torbę, wyszedł z klasy i poszedł do domu. Wychowawczynie dzwoniła do ciotki. Ciotka się na niego wściekała. Chciał wrócić do Seryong zaledwie dwa dni po przyjeździe do Seulu. Ale nie wiedział, jak to zrobić. Było jasne, że musi zadzwonić do mamy. Seul różni się od Seryong. Musisz być cierpliwy, nawet jeśli sprawy nie układają się po twojej myśli. A on zawsze był i jest niecierpliwy. Lubi żyć w świecie, który mu odpowiada. Na jego zasadach.

Zmęczony poszedł do swojego pokoju i wtedy zobaczył, że jego domek z zapalek, który stał na biurku, jest zburzony. Stawiał go pieczołowicie przez kilka miesięcy. Kiedy zapytał, kto to zrobił, jego kuzyn tylko się zaśmiał sarkastycznie. Powiedział, że Nabi zobaczył muchę i zaczął ją gonić. Nabi to ich kot. Miał żółte oczy i taki sam żółty pasek na grzbiecie. Nie miało dla Yongje znaczenia, że to zrobił kot. Odpowiedzialność powinien ponieść jego właściciel. Uderzył kuzyna głową w nos. Tamten miał krwotok i płakał, a ciotka nie dała Yongje jeść. Z głodu nie mógł zasnąć. Gdy wszyscy domownicy już spali, zakradł się do salonu. Stała tam skrzynka przypominająca kufer podróżny. Był to dom Nabi. Kot spał w środku na plecach. Yongje wyniósł kufer na dwór, otworzył go, odwrócił do góry nogami i wytrząsnął zawartość. Nabi wypadł ze środka i nadział się na klomb. Yongje odstawił kufer na miejsce i poszedł spać. Rano zaczęła się awantura. Yongje nie dostał śniadania. Ciotka, nie dbając nawet o to, czy jest głodny, poszła odnaleźć pupila.

Kiedy rano szukał ubrań do szkoły, zorientował się, że jego spodnie, koszule, bielizna – wszystko nadal leżało w torbie podróżnej. Ciotka ich nie wyjęła, nie uprasowała ani nie powiesiła na wieszaku. Musiał je wyjąć własnymi rękami i ubrać się w nie. Wyszedł do szkoły głodny. Nie dostał też drugiego



śniadania. Poczut się, jakby stał się nagle żebrakiem. Tęsknił za domem. Jego mama nawet prasowała mu majtki przed założeniem.

W szkole znowu go wkurzyli. Wychowawczynie kazała mu wyjść na korytarz. Powiedziała, że od niego zależy, co ze sobą tam zrobi, lecz aby wejść z powrotem, musi mieć jej pozwolenie. Nie wyszedł, tylko gapił się na nią. Wtedy zrobiła się czerwona, złapała go za ramię i wyciągnęła na zewnątrz. Ktoś chichotał. Yongje się odwrócił i zobaczył, że chłopak z jego ławki śmieje się z twarzą zakrytą książką. To było jak dorzucenie ognia do prochu. Jego ciało płonęło, twarz poczerwieniała, a w żołądku wybuchła bomba. Obudził się w ambulatorium. Pielęgniarka szkolna powiedziała mu, że miał atak. Przewróciłem oczami i ugryzł się w język. Chyba wszyscy myśleli, że ma padaczkę. W porze obiadowej pojawiła się wychowawczynie i kazała mu pójść wcześniej do domu. Przyjechali rodzice Yongje i zamierzali zabrać go do szpitala. Udali się do mieszkania ciotki. Jak tylko otworzyła drzwi, zobaczyli zwłoki Nabi. Ciotka opowiedziała rodzicom Yongje, co zrobił. Czy jego kuzyn widział, jak wstał w nocy? Tata zapytał, czy to prawda. Odpowiedział, że tego nie zrobił. Mama spytała go, czy w takim razie ciocia kłamie. Czy nie zrobił nic złego kotu. Myślał, jak matka może tak mówić do własnego syna. Łzy popłynęły Yongje po policzkach i wybuchnął. Powiedział, że ciotka go głodziła, bo pobił się z kuzynem. Powiedział, że jest głodny, smutny i nie może spać, bo tak bardzo tęskni za tatą. Wyszedł na korytarz, żeby kuzyn nie słyszał. Spojrzał w ciemne niebo i płakał, aż spuchły mu oczy. Następnego dnia poszedł do szkoły bez śniadania, a wychowawczynie wyrzuciła go z klasy bez powodu.

Tego dnia wrócił do Seryong. Tego dnia jego mama została pobita przez ojca.

To był pierwszy raz, kiedy ją tknął, i od tamtego czasu robił to codziennie. Dopóki nie zachorowała na raka piersi kilka lat później. Dopiero na pogrzebie matki Yongje się dowiedział, że miał przydomek „aktor”.

Nie chciałem już więcej czytać ani wracać choćby na chwilę do tych strasznych wspomnień, ale za wszelką cenę pragnąłem się pozbyć głosu taty z mojej głowy. Sięgnąłem z powrotem po listy Mun Hayong. Siedem z nich wysłała w przeciągu dwóch miesięcy. Na pytania pana Ahna odpowiadała zawsze szczegółowo. Opisała dokładnie to, jak wyglądały ich randki, jak się pobrali i jak potem wyglądało ich życie. O pragnieniach Oh Yongje, jego przeszłości, o tym, jak patrzył na nią i na Seryong, nawet o tym, jak wyglądał ich seks. Zanim wystąpiła o rozwód, próbowała dwa razy uciec razem z córką i dwa razy złapał je przed upływem dwóch dni. Siadał w takich wypadkach przy biurku i zaczynał myśleć jak ona, odtwarzał jej kroki i zaraz potem zaczynał polowanie. Ścigał ją, nie zważając na nic, precyzyjnie, z zimną krwią. Aż mi się niedobrze robiło.

Kiedy przeczytałem ostatni z listów, głód powrócił ze zdwojoną siłą. Tym razem miałem wrażenie, że mógłbym z łatwością zjeść konia z kopytami, ale w lodówce były tylko dwa jajka, napoczęta puszka tuńczyka i butelka wody. Musiałem pojechać do sklepu.

Kiedy wyprowadzałem rower na podwórze, wpadłem na listonosza.

– Czy tu mieszka Choi Sowon? – zapytał.

Serce załomotało mi w piersi. Co tym razem?

– To ja – odpowiedziałem.

Wręczył mi list z więzienia w Seulu. Stałem potem z tą kopertą jak głupi, aż zaczął sypać śnieg. Niebo poszarzało, ale moje ciało płonęło żywym ogniem. Odstawiłem rower. Nie chciałem wcale tego czytać, lecz wróciłem do pokoju i usiadłem przy biurku. Kopertę otworzyłem dopiero po półgodzinie.

„Wyrok śmierci na Choi Hyonsu wykonano dziś, 27 grudnia, o godz. 9.00”.

Słowa zamazały mi się przed oczami. Było tam coś jeszcze, ale nie mogłem już nic więcej przeczytać. Zrobiło mi się sucho w ustach, rzuciłem się do kuchni, żeby napić się wody, choć równie dobrze mógłbym pić płynny metal. Nie mogłem usiąść, ale stać też nie. Nogi mi się trzęsły. Oparłem się o ścianę, żeby spróbować przeczytać resztę.

„Rzeczy osobiste... wydane... 28 grudnia po godz. 9.00...”

Upuściłem list, podniosłem go i upuściłem jeszcze raz. Kręciło mi się w głowie, kiedy próbowałem zrozumieć, co przed chwilą przeczytałem. Słyszałem znowu głos taty: „To są takie rzeczy, których się nie zauważa, gdy jest się cały czas razem... Chciałbym mu kiedyś opowiedzieć, gdy będzie już mężczyzną, jaki byłem wtedy z niego dumny...”.

Jak umarł? Czy się bał? Czy zrozumiał w końcu, co czuli ci wszyscy ludzie, których zabił? Żałował? Było mu smutno? Był spokojny? Jak brzmiały jego ostatnie słowa? Błagał o litość? Wołał mnie?

„Sowon”.

Ubrałem się w kombinezon i chwyciłem sprzęt do nurkowania, zupełnie ignorując to, czego mnie uczył pan Ahn – żeby nigdy nie wchodzić do wody samemu. Musiałem ugasić pożar, który we mnie szalał.

Przewodniczącego nie było w domu. Otworzyłem drzwi do jego pokoju i po omacku poszukałem na telewizorze kluczyków do jego łódki. Złapałem je i zabrałem, nawet się nie zastanawiając.

Nad wodą padał śnieg. Wiał lekki wiatr, fale były łagodne. Zszedłem na dół przy latarni i uruchomiłem silnik na łódce. Kiedy już minąłem przybrzeżne skały, rozpędziłem się, jak tylko mogłem. Nie widziałem nic przez śnieg, ale w ogóle mnie to nie obchodziło. Nie przejąłem się wcale prądem morskim przy skalistej wysepce, zatrzymałem łódkę przy jej zachodnim brzegu i wskoczyłem do wody. Prąd podpowierzchniowy uderzył we mnie jak nawałnica, mocniejszy jakiegoś dwadzieścia razy od tego, do czego byłem przyzwyczajony. Pochłonał mnie w całości i cisnął mną w głąbię. Wkrótce kolumna wody, zupełnie jak wodospad, pchała mnie w kierunku dna. Nie robiłem nic. Nie napompowałem kamizelki wypornościowej, nie wypatrywałem miejsca w podwodnych skałach, gdzie mógłbym się schować, nie sprawdzałem, jak głęboko się znalazłem. Byłem w uścisku śmierci i nie miałem woli walki. Zupełnie się poddałem, otulony białą pianą. Odechciało mi się nawet oddychania przez ustnik. Po chwili nie czułem już, że byłem w wodzie, nie czułem na ciele żadnego ciśnienia. Byłem lekki,

przestałem opadać. Kolumna wody, cała biała od piany, kręciła się jeszcze przez moment tuż nad moim czołem, po czym zniknęła.

Nade mną przepłynęła ławica szarych ryb. Widziałem teraz potężne cedry, winorośle długie jak kable energetyczne. Byłem w arboretum. Płynąłem powoli wzdłuż głównej drogi. Widziałem ciemne, gnijące pniaki, korzenie drzew wyrzuszały betonową nawierzchnię. Na tablicy ogłoszeń wisiała ulotka:

*Zaginęła dziewczyna  
Oh Seryong*

Wpatrywałem się jak zauroczony w jej zdjęcie, dokładnie tak samo jak siedem lat wcześniej. Tyle tylko, że teraz byłem naprawdę zmęczony. Oczy mi się zamykały, ciało sztywniało. Wyobrażałem sobie, jak leżę na podłodze w jej pokoju i trzymam ją za rękę. Wygląda dokładnie tak, jak to zapamiętałem. Długie czarne włosy, biała twarz, smukłe łydki, bose stopy. Słuchamy *Fly me to the moon and let me play among the stars...* Przez otwarte okno wpada do środka światło księżyca. Na biurku pali się czerwona świeca. Śpiewający diabelski młyn kręci się przed Kubusiem Puchatkiem w stożkowym kapeluszu na głowie. Balony unoszą się po pokoju jak bańki mydlane. Jest ciepło, jej dłoń jest miękka, tak mi dobrze. Czuję w sercu błogi spokój. Morzy mnie sen. Wydaje mi się, że jeśli zamknę oczy, będę mógł zasnąć na zawsze.

– Sowon! – usłyszałem czyjś męski głos i otworzyłem oczy.

Wszystko wydawało się teraz bardzo odległe. W głowie huczał mi głos taty: „Sowon!”. Oprzytomniałem od razu, jakby ktoś uderzył mnie w twarz. Rozejrzałem się dokoła, nie było jej już przy mnie. Ani balonów, diabelskiego młyna i światła księżyca. Zniknęła magia, pozostała tylko ciemność. Nie mogłem oddychać, marzłem. Chciałem się wydostać, ale utknąłem. Musiałem się zorientować w sytuacji, myślałem teraz tylko o tym. Gdzie ja w ogóle jestem?

„Zatrzymaj się. Pomyśl. Działaj”. Tym razem to nie był tata. To były wskazówki pana Ahna.

Przestałem się szamotać i uspokoiłem oddech. Wszędzie dokoła mnie były czarne skały, popatrzyłem w górę, daleko nade mną zobaczyłem podłużną, nierówną plamę nieba obramowaną

cieniami koralowców. Spojrzałem na komputer nurkowy na nadgarstku – czas: dwadzieścia cztery minuty, głębokość: pięćdziesiąt metrów. Poziom azotu wzrastał bardzo szybko. Siła wody zepchnęła mnie głęboko w rozpadlinę, miałem objawy zatrucia azotem, mogłem w każdej chwili zrobić coś głupiego i się zabić. Odczuwałem coś, co doświadczeni nurkowie nazywają „prawem Martini”, a więc czułem się, jakbym pił drinki na pusty żołądek dziesięć metrów pod wodą. W moim przypadku wypłem już pięć drinków. To stąd moje wizje.

Najpierw musiałem wydostać się z rozpadliny. Nie byłem pewny, czy nie doznałem kontuzji. Pogrzebałem obiema rękami i wyczułem kawałek skały, która mogła zapewnić mi wsparcie. Położyłem na niej rękę i podnosząc ciało, podciągnąłem nogę, która wpadła w szczelinę. Zacząłem się powoli wznosić i wspiąłem się na skałę. Sprawdziłem, ile zostało mi powietrza – trzy minuty. Cholera! Po ostatnim nurkowaniu nie uzupełniłem zapasu, nie zabrałem też ze sobą nic na wymianę. Trzy minuty to za mało, żeby dostać się na powierzchnię. Wynurzałem się tak szybko, jak to możliwe, ale zużywałem więcej powietrza niż normalnie, pewnie dlatego, że byłem spięty. Piętnaście metrów pod powierzchnią zacząłem odpinać, co się dało, przygotowując się na pierwsze w życiu wynurzenie awaryjne.

Tych ostatnich piętnaście metrów było jak wieczność. Miałem wrażenie, że płuca mi wybuchną, kiedy wystrzeliłem pomiędzy falami. W mięśniach i kościach czułem ostry, piekący ból, miałem tylko nadzieję, że to nie objaw poważniejszego uszkodzenia. Unosiłem się na powierzchni zupełnie wycieńczony, a woda przepływała mi między palcami. Poruszałem nimi – dobrze, nadal je czułem. Tak samo ze stopami, nie byłem sparaliżowany. Padał śnieg, na zamglonym niebie błyskały światła rzucane przez latarnię. Podpłynąłem do łódki, kierując się czerwonym światłem na jej tyle, i wgramoliłem się na nią. Byłem bardzo słaby.

Kiedy piętnaście minut później dopływałem do brzegu, wydawało mi się, że widzę kogoś na krawędzi klifu, koło latarni. Nie był to chyba pan Ahn ani przewodniczący, ale z tej odległości mogłem się tylko domyślać. Czy ktoś mnie cały czas obserwował?

Nikogo nie zastałem na górze, kiedy podszedłem do latarni, ale znalazłem na ziemi świeże ślady opon biegnące w kierunku drogi niczym szyny kolejowe.

Po powrocie do domu przebrałem się w suche ubranie, otuliłem kołdrą i sięgnąłem po przenośny zbiornik tlenu i maskę. Oddychałem i czytałem jeszcze raz wiadomość z więzienia.

„Wyrok śmierci na Choi Hyonsu wykonano dziś, 27 grudnia, o godz. 9.00”.

Nazajutrz mogłem tam pojechać i odebrać jego ciało. Kolejnego dnia przypadały jego urodziny. Odłożyłem list i sięgnąłem po manuskrypt pana Ahna. Nie miałem wcale ochoty go czytać, ale był już najwyższy czas poznać prawdę.

## Jeziro Seryong III

Yongje zostawił samochód na podziemnym parkingu pod centrum medycznym. To był trzeci dzień, odkąd wrócił do pracy, miał wiele do zrobienia. Przedpołudnie minęło szybko, przyjmował pacjentów, wypełniał papiery, zapisywał nazwiska wszystkich składających mu kondolencje, zlecił sekretarce sporządzenie listu z podziękowaniami, który miała im następnie rozesać. Około południa miał w końcu chwilę dla siebie. Sięgnął po teczkę z nazwiskiem Choi Hyonsu, którą dostał od firmy Wsparcie. Chciał się dokładnie przyjrzeć temu, co zaprzętało jego umysł przez ostatnie trzy dni.

Życiorys Hyonsu ani trochę go nie zaskoczył. Wyglądało na to, że brylował w szkole średniej, jak wielu jemu podobnych osiłków, po czym zupełnie nie radził sobie w dorosłym życiu. Nie wychodziło mu nic, czego się podejmował. Był fatalnym mężem, kiepską głową rodziny, beznadziejnym mężczyzną. Yongje się wściekał, że jego córka zginęła przez kogoś tak miernego. Bo teraz miał całkowitą pewność, że to był Choi Hyonsu. Że tamtej nocy, kiedy wydarzył się wypadek, to właśnie on siedział pijany za kierownicą. Już wcześniej odebrano mu prawo jazdy za prowadzenie samochodu pod wpływem, ale nadal jeździł. Niedawno kupił też mieszkanie i odsetki przekraczały połowę jego zarobków – tę informację Yongje zaznaczył gwiazdką. Było coś jeszcze: Choi Hyonsu w ostatnim czasie oddał samochód do naprawy.

Jednej rzeczy Yongje nie mógł jednak zrozumieć... Dlaczego Choi nie zostawił po prostu zwłok na drodze i nie uciekł? Mógł

przecież zawrócić i zwyczajnie odjechać. Po co zadał sobie dodatkowy trud i wrzucił jej ciało do jeziora?

Tego ranka w drodze do pracy Yongje widział Hyonsu, który palił przed wejściem do przychodni. Wzrok wbijał w drogę. Miał zabandażowany nadgarstek, trzymał rękę na temblaku, ale nie miał gipsu. Yongje zadzwonił do przychodni, żeby dowiedzieć się czegoś więcej.

– Jestem młodszym bratem Choi Hyonsu – kłamał do słuchawki, wykorzystując kolejne informacje, które dla niego zdobyto. Znał nawet numer dowodu. – Był u was może dziś rano?

Lekarz po drugiej stronie westchnął, co mogło oznaczać właściwie wszystko.

– Zranił się w dłoń. – Yongje się nie poddawał.

– A tak, prawda.

– Co z nim? Jego żona się martwi, bo niewiele jej ostatnio mówi.

– Nie powinienem o tym informować przez telefon. Proszę jej powiedzieć, żeby do nas przyszła, jesteśmy niedaleko.

– Ona pracuje na dwie zmiany, musiałyby się specjalnie urwać.

– Rozumiem – odpowiedział lekarz.

– Ja sam jestem w delegacji – mówił Yongje, starając się zachować spokojny głos. – Czy on potrzebuje dalszej pomocy?

– Mówi pan, że jest jego bratem?

– Zgadza się.

Lekarz najwyraźniej uznał, że to bezpieczna sytuacja, i zaczął udzielać wszystkich informacji.

– Przeciął sobie żyłę w lewym nadgarstku. To głębokie nacięcie, ale całe szczęście zarówno sama arteria, jak i ścięgno są w dobrym stanie.

– Myśli pan, że zrobił to sobie celowo?

– Nie mam pewności. Twierdził, że lewa ręka czasem mu drętwieje, porównywał to do paraliżu. Wie pan coś o tym? Mówił, że ma tak od dłuższego czasu i że kiedy się natnie, czucie wraca.

– Czyli przeciął sobie żyłę, żeby wróciło mu czucie w rękę?

– Upierał się, że to przez przypadek. Na jego lewej dłoni widać więcej śladów po drobnych nacięciach, wszystkie w miarę świeże.

– A jak pan uważa? Czy to był przypadek? – pytał Yongje.



– Podcięcie żyły to coś zupełnie innego niż nacinanie palca. Nie jestem pewien, czy to się stało przez przypadek. On może tego znowu spróbować i w końcu zrobi sobie poważną krzywdę, nawet jeśli nie taki jest jego zamiar.

– Czy powinniśmy mu zorganizować pomoc psychiatryczną?

– Dobrze by było.

– Spróbuję, ale on może mnie wcale nie posłuchać. Pewnie jeszcze go pan zobaczy, proszę mu nie wspominać, że rozmawialiśmy, on jest bardzo dumny.

Po rozmowie Yongje jeszcze raz przejrzał dokumenty. Miał papiery z przychodni i szpitali, ale nie było tam żadnej wzmianki o samookaleczaniu. Nigdy też Hyonsu nie korzystał z pomocy psychiatrycznej. Był u neurologa w związku z pojawiającym się drętwieniem lewej ręki, ale zataił tę informację, żeby nie przeszkodziła mu w karierze sportowca. Hyonsu był leworęczny. Nacięcie to musiał być wypadek. Gdyby chciał się zabić, przecięłby lewą, dominującą dłońią prawy nadgarstek. Tak przynajmniej tłumaczył sobie Yongje. Choi Hyonsu nie mógł popełnić samobójstwa, to by pokrzyżowało wszystkie plany Yongje wobec niego.

Wiedział, co zrobi – zmusi Hyonsu do wyznania całej prawdy. Sprawdził już dzięki incydentowi z szamanem nad jeziorem, ile potrzeba, żeby wytrącić tego faceta z równowagi. Okazało się, że wystarczy najprostsza prowokacja. Teraz potrzebny był tylko niezbity dowód. Zamierzał odnaleźć warsztat, w którym naprawili tego matiza. Ludzie ze Wsparcia przeszukiwali okolice Seulu. Musiał być pewien, że trzyma w garści właściwego faceta. Musiał też zrobić wszystko, żeby Choi Hyonsu nie skończył ze sobą, zanim nadejdzie czas zemsty.

Yongje spojrział w swój terminarz. W najbliższy piątek miał wolontariat z innymi lekarzami w sierocińcu Hyehwa. Tego samego dnia Kang Eunju miała wolne. Dał znać ludziom ze Wsparcia, żeby byli gotowi na sobotę, wtedy miała się zacząć cała akcja. Będą musieli namierzyć warsztat samochodowy najpóźniej do sobotniego popołudnia. Yongje zjadł lunch z innymi lekarzami, wszyscy przekazywali mu kondolencje. Zasugerował coś wyjątkowego na

piątkowy wolontariat i wszyscy się zgodzili. Kierownictwo sierocińca było wdzięczne za propozycję.

O czwartej po południu pojechał do szkoły. Na jego prośbę nauczycielka przygotowała rzeczy Seryong: kapcie, flet, przybory plastyczne, kartki z kondolencjami od koleżanek i kolegów z klasy i obrazek, który narysowała.

– Dzieci lubią ten obrazek – powiedziała nauczycielka, wręczając go Yongje. – Zwłaszcza jeden chłopiec. Było mu przykro, że zdejmujemy go ze ściany.

– To miło. A który to chłopiec? – zapytał Yongje z grzeczności.

– Choi Sowon – usłyszał w odpowiedzi. – Chyba go pan kojarzy. Mieszka przy arboretum.

Yongje aż się zjeżył. Co ten mały miał do jego córki? Wyszedł ze szkoły i udał się do biura zapory. Choi Hyonsu siedział sam w pomieszczeniu ochrony. Yongje podjechał pod samo okienko.

– Ja do kierownika – zapowiedział się.

Hyonsu chwycił za telefon, dzięki czemu Yongje zobaczył, że z trudem porusza lewą ręką. Lewą dłoń miał spuchniętą na temblaku, czerwienił się na twarzy, co było widać pod trzydniowym zarostem. Denerwował się. Jak ktoś taki mógł być zawodowym łapaczem? Nic dziwnego, że w końcu odpadł z zawodów.

Hyonsu odłożył słuchawkę i wręczył Yongje listę odwiedzających.

– Proszę się wpisać i zostawić pański dowód.

Yongje dał mu prawo jazdy i zapisał na papierze swoje dane.

– Proszę.

Hyonsu przepuścił go dalej.

Pracownicy zapory wyglądali na mocno zakłopotanych, kiedy Yongje przechodził koło nich. Żaden nie pojawił się na pogrzebie Seryong.

– Muszę powiedzieć, że nie spodziewałem się pana tutaj – powitał go kierownik, wstając od biurka.

– Myślałem, żeby odwiedzić pana w domu, ale przyszło mi potem do głowy, że pewnie jest pan jeszcze w pracy – odpowiedział Yongje.

Przyniesiono im zieloną herbatę. Kierownik wypił trochę pośpiesznie, mimo że nie zdążyła się porządnie zaparzyć.

Yongje przeszedł do rzeczy.

– Razem z innymi lekarzami udzielamy się w wolontariacie raz w miesiącu. Mieliśmy teraz zamiar jechać do sierocińca Hye-hwa, ale pomyśleliśmy, że zaprosimy dzieciaki tutaj, do arboretum, w piątek – tłumaczył. – Byłoby miło, gdyby dzieci pracowników do nas dołączyły. Zrobimy małe przyjęcie, nic poważnego. Chciałem zapytać, czy może pokazałby pan dzieciom, jak wygląda praca na zaporze. Załatwimy oczywiście wszystko, co trzeba.

– To się da zrobić – odpowiedział z wahaniem kierownik. – Musi być panu teraz ciężko. Zwłaszcza że śledztwo trwa...

– To prawda – przyznał Yongje. – Ale Seryong bardzo się lubiła z tymi dziećmi. Zawsze ją ze sobą zabierałem. Ostatnim razem obiecała im, że zaprosi je tutaj. Chciałbym dotrzymać jej słowa.

Kierownik przytaknął współczująco.

– Ale będą musiały tu być najpóźniej przed trzecią po południu.

– Nie ma sprawy – odparł Yongje, po czym coś sobie przypomniał. – Ach, mam jeszcze jedną prośbę.

Kierownik stał już za biurkiem, ale usiadł ponownie zmieszany.

– Jutro będzie trzeci dzień po pogrzebie – powiedział Yongje.

– Jak ten czas leci – odparł kierownik.

– Zależałoby mi, żeby jutro na chwilę wyprawić się na jezioro.

Kierownik zrobił zakłopotaną minę.

– Myślałem, że ta sprawa jest wyjaśniona. Bardzo mi przykro, ale absolutnie nikt nie może przebywać na Hansoldung. Wie pan, że nie możemy nikogo tam wpuścić, nawet jeśli w grę wchodzi obrzędy.

– Nie będę tam nic robić. Chcę tylko opłynąć wysepkę na pokładzie Josong. Raz, o nic innego nie będę już prosić. Potrzebuję jedynie dziesięciu minut, chciałbym się z nią pożegnać na osobności.

– Rozumiem pana, proszę mi wierzyć – tłumaczył kierownik. – Ale tę łódź możemy ruszać tylko pod obecność serwisantów, a ich tu jutro nie będzie.

Yongje czuł z tyłu oczu narastający ból głowy. Ten dupek zawsze wszystko utrudnia, zawsze trzeba się przed nim płaszczyć.

– Na pewno przyjadą, kiedy da im pan znać – powiedział, starając się z całych sił nie stracić panowania nad sobą. – Mogę

pokryć koszty.

Kierownik siorbał herbatę. Yongje czekał w milczeniu.

– O której? – zapytał po chwili kierownik.

– W południe.

– Dobrze. Ale proszę, tym razem bez szamana.

Yongje zaparkował przed domem i spojrzął w kierunku mieszkania 102. Okno salonu było szeroko otwarte, zasłony rozsunięte, Eunju odkurzała. Wziął ze sobą rysunek Seryong ze szkoły i zadzwonił do drzwi.

– Pan Oh! – powiedziała zaskoczona Eunju, otwierając drzwi. – Coś się stało?

– Pani syn jest w domu?

– Nie, poszedł do ojca.

Poszedł do ojca? Yongje przypomniał sobie, gdzie znalazł chłopaka w poprzedni piątek. Jak by zareagowała, gdyby jej powiedział, że dzieciak jest pewnie na farmie i bawi się z tym głupim kotem w starej stodole? Bardzo chciał zobaczyć jej minę, ta myśl go rozbawiła.

– Proszę mu to przekazać – powiedział, podając rysunek.

Eunju nie miała zamiaru niczego od niego wziąć.

– A co to takiego?

– Obrazek.

– Obrazek?

Yongje wyciągnął też z kieszeni kartkę urodzinową, którą Sowon zrobił dla Seryong.

– Dał mi to na pogrzebie, kiedy wyciągaliśmy jej duszę z jeziora – wyjaśnił.

Eunju sięgnęła po nią z ociąganiem. Kiedy ją czytała, z jej twarzy zniknął ślad uśmiechu.

– A teraz chciałbym dać coś jemu. Niech otworzy sam, myślę, że mu się spodoba.

Eunju się wahała, ale w końcu wzięła obrazek. Przyjęła podarunek dokładnie tak samo wyniośle i nieskromnie jak Hayong. Yongje czuł, że swędzą go dłonie. Chciał jej tę kartkę wyrwać z powrotem z rąk.

– To wszystko? – zapytała Eunju, odgarniając grzywkę.

Czoło miała szerokie, jakby nadepnęła na nie krowa. Wszystko w niej go denerwowało, jej płaskie policzki, bijący od niej chłód, jej przebiegłe oczy. Ale najgorsze było jej bezkształtne ciało, które dawno już przestało być atrakcyjne. Pomogłoby jej na pewno, gdyby była słodka i wdzięczna, a nie zuchwała i bezczelna. Kiedy przyszła na rozmowę o pracę, była gotowa recytować swoje zalety. Zawczasu sprawdziła też wszystko w kwestii ubezpieczenia zdrowotnego, dodatków do pensji, liczby wolnych dni, jakie by jej przysługiwały. I tak ją zatrudnił, bo się zorientował, że mu się przyda. Potrzebował jej, żeby mieć lepsze dojście do dwóch podejrzanych: Ahna i ojca Sowona. Dzięki niej mógł nimi lepiej manipulować; był pod wrażeniem własnej bystrości. Ta kobieta mogła mu się przydać na co najmniej kilka sposobów.

Eunju wpatrywała się podejrzliwie w szefa, wodząc palcami po brzegach kartki. Yongje zacisnął szczęki – gdyby chodziło o któregośkolwiek innego pracownika ochrony, zwolniłby go natychmiast za bezczelność.

– Robimy w piątek przyjęcie w arboretum – zaczął. – Dla dzieci z domu dziecka, z którym współpracuję. Przygotuje je firma eventowa, ale trzeba będzie pilnować dzieci. Jeśli coś by zrobiły drzewom, nasz dziki dozorca dostałby szau.

– W piątek mam wolne – odpowiedziała Eunju niemal od razu.

– Nie możemy zostawić pustej stróżówki. Gdyby Gwak nie był zajęty, wziąłbym jego.

– Ja też mam swoje życie – oponowała Eunju. – Nie mogę brać nadgodzin, kiedy tylko pan chce.

Yongje uśmiechnął się delikatnie. Pieprzona zdzira.

– Dlatego zapłacę za nadgodziny – powiedział i wyciągnął rękę. – Mogę już odzyskać kartkę?

Sunghwan wpatrywał się w ekran monitoringu przez bite dziesięć minut. Josong, normalnie uruchamiana tylko, kiedy trzeba było czyścić zaporę, krążyła wokół Hansoldung. Nie widział twarzy faceta stojącego na pokładzie, ale był pewien, że to Oh Yongje. Kiedy łódź przybiła z powrotem do brzegu, Sunghwan wrócił do tego, co robił wcześniej. W poprzedni czwartek cyknął przed domem zdjęcie Hyonsu i Sowona razem. Teraz była to jego tapeta na monitorze.

Lubił tę fotografię, podobała mu się kompozycja, nastrój i przyćmione kolory. Wyglądała niemal jak kadr z filmu. Ustawił ją też jako tapetę na komórce. Szybko zżył się z rodziną swojego szefa, darzył wielką sympatią jego i jego syna. Próbował wyszukać nazwisko Hyonsu w internecie, ale nie znalazł nigdzie żadnego profilu. Fightersi rozwiązali się dawno temu, szef nie był zawodowym graczem, nie wiadomo było, od czego zacząć. W internecie były dziesiątki tysięcy Choi Hyonsu. Po namyśle dodał do nazwiska słowo „łapacz” i klikał w kolejne linki przez godzinę, aż trafił na wpis na blogu poświęconym baseballowi.

Czy ktokolwiek jeszcze pamięta Choi Hyonsu, łapacza, którego prześladował pech?

Post zamieszczono niedawno, przed dziesięcioma dniami. Kliknął na niego i otworzyło się zdjęcie Hyonsu z maską łapacza w ręce, patrzącego z uśmiechem w dal. Był bardzo młody.

Sunghwan czytał dalej.

Wszyscy słyszeli o Kim Ganghyonie z czasów, kiedy Fightersi jeszcze grali. Nazywali go Łódź Podwodna. Po przejściu na sportową emeryturę próbował swoich sił w biznesie, ale po kilku nieudanych przedsięwzięciach zbankrutował. Tak przynajmniej mówią. Usłyszałem niedawno, że otworzył lokal z soju niedaleko uniwersytetu w Gwangju, zorganizowałem więc spotkanie klasowe dla ludzi z mojego rocznika, zarezerwowaliśmy stoliki na ósmą wczoraj wieczorem. Chciałem mu przyprowadzić trochę nowych klientów. Tam właśnie spotkałem kogoś, kogo nigdy bym się nie spodziewał zobaczyć: Choi Hyonsu. Obecni dwudziestolatkowie mogli nigdy o nim nie słyszeć, ale dla tych, którzy chodzili do Liceum Daeil w Gwangju, to on, a nie Kim Ganghyon był prawdziwą legendą. Choi Hyonsu, ten słynny łapacz. Zapewnił liceum zwycięstwo w narodowych rozgrywkach barażowych jako ich główny pałkarz. Był niepokonany w tym, co robił, dwa razy z rzędu zaliczył zwycięski *home run*. Jego prawdziwy talent ukazywał

się jednak w pozycji łapacza. Umiął przewidzieć ruchy przeciwnika, jakby czytał w myślach.

Kątem oka Sunghwan zauważył ruch na ekranie monitoringu. Ktoś szedł mostkiem prowadzącym do wieży wlotowej. Przybliżył widok i rozpoznał siwego mężczyznę w czarnym garniturze z laską. Pamiętał go. Szybko zrobił zrzut ekranu posta, który jeszcze przed chwilą czytał, i zapisał go w chmurze. Zamknął biuro i pobiegł w stronę mostku.

– Dzisiaj przynajmniej mgła trochę się przerzedziła – powiedział, stając obok starszego mężczyzny.

– Pan tu pracuje? – zapytał tamten, nie odwracając głowy.

– Nie na samej zaporze. Jestem ochroniarzem.

– No tak.

– Pan jest dziadkiem Seryong, prawda?

Starszy mężczyzna dopiero teraz się odwrócił.

– Pamiętam pana z pogrzebu – wyjaśnił Sunghwan.

– Ciekawe. Ja sobie pana nie przypominam.

– Nie przedstawiono nas sobie. Pomyślałem, że musi być pan jej dziadkiem, bo zauważyłem podobieństwo.

– Pan znał moją wnuczkę? – zapytał ostrożnie dziadek.

– Niezupełnie. Ale kilka miesięcy temu mieliśmy ze sobą do czynienia, niestety w niemiłych okolicznościach. – Sunghwan spoglądał w dół na gałąź uwięzioną w małym wirze wodnym. – Znalazłem ją, kiedy chowała się między drzewami na tyłach mieszkań. To był środek nocy. Leciła jej krew z nosa.

Sunghwan opowiedział wydarzenia tamtej nocy, co mężczyzna przyjął z bolesnym wyrazem twarzy.

– To wszystko przez jej ojca. Tak uważam – powiedział dziadek trzęsącym się głosem. Oczy zaszyły mu łzami.

Sunghwan trzymał rękę w kieszeni, dotykał spinki do włosów, która należała do Seryong. Powinien mu ją dać, to mógłby być najlepszy sposób, żeby pozbyć się tego przeklętego przedmiotu. Ale czy to nie wzbudziłoby podejrzeń?

– Proszę – powiedział w końcu, wyciągając dłoń. – Należała do niej. Nie miałem okazji oddać, myślę, że powinienem teraz dać ją panu.

Mężczyzna wziął spinę i przyglądał się jej przez chwilę.

– Jak się pan nazywa? – zapytał bez cienia podejrzeń.

– Ahn Sunghwan, proszę pana.

– Dziękuję panu. Nie zapomnę tego.

Dziadek Seryong podał Sunghwanowi swój numer telefonu i odszedł powoli, a on stał jeszcze jakiś czas na mostku, patrząc w dół na wody jeziora. Zamyślił się. Nurtowało go, dlaczego jego szef nie przyjechał tamtego wieczoru, przed przeprowadzką. Co się z nim działo? Czy ciął się dlatego, że rzeczywiście drętwiała mu ręka? Dlaczego tyle pił? Czy jego lunatykowanie było naprawdę niezależnie od woli, czy może robił to zupełnie świadomie? I dokąd właściwie wtedy chodził?

Poprzedniej nocy chciał pójść za Hyonsu, czekał na właściwy moment. Jednak jego szef do trzeciej oglądał telewizję, Sunghwan do tego czasu zasnął. Następnego dnia Hyonsu miał w pracy buty trekkingowe, a na jego zmęczonej twarzy widać było uczucie, które z początku trudno było zinterpretować. Po krótkiej obserwacji Sunghwan zorientował się jednak, że to wyraz ulgi.

Przemknęło mu przez głowę, że to ciekawe, iż starszy mężczyzna także miał podejrzenia co do Oh Yongje, ale nie to było największym zmartwieniem Sunghwana. Zastanawiał się nad tym, czy jego szef zobaczył wideo nakręcone w podwodnej wiosce. Gdyby tak było, jakoś by przecież zareagował. Park mówił też, że Hyonsu nie interesowała wcale technologia i nie korzystał z internetu. To jednak nie wystarczało, żeby uspokoić Sunghwana.

– Telefon do pana. – Park trzymał słuchawkę w wyciągniętej ręce.

Hyonsu zamrugnął szybko. Najwyraźniej przysnął przy biurku.

– Halo? – odezwał się.

– Co tam? – To był Kim Hyongtae.

– W porządku – odpowiedział Hyonsu ospale.

Poprzedniej nocy robił wszystko, żeby tylko nie zasnąć, żeby nie mieć znowu tych snów. Skakał po kanałach w telewizji, ale na niczym nie mógł się skupić i koniec końców zaczął lekko odpywać. Przynajmniej buty Sowona były bezpieczne – włożył je do pralki, a na drzwiczki postawił dużą miskę wypełnioną zimną wodą. Gdyby próbował otworzyć pralkę, miska spadłaby z hałasem na podłogę. To



w połączeniu z zimną wodą powinno wybudzić go z najgłębszego snu. Na szczęście Eunju nie zauważyła niczego podejrzanego.

– Co się tam u ciebie dzieje? – pytał Hyongtae. – Byłem wczoraj w warsztacie. Mówili, że jakiś detektyw zajrzał tam w piątek.

Hyonsu się wyprostował. Cała senność przeszła mu w mgnieniu oka.

– Było ich dwóch? – zapytał.

– Nie, jeden. Pytał, czy naprawiałeś samochód dwudziestego ósmego zeszłego miesiąca.

Hyonsu przełknął ślinę. Czuł, że brakuje mu tchu.

– I co mu powiedzieli? – zapytał.

– Powiedzieli kołesowi, żeby sobie przejrzał ich papiery, bo jak już coś, to wszystko tam będzie. O co tu chodzi? Miałeś jakiś wypadek?

– Nie – odpowiedział Hyonsu słabo. Starał się ze wszystkich sił ukryć narastającą w nim panikę.

– No to spoko. Ale jeśli coś się jednak stało, zajmij się tym, zanim to urośnie.

„Za późno – pomyślał Hyonsu. – To już urosło”. Wytarł sobie czoło chusteczką.

– Dzwonię tak w ogóle w sprawie zapory – mówił Hyongtae. – W czwartek będzie u was ekipa.

– Tak?

– Będą montować nowy monitoring. Założą wam taki na podczerwień z dodatkowym oświetleniem.

– Akurat teraz?

– Wiesz, chodzi o tę dziewczynę. Dyrekcja zapory nie daje nam spokoju, ciągle dopominają się o więcej ochrony. Będziemy próbować z nowym monitoringiem i zobaczymy, czy się uspokoją.

Rozłączyli się, ale Hyonsu przez długi czas nie ruszał się od biurka. Starał się zebrać myśli. Domyślał się, że jest już podejrzany. Jeśli jakiś detektyw pojechał aż do Seulu, znaczyło to, że go sprawdzali. I to, co znaleźli, na pewno wskazywało na niego. To była już tylko kwestia czasu.

A pozostawała jeszcze sprawa świadka, z którym mieszkał pod jednym dachem. Pod koniec dnia zdobył się na odwagę i zadzwonił do Sunghwana.

– Tak, szefie?

– Idziemy się napić? – Nareszcie miał okazję wyrzucić z siebie to, co dusił w sobie od jakiegoś czasu.

Hyonsu kupił przy autostradzie dwie butelki soju i kilka puszek piwa, postawił wszystko na stoliku i oparł się o barierkę przy punkcie obserwacyjnym. Wypił dwa pełne kieliszki soju i patrzył w dół, czekając, aż alkohol zacznie działać. Miał zamiar zapytać ot tak, niby od niechcienia: „Co widziałeś tamtej nocy?”.

Ale Sunghwan spóźniał się ponad czterdzieści minut i Hyonsu robił się bardziej nerwowy. Może lepiej, żeby jednak nie przychodził? Może będzie lepiej, jak pójdzie, zanim tamten tu dotrze? Bo co właściwie miałby zrobić, gdyby Sunghwan jednak przyszedł? Bał się, że wyzna po prostu całą prawdę i do końca się pograży. Wszystko by wtedy stracił, a przecież tak naprawdę nic o nim nie wiedział. Jak mógłby mu zaufać?

Sunghwan pojawił się koło siódmej, wziął sobie puszkę piwa i stanął obok Hyonsu.

– Przepraszam za spóźnienie – zaczął. – Byłem jeszcze zobaczyć, co u Sowona.

No tak, Sowon. Został przecież sam w domu.

– I co u niego? – zapytał sennie.

Miał wrażenie, że ten obcy facet stał się Sowonowi bliższy niż ktokolwiek inny, bliższy nawet od własnego ojca.

– Zjadł kolację i oglądał telewizję. Powiedziałem mu, że się umówiliśmy, i kazał panu przekazać, że chce pączki z polewą truskawkową.

Hyonsu przytaknął.

Sunghwan podniósł puszkę na wysokość ust.

– Skąd pan wiedział, że lubię to konkretne piwo? – zapytał.

– Widziałem puszki na twoim biurku.

– No tak – przytaknął Sunghwan.

Zapadła między nimi niezręczna cisza. Sunghwan spoglądał w dół na okolicę, sącząc piwo.

– Co tu właściwie robisz? – zapytał Hyonsu, próbując jakoś zacząć rozmowę.

– Mówił pan, żeby przyjść się napić.

– Nie, chodzi mi o to, co robisz tu ogólnie, nad jeziorem Seryong. – Hyonsu czuł, że ta rozmowa już przeradza się w porażkę. Nie wiedział, jak uda mu się przejść do sedna.

Sunghwan się uśmiechnął, twarz miał jednak smutną.

– Sam nie wiem, szczerze mówiąc.

Hyonsu spojrzał na niego zaskoczony.

– Moim rodzicom się nie powodziło – mówił dalej. – Byliśmy biedni. Ojciec znał się tylko na nurkowaniu, a z tego niewiele można wyciągnąć. Mama była sprzątaczką i zawsze trochę udało jej się dorobić. Mimo tego uwielbiałem ojca, to on pokazał mi życie pod wodą. Jeden z moich starszych braci był innego zdania. Miał dość życia w nędzy. – Sunghwan zamilkł na chwilę. – Kiedy byłem w liceum, brat poszedł do wojska. Poprosił o przydział do Jednostki Ratownictwa Morskiego. Nienawidził nurkowania, ale tak jak ojciec tylko na tym się znał. Na dzień przed odjazdem powiedział rodzicom, że powinni wysłać mnie na studia, bo tylko ja miałem na tyle zdolności, żeby wyrwać nas wszystkich z biedy. Powiedział, że będzie opłacał moje czesne z własnej pensji. Zaskoczył mnie tym, naprawdę. Nigdy mi się wcześniej nie śniło, że mógłbym pójść na studia, szczytem moich marzeń było zdać maturę. Brat trochę mnie przeceniał. W dzieciństwie zdobywałem nagrody pisarskie, on zawsze robił z tego wielką sprawę.

Hyonsu wyciągnął w kierunku Sunghwana paczkę papierosów.

– Wie pan, jak to jest być jedyną nadzieją dla całej rodziny? Iść na studia, na które złożyli się wszyscy krewni?

Hyonsu wiedział, oczywiście. Zapalniczką Sunghwana zapalił papierosa. On też był jedyną nadzieją rodziny. Miał okazję zacząć grać profesjonalnie, ale matka chciała, żeby najpierw skończył studia. Jej wybór był jego wyborem, jego porażka była jej porażką. Rok po tym, jak rzucił grę, zmarła.

– To jak bieg długodystansowy w pełnym rynsztunku – mówił Sunghwan. – Nie mogłem swobodnie oddychać, chciałem to wszystko rzucić. Po służbie wojskowej dostałem pracę w administracji na kolei, ale nie przepracowałem nawet dwóch lat. Nie potrafiłem sobie wyobrazić życia, w którym wstaję, idę do pracy, wracam do domu, dostaje pensję, awansuję, zakładam rodzinę. Chciałem czegoś więcej.

Hyonsu wpatrywał się w zapalonego papierosa, którego trzymał w palcach.

– To wszystko gównie warte – ciągnął Sunghwan z niewyraźnym uśmiechem, drapiąc się po głowie. – Nienawidziłem pracować od dziewiątej do piątej. To się tak naprawdę wcale nie różniło od pracy mojego niewykształconego ojca: obie były męczące i nie dawały satysfakcji. Powinienem móc robić z własnym życiem to, co mi się podoba. Rzuciłem pracę, zanim było za późno. Tak naprawdę zdradziłem rodzinę i uciekłem.

Sunghwan dokończył piwo, a Hyonsu dopił soju.

– Sowon mówi, że chcesz być pisarzem.

– Tak. Ojciec mnie za to nienawidzi. Wypomina mi, że z tego nie będzie pieniędzy. I chyba dlatego wylądowałem tutaj.

Sunghwan powoli, ale uważnie badał reakcje Hyonsu. Najwyraźniej zaczął się zastanawiać, po co właściwie się spotkali.

Hyonsu nie wiedział, od czego zacząć. Jak zadać to pytanie, żeby brzmiało naturalnie? Zdał sobie sprawę, kiedy sięgał po ostatnie dwie puszki, że stchórzył. Sunghwan patrzył w dół, opierając się o barierkę. Hyonsu poczuł, jak lekko kręci mu się w głowie, miał wrażenie, że opada na niego czarna płachta. Sunghwan był na wyciągnięcie ręki, mógł go zepchnąć w każdej chwili i pozbyć się niewygodnego świadka. Zszokowany potrząsnął głową i wrócił do rzeczywistości.

Sunghwan obrócił się i spojrzał na niego. Hyonsu wręczył mu piwo. „Teraz. Zapytaj go teraz!”

– No... – zaczął Hyonsu.

– Tak? – Sunghwan wziął puszkę i uśmiechnął się.

Jak właściwie powinien zapytać? „Masz to nagranie?”, „Co tam widziałeś na tej taśmie?”. Powinien powiedzieć, że widział to przez przypadek?

Zadzwoiła komórka Sunghwana i kiedy odebrał, słysząc było karcący kobiecy głos.

– Tak, tak – mówił z ubolewaniem na twarzy. Spojrzał przelotnie na Hyonsu. – Tak, wiem, dobrze.

Hyonsu wiedział, że to była Eunju.

Sunghwan się rozłączył.

– Pytała, dlaczego Sowon jest w domu sam.

Nie powiedział nic więcej, ale Hyonsu wcale tego nie potrzebował. Dobrze sobie zdawał sprawę z tego, co jeszcze mogła powiedzieć. Na pewno kazała mu przestać pić i wracać do domu.

– Idziemy? – zapytał Sunghwan.

Hyonsu przytaknął. Był wściekły, że pokrzyżowała mu plany.

W opinii Eunju jej mąż miał zachowywać się tak, jak ona to sobie przewidziała. Było mu to przypisane jak grupa krwi. Z tego powodu pił. Z tego samego powodu drzwi do mieszkania bywały zamknięte za zasuwkę, kiedy wracał do domu po północy. Drzwi frontowe przestawały być wtedy drzwiami, zaczynały być żelazną kratą, która głosem Eunju mówiła: „Znowu piłeś!”.

Pewnego razu spędzał noc, siedząc pod gadającą żelazną kratą, i śniło mu się, że Eunju dostała ataku serca i umarła. Jako duch siedziała mu potem na ramieniu, wciskała joystick w tył jego głowy i kontrolowała każdy ruch. Kang Eunju nie była już dla niego kobietą, nie mógł jej ani kochać, ani od niej uciec. Stała się zmorą jego życia.

Sowon spał na sofie, telewizor był nadal włączony. Hyonsu zostawił pączki w kuchni, podniósł syna i zaniósł go do łóżka, po czym wrócił sam do salonu. Tak samo jak poprzedniej nocy schował buty Sowona w pralce i ustawił budzik na drugą w nocy, żeby obudzić się, zanim jego drugie „ja” przejmie kontrolę. Na wszelki wypadek zbudował jeszcze przed drzwiami barykadę z krzesel. Gdyby w środku nocy próbował wyjść, przewróciłby się o tę konstrukcję.

Położył się na łóżku i zamknął oczy. Chciał odpocząć przez kilka godzin, ale nie mógł zasnąć. Powinien jakoś zagadać o to wideo. Mógł przecież udzielić Sunghwanowi reprimendy, wchodzenie do jeziora było w końcu zabronione, a już na pewno nocą. Ale nawet gdyby się dowiedział, co tamten zobaczył, co miałby z tym fantem zrobić? Co by zrobił, gdyby Sunghwan przyznał, że tamtej nocy widział właśnie jego? Czy jego też wrzuciłby do jeziora w ataku paniki?

Obrócił się i spojrzał przez okno. Bmw i matiz stały obok siebie na parkingu. Przypomniał sobie, jak to bmw go wyprzedziło na autostradzie, trąbiąc. Jęknął. Powinien był wtedy po prostu wrócić do

Seulu, a nie błądzić po okolicy. Oczy tej dziewczyny, dwie czarne dziury, majaczyły przed nim. Obrócił się znowu i przełknął ślinę. Język miał suchy, gardło zdarte. Może powinien się upić i przegonić te myśli? Może wtedy mógłby przez kilka godzin odpocząć? Odsunął krzesła sprzed drzwi i zanurkował w szafie w salonie. Znalazł pudło ze swoim starym strojem sportowym. W kasku ukrył kiedyś butelkę calvadosu, tak na wszelki wypadek.

To była butelka, którą Hyonsu dostał w prezencie od szwagierki wracającej z podróży do Europy. Ucieszył się wtedy, że podarowała mu calvados, trudno dostępny w Korei. Eunju jednak była wściekła. Skończyło się na tym, że nikt nie skosztował alkoholu, Hyonsu poszedł spać zupełnie trzeźwy. Sam już nie wiedział, co gorsze: upojenie alkoholem czy upojenie gniewem, jaki wtedy odczuwał do żony. Szczególnie mocno rozżłościły go jej aluzje do tego, że nawet nie stać go było na zapewnienie im własnego mieszkania. „Bezdomni nie piją drogich trunków”, mówiła. Miał się nie ważyć tknąć tego alkoholu, dopóki nie znajdą własnych czterech ścian.

Następnego dnia poszedł do supermarketu i znalazł butelkę calvadosu – kupił ją od razu, ale nie mógł się z niej napić. Nie po tym, co usłyszał od Eunju. Zamiast tego schował ją sobie, jak ubogi starzec, który nie potrafi się przemóc, żeby włożyć swoje jedyne drogie ubranie.

Ale butelki nie było. Sprawdzał ręką, nie mógł jej znaleźć. Wyciągnął wszystko z szafy: żelazko, deskę do prasowania, koc elektryczny, plastikowe pudełka, składany stolik, ręczną kosiarkę, którą kupił w zeszłe święto Chusok, lecz żadnego alkoholu. Przetrzęsł zawartość lodówki, zajrzał pod zlew, do szuflad, przewrócił do góry nogami sypialnię. Nie znalazł nic. Krew napłynęła mu do głowy. Eunju. To musiała być ona. Zawsze umiała wywęszyć wszystko, co sobie schował, na pewno więc znalazła i tę butelkę. Z całej siły walnął drzwiczkami jej toaletki i przez przypadek przytrzasnął sobie palec. Tak bardzo go to zabolowało, że wyrzucił z siebie słowa, które często miał w głowie, ale nigdy nie odważył się ich stamtąd wypuścić, nawet w snach. „Zdzira!” Strach i pragnienie przeszły w gniew, aż zrobiło mu się niedobrze. Ssał bolący palec i postanowił, że pójdzie do pracy Eunju i ręcznie jej wytłumaczy, co

o tym wszystkim sądzi. Będzie nią trząśł, aż mu się zrobi lepiej, a potem pójdzie kupić sobie butelkę soju przy autostradzie.

W przedpokoju wsunął stopy w buty i zamarł, kiedy spojrzał w lustro obok szafki. Patrzył na niego mężczyzna, którego nie widział od lat – ze sterczącymi włosami, z grubymi żyłami pulsującymi na twarzy, zaczerwienionymi oczami pełnymi złości, trzęsącymi się bladymi wargami. Sierżant Choi. Ojciec. Spojrzał za siebie, na cały bałagan, jaki przed chwilą zrobił, kiedy wyciągał wszystko z szafy, na szuflady otwarte albo całkiem wyciągnięte, leżące na podłodze, na przedmioty porzucane na stole, sypialnię wywróconą do góry nogami. Jako chłopiec widział to setki razy, ale tym razem to nie ojciec był temu winien, tylko on sam. Ojciec uśmiechał się do niego szyderczo z lustra. „Wydaje ci się, synku, że jesteś lepszy ode mnie?” Hyonsu padł na kolana i zaczął się trząść.

Ludzie z firmy Wsparcie zadzwonili w środę, kiedy Yongje kończył pracę i miał się zbierać do domu.

– Wyleciała z kraju i wylądowała na lotnisku de Gaulle’a w Paryżu. Nie ma żadnych informacji o jej powrocie do kraju – usłyszał.

Czyli Hayong była we Francji. Przeszło mu kilka razy przez myśl, że mogła uciec za granicę, ale Francja? Jak dała radę dolecieć tam tak szybko, już w dwa dni po zniknięciu?

– Czy ona ma tam jakieś kontakty? Kogoś z rodziny? – pytali.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Jakichś przyjaciół?

Czy w ogóle miała przyjaciół? Yongje nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek kogoś z nich poznał. Wszystkie kobiety z jej strony na ich ślubie wyglądały tak samo i pozdrawiał je tylko po to, żeby nie pomyślały, że jest gburem.

– Muszę się zastanowić – odpowiedział.

– Proszę dać znać, jak sobie pan coś przypomni.

Z powrotem w domu poszedł na górę do biblioteki i sięgnął po album z ich ślubu. Pierwsze zdjęcie było z kościoła w mieście S. Hayong patrzyła w obiektyw tępym wzrokiem. Przypominał sobie kobietę, która robiła zdjęcie, tę samą, która wsunęła chusteczkę w dłoń Hayong na chwilę przed tym, zanim padły słowa przysięgi. To

ona złapała też bukiet. Może to koleżanka ze studiów. Znalazł ją na kolejnej stronie, na zdjęciu grupowym. Drobna i blada, pamiętał, że o nią pytał – chyba kiedy dostali album. Hayong coś wspominała, że ta kobieta szykowała się na studia za granicą. Więcej nie mógł sobie przypomnieć. Jak ona się nazywała? Jakoś tak nietypowo: Eun, Min, Mo? Nie, chyba Myong.

Zadzwoił do Wsparcia.

– Przypomniałem sobie o jednej przyjaciółce. Na nazwisko ma Myong, ale nie pamiętam imienia. Chyba były razem na studiach, mogę wam przesłać zdjęcie. Znajdziecie ją?

– Pewnie – usłyszał w odpowiedzi.

Serce zabiło mu mocniej. Nie mógł usiedzieć w miejscu. W końcu miał jakiś trop. Jak już Wsparcie ją namierzy, pojedzie po nią osobiście. Oczywiście jak upora się ze wszystkim tutaj na miejscu.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Yongje zszedł na dół i otworzył, po drugiej stronie stał Yim ze sporą gałęzią cedru. Dzień wcześniej Yongje kazał mu coś takiego znaleźć.

– Lepszej nie dało rady. Deszcz pada – usprawiedliwił się Yim.

– Będzie dobra – odpowiedział Yongje i zaczął zamykać drzwi, ale Yim nie ruszał się z miejsca. – O co chodzi?

Mężczyzna wskazał na mieszkanie 102.

– Widziałem w nocy, jak Choi idzie tylną ścieżką do drogi nad jeziorem.

– O której?

– Jak zaczynałem obchód. Chyba koło drugiej trzydzieści. Pan mu powie, żeby nie chodził tak w środku nocy. Tam jest ciemno, jeszcze wpadnie na drzewo i coś sobie zrobi.

Yongje odesłał starca i zszedł do warsztatu. Zaczął zdzierać korę z konara, po kilku godzinach drewno zaczęło ukazywać gładkie oblicze. Gdyby je wyrzeźbić, wypiąskować i pokryć żywicą, byłoby piękne. Wrócił na górę, chciał się trochę przespać. Ustawił budzik w telefonie na drugą w nocy.

O drugiej trzydzieści poszedł do pokoju Seryong ubrany w czarne spodnie i czarną kurtkę przeciwdeszczową. W kieszeni miał latarkę. Jeśli Yim mówił prawdę, Choi powinien się zaraz pokazać. Za oknem lało i według prognoz miało jeszcze padać



długo. Wszechświat współpracował z Yongje, taka pogoda bardzo mu pomagała. Położył dłoń na urnie z prochami Seryong. Pomyślał, że już niebawem wszystko znowu będzie pod kontrolą.

Koło trzeciej, kiedy zaczynał już wierzyć, że Yim wszystko zmyślił albo mu się przywidziało, zauważył na zewnątrz coś białego. Wystawił głowę za okno – to był Choi. Ubrany w białą koszulkę, bez parasola, bez kurtki przeciwdeszczowej, nawet bez butów. Na czole miał lampkę, rękę nadal obandażowaną. Trzymał parę butów i szedł przed siebie. Yongje naciągnął kaptur, wsunął stopy w buty i wyszedł przed okno.

Choi szedł bardzo wolno, dopiero po jakichś dziesięciu minutach dotarł do furtki. Potknął się, przewrócił i z głośnym plaskiem padł twarzą w błotnistą kałużę. Pewnie tak to wygląda, kiedy upadają pięćsetletnie cedry. Yongje patrzył, jak Choi podnosi głowę, staje z powrotem na nogach i idzie dalej przed siebie, wciąż trzymając kurczowo parę butów. Poruszał się sztywno i niezgrabnie, jak lalka albo jakby ktoś rzucił na niego zaklęcie. Wydawało się, że wcale nie zwraca uwagi na to, że jest cały umazany błotem. Kiedy dotarli do drogi nad jeziorem, mgła była już gęsta. Choi zatrzymał się przed mostkiem prowadzącym na wieżę wlotową, Yongje tak samo. Nagle Choi się obrócił, światło jego lampki padło na twarz Yongje, który zamarł z zaskoczenia; stali ledwie kilka kroków od siebie. Choi jednak odwrócił się znowu i kontynuował spacer na mostek. Zupełnie jakby nic nie zauważył.

Zatrzymał się znowu pośrodku mostku, Yongje podszedł bliżej, czuł, że jest teraz dla niego niewidzialny. Hyonsu stał w miejscu, gapił się w wody jeziora, po czym cisnął w nie buty. Odwrócił się, gdy tylko wpadły z pluskiem. Yongje nie miał nawet czasu zareagować, olbrzym wpadł na niego, przewracając go na plecy. Uderzył się w głowę. Kiedy się otrząsnął, leżał samotnie w ciemności.

Wracając do domu, nie mógł się pozbyć wrażenia, że ktoś go obserwuje. Rozglądał się dokoła, świecił wszędzie latarką, ale wokół miał tylko mgłę i deszcz. Czasami niebo rozświetlały na niebiesko błyskawice. Podszedł do mieszkania 102 i zauważył światło w salonie za zasuniętymi zasłonami. Yongje stał w ukryciu pod drzewem lagerstremii i nasłuchiwał, ale nic nie dawało znaku życia. Czy Choi spał? Czy był lunatykiem? Cokolwiek się działo, to, czego

Yongje był tej nocy świadkiem, mogło mu być bardzo przydatne. Wiedział już dokładnie, jaką siłą dysponował ten drugi i że zachowywał się co najmniej dziwnie. Bolało go ramię. Rano będzie musiał załatwić dwie sprawy: przeświecić rękę i znaleźć jeszcze jeden sposób na osłabienie przeciwnika, zanim dojdzie do głównego przedstawienia.

Sunghwan czekał w ciemności, aż Yongje wejdzie do domu. Podkraść się bliżej i zatrzymał w połowie drogi między dwoma mieszkaniami. W stojedynce panowała ciemność, światła były wyłączone, ale jedno świeciło się w piwnicy. Widział je już wcześniej i zawsze go ono ciekawiło. Co takiego robił Yongje w swojej piwnicy każdej nocy? Podeszedł do rabaty z kwiatami i stał, przyciskając się do ściany przy oknie. Rolety były opuszczone w dwóch trzecich, przez szparę widać było plecy Yongje, który pochylał się nad stołem, jakby grał w bilard. U jego stóp leżały skrawki drewna i kory. Sunghwan przykucnął i przybliżył twarz do okna. Pośrodku pomieszczenia stał drewniany stół, a na nim coś, co wyglądało jak model zamku. Z kolei w rogu, przy oknie Sunghwan zauważył kawałek drewna tkwiący w imadle. Zamek był spory, bogato udekorowany, wyglądał, jakby zbudowano go z drobnych drewnienek posklejanych razem. Sądząc po wyposażeniu piwnicy, Yongje nie tylko budował te konstrukcje, ale także samodzielnie przygotowywał do nich budulec. Sunghwan był pod wrażeniem, mimo że wcale mu się to nie podobało. Ale to, czym Yongje był teraz zajęty, nie wyglądało jak część potrzebna do budowy zamku. Z wyglądu, długości, grubości i zaokrąglonego końca przypominało bardziej kij baseballowy.

Yongje nagle znieruchomiał i odwrócił się szybko w stronę okna. Sunghwan odskoczył i stał plecami do ściany budynku, serce biło mu mocno. Był niezmiernie wdzięczny jezioru za gęstą, złowieszczą mgłę, która, miał nadzieję, ukryła go przed wzrokiem Yongje. Ale nie chciał ryzykować zagładania do piwnicy, żeby się upewnić.

Wyszedł ostrożnie pomiędzy kwiatów i przez okno swojego pokoju wszedł z powrotem do mieszkania. Od razu przyłapał go Sowon siedzący na swoim łóżku. Między jego nogami leżał zwinięty w kłębek Ernie.

– Ćśś... – wyszeptał Sunghwan i zdjął ubłocone buty.

Sowon pokiwał głową.

– Siedź spokojnie – dodał do chłopaka.

Zajrzał ostrożnie do salonu. Hyonsu spał przed telewizorem, lampka na jego czole była wciąż włączona, cały był ubrudzony błotem. Przynajmniej w końcu wyglądał spokojnie. Sunghwan postawił buty przy drzwiach do mieszkania i już miał podejść do Hyonsu, kiedy zamarł. Eunju stała przed sypialnią z założonymi rękami.

– Piliście?

Sunghwan spojrzał na siebie, wyglądał dokładnie tak samo jak Hyonsu.

– Nie... to znaczy...

Eunju odwróciła się na pięcie i trzasnęła drzwiami. Sowon podglądał zza drzwi ich pokoju i wyszedł z niego, kiedy ich spojrzenia się spotkały. Razem zdjęli z Hyonsu mokre ubranie, wyczyścili ręcznikiem tyle błota, ile mogli, i wytarli mopem podłogę. Sowon przyniósł matę do spania i Sunghwan przetoczył na nią Hyonsu jak kłodę, po czym przykrył go kocem. Na koniec poszedł pod prysznic.

– Proszę pana – zaczął nerwowo Sowon, kiedy tylko Sunghwan wrócił do ich pokoju. – Tata jest chory, prawda?

– Czasami lunatykuje, ale to tylko przez jeden koszmar, który go nawiedza. – Sunghwan starał się mówić pokrzepiająco, żeby uspokoić chłopca.

– To taki sen jak mój o tej dziewczynie?

Sunghwan spojrzał na Erniego siedzącego na szafie Sowona i przytaknął.

– Ja siedzę w domu, mimo że ona mnie woła. Ale tata wychodzi. To tak? – Sowon był zdenerwowany, bał się.

– Właśnie tak.

Sowon pokiwał głową i się położył.

Sunghwan chciałby wierzyć swoim własnym słowom, że chodziło tylko o poważne zaburzenia snu. Ale znał prawdę. Hyonsu i Eunju pokłócili się pod wieczór. Drzwi do ich sypialni były zamknięte, nie słyszał więc, co do siebie krzyczeli, ale nie ulegało wątpliwości, że

byli na siebie wściekli. Sowon ze słuchawkami na uszach próbował czytać i nie zwracać na nich uwagi. Sunghwan pracował na laptopie. Usłyszał potem, jak Hyonsu wychodzi.

Czekał do północy, ale ten nie wracał. Pomyślał, że na pewno siedzi na tarasie przy autostradzie, lecz zaczął się martwić, bo cały czas lał deszcz. Zastanawiał się, czy powinien iść go poszukać. Wyjął z plecaka lampkę, ale coś sobie nagle przypomniał. Wrócił do tego wpisu na blogu i sprawdził datę publikacji: 22.05 w sobotę, dwudziestego ósmego sierpnia. Serce mu zamarło. Jego szef twierdził, że nie było go tutaj dwudziestego siódmego, bo coś mu wypadło. Ale autor wpisu wpadł na niego w barze w Gwangju o ósmej wieczorem dwudziestego siódmego. Seryong było tylko półtorej godziny jazdy od Gwangju. W odpowiednich warunkach można było dojechać tu nawet w godzinę. Pierwsze nieodebrane połączenie było z 21.03. Drugie z 22.30. Myśli zaczęły galopować. Dziwne zachowanie Hyonsu, kiedy po raz pierwszy zetknęli się z Oh Yongje, panika, w jaką wpadł, gdy wyciągnęli ciało Seryong z jeziora, Yongje mówiący, że gdzieś już kiedyś widział Hyonsu, scena, którą zrobił na pogrzebie, wszystkie wydarzenia minionego tygodnia...

Sunghwan zaczął się bać. Wszystko układało się w logiczną całość. Chwycił kurtkę przeciwdeszczową i parasol.

Na tarasie był tylko Hyonsu, sam jeden. Spał z głową na stoliku, pod parasolem. Był przemoczony, bosy. Na stoliku stały trzy puste butelki, a obok nich jego buty i skarpety.

– Szefie! – zawołał Sunghwan.

Hyonsu otworzył oczy, ale go nie rozpoznał. Chwycił buty ze stolika i zaczął iść przez deszcz. Sunghwan od razu się zorientował, że jego szef wcale nie jest pijany – cały czas śni. Nie obejrzałby się za siebie, nawet gdyby wołać go po imieniu. Był zupełnie bezbronny. Sunghwan mógł jedynie dopilnować, żeby Hyonsu nie zrobił sobie krzywdy po ciemku. Dogonił go i włożył mu na głowę latarkę czołową. Tamten zupełnie nie protestował.

Hyonsu szedł powoli ścieżką w dół i odbił się od barierki przy wejściu do arboretum. Schylił się pod nią i podążał dróżką przy mieszkaniach. Przeszedł pomiędzy stodwójką i stojedynką, wtedy też Sunghwan musiał się nagle zatrzymać. Przez okno pokoju

Seryong wychodził właśnie Oh Yongje w czarnej kurtce i butach. Widać było, że się wcześniej przyczał.

Hyonsu szedł przodem, za nim Yongje, a na końcu Sunghwan. Kiedy na mostku Hyonsu nieświadomie przewrócił Yongje i ten drugi leżał na plecach, Sunghwan musiał szybko zdecydować, kogo śledzić od tej pory. Zdecydował, że sprawdzi, dlaczego Oh Yongje interesował się Hyonsu.

Sunghwan wyłączył światło i położył się. Zajrzał dziś do piwnicy Yongje i zerknął, nad czym tamten pracuje, przetrwał gniew Eunju i starał się pocieszyć Sowona, choć zapewne nieskutecznie.

Następnego ranka Sunghwan zasnął, pewnie dlatego, że całą noc rzucał się i wiercił. Kiedy wyszedł z pokoju, rodzina siedziała już przy śniadaniu. Hyonsu wyglądał jak wrak, ale był ogolony, rękę miał nadal obandażowaną. Nikt się nie odzywał, cisza przypominała tykanie bomby zegarowej. W pracy ani Hyonsu, ani Sunghwan nie mieli swoich codziennych butów, ale żaden z nich nic nie powiedział. Przed biurem ochrony Hyonsu spojrzął na swojego podwładnego, jakby chciał mu coś powiedzieć. Sunghwan czekał, ale zamiast się odezwać, szef tylko się odwrócił i poszedł w swoją stronę.

– Proszę pamiętać, żeby posprzątać bibliotekę – przypomniał Gwak.

– Tak, pamiętam – odpowiedziała Eunju mechanicznie.

Tak naprawdę nie była to żadna biblioteka, bardziej świetlica dla rodzin mieszkających w kompleksie firmowym, gdzie żony mogły plotkować, a dzieci się bawić, kiedy padał deszcz.

– Proszę się postarać. Nie chcemy potem żadnych skarg.

– Oczywiście.

Po tym, jak Gwak wyszedł, Eunju chwyciła za telefon i wysłała wiadomość do siostry: „Pogadamy?”. Jej komórka zadzwoniła niemal od razu.

– Co się dzieje?

Eunju wzięła głęboki wdech. To już nie był czas na dumę, jej siostra mogła spojrzeć na wszystko bardziej obiektywnie. Być może nawet przyjdzie jej do głowy coś, o czym Eunju jeszcze nie pomyślała.

– No więc wczoraj...

Poprzedniej nocy Hyonsu wręczył jej plik papierów i powiedział śmiertelnie poważnie: „Musimy się rozejść”.

Pomyślała, że już do reszty zwariował, i uśmiechnęła się pogardliwie.

– Ach tak? A dlaczego?

– Nie chcę już z tobą być.

On nie chciał już być z nią? Eunju tak się śmiała, że aż się popłakała i nie mogła przestać. Ten śmiech o mały włos nie przerodził się w prawdziwy, niepohamowany płacz.

– Jeśli się zgodzisz, szybko wszystko załatwimy. Moja przemoc i picie ułatwią sprawę.

Śmiech zamarł jej w gardle.

– Możesz wziąć wszystko. Sowona, dom, samochód. Wszystko. Może być tak, że w przyszłości nie zdołam płacić alimentów, ale będę to robić, dopóki się da. Będę ci wysyłać całą pensję tak długo, jak tylko będę mógł. Będziesz miała jak się o niego zatroszczyć.

Eunju zrozumiała, że on nie blefuje, tym razem mówił zupełnie poważnie.

Hyonsu pokazał jej kopertę i papiery z banku.

– To wszystko, co mam. Tutaj jest trochę pieniędzy, mam też zdolność kredytową. Będzie cię stać na kawalerkę niedaleko Seulu.

– Kawalerkę? Rozwód? – Eunju w końcu dała radę wydobyć z siebie słowa. – A kto powiedział, że to ty o tym decydujesz? Myślisz, że byłam z tobą przez ten cały czas, bo chciałam? Myślisz, że nie mogłabym żyć bez ciebie? Zostałam tylko z powodu Sowona. Nie rozumiesz tego?

– Wiem, dlatego mówię ci, że już dłużej nie musisz.

Eunju usiłowała się uspokoić.

– Powinieneś mnie teraz błagać o wybaczenie, a nie uciekać. Powinieneś mi teraz obiecywać, że się za siebie weźmiesz i poprawisz. Gdybyś myślał trzeźwo...

– Czy ty mnie słuchasz? Nie mogę myśleć trzeźwo przy tobie. Twój głos doprowadza mnie do szału, codziennie i w każdej godzinie. Daj mi spokój i pozwól mi odejść, ja z tobą dłużej nie wytrzymam. Proszę cię.

Eunju poczuła ostry, piekący ból, nie mogła złapać tchu. Czowała, jakby płonęły jej płuca. Wyjęła z koperty pieniądze, zrolowała je

i zważyła w dłoni. Na oko był to milion wonów.

– Ja doprowadzam do szaleństwa ciebie? – spytała, uderzając go w twarz wolną dłonią. – Jestem aż taka okropna?

Hyonsu złapał ją za rękę, aż wypuściła pieniądze, które sfrunęły na podłogę. Spojrzały na nią jego zimne, drapieżne oczy.

– Wynoś się. Zabieraj się stąd jutro, weź Sowona. Jeśli tego nie zrobisz, sam cię wyrzucę.

Puścił jej rękę i wyszedł.

Osunęła się na podłogę, zrobiło jej się słabo. Czy on naprawdę właśnie zażądał rozwodu? Jak śmiał?

Chodziła po mieszkaniu, czekając na jego powrót. W pokoju Sowona było cicho, ale widziała w szparze pod drzwiami, że ma zapalone światło. W środku nocy słyszała, jak otwierają się drzwi do mieszkania, ale to Sunghwan wychodził. Czekala w salonie, domyśliwszy się, że pewnie poszedł szukać Hyonsu i że ci dwaj wrócą razem. Długo później Hyonsu rzeczywiście wrócił – sam. Prawie na nią nie spojrzał i upadł na podłogę w salonie. Był boso i cały w błocie, zasnął od razu. Stała tylko w drzwiach i patrzyła. Nawet nie była już specjalnie zła, bardziej zdezorientowana tym wszystkim.

Po chwili Sunghwan wyszedł ze swojego pokoju, tak samo ubrudzony jak jej mąż. Domyśliła się, że znalazł go i razem się upili. Ale on i tak nic by jej nie powiedział.

– Może ma romans? – zasugerowała siostra.

– Nie jestem głupia.

– Nie twierdzę wcale, że jesteś.

– Która żona się nie zorientuje, że jej mąż ma kogoś na boku?

– No to najwyraźniej się w coś wpakował.

– Co ty w ogóle mówisz?

– Może hazard? Albo jakieś malwersacje? Może kogoś pobił, jak był pijany. Nie sądzisz, że jeśli się aż tak dziwnie zachowuje, to znaczy, że jest w poważnych tarapatach?

– On nawet nie umie grać w karty – oponowała Eunju. – Na malwersacje jest za głupi. I nigdy się z nikim nie pobił, nikogo nigdy nie uderzył.

– Ciebie uderzył.

Eunju się zdenerwowała. Dlaczego jej siostra o tym wspomniała? Wcześniej zapewniała, że jeden klaps to nic takiego. Ale pomyślała, że nie może się teraz rozłączyć, potrzebuje przecież pomocy.

– Nie, to nie tak. Gdyby był w kłopotach, poprosiłby mnie o pomoc.

– Zastanów się nad tym. Powiedział, że możesz wziąć wszystko, że potem może nie być w stanie płacić alimentów. Że jak tylko będzie mógł, będzie ci wysyłał całą swoją pensję. Że poprosił cię, byś się zajęła Sowonem. Przecież on nigdy by tego nie zrobił. Nigdy nie oddałby syna! Na pewno wpakował się w coś poważnego i nie wie, jak sobie z tym poradzić. Bo inaczej to się kupy nie trzyma. Może się boi, że wszystko mu zabiorą, wtedy rozwód to najlepsze wyjście, żeby cię zabezpieczyć. – Yongju zamilkła na chwilę. – To wprawdzie dziwne, że o niczym ci nie powiedział, ale tak czasem jest. Spróbuj się tak czy inaczej czegoś dowiedzieć. Podzwoń po ludziach, popytaj. To, że on sobie nie radzi, nie znaczy, że ty nie jesteś w stanie mu pomóc.

Eunju przypominała sobie o detektywach, którzy przyszli z pytaniami w poprzedni czwartek. Mówili, że muszą, w ramach formalności, zadać kilka pytań w związku z tą dziewczynką, którą znaleźli w jeziorze. Eunju nie miała nic przeciwko. Pytali, czy była w Seryong przed przeprowadzką. Pytali nawet po tym, jak odpowiedziała, że nie. Wspomnieli, że przecież to normalne, żeby trochę się najpierw rozejrzeć, pytali, czy nie wysłała męża w tym celu, czy nie mieli żadnego wypadku, bo samochód ma ślady niedawnej naprawy... Eunju nie chciała przyznać, że się pokłócili, bo Hyonsu właśnie nie przyjechał się rozejrzeć, i że nadal nie za bardzo ze sobą rozmawiali. Zamiast tego powiedziała, że samochód jest zarejestrowany na nią i że na pewno by wiedziała, gdyby brał udział w jakimś wypadku. Co oni sobie myśleli, że kim ona jest? Zawracali jej jeszcze głowę przez pół godziny, zanim w końcu sobie poszli. Nie zastanawiała się nad tym wcześniej, ale teraz nagle sobie uświadomiła, że była ślepa.

Rozłączyła się z siostrą i postanowiła obdzwonić znajomych Hyonsu. Zaczęła od Kima Hyongtae. Zapytała, czy jej mąż miał niedawno jakąś stłuczkę. Znajomy odpowiedział, że nic o tym nie wie



i że wydaje się to mało prawdopodobne, bo przecież prawo jazdy Hyonsu ma zawieszony za jazdę po pijaku, w związku z czym prowadził wyjątkowo ostrożnie. Eunju poczuła, jak zrobiło jej się zimno. Jazda pod wpływem? Zawieszony prawo jazdy? Co jeszcze przed nią ukrywał?

Dzwoniła dalej, tym razem do znajomego Hyonsu ze szkoły, Kim Ganghyona. Dowiedziała się, że jej mąż zatrzymał się w jego barze tamtej nocy, kiedy miał przyjechać do Seryong, i że pili do około ósmej wieczorem. Potem zadzwoniła do warsztatu z pytaniem, czy Hyonsu był u nich. Właściciel pytał, o co chodzi, bo to samo chcieli niedawno wiedzieć detektywi. Eunju wytłumaczyła się słabym zasięgiem i rozłączyła się – bała się kolejnych informacji. Gdziekolwiek dzwoniła, dowiadywała się czegoś nowego, o czym wcześniej w ogóle nie miała pojęcia. Co Hyonsu wyprawiał? Przypomniła sobie, że w noc przed przeprowadzką wrócił do domu pijany i śpiewał. Nigdy wcześniej nie słyszała, żeby śpiewał. Lubił tylko alkohol i baseball. Wcześniej jedynie Sowon był w stanie go uszczęśliwić. Taka była zła, że ją uderzył, że poszła do sypialni i zamknęła się tam, zupełnie go ignorując. Ale teraz miała pytania, na które potrzebowała odpowiedzi. Nie mogła dłużej udawać, że nie obchodzi jej jego dziwne zachowanie.

Gniew powoli ustępował, pozwalając wypłynąć na powierzchnię jeszcze bardziej niepokojącym pytaniom. Czy kiedykolwiek wcześniej wpadł w tak poważny ciąg alkoholowy jak przez ostatnie dwa tygodnie? Czy kiedykolwiek wcześniej ją uderzył albo wygadywał takie rzeczy jak ostatnio? Czy kiedykolwiek wcześniej wtrącał się w to, jaką pracę podejmowała? Nie, nigdy tak nie było. To się zmieniło, dopiero kiedy przeprowadzili się do Seryong.

Zadzwoniła do Sunghwana. Pytała, czy Hyonsu naprawdę nie przyjechał tamtej nocy, dwudziestego siódmego, obejrzeć mieszkania. W końcu pił wtedy w barze w Gwangju, a to było po drodze do Seryong. Sunghwan powiedział, że Hyonsu nie przyjechał. Eunju westchnęła ciężko.

Było już po dziesiątej, straciła poczucie czasu. Pobiegła do biblioteki, odkurzyła, wytarła kurze, wyszorowała, co trzeba, próbując nie

myśleć o tym wszystkim, czego się właśnie dowiedziała. Inne kobiety zaczęły się schodzić w chwili, kiedy zabierała się do wyjścia.

– Czy z pani synem wszystko w porządku? – zapytała kobieta z piegami na twarzy. – Słyszałam, co ten szaman zrobił.

– Słucham? – zapytała Eunju.

Kobieta wyglądała na zaskoczoną.

– Pani nic nie wie? Wszyscy o tym mówią.

– Szaman, ten z pogrzebu dziewczynki?

– O mój Boże, pani naprawdę nic nie wie! – Kobieta nie mogła uwierzyć. – Mówią, że pani mąż próbował udusić szamana, ale ten młody człowiek, który z wami mieszka, ich rozdzielił.

– O czym pani...

Do rozmowy włączyła się kobieta z rozpuszczonymi włosami.

– My też tego nie widziałyśmy – powiedziała. Potem zrelacjonowała wszystko, co słyszała. – Gwak miał obchód i widział, jak ten młody człowiek biegnie co sił z pani synem na plecach. Pani nie było w domu?

Eunju zrobiło się gorąco. Przypomniała sobie tamten dzień. Sunghwan przyszedł jej powiedzieć, żeby zajrzała do Sowona. Pomyślała wtedy, że to dziwne. Dzień później Gwak pytał, czy z chłopcem wszystko dobrze. Pomyślała o tym rysunku, który Oh Yongje przyniósł ze sobą. Sowon jej wytłumaczył, że narysowała go ta dziewczynka, a Eunju wyrzuciła ten pechowy obrazek do śmieci. Sowon się do niej przez to nie odzywał. Patrzył tylko na nią chłodno i nie słuchał tego, co do niego mówiła. Zachowywał się czasami zupełnie jak jego ojciec. Ci dwaj niekiedy sprawiali, że czuła się naprawdę głupio i samotnie. Poczwała, jak gniew wzbiera w niej na nowo. Dlaczego dowiadywała się jako ostatnia rzeczy, o których rozmawiała cała okolica? Dlaczego nikt jej wcześniej nie powiedział? Czy mieli ją za idiotkę? Potrzebowała teraz pilnie odpowiedzi od człowieka, którego nazywała mężem. Odwróciła się do wyjścia.

– Na półce stoi płyn do okien! – zawołała za nią ta piegowata. –

Skoro pani już tu jest, to może się pani nimi zajmie, są naprawdę brudne.

Eunju spojrzała na nią. Gwak zawsze zwracał się do tej kobiety bardzo grzecznie, kim w takim razie była? Żoną dyrektora zapory? Ścisnęła usta i sięgnęła po płyn do okien. Kobiety plotkowały dalej,

głównie o rodzinie tej dziewczyny. Mówiły, że jej ojciec jest głównym podejrzanym.

– Pamiętacie, jak mówiłam, że to tylko kwestia czasu, aż ją zabije? Jego żona dobrze zrobiła, że uciekła. Pewnie i ona by zginęła, gdyby została – szeptała ta z rozpuszczonymi włosami.

– Uważaj, co mówisz. – Piegowata zachichotała. – Nigdy nie wiesz, kto cię słyszy. – Zerknęła w stronę Eunju. – Pani już skończyła? Dziękujemy, może pani iść.

Eunju wypadła jak oparzona, tak zła, że aż jej się nogi trzęsły. Traktowały ją jak pracownicę ochrony, którą w rzeczywistości przecież była. To wszystko wina Hyonsu. Pogodziła się z tym, że nie będzie chodzić na zakupy razem z żonami innych graczy, ale mógłby przynajmniej postarać się na tyle, żeby oszczędzić jej takich upokorzeń.

W domu przygotowała sobie dwa opakowania błyskawicznego ramyonu i zjadła wszystko. W miarę jak jej gniew słabł, do głosu dochodził lęk. Zadzwoiła do Hyonsu.

– Tak? – odezwał się niskim głosem.

– Mam tylko jedno pytanie. Tamtej nocy, kiedy powiedziałam, żebyś tu przyjechał się rozejrzeć, byłeś tutaj?

Hyonsu przez dłuższą chwilę nie odpowiadał.

– Nie – odparł w końcu.

Ulżyło jej. Zdecydowała, że tym razem mu uwierzy. Rozłączyła się i wyszła z domu. Opróżniła kosz na śmieci, wysprzątała wokół niego, zrobiła porządek z kompostem, zamiotła ścieżkę do wejścia do mieszkania, wytarła mopem schody. Kiedy ze wszystkim się uporała i nie było już nic do umycia, zaczęła od początku.

Grupa monterów z centrali przyjechała w czwartek zainstalować nowy system monitoringu i lepsze reflektory. Hyonsu popłynął z nimi na Hansoldung. Wyglądało to trochę jak stanowisko miotacza na boisku. Wysepkę porastały zarośla, a sosna pośrodku niej okazała się tak naprawdę dwoma potężnymi pniami splecionymi ze sobą. Były trzy razy szersze niż jego tors. Na słupie obok sosny zainstalowali dwie nowe kamery na podczerwień, które miały obejmować sto osiemdziesiąt stopni każda. Hyonsu zadzwonił spod drzewa do biura ochrony.

– Widzisz mnie? – zapytał.

– Mogę panu policzyć włosy w nosie – odpowiedział rozbawiony Park.

Wymienili też kamerę na przystani, a na szczycie wieży wlotowej zamontowali wielki reflektor. Hyonsu przyglądał się nowemu sprzętowi z niepokojem. Teraz jego lunatykowanie mogło wyjść na jaw. Jak on sobie poradzi z tymi nocnymi wypadami? Pozostawało tylko nie spać przez całą noc albo się modlić, żeby niepokonana mgła zakryła wszystko przed okiem technologii.

Po tym wszystkim Hyonsu łyknął dwie tabletki przeciwbólowe. Głowa mu pękała, oczy miał czerwone, dudniło mu w uszach. Było mu gorąco, bolały go mięśnie. Przeziębił się? Nie byłoby w tym nic dziwnego, biorąc pod uwagę, że biegał nocami po deszczu jak wściekły pies.

O zmierzchu, kiedy mgła zaczynała gęstnieć, Hyonsu zebrał się do wyjścia z biura. Ociągał się, jak tylko mógł.

– Po drodze do domu zatrzymam się nad jeziorem. Patrz na ekrany i zobaczymy, co jest lepsze: technologia czy mgła – powiedział do Parka, który szykował się do nocnej zmiany.

– Może po prostu dam znać, jak zobaczę pana koło przystani? – zaproponował Park.

Przy wyjściu Hyonsu odczuł na sobie działanie reflektora, kiedy stanął twarzą w twarz z rzucanym przez niego snopem światła. Pomyślał, że reflektor i tak pewnie dopiero się rozkręca. Przypominał obracające się, wszystkowidzące światło latarni morskiej. Hyonsu skręcił za róg, minął wieżę wlotową i dostał wiadomość od Parka, kiedy był przy przystani: „Mam pana! Kamery góra”.

Poszedł dalej w stronę farmy i usiadł na ławce pod drzewem kaki. Musiał zebrać myśli. W głowie ciągle mu łupało. Oparł się o drzewo, zamknął oczy i wdychał chłodne powietrze nadchodzącej nocy. Myślami przeniósł się do wydarzeń poranka.

Ocknął się na dźwięk budzika. Był mokry, ale przynajmniej leżał pod kocem, na materacu. To prawdopodobnie była zasługa Sunghwana. Ten facet zaczynał go mocno niepokoić. Pewnie dobrze już wiedział, gdzie Hyonsu chodzi nocami i gdzie znikają buty, ale nigdy nic na ten temat nie wspominał. Hyonsu się zastanawiał, dlaczego tamten

nie zadaje żadnych pytań, ale nie mógł się zdobyć na to, żeby poruszyć ten temat. To wszystko dawało mu nadzieję, że Sunghwan stoi po jego stronie. Chciał mu opowiedzieć o rzeczach, o których nigdy nikomu nie opowiadał, nawet matce czy Eunju. Chciał zdjąć z siebie ten ciężar, który niósł w sercu przez dwadzieścia pięć lat, chciał się tym podzielić z kimś, kto by go zrozumiał. Chciał poprosić Sunghwana o pomoc.

Bał się jednak, że już dla niego za późno. Jediną osobą, która mogłaby teraz cokolwiek dla niego zrobić, był on sam. Pozostały mu tylko próby łagodzenia szoku, jakiego dozna Sowon, a żeby to zrobić, musiał dopilnować, żeby jego rodzina znalazła się jak najdalej od niego. Kiedy już będą bezpieczni, na spokojnie zdecyduje, czy wyznać prawdę, czekać, aż sami po niego przyjdą, czy się zabić.

Poprzedniego dnia złożył wniosek o kredyt, wypłacił oszczędności – wcześniej skrzętnie przed wszystkimi ukryte – skontaktował się z prawnikiem w sprawie rozwodu i wypełnił potrzebne papiery. Wiedział, że niełatwo będzie przekonać do wszystkiego Eunju. Jeśli powiedziałaby jej całą prawdę, pewnie szybciej zgodziłaby się na rozwód, ale nadal nie mógł znaleźć w sobie tyle odwagi. Zamiast tego powiedział jej coś zupełnie innego – od dawna o tym marzył.

A potem, w porze lunchu, zadzwoniła do niego i zapytała o tamtą noc, kiedy miał przyjechać obejrzeć mieszkanie. Zdał sobie sprawę, że coś zaczęło jej świtać w głowie. To była idealna okazja, żeby do wszystkiego się przyznać, ale był w pracy, miał ludzi wokół siebie. Odpowiedział wtedy tylko: „Nie”.

Ona zareagowała krótko i bez żadnego wahania: „W porządku” i rozłączyła się. To było tyle, stracił bezpowrotnie szansę na to, żeby wszystko jej wyjaśnić. Wiedział, że ona nigdy więcej nie zapyta, wydawała się zadowolona, jakby jej ulżyło. Tak naprawdę sama nie chciała wiedzieć.

– Kogóż to ja widzę? – wyrwał go z zamyślenia czyjś głos.

Hyonsu otworzył oczy i zobaczył przed sobą Oh Yongje z latarką w ręce.

– O, a co się panu stało? – Yongje wskazał na lewą dłoń Hyonsu.

– Próbowałem się napić własnej krwi – odpowiedział sarkastycznie.

Yongje się zaśmiał, ale brzmiało to bardziej jak szczekanie, było w tym coś złowieszczonego, coś, co czekało ukryte głęboko na dnie.

– No to pewnie nic takiego, skoro pan z tego nawet żartuje.

– Co pan tu robi? – spytał Hyonsu spokojnie pomimo swojej wewnętrznej walki.

– A, tak sobie spaceruję. Słyszałem, że wymienili monitoring na Hansoldung. Jak się sprawuje?

– Jeszcze nie wiemy. Zobaczymy, jak sobie poradzi w nocy, kiedy nadejdzie mgła. – Hyonsu wstał i skierował się w stronę drogi.

– Do zobaczenia innym razem. Pójdę już do domu.

Szedł, patrząc prosto przed siebie. Czuł na karku świdrujące spojrzenie Yongje.

W salonie było ciemno, tak samo w pokoju Sowona. Przy drzwiach do mieszkania leżały dwie pary butów – trampki Sowona i buty trekkingowe Sunghwana. Hyonsu wsadził znowu buty syna do pralki i zastanowił się, czy powinien budować barykadę z krzesel przed drzwiami. Zamiast tego nastawił budzik w komórce na co dwadzieścia minut i założył słuchawki, żeby tylko on słyszał jego dzwonienie. Wsunął telefon do kieszeni. Teraz musiał już tylko oglądać telewizję i starać się nie zasnąć. Po niespełna godzinie poczuł, jak jego powieki robią się ciężkie, coraz trudniej mu było się skoncentrować. Wyprostował się przy trzecim budziku. Czwarty go zaskoczył, kiedy drzemał z brodą przyciśniętą do klatki piersiowej. Nie dalej jak dwa dni wcześniej upijał się, żeby zasnąć. Stare, dobre czasy. Sen zaczynał mieć nad nim przewagę. Hyonsu uniósł ciężką głowę i próbował skupić się na ekranie telewizora – jeszcze tylko dwie godziny i wstanie słońce. Wstanie słońce i...

Poczuł, jak w jego wnętrzu wzbiera ciemność. Odpływał w mgłę. Wszystko przemykało obok niego – latarnie przed kompleksem mieszkań, lagerstremia i jej czerwone kwiaty, ściany stojedynki, ciemne w deszczu, okno, coś jakby twarz Yongje, która jednak zniknęła, zanim zdążył się przyjrzeć. Czerwona pełnia na niebie. Pole sorgo niemal płonęło w świetle księżyca. Hyonsu brnął przed siebie.

Poczuł nagle potworny ból. Ostre, grube kolce wbijały mu się w stopę. Wrócił w mgnieniu oka do rzeczywistości. Otworzył oczy i zawył z bólu. Otaczała go mgła, alarm w komórce dzwonił głośno, ponad głową świeciło jasne światło. Jego naga stopa tkwiła w sidłach. Cała noga przepiętna była nieopisanym bólem, który promieniował aż do bioder. Upadł z łoskotem, próbując dosięgnąć uwięzionej stopy. Chciał otworzyć pułapkę, ale nie umiał. Jak zwykle w takich sytuacjach jego lewa ręka odmówiła posłuszeństwa, wisiała jak martwa. Jedną ręką niewiele mógł zdziałać – im bardziej się rzucał w próbie oswobodzenia, tym mocniej kolce wbijały mu się w stopę. Całą miał we krwi, która wsiąkała w ziemię. Puścił sidła, jęczał z zaciśniętymi zębami.

– Co się stało? – zapytał głos zza jego pleców. Sunghwan. – Oż w mordę – zaczął mamrotać, kiedy tylko zobaczył sidła.

Upuścił latarkę, obiema rękami rozsunął szczęki pułapki, zdjął koszulkę i owinął ją wokół stopy Hyonsu.

– Spróbuj pan wstać? – zapytał, przytrzymując szefa ramieniem.

Hyonsu nie mógł nic zrobić, kręciło mu się w głowie, drzewa przed jego oczami wywracały się do góry nogami, raz po raz odpływał.

– Niech pan się postara – szeptał Sunghwan. – Sam nie dam rady.

Hyonsu nawet nie próbował się podnieść. Odtrącił Sunghwana i wyciągnął sprawną rękę na ziemi. Lewe ramię tkwiło nieruchomo pomiędzy udami. Sunghwan zauważył trampki Sowona. Jeden leżał przy furtce, drugi pod drzewem nieopodal. Zebrał je i dał Hyonsu, a on w tym czasie zamknął oczy. Nie wiadomo było, czy zasnął, czy zemdlął. Sunghwan nie mógł go przenieść, musiał go w końcu obudzić i sprawić, żeby poszli razem.

Pobiegł z powrotem do mieszkania i wspiał się przez okno. Sowon siedział na łóżku, wyprostowany i czujny.

– Gdzie tata? – zapytał.

– Przy furtce z tyłu – odpowiedział krótko Sunghwan.

Nie miał czasu na wyjaśnienia. Pobiegł do salonu i przeszukał służbową koszulkę Hyonsu, potrzebował jego kluczyków. Wiedział, że

jego szef wszystko trzyma w kieszeni koszuli. Znalazł portfel, notes, ale żadnych kluczyków. Zaczynał panikować.

– Czego pan szuka? – zapytał Sowon. Stał tuż obok.

– Wiesz, gdzie są kluczyki do samochodu?

– W szufladzie pod zlewem. Mama je zabrała. Powiedziała, że tata ma chodzić do pracy pieszo, żeby nie kupować paliwa.

– Przyniesiesz mi je?

Sowon nie tracił czasu. Kluczyki leżały w dłoni Sunghwana w następnej sekundzie.

– Mogę iść z panem?

Sunghwan się zastanowił. Potrzebował pomocy, oczywiście. Widział już swojego szefa w takim stanie. Nie chciał przestraszyć chłopaka, ale Hyonsu wymagał natychmiast lekarza, a obecność syna powinna zadziałać pozytywnie, dając mu poczucie bezpieczeństwa. Taką przynajmniej miał nadzieję.

– Zabiorę cię, ale musisz obiecać, że będziesz dzielny.

Kiedy Sowon zobaczył ojca na ziemi, nie przestraszył się, nie zaczął płakać. Ukląkł przy nim i szeptał.

– Tato, wstawaj. Musimy cię zabrać do lekarza.

Hyonsu otworzył oczy, chwycił dłoń Sowona i podźwignął się. To było jak cud. Wsparł się na Sunghwanie i ciągnął za sobą zranioną nogę. W taki sposób dotarli do samochodu.

Lekarz potrzebował ponad dwóch godzin, żeby dokładnie zająć się raną. Przemył ją solą fizjologiczną, założył szwy na obu stronach stopy, zrobił prześwietlenie, założył gips, przeprowadził dodatkowe badania, podpiął kroplówkę i wykonał kilka zastrzyków. Po tym wszystkim Hyonsu zasnął, a Sowon siedział przy nim.

Sunghwan, w pokoju obok, odpowiadał na pytania lekarza.

– To już kolejny raz, jak przywozi pan tu kogoś rannego w środku nocy – odezwał się lekarz.

– To mój szef, mieszkam u nich. – Sunghwan odpowiedział najprościej, jak się dało.

– Mówiłem już jego bratu, że trzeba na niego uważać. Jak to się stało?

Sunghwan gapił się na lekarza w zdumieniu.

– Jak to jego bratu? – zapytał.



– Kiedy przeciął sobie nadgarstek. Jego brat dzwonił niedługo potem.

Sunghwan przechylił głowę, był zaskoczony. Wiedział, że Hyonsu ma brata gdzieś w Seulu, ale skąd on miałby wiedzieć, że Hyonsu zrobił sobie krzywdę?

– W każdym razie miał szczęście – tłumaczył lekarz. – Rana jest głęboka, są drobne pęknięcia kości, ale nie zostały zupełnie złamane. Ścięgna też wydają się nienaruszone. Małe zwierzęta jednak nie wychodzą z takich sideł cało, zazwyczaj po prostu ucina im to kończyny.

– Pamięta pan, jak się nazywał ten, kto wtedy dzwonił?

– Nie, ale czy to jakiś problem?

– Bo wiem na pewno, że to nie był jego brat.

– To z kim ja w takim razie rozmawiałem? Podał mi nawet numer dowodu osobistego pacjenta.

– Zapisał pan, z jakiego numeru dzwonił?

– Nie, ale jest pewnie ciągle w pamięci telefonu. To było ledwie parę dni temu.

– Znalazłby go pan dla mnie?

Lekarzowi było nie w smak, ale zaczął przeszukiwać pamięć komórki.

– To chyba to, sądząc po czasie. To było na krótko przed lunchem.

Numer wskazywał na tę okolicę, godzina 11.50, szósty września. Sunghwan zapisał sobie numer w telefonie.

Była już prawie siódma, Sowon musiał wracać do domu, trzeba też było powiadomić Eunju.

Sunghwan wszedł do pokoju, gdzie leżał Hyonsu.

– Dostał leki przeciwbólowe, niedługo poczuje się lepiej – wyjaśnił chłopcu. – Ale rana jest poważna, zostanie tu trochę.

– Tu? – zapytał zmartwiony Sowon.

– Będą go musieli przenieść do większego szpitala, gdzie mają ortopedę.

Sowon przytaknął.

– Idź do domu i przekazaj mamie dokładnie to, co ci teraz powiem. Dobrze? Tylko spokojnie, żeby się nie przestraszyła.

– Dobrze – zgodził się chłopiec.

– Powiedz jej, że tata był rano na spacerze w arboretum i wpadł nogą w sidła. Zabraliśmy go do lekarza, zajęli się nim i teraz odpoczywa. Rozumiesz?

Sowon przytaknęła. Sunghwan odprowadził go do drzwi.

– Zadzwoń do mnie, jak będziesz w domu, żebym wiedział, że wszystko dobrze.

Kiedy chłopiec pobiegł, Sunghwan poszedł do budki telefonicznej i zadzwonił pod numer zapisany w komórce. Po drugiej stronie odezwał się kobiecy głos: „Witamy w gabinecie doktora Oh Yongje”.

Odłożył słuchawkę. Coś się szykowało, ale nie mógł nawet sobie wyobrazić, o co mogło chodzić. Przerazało go to, bo wiedział, do czego zdolny jest Yongje. Wrócił do przychodni. Jego szef jęczał płaczliwie, jakby śnił mu się koszmar. Sunghwan potrząsnął jego ramieniem.

– Szefie!

Hyonsu otworzył oczy, zeszywniał, rozchylił usta. Wyglądał, jakby przestał oddychać.

– Szefie?

Poruszał oczami, aż jego spojrzenie spotkało wzrok Sunghwana, po czym westchnął. Miał spierzchnięte wargi, jego oddech był kwaśny i gorący.

– Wszystko dobrze? Zawołać lekarza? – spytał Sunghwan.

– Tylko trochę wody – poprosił Hyonsu po dłuższej chwili, siadając na łóżku.

Sunghwan nalał wody do papierowego kubka i postawił na szafce nocnej. Hyonsu wypił wszystko za jednym zamachem. Wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, Sunghwan podłożył mu poduszkę pod plecy.

– Byłeś kiedyś w miejscu, gdzie pola sorgo ciągną się po horyzont? – zapytał nagle Hyonsu.

– Nie, nigdy. Widziałem tylko małe poletka u podnóża gór.

– Na otwartym polu sorgo rośnie wysokie i robi się ciemnoczerwone w mniej niż trzy miesiące. W letnie księżycowe noce, przy lekkim wietrze, wygląda jak falujący ocean krwi. Urodziłem się i wychowałem w takim miejscu, u podnóża skalistych gór. To była sucha, opustoszała okolica, mgła wzbierała tam gęsta

jak dym. Wszystko smakowało solą, bo morze było tuż obok, za górami. Wspinaliśmy się na wzniesienia i patrzyliśmy na drugą stronę, na małą wioskę, białą latarnię morską na szczycie klifu. – Hyonsu oparł się i spojrzął przez okno na deszcz. – Mówiliśmy na nią Wioska z Latarnią. W ciemne noce, kiedy nie było księżyca, chodziłem na skraj pola, żeby zobaczyć światło latarni z oddali, po drugiej stronie. Miałem wtedy jedenaście lat. Grałem w szkole w baseball, marzyłem o tym, żeby dostać się do prawdziwej drużyny.

Sunghwan siedział cicho i słuchał.

– Dorośli mówili, żeby nie chodzić w pole, kiedy księżyc nie ma na niebie. Sorgo było wysokie, łatwo było się zgubić. Słyszałeś kiedyś, jak sorgo mówi?

– Nie – przyznał Sunghwan, nalewając szefowi kolejny kubek wody.

– Czasami, w środku lata, masz wrażenie, że ci duszno. Słońce piecze, powietrze jest ciężkie, jakbyś był zamknięty w szklanej butelce. Wtedy masz wrażenie, że słyszysz coś dziwnego, mimo że wiatr wcale nie porusza łanami. To przypomina szum fal albo koron drzew. – Hyonsu się zamyślił, ale po chwili kontynuował opowieść: –

Pośrodku pola była stara studnia. Naprawdę głęboka. Jeśli się pochyliło i zajrzało do środka, widać było tylko ciemność. W okolicy opowiadali, że jeśli buty wpadną ci do tej studni, ona cię wkrótce do siebie zawoła, żeby mieć cię całego. Mówiło się o dziesiątkach ludzi, którzy ulegli jej czarowi i się utopili, ich kości leżały tam na dnie. Zginął w niej jeden dzieciak, jeszcze zanim moja rodzina się tam sprowadziła. Mieszkańcy wioski poprosili właściciela, żeby zasypał studnię, ale on nie chciał słuchać, mówił tylko, żeby nie wchodzili na jego teren. Widzisz, właściciel nie mieszkał w okolicy, tylko w mieście.

Hyonsu zakaszłał.

– Nocami zakradałem się sam na pole. Za dnia byli ze mną zawsze moi bracia. Ojciec został ranny podczas wojny w Wietnamie, mama pracowała w wojskowej fabryce w mieście. Ojciec był pijakiem, obibokiem, hazardzistą. Z nim to zawsze było jak chodzenie po cienkim lodzie. W zależności od dnia zmieniały się jego upodobania. Taki baseball na przykład. Kochał baseball. Kiedy

w telewizji był mecz, nie wychodził nawet pić. Miał ze sobą dwulitrową butelkę soju i sączył ją przed ekranem.

Hyonsu cały czas wpatrywał się w deszcz. Mówił dalej:

– Znienawidził baseball, kiedy ja zechciałem grać. Na mojej głowie był cały dom. Gotowałem, sprzątałem, opiekowałem się rodzeństwem. Ale kiedy zacząłem grać, wracałem do domu późno, nie miałem już tyle czasu na prace domowe. Wtedy zaczynał mnie bić. Codziennie, gdy tylko wracałem do domu. Nigdy nie zrozumiałem, dlaczego mama była z kimś takim. Ona nigdy się na nas nie denerwowała, choćby nie wiem jak było źle. Ojciec za to, ten podły pijak, wyżywał się na wszystkim, co podeszło mu pod rękę, kiedy był zły. Wszyscy wiedzieli, że wraca do domu pijany, bo śpiewał wtedy na cały głos piosenkę o sierżancie Choi z Wietnamu.

Zaczął nucić cicho.

– Modliłem się, żeby ktoś mu tę gębę za zawsze zamknął. Nawet bez niego było wystarczająco ciężko. Trójka dzieciaków, a ja miałem tylko jedenaście lat. Zawsze było na mnie: kiedy siostra zepsuła ojcu radio, kiedy któreś dostało biegunki, kiedy mama wracała późno. Bił mnie za wszystko. Gdy się skarżyłem, mama przytulała mnie i mówiła, że bardzo na mnie polega. Byłem prawdziwym ojcem dla mojego rodzeństwa, tak mi tłumaczyła. Ale ja nie chciałem być ich ojcem, nie chciałem być tak potrzebny. Tylko co miałem zrobić? Mama musiała jeździć do pracy.

Sunghwan siedział zasłuchany.

– Dlatego chodziłem nocami do studni. Kiedy tam byłem, myślałem o tych wszystkich ludziach, których nie chciałem w moim życiu. Wyobrażałem sobie, jak wrzucam tam ich buty: ojca, brata, siostry, nawet gumowe buciki najmłodszego. Czasami chciałem tam po prostu władować nasz cały dom. Czuję się potem strasznie, miałem wyrzuty sumienia i wrzucałem do studni te złe myśli. Dzięki temu miałem siłę na kolejny dzień lub dwa.

Którejś niedzieli, pod koniec lata, zadzwonił do domu mój nauczyciel WF-u. Mama odebrała, po czym kazała mi się przebrać w strój sportowy i biec do szkoły. Tak zrobiłem, na miejscu zastałem olbrzymiego faceta, nauczyciela baseballu z jakiejś podstawówki w Gwangju. Mój nauczyciel powiedział mi, że mam spory potencjał jako łapacz. Wtedy po raz pierwszy przymierzyłem prawdziwy strój

i miałem w ręce prawdziwą skórzaną rękawicę. Kazali mi łapać, rzucać i odbijać, pytali, ile mam lat. Odparłem, że jedenaście, i powiedzieli mi, że to nie za późno. Mówili, że powinienem ćwiczyć, żebym był oburęczny. Mogłem odbijać piłkę lewą ręką, ale łapać powinienem tak samo jak praworęczni. Ten nowy nauczyciel chciał porozmawiać z rodzicami, bo powinniśmy byli zacząć jak najszybciej.

Bąłem się, że w domu będzie ojciec, pocieszałem się, że może zastaniemy też mamę. Ojciec oczywiście był. Nauczyciel powiedział mu, że powinienem zająć się grą na poważnie, że mam odpowiednią budowę i wrodzony talent. Tłumaczył, że im później zacznę, tym trudniej mi będzie wykorzystać pełny potencjał. Wiedział, w jakich warunkach żyjemy, i zapewnił rodziców, że zadba o moje wyżywienie i zakwaterowanie. Ojciec zwymyślał go tak, że tamten w końcu zebrał się do wyjścia. Poszedłem za nim aż do samochodu, może miałem nadzieję, że jednak mnie ze sobą zabierze. Chyba było mu mnie szkoda, bo wyjął z bagażnika skórzaną rękawicę i zapisał na niej swój numer. Powiedział, żebym dał mu znać, jeśli rodzice zmieniają zdanie. Tak się cieszyłem, że nie mogłem spać w nocy. Wyczyściłem tę rękawicę, natłuściłem, polerowałem, aż lśniła. Spałem z nią pod poduszką. Błagałem mamę, żeby się zgodziła. Ale kiedy się obudziłem, rękawicy nie było. Ten skurwiel wrócił pijany i pocałował ją. Jej kawałki leżały wszędzie. Ryczałem jak dziki.

Hyonsu przełknął ślinę. Oczy miał zaczerwienione.

– Tamtej nocy nie wrócił do domu. Po północy wybrałem się na pole. Zabrałem latarkę i jego wyjściowe buty. Nigdy ich nie nosił, nie miał do czego. Ale i tak kazał mi je zawsze polerować i czyścić. Szedłem przez ciemność we mgle. Pachniało morzem, łodygi sorgo głośno szczebiotały. Wydawało mi się, że słyszę, jak ojciec gdzieś śpiewa. Bąłem się, i to bardzo. Ale chyba jeszcze bardziej trawił mnie gniew. Wydawało mi się, że słyszę jego głos, kiedy stałem przy studni. Wołał: „Hyonsu, Hyonsu!”. Wrzuciłem jeden but do studni, krzycząc: „Zamknij się! Już nigdy nie wracaj do domu!”. Ale wtedy usłyszałem go naprawdę: „Hyonsuuu... Hyonsuuu...”. Jego głos był nieregularny, jakby miał gardło pełne flegmy. Raz był cichszy, raz głośniejszy, cały czas mnie wołał. Wrzuciłem do studni drugi but, krzycząc: „Umrzyj! Zdychaj! Nie wracaj nigdy do domu!”. Jego głos

wołał mnie głośniejszym głosem: „Hyonsuuu... Hyonsuuu...”. Zakryłem uszy dłońmi i uciekłem, ale od tego głosu nie było ucieczki. Zgubiłem się w polu, nie wiedziałem, w którą stronę biec. Bałem się, że utknę tam na całą noc, może nawet na zawsze. Potem jednak uświadomiłem sobie, że już go nie słyszę. Stałem przed domem, spocony, brudny, w podartych spodniach.

Następnego dnia okazało się, że ktoś znalazł jego ubranie przy studni. Wszyscy ruszyli w pole, przewodniczący wioski poświecił latarką do wnętrza i stwierdził, że widzi ciało unoszące się na wodzie. Ściągnęli z Wioski z Latarnią nurka, którego spuścili na linie obwiązanej wokół pasa. Kiedy był już na dnie, pociągnął linę dwa razy i mężczyźni zaczęli ją ciągnąć, aż w końcu ciało ojca ukazało się wszystkim. Nie mogłem patrzeć. Pewnie krzyczał do mnie po tym, jak wpadł do środka. Kiedy wrzuciłem tam buty, to pewnie on mnie wołał, a nie studnia.

Wszyscy przyjęli, że to był nieszczęśliwy wypadek pod wpływem, bo ojciec nie był typem człowieka, który chciałby ze sobą skończyć. Wkrótce potem się wyprowadziliśmy, ale co noc we śnie błąkałem się po polu sorgo, chwyciłem buty i wrzucałem je do studni. Uspokoilo się, kiedy dorosłem, lecz teraz to wszystko wraca. Ostatnie sześć lat to był najspokojniejszy okres w moim życiu, a ja nie umiałem tego docenić. Teraz to widzę. Nawet jeśli nie spełniłem osobistych marzeń, to mam Sowona. On jest wszystkim, co mam.

Hyonsu zamilkł. Sunghwan czekał cierpliwie, aż będzie mówił dalej.

– Potrzebuję tylko trochę czasu...

Drzwi otworzyły się nagle i do pokoju wpadła Eunju. Hyonsu się nie odzywał, Sunghwan wstał. Musiała przybiec prosto z pracy, bo nadal miała na sobie ubranie służbowe.

– Co się stało? – zapytała.

– Nie spóźniasz się czasem do pracy? – zapytał Hyonsu Sunghwana.

– Ach tak, racja. – Sunghwan ostentacyjnie spojrzął na zegarek.

– Rzeczywiście, już późno. Przyjdę, jak już skończą panu podawać kroplówkę.

– Widziałeś gdzieś buty Sowona? – zapytał jeszcze Hyonsu.

Sunghwan się rozejrzał. Kiedy przyjechali do przychodni, Hyonsu nie miał nic w ręku. Tak naprawdę nie miał tych butów także w chwili, kiedy razem z Sowonem przybiegli do niego do furtki.

– Na pewno są w samochodzie. Poszukam ich.

Ale nie było ich tam. Na ścieżce też nie, ani przy furtce. Sunghwan prześledził minione wydarzenia: Hyonsu trzymał buty, kiedy go zostawiał, żeby wziąć kluczyki z mieszkania. Ale teraz nigdzie ich nie było. Jakby zniknęły, gdy zostawił szefa na chwilę samego. Czy ktoś je zabrał? Ta sama osoba, która zastawiła sidła? Normalnie nikt nie zastawiał w tej okolicy pułapek na zwierzęta, trudno było się oprzeć wrażeniu, że ktoś zrobił to specjalnie. Sunghwan nie miał pewności, co się działo, ale rozumiał, że dla Hyonsu rzeczą najwyższej wagi było strzec butów syna. Wrzucenie ich do jeziora oznaczałoby wydanie na dzieciaka wyroku śmierci. Dlatego właśnie zawsze chował jego trampki w pralce.

Sunghwan podjechał matyzem Hyonsu do biura ochrony i zaparkował na zewnątrz. Usiadł przy biurku i zapisał w notesie wszystko, czego się dowiedział o ostatnich poczynaniach Oh Yongje.

„Dzwonił do przychodni i podszywał się pod brata. Śledził Hyonsu, wie o lunatykowaniu. Najprawdopodobniej zastawił sidła, żeby stała mu się krzywda, jeśli nie z zamiarem zabicia go. Być może zabrał buty Sowona. Bardzo prawdopodobne, że to on stał za incydentem z szamanem”.

Jedynym sensownym wyjaśnieniem było założenie, że Yongje uznał Hyonsu za mordercę córki. Ale jeśli miał na to dowody, to dlaczego nie poszedł z tym na policję? Tak samo się zachował, kiedy znalazł żyłkę Sunghwana. Czy chciał się wszystkim zająć na własną rękę? Może planował użyć Sowona, żeby podporządkować sobie Hyonsu?

Sunghwan ściągnął z chmury wideo *Atlantyda* i zaczął je przeglądać w poszukiwaniu czegoś, co mogło mu wcześniej umknąć. W pewnym momencie się zatrzymał, włosy stanęły mu dęba. Wiedział głęboko w sercu, że jego zaangażowanie w tę historię i te wszystkie pilne notatki nie były bezinteresowne. To był doskonały materiał na powieść, lepszy niż cokolwiek, co wcześniej

wymyślił. Zrobiło mu się słabo. Jak mógł nawet pomyśleć o tym, żeby to wykorzystać do swoich celów?

W piątek pod wieczór zadzwonili z firmy Wsparcie. Yongje właśnie szycował się do wyjścia z gabinetu.

– Mamy ten warsztat.

– No i? Gdzie?

– W Ilsanie.

– To blisko tego mieszkania?

– Tak, pomyśleliśmy, że mógł podrzucić samochód gdzieś w pobliżu, kiedy przeczesywaliśmy Seul. Trafiliśmy za pierwszym razem, to warsztat najbliżej ich nowego mieszkania. Zostawił tam samochód rano dwudziestego ósmego sierpnia i odebrał go pod wieczór. Zapłacił kartą kredytową. Ale wygląda na to, że policja też już trafiła na ten trop.

– Co takiego?!

– W sklepie, po drodze do Ilsanu, mówili, że było u nich dwóch facetów. Jeden koło czterdziestki, drugi dużo młodszy. Byłem szybszy od nich, ale wiem, że w końcu trafią do warsztatu.

„To ten dupek i jego partner”, pomyślał Yongje. Nie widział ich od kilku dni.

– Możemy się upewnić, że ci w warsztacie nic nie powiedzą?

– Nie mamy jak. Oni tam mają wszystko w papierach.

Yongje usiadł. Nie podobało mu się to. Jeśli detektywi znajdą jutro ten warsztat w Ilsanie, wszystko na nic. Zadzwonią do swoich ludzi tutaj na miejscu i wydadzą nakaz aresztowania Hyonsu. Nie mógł przyspieszyć swojego planu.

– Obserwujcie ten warsztat do dwunastego. Jeśli ci dwaj się tam pojawią, od razu do mnie dzwońcie.

Będą musieli jakoś odciągnąć tych detektywów. Może nawet wywołać stłuczkę. Yongje schował do torby kilka małych strzykawek i opakowanie peritolu. Zamówił je w poniedziałek z hurtowni medycznej. Pamiętał też oczywiście o valium.

Przed budynkami zapory zaparkował autokar i kilkanaście samochodów osobowych. Dzieci ustawiały się przed nimi w rzędzie. Yongje skinieniem głowy przywitał się z innymi lekarzami, którzy stali



w jednej grupce, po czym podjechał bliżej biura ochrony. Tego dnia na służbie byli Park i jakiś inny mężczyzna. Wpisał się na listę gości.

– Gdzie szef ochrony? – zapytał niby od niechcenia.

– Nie ma go dzisiaj – odpowiedział Park.

– Nie sądziłem, że szef ochrony dostaje wolne w weekend.

– Bo nie dostaje. Szef zadzwonił, że nie może przyjść. Zrobił sobie coś w nogę.

– To musi być coś poważnego, skoro go nie ma.

– Mówił, że to tylko jeden dzień. Jutro wieczorem ma tu być z powrotem.

– Będzie na zmianie, mimo że coś mu się stało? – zapytał Yongje, oddając wypełnioną listę gości.

Park nie odpowiedział, spojrzał tylko z pytającym wyrazem twarzy.

– Chciałem go zaprosić na przyjęcie w ogrodzie – mówił Yongje.

– Żeby przedstawić dzieciom dzielnego szefa ochrony, który pilnuje całej zapory.

– To się raczej nie uda.

Choi robił dokładnie to, czego Yongje od niego oczekiwał. Gdyby został w domu, trzeba by poświęcić niewinnego strażnika. Yongje zrobił rozczarowaną minę.

– Wy wszyscy pracujecie tak ciężko, dniem i nocą.

– Tak, pewnie... – Park wskazał ręką na główne wejście. –

Proszę, dyrektor już czeka.

Wycieczka zaczęła się od małej wystawy poświęconej samej zaporce, oprowadzał po niej dyrektor, przeciągając wszystko w nieskończoność. Zobaczyli cyfrową rekonstrukcję zatopionej wioski, widok z lotu ptaka, nasłuchali się szczegółów o samej budowie i dowiedzieli chyba wszystkiego o systemach zabezpieczeń. Kolejnych trzydzieści minut poświęconych było elektrowni.

– To zautomatyzowana elektrownia wodna, sterowana zdalnie. Te systemy będą wdrażane w innych obiektach w przyszłości. Tutaj mamy do czynienia z pilotażem.

Dzieci przeszły się przejściem na poziomie drugim, obejrzały dokładnie turbinę i całą maszynę pod ich stopami.

– Jakies pytania? – zwrócił się dyrektor do wycieczki.

Któreś z dzieci podniosło rękę.

- Jeśli nikogo tu nie ma, kto steruje elektrownią?
- Sterowanie odbywa się bezpośrednio z centrali. Mamy do tego specjalne komputery.
- Czyli można oglądać tamę z centrali? – zapytało dziecko.
- Tak, informacje o całym obiekcie są przekazywane za pomocą satelity.
- A czy satelita może zajrzeć do środka?
- Tak. Przekazuje też informacje o pogodzie i opadach. Siedząc przy biurku w centrali, można przeglądać wszystkie informacje, które przesyła satelita.
- Może pan kierownik mógłby nam to zademonstrować? – wtrącił się Yongje.

Dyrektor nie poprawił Yongje, mimo że tytuł kierownika był dla niego obraźliwy, nie pokazał po sobie, że się tym w ogóle przejął. Poprowadził wszystkich do kolejnego pomieszczenia, z którego sterowano pracą obiektu. Opowiedział, czym zajmują się pracownicy biura położonego po sąsiedzku, opisał pracę przyrządów pomiaru jakości wody, wyświetlacze informujące o natężeniu opadów i poziomie wody, widok z lotu ptaka oraz systemy ostrzegania przeciwpowodziowego.

– Zanim tam wejdziemy, pamiętajcie, że niczego nie wolno dotykać. Słuchajcie uszami, patrzcie oczami, ręce trzymajcie przy sobie!

Pracownicy działu kontroli wyszli, kiedy grupa weszła do środka. Pomieszczenie nie było aż tak duże, nie było w nim też żadnych okien. Całą ścianę zajmowała maszyny, satelitarny sprzęt transmisyjny oraz systemy ostrzegania, bezpieczeństwa, łączności i monitorowania pracy słuz. Po przeciwnej stronie były ekrany monitoringu umieszczone na szafkach z kółkami. Naprzeciwko drzwi stało pięć biur, na każdym z nich monitor, drukarka, plik papierów i kubek na długopisy. Yongje zauważył kilka miniaturowych kaktusów. W pobliżu drzwi zainstalowano ekrany monitoringu wewnętrznego i systemu ochrony przeciwpowodziowej, pod nimi dwie maszyny, które trudno było zidentyfikować. Na środku pomieszczenia stał okrągły stolik i dwa fotele.

Dzieci najbardziej interesował system transmisji satelitarnej i kontroli śluz. Pomiędzy tymi dwoma znajdował się filar. Dyrektor stanął przed nim, żeby mówić do grupy.

– Kto wiedział, że jezioro Seryong powstało przez zagrodzenie rzeki?

– Ja! – odpowiedziało kilkoro dzieci.

– Do jeziora wpływa sporo wody, dlatego nasi pracownicy dokładnie się przyglądają temu, ile wody wypuszczamy stąd przez śluzę. Jeśli wody wpływa więcej niż normalnie, kiedy poziom wody w jeziorze się podnosi, alarm ewakuacyjny załącza się automatycznie. Ekran przy wejściu na mostek dla obsługi gra ważną rolę w utrzymaniu obecnego poziomu wody. Staramy się, żeby było to zawsze czterdzieści metrów podczas okresu zwiększonych opadów lub na standardowym poziomie podczas suszy. Ten ekran kontroli za mną połączony jest z systemem otwierania i zamykania śluz. Mamy ich pięć, podłączonych do kilku różnych systemów ochrony. Panel sterowania kontrolowany jest zarówno zdalnie, przez satelitę, jak i ręcznie, przy samych śluzach. Zobaczmy to za chwilę.

Dyrektor opowiadał dalej o monitoringu, zagłębiał się w szczegóły techniczne kolejnych części zapory, pokazywał projekcje na monitorach. Yongje i jeszcze jeden lekarz stali przed panelem sterowania, wielkim, ale prostym w budowie. Pod głównym wyłącznikiem było pięć innych, każdy przyporządkowany osobnej śluzie, wszystkie oznaczone symbolami „+” i „-”.

Kiedy autobus zawiózł dzieci na mostek przy śluzach, Sunghwan wyszedł wszystkich przywitać. Kierownik kliniki dermatologicznej stał razem z dyrektorem, zadając mu rozmaite pytania. Yongje był obok i przysłuchiwał się. Po raz pierwszy miał okazję znajdować się tak blisko śluz. Wydawały się wielkie jak budynki, kiedy stali na mostku, trzydzieści metrów ponad nimi. Śluza awaryjna była jakiś metr bliżej. Pomiędzy śluzami dało się dostrzec grube łańcuchy sterowane przez mechanizmy blokowe. Na betonowej ścianie zamontowano drabinę, a nad samymi śluzami reflektor i kamerę monitoringu skierowaną w dół. Tam też znajdowały się ręczne rozdzielnice. Wejście zamknięte było na kłódkę.

– Ile wody by tędy wypłynęło, gdyby była powódź i musielibyscie otworzyć wszystkie pięć śluz? – zapytał dermatolog.

– Około dwóch tysięcy pięciuset ton na sekundę – odpowiedział mu dyrektor.

– Wow! Czyli milion ton w ciągu dziesięciu minut! Co by się stało z okolicą tam w dole?

– Nim cokolwiek by się stało, zadziałałby alarm ewakuacyjny i podjęlibyśmy odpowiednie środki.

– A w nocy albo w weekend, kiedy nikogo tu nie ma?

– Mamy sterowanie zdalne, tak po prawdzie nawet sprawniejsze niż ręczne.

– Rozumiem. Ale kiedy alarm się załącza, czy ci ludzie w dole mają dość czasu, żeby uciec? Sam mieszkam w S. – Dermatolog wydawał się przejęty.

Dyrektor uspokoił go, że wodzie zajęłoby półtorej godziny, żeby przebyć dystans jedenastu kilometrów. Miasto S nie dość, że znajdowało się czternaście kilometrów od zapory, to jeszcze położone było znacznie wyżej niż Seryong, co dawało mieszkańcom mnóstwo czasu na ewakuację.

– Ale wioska i arboretum nie miałyby tyle szczęścia – wtrącił się Yongje.

– Jak już mówiłem – uspokajał dyrektor pewnym siebie tonem – to czysto hipotetyczny scenariusz. Kiedy spodziewamy się fali powodziowej, zawczasu spuszczaamy ze zbiornika odpowiednią ilość wody. Jeśli jej poziom się podniesie o kilkanaście metrów, uruchomi się procedura awaryjna – wskazał ręką na otwartą śluzę awaryjną – i nawet jeżeli śluzy otworzą się w wyniku błędu, nie będzie to problem. Śluza awaryjna zazwyczaj jest otwarta, tak jak teraz, ale w razie potrzeby przyblokuję pozostałe śluzy i napływającą wodę. Nasze systemy ochronne są bardzo zaawansowane.

Dermatolog skinął głową, ta odpowiedź go uspokoiła. Dzieci zaczęły klaskać, choć nie było pewności, czy gratulowały dyrektorowi odpowiedzi, czy po prostu cieszyły się, że oprowadzanie dobiegło końca. Yongje spojrział w dół na śluzy. Był zadowolony. Zdobył wszystkie informacje, jakie były mu potrzebne. Niepokoił go tylko Sunghwan. Kiedy przyglądał się uważnie śluzie awaryjnej i rozdzielnicom, miał wrażenie, że ktoś go obserwuje. Gdy się odwrócił, ten idiota gapił się na niego tymi swoimi durnymi oczami. I nawet nie odwrócił wzroku, nie zrobiło mu się głupio, że go

przyłapano. Przeciwnie, wpatrywał się nadal i bacznie obserwował Yongje. Patrzył, nawet kiedy Yongje wsiadał już do samochodu.

Przyjęcie wyprawiono przy fontannie w arboretum. Na końcu długiego stołu kucharz zaczynał przygotowywać mięso. Eunju poprowadziła dzieci na miejsce i posadziła je przy stole, ostrzegając, że nie wolno im się odzywać ani ruszać, dopóki wszyscy nie zajmą miejsc. Była tak ponura i blada na twarzy, że atmosfera przyjęcia zupełnie się popsła. Skoczna muzyka z głośników brzmiała bardziej jak melodia pogrzebowa. Wszyscy mamrotali do siebie, bojąc się odezwać głośniej. Dzieci były pewnie wygłodzone, ale żadne nie miało śmiałości podejść do bufetu.

– Witamy w arboretum w Seryong – powiedział Yongje do mikrofonu, stojąc przed wszystkimi.

Odpowiedziały mu pojedyncze brawa.

– Zaczynamy zabawę! Mamy karaoke, gry i pokaz światła! Bawcie się dobrze i mam nadzieję, że zapamiętacie ten dzień na długo.

Poprowadził kilkoro dzieci do bufetu, a firma eventowa zaczęła odpalać fajerwerki. Było na nie raczej za wcześnie, ale skutecznie poderwały dzieci z krzesełek. Dziesięć minut później przyjęcie się rozkręciło. Dzieci pracowników zapory się nie pojawiły, tak jak spodziewał się Yongje. Mieszkania zazwyczaj pustoszały w piątek po południu, kiedy pracownicy wracali do domów albo robili sobie rodzinne wycieczki. Dzisiaj wyglądało na to, że wyjechało dwie trzecie z nich, sądząc po liczbie zaparkowanych przed mieszkaniami samochodów.

Yongje wymknął się do domu. Był umówiony ze Wsparciem. Nie znosił, kiedy musiał pokazać im twarz, ale tym razem nie dało się inaczej, musieli zsynchronizować zegarki. Punkt szósta zasiadł z dwoma z nich w salonie, byli sporych rozmiarów, co dawało do zrozumienia, że można na nich polegać. Yongje miał tylko nadzieję, że polegać mógł też na ich mózgach. Wręczył im dwa małe pakunki – w jednym były trzy ampułki peritolu i trzy strzykawki, w drugim znaleźli klucz do przystani i kluczyki do barki Josong. Pożyczył je od pracownika firmy zarządzającej odpadami, którego spotkał, kiedy okrążał Hansoldung. Dorobił sobie te kluczyki. Pracownik firmy całkowicie rozumiał potrzebę zrozczonego ojca,

żeby pochować córkę na Hansoldung. Gruba koperta też pewnie pomogła.

– Tylne wejście do arboretum będzie otwarte, monitoring wyłączony, nie powinniście mieć problemów. Jak już wszystko zrobicie, czekajcie przy autostradzie, aż do was zadzwonię.

Przytaknęli głowami.

– Wiecie, co macie robić?

Znowu przytaknęli.

– Coś wam jeszcze wyjaśnić?

Jeden z osiłków dotknął leków w pudełku.

– Czy nie możemy tego zrobić po naszymu i nie brać...

– Zróbcie to tak, jak mówię – przerwał mu Yongje. Nie było miejsca na pomyłki. W stotrójce mieszkało czterech silnych facetów, oprócz nich było jeszcze kilku innych sąsiadów dokoła. Jeśli wszystko będzie trwało za długo, jeśli ktokolwiek coś zobaczy, cały plan weźmie w łeb. – Postępujcie zgodnie z moimi wytycznymi albo zapomnijcie o kasie.

Nazajutrz, w sobotę, znowu padało, przejaśniło się dopiero koło wieczora. Nie stało się to, czego obawiał się Yongje – detektywi nadal nie znaleźli warsztatu i pewnie jeździli po całym Seulu. Zadzwonił po Yima.

– Jedź do Andongu – polecił mu.

Yim spojrział zaskoczony.

– Słyszałem, że mają tam pięćsetletni miłorząb – tłumaczył Yongje. – W arboretum Sangsa. Być może będą go wystawiać na aukcji. Pojedź tam i rozejrzyj się. Jeśli warto, ściągniemy go tu do nas.

– I mam jechać właśnie teraz? – pytał Yim z niedowierzaniem.

– Tak. Przed chwilą się dowiedziałem.

– Mogę też pojechać jutro, drzewo nigdzie nie ucieknie. Mam jeszcze dzisiaj wieczorem...

– Nie, jedź teraz.

– Ale dojadę tam w środku nocy. Co mi przyjdzie z oglądania drzewa w nocy?

– Prześpij się tam i będziesz mógł się rozeznać od razu z rana, zanim ktokolwiek cię zauważy. Nie chcę, żeby konkurencja się

dowiedziała, że robię wywiad. To mogłoby podnieść cenę. Zadzwoń do mnie, jak już tam będziesz.

Yim odszedł, nie podobało mu się to wszystko.

Była siódma. Yongje wsadził valium do kieszeni, zabrał latarkę i wyszedł furtką na skraju arboretum. Na błotnistej ziemi zobaczył ślady, wyglądały na buty tego dzieciaka ze stodwójki. Uznał, że pewnie siedzi teraz z kotem w starej stodole. Uśmiechnął się. Pomyślał, jak bardzo ta dwójka byłaby szczęśliwa, gdyby pozwolił im na wieczność spędzić tę noc razem.

Poszedł do stodoły, ale nikogo nie zastał. Jedna z misek była w połowie wypełniona karmą, w drugiej była świeża woda. Wylał jej trochę i dodał do miski odrobinę valium. Wyszedł ze stodoły i po chwili szedł drogą nad jeziorem. W lepkim powietrzu czuło się lato, bryza była gorąca, Yongje się pocił. Mgła pokrywała powierzchnię jeziora. Sosna na Hansoldung wyglądała jak samotny nagrobek. Yongje zatrzymał się przy wieży wlotowej i spojrzał na kamerę monitoringu. Czy Choi był w pracy? Nagle zadzwoniła jego komórka, zupełnie go zaskakując. Czyżby to jego człowiek w Ilsanie?

– Jej przyjaciółka nazywa się Myong Ina? – To był człowiek ze Wsparcia, ten, który miał odnaleźć Hayong.

Yongje kilka razy wypowiedział to nazwisko. Myong Ina. Myong Ina.

– Być może – odpowiedział.

– Mieszka we Francji, jeszcze nie wiemy, czy pańska żona na pewno jest u niej.

Serce Yongje zabiło mocniej. Z trudem opanował podniecenie.

– Gdzie dokładnie mieszka?

– W Rouen, jakieś sto trzydzieści kilometrów od Paryża.

– Macie jej dane?

– Tak. Pracuje jako terapeutka w szpitalu psychiatrycznym. Mam tam polecieć?

– Nie, omówimy to później. Wyślijcie mi na razie wszystkie informacje.

Yongje się rozłączył, krew pulsowała mu w żyłach. Ta dziwka puszczała się po całej Francji, kiedy jej córka została garścią popiołu.

– Proszę opuścić barierkę przy głównym wejściu wcześniej – mówił Yim przed okienkiem w pomieszczeniu ochrony. Miał ze sobą plecak i kurtkę przeciwdeszczową, w rękę trzymał kapelusz.

– Pan dokądś jedzie? – Eunju się podniosła.

– Do Andongu, na jeden dzień. – Yim założył kapelusz. –

Proszę sobie odpuścić obchód ten jeden raz. Nic się nie stanie, jak go teraz nie zrobimy. Niech się pani zamknie od środka i nie otwiera nikomu, kogo pani nie zna.

To ją zaskoczyło. Yim był zazwyczaj cichym odludkiem.

– Ale dlaczego?

– Jest pani kobietą i zostaje tu pani sama. Dlatego mówiłem, żeby nie brać kobiety... – poskarżył się Yim, po czym odszedł.

Skąd ten nagły przyptyw troski? Eunju zastanawiała się, o co chodzi. Zdała sobie nagle sprawę, że nigdy wcześniej nie była na służbie sama. Biuro arboretum przylegało do jej stróżówki. Wystarczyło, żeby wcisnęła guzik alarmowy, a Yim od razy do niej przybiegał. Lodówka brzęczała. Eunju wzdrygnęła się i spojrzała w górę. We mgle latarnia uliczna świeciła żółtym światłem, ponad ciemnymi oknami mieszkań drzewa kołysały się na wietrze i szumiały. Serce zabiło jej szybciej. W tej jednej chwili spojrzała na arboretum zupełnie inaczej. Nigdy wcześniej nie rozważała, dlaczego właściwie Oh Yongje ją zatrudnił. Nigdy by też nie przypuszczała, że Yim nie będzie jej tu chciał. Ulżyło jej tylko, że dostała pracę. Teraz rozumiała, że starzec i kobieta to nie był idealny zespół, jeśli chodziło o ochronę arboretum w nocy. Prawdziwy ochroniarz powinien patrolować rozległy obszar samemu, w ciemności, powinien bez problemu przepędzać podpitych mężczyzn. Powinien baczyć na główne wejście, otwierać barierkę mieszkańcom przez całą dobę, bez przysypiania, bez rozpraszania się. Ona naprawdę nie spełniała wymogów.

Kiedy była jej zmiana, to Yim robił nocny obchód, on wpuszczał i wypuszczał samochody, obserwował ekrany monitoringu. Ona tylko siedziała, oglądała telewizję, gadała z siostrą przez telefon albo uciniała sobie drzemkę na łóżku polowym. Zachowanie Yima poczytywała jako uprzejmość, ale to nie z nim odbyła rozmowę o pracę. Na pewno miał pretensje, że ją zatrudnili, zdawał sobie doskonale sprawę, kto będzie musiał wziąć na siebie jej obowiązki.



Była głupia, skupiała się tylko na sobie, wydawało jej się, że ma trochę szczęścia, i zupełnie nie zważała na to, co się naprawdę wokół niej dzieje. Po co w takim razie Oh ją zatrudnił? Czy wszystkie jej życiowe problemy wynikały z faktu, że wolała nie widzieć prawdy? Wolała udawać, że nie dostrzega, jak jej mąż dziwnie się zachowuje. Nie czuła się też jeszcze gotowa na poznanie faktów. Gdy Yongju zadzwoniła zapytać, czy wiadomo coś nowego, Eunju wyznała:

– Tak, ale zupełnie nie wiem, o co w tym chodzi.

– Powiedz mi, to może będę mogła spojrzeć bardziej obiektywnie.

Eunju bała się jednak, że jej siostra dojdzie do tych samych przerażających wniosków, jakie jej samej podsuwała podświadomość. Miała przy tym nadzieję, że Yongju powie jej, iż to wszystko dzieje się tylko w jej głowie. Opowiedziała więc najpierw o tym, co odkryła, a potem o tym, co wydarzyło się w piątek.

O siódmej rano Sowon przybiegł do biura ochrony, żeby jej powiedzieć, że Hyonsu jest w przychodni. Bardzo się starał nie zapomnieć ani jednego słowa, doskonale zdawała sobie sprawę, kto go przysłał – to mógł być tylko Sunghwan. Była zdumiona, potem się zmartwiła, a następnie ogarnęła ją złość. Po co Yim zastawiał sidła w arboretum, gdzie ludzie chodzili na spacer? I co Hyonsu robił tam w środku nocy? Chciała od razu pobiec do przychodni, ale ludzie wyjeżdżali właśnie z osiedla, musiała jeszcze zostać. Zadzwoniła do Yima z pretensjami, ale on tłumaczył, że od czterdziestu lat nie założył ani jednej pułapki.

Pobiegła do Hyonsu, jak tylko Gwak przejął zmianę. Przysięgała sobie, że będzie miła i postara się dowiedzieć od niego jak najwięcej: jak to się stało, dlaczego tak dziwnie się zachowywał, czemu nagle wystąpił o rozwód. Chciała, by ją upewnił, że to, czego się domyślała, nie było prawdą. Powtarzała sobie w głowie, co chciałaby mu przekazać: „Powiedz, co się dzieje. Pomogę ci, jestem po twojej stronie. Nie ukrywaj niczego, to będę mogła coś z tym zrobić”.

Weszła od razu do pokoju, gdzie leżał Hyonsu. Z lekarzem mogła zawsze porozmawiać później. Mąż był podpięty do kroplówki, siedział w łóżku, Sunghwan obok niego. Mieli winę wypisaną na twarzach, jakby właśnie o niej rozmawiali. Sunghwan wyszedł,

a Hyonsu położył się i zamknął oczy. Eunju spojrzała na jego stopę, gips sięgał aż do łydki, a zakrwawione, ciemne palce stopy wystawały lekko z drugiej strony. To było dużo poważniejsze, niż się spodziewała.

– Hyonsu – zaczęła najdelikatniej, jak mogła.

Nie odpowiadał.

– Hyonsu. – Dotknęła jego ramienia.

– Musimy dzisiaj wysłać papiery rozwodowe – odpowiedział jej, nie otwierając oczu.

Patrzyła na niego. Oddychał miarowo, twarz miał spokojną, ale wiedziała, że nie śpi. Stała właśnie przed drzwiami, których nigdy jej nie otworzył. Chował się za tym neutralnym wyrazem twarzy za każdym razem, kiedy się kłócili. Doprowadzało ją to do szału. Im więcej ona mówiła, tym bardziej on się wycofywał, zamykał usta, zatykał uszy.

– Hyonsu! – wykrzyczała.

Drzwi uchyliły się lekko i do pokoju zajrzała pielęgniarka. Wskazała na ścianę, na której wisiał znak „Cisza”.

Po półgodzinie dała za wygraną. Uznała, że szybciej będzie popytać i poszukać gdzie indziej, niż siłować się z zamkniętymi ustami. Przed gabinetem lekarskim nikt nie czekał, zapukała więc i weszła do środka. Lekarz spojrzał na nią.

– Tak? – zapytał.

– Jestem żoną Choi Hyonsu. – Usiadła, mimo że nikt nie wskazał jej miejsca. – Pan się nim zajął dziś rano, chciałabym zapytać, co się stało.

Lekarz odłożył papiery i patrzył na nią sponad okularów przez dłuższą chwilę.

– Proszę pani – odezwał się w końcu – kilka dni temu dzwonił tu mężczyzna podający się za jego brata i pytał, co mu się stało w rękę. Wszystko mu wyjaśniłem. Teraz pracownik przyprowadza tu swojego szefa i mówi, że to nie mógł być jego brat. A teraz pani mi mówi, że jest jego żoną. Skąd mam wiedzieć, czy zaraz ktoś nie przyjdzie i nie powie, że mój pacjent jest kawalerem?

Czyli Hyonsu już tu wcześniej był? Przypomniała sobie opatrunki na jego lewej ręce. Jego brat?

– Ma pan numer tego człowieka, który dzwonił? I czy nie powinien pan się upewnić, z kim rozmawia, zanim ujawni mu wrażliwe dane medyczne?

– Pani lokator już pytał o numer telefonu – odpowiedział lekarz marudnym głosem.

Eunju powstrzymała gniew.

– Jeśli udowodnię, że naprawdę jestem jego żoną, powie mi pan, co tu się dzieje? Mogę panu pokazać dowód albo...

– Tamten człowiek też podał mi swój adres i nawet numer dowodu. Miał też numer dowodu pacjenta.

Eunju otworzyła usta z niedowierzania. Przeszło jej przez myśl, że może to rzeczywiście był jej szwagier. Tyle że to nie miało najmniejszego sensu. Z własną siostrą rozmawiała codziennie, a i tak nie znała numeru jej dowodu. Po co komu numery dowodów rodzeństwa? Pomyślała, że może przecież zadzwonić do brata Hyonsu, i nie czekając na pozwolenie, chwyciła za telefon. Obróciła go w swoją stronę, wystukała numer szwagra i wcisnęła przycisk głośnika.

– Halo? – W gabinecie rozległ się głos jej szwagra.

– Halo, Jongu, to ja, Eunju.

– O, Eunju, co słychać?

– Powiedz, co oznaczają chińskie znaki w waszych imionach, twoim i Hyonsu?

– A dlaczego pytasz?

– Sowon potrzebuje do pracy domowej.

Szwagier zaśmiał się i wyjaśnił, co kryje się za ich imionami.

– A tak w ogóle dzwoniłeś może tutaj do przychodni kilka dni temu? Pytałeś o Hyonsu?

– Nie – odpowiedział Jongu. – Nawet nie wiedziałem, że macie tam przychodnię.

– A, okej. Zadzwonię później. – Eunju się rozłączyła. – Widzi pan? – zwróciła się do lekarza. – Proszę mi powiedzieć, dlaczego mój mąż tu jest, dlaczego był tu wcześniej i co się w ogóle z nim dzieje. Co pan powiedział temu człowiekowi? Z jakiego numeru dzwonił?

Lekarz odpuścił.

– Czy wie pani o jego lewej ręce?

– Tak, on na nią mówi „zła ręka”. Niekiedy mu drętwieje.  
– Drętwieje?  
– Mąż grał w baseball. Czasami w czasie gry ta ręka odmawiała posłuszeństwa. Trochę mu się poprawiło, kiedy rzucił sport. To dlatego tu był?

Lekarz wyjaśnił jej, co wydarzyło się kilka dni wcześniej, i podał jej numer telefonu. Wstukała go w swoją komórkę. Miała go już jako „biuro szefa”. Zrobiło jej się słabo. Zamknęła telefon i oszołomiona słuchała lekarza.

Kiedy dowiedziała się już wszystkiego, wstała, zapłaciła i wróciła do domu, nadal nie mając pojęcia, co się wokół niej dzieje. Myśli wirowały jej w głowie. Dlaczego jej szef tak się interesował jej mężem? Musiał mocno szperać, skoro miał nawet numer jego dowodu. Czy w takim razie ta pułapka to był tylko przypadek? Ile właściwie wiedział Sunghwan?

Hyonsu nie wracał do domu nawet po drugiej, zadzwoniła do przychodni i powiedzieli jej, że nadal podają mu leki. Skontaktowała się z Sunghwanem.

– Coś się dzieje z moim mężem, prawda? Mam wrażenie, że pan coś wie.

Sunghwan się nie odzywał.

– Ja też czekam – odpowiedział po chwili.

– Na co?

– Aż się dowiem, o co w tym wszystkim chodzi.

To jeszcze bardziej zbiło ją z tropu. Od kiedy Hyonsu miał znowu problemy z ręką? Wyrzucała sobie, że to jej wina. Nie obchodziło jej, że spał na podłodze, że codziennie był pijany, nawet kiedy zranił się w rękę. Ale z drugiej strony jak miała się tym zająć, skoro upijał się codziennie, żądał rozwodu i ubliżał jej, mówiąc, jak okropnie jest z nią żyć. Kto wtedy zwraca uwagę na jakiś bandaż? Na przyjęcie w ogrodzie poszła zdruzgotana. Kiedy już po wszystkim posprzątała, wróciła do domu, żeby sprawdzić, jak się ma Hyonsu. Wydawał się w porządku. Siedział z Sunghwanem w salonie, grali w baseball na konsoli. Poszła do sypialni, żeby odpocząć, ale kiedy wyszła zrobić kolację, w domu nie było nikogo. Zadzwoniła do biura ochrony zapory i odebrał Hyonsu.

– Gdzie wy wszyscy jesteście? – zapytała go.

– Sunghwan i Sowon byli tutaj, ale idą właśnie do domu.  
– A co ty robisz w pracy?  
– Mam nocną zmianę.  
– W twoim stanie? Jesteś tam przełożonym, wyznacz kogoś na zastępstwo.  
– To nie twoja sprawa. Podpisz papiery rozwodowe – powiedział Hyonsu i się rozłączył.

Eunju wpatrywała się w telefon. Nie jej sprawa? Mówił teraz tylko o papierach rozwodowych. Dlaczego tak bardzo mu na tym zależało? Cisnęła słuchawką i wyszła.

Eunju skończyła opowiadać.

– Może... – zaczęła jej siostra.  
– Może co? – zareagowała Eunju, ścisnęło ją lekko w piersi.  
– No... myślisz, że mógłby być jakoś zamieszany w ten wypadek? – Yongju ubierała w słowa najgorsze lęki siostry.  
– Co ty opowiadasz? – zachnęła się Eunju.  
– No bo dlaczego detektywi z policji jechali aż do warsztatu pod Seulem?  
– Nie...  
– No pomyśl tylko – naciskała Yongju. – To przecież nie jest normalne, że poprosił cię, byś się opiekowała Sowonem. On by nigdy czegoś takiego nie zrobił, nigdy nie oddałby syna. Musisz z nim porozmawiać i dowiedzieć się wszystkiego. Małomówni faceci zawsze pakują się w najgorsze tarapaty – mówiła Yongju stanowczo.  
– To niemożliwe – broniła się Eunju, ale czuła, że to może być prawda. Wszystko na to wskazywało.

Przypomniała sobie, jak dziwnie wyglądał pewnego dnia rano, cały mokry, ubłocony. Miał opatrunek na rękę, jego twarz była zmęczona i nieogolona. Spał tak głęboko, że nie mogła go dobudzić. Powinna była się domyślić, że coś się dzieje, kiedy po raz pierwszy kazał jej się wynosić. Nigdy przecież tak się do niej nie odzywał. Jej gniew, rozczarowanie i niechęć do niego stopniowo odebrały jej zdolność widzenia. Nie zauważyła, jak cierpiał. Cały czas miała prawdę przed oczami. Była tylko jedna osoba, której Hyonsu broniłby zacieklej niż własnego życia, dla której rzuciłby wszystko. Sowon.

Szaman, sidła, wypadek w arboretum, jego upór, żeby być na nocnej zmianie, nagły wyjazd Yima. Ręce zaczęły jej się trząść, poczuła ścisk w brzuchu. Nie miało już znaczenia, co zrobił Hyonsu, chciała tylko wiedzieć, co się działo teraz. Chciała wiedzieć, co Oh Yongje zamierza zrobić jej rodzinie.

– Słuchasz mnie? – pytała Yongju po drugiej stronie.

Eunju usłyszała najeżdżające auto. To była firma C-Com, profesjonalna firma ochroniarska, którą Oh Yongje zatrudnił do arboretum. Z samochodu wysiadło dwóch mężczyzn.

– Poczekał, przyjechała ochrona – powiedziała do siostry Eunju i otworzyła okienko, nadal z telefonem przy uchu.

Spojrzała na ekran i zauważyła, że kamera przy tylnym wjeździe jest wyłączona. Barierka przy głównej bramie była opuszczona. To dziwne. Co się stało z monitoringiem i jak w takim razie ten samochód dostał się na teren arboretum? Może zapomniała zamknąć tylną bramkę? Przypomniała sobie nagle ostrzeżenie Yima, by nie otwierać okienka obcym ludziom.

Wszystkie elementy układanki zaczęły do siebie pasować. Cokolwiek Oh Yongje szykował, miało się wydarzyć tej nocy, właśnie teraz. Zanim zdążyła zamknąć okienko, jeden z mężczyzn chwycił ją i pociągnął. Próbowwała krzyczeć, ale nie mogła, świat rozpadał się na kawałki.

Gra skończyła się po dwóch rundach. Hyonsu odwrócił wzrok od monitora.

Sunghwan uprzedzał go, kiedy uczył go obsługiwać grę, że nieważne, jak bardzo będzie próbował, najprawdopodobniej nie skończy trzeciego poziomu przed następną nocą. Miał rację. *Superhero* nie była łatwa. Do tego wszystkiego Hyonsu mógł grać tylko prawą, mniej zwinną ręką. Ale przynajmniej wytrzymał całą noc. Nie zdrzemnął się nawet na chwilę. Bolała go głowa i ramię, ale to było w porządku. Ból w lewej nodze stopniowo narastał, Hyonsu czuł, że ma lekką gorączkę.

Rano poszedł do przychodni, gdzie lekarz zmierzył mu temperaturę, przekrzywiając głowę. Pobrali mu krew, okazało się, że ma wysoką liczbę białych krwinek, po czym doktor naciął mały otwór w gipsie, żeby przyjrzeć się ranie. Powiedział, że wdała się infekcja,

i zalecił wizytę u ortopedy. Hyonsu patrzył na swoją stopę, czerwoną i spuchniętą. Palce wyglądały jak ciemne otoczaki.

Bywał u ortopedy regularnie, kiedy jeszcze grał zawodowo, i wiedział dobrze, co to oznacza, kiedy wdaje się infekcja – pobyt w szpitalu. Nie mógł sobie teraz na to pozwolić, nie widział też sensu. Potrzebował tylko jednej nocy bez bólu i gorączki.

– Może pan zrobić cokolwiek? – zapytał.

Lekarz spojrział na niego zakłopotany.

– To lokalna przychodnia, nie jestem specjalistą. Jeśli tak to zostawimy, ryzykuje pan sepsę.

– Chodzi tylko o dzisiaj. Obiecuję, że jutro pojedę do szpitala.

Doktor spojrział niechętnie na Hyonsu, ale się zgodził. Rozciął gips, przemył ranę, podał antybiotyk, odkaził, opatrzył gazą i obwiązał stopę i łydkę bandażem. Z nadgarstka wyjął szwy. Ta rana goiła się dobrze. Lekarz chwycił igłę i ukłuł Hyonsu w opuszek palca wskazującego, ale ten nie poczuł nic.

– Wyjeżdżam dziś po południu. Jeśli coś się będzie działo, musi pan jechać prosto do szpitala. Proszę im wtedy pokazać lewą rękę.

Hyonsu położył przedramię z powrotem na temblaku i potaknął głową. Lekarz zaaplikował mu antybiotyk i lek przeciwbólowy, dał mu też garść tabletek.

– To panu pomoże. Proszę brać po dwie co cztery godziny.

Hyonsu połknął pierwsze tabletki około dziewiętej wieczorem, a teraz była już 11.25. Wyciągnął komórkę i zadzwonił do Sunghwana.

– Tak?

– Nie śpisz? – Hyonsu tak ulżyło, że aż ciarki przeszły mu po plecach.

– Oglądam film.

– A Sowon?

– Śpi.

Poczuł ukłucie w sercu. Pragnął, żeby Sowon mógł spać tak beztrudnie każdej nocy, żeby pamiętał go jako ojca, a nie jako mordercę. Czy to możliwe?

– W porządku – powiedział i rozłączył się.

Chciał usłyszeć głos syna, ale może tak będzie lepiej. Do Eunju też nie miał zamiaru dzwonić. Jeśli usłyszałyby, jak wypowiada jego

imię, mógłby stracić panowanie nad sobą. Stanowiła jego źródło bólu wystarczająco długo, ale teraz był jej nawet wdzięczny za jej niewzruszoną postawę i determinację w ochronie syna. Na niej można było polegać, w przeciwieństwie do niego. Żałował, że wpakował ją w to wszystko.

Wrócił do gry, chciał zabić jeszcze trochę czasu, ale ciągle przegrywał. Ból go spowalniał. Odepchnął krzesło dalej i oparł się wygodniej, zamknął oczy. Może był tylko zbyt nerwowy.

W głowie rozbrzmiał mu głos Eunju, kiedy wołała go tamtego ranka w przychodni. Słyszał w tym głosie nutę przebaczenia. Wzruszyło go to. Gdy zawołała go po raz drugi, czuł, jak jego mur kruszeje. Był bliski wyjawienia jej całej prawdy, dlatego z ulgą przyjął kolejne wołanie, już zdecydowanie ostrzejsze. Przywróciło go to do rzeczywistości. Wydawało mu się wcześniej, że miał szansę wybierać pomiędzy przyznaniem się a samobójstwem, ale kiedy wpadł w sidła, dotarło do niego, że już po wszystkim. Nie stracił zupełnie przytomności, lecz odpływał raz po raz i w rezultacie zgubił buty Sowona. Jednocześnie z bólem zyskiwał jasność – ktoś celowo zastawił tam pułapkę i to musiał być Oh Yongje. On jeden miał powód, żeby widzieć, jak Hyonsu cierpi. Kiedy opowiadał Sunghwanowi o swoim dzieciństwie, znalazł w sobie odwagę, żeby zrobić to, co musiał zrobić.

Próbował się skupić i przeanalizować to, co Sunghwan powiedział mu o Oh Yongje – że podszywał się pod jego brata, śledził go w nocy, przygotowywał drewnianą pałkę w piwnicy. Nie mógł jednak zrozumieć ostatniego fragmentu układanki, czyli wycieczki, którą Yongje zorganizował na zaporze. Hyonsu wiedział już, od chwili gdy leżał ranny przy furtce, że chodzi w tym wszystkim o to, żeby zapłacił za swoją zbrodnię na zasadach Oh Yongje. To dlatego zgłosił się na nocną zmianę. Jeśli to Yongje zabrał buty Sowona, było to ostrzeżenie, zapowiedź tego, co może się wkrótce zdarzyć, kiedy Hyonsu nie będzie brać udziału w grze Yongje. Jeśli rzeczywiście było tak, że Yongje szedł po niego, wołał być w tym czasie poza domem, żeby nie narażać Sowona i Eunju. Nie wiedział jeszcze, co dokładnie robi, ale miał nadzieję, że coś wymyśli, kiedy nadejdzie odpowiedni moment. Hyonsu poprawił się na krześle i zajęczał. Cała lewa noga paliła go żywym ogniem. Była 11.55, czas



płynął bardzo powoli. Sięgnął do kieszeni koszuli po tabletki i wsadził je sobie do ust. Wstał, podszedł do automatu z wodą, ale zatrzymał się nagle. Coś zauważył. Odwrócił się powoli, żeby spojrzeć jeszcze raz, i zobaczył Yongje przed okienkiem ochrony. Na twarzy miał dziwny uśmiech. Hyonsu przegryzł tabletki i połknął je, zanim otworzył okienko.

– Dobrze się pan czuje? – zapytał Yongje, ubrany cały na czarno. – Wygląda pan blado.

– Mogę panu jakoś pomóc?

– Martwiłem się.

– Czym?

– Słyszałem, że wpadł pan w pułapkę na moim terenie. – Przesunął wzrokiem po niesprawnej ręce Hyonsu.

Mężczyzna wziął głęboki oddech, żeby nie stracić panowania nad sobą.

– I dlatego przyszedł pan tu w środku nocy?

– Znalazłem je niedaleko tamtego miejsca. – Yongje wyjął trampki z torby. – Czy to pańskiego syna?

To wprawdzie nie był cios poniżej pasa, ale zdecydowanie zadziałał.

– Tak, to mojego syna – zdołał odpowiedzieć.

Yongje położył buty na parapecie, Hyonsu oparł się o biurko i patrzył na niego.

– Mogę skorzystać z telefonu? – zapytał Yongje. – Zostawiłem komórkę w domu, a muszę zadzwonić do biura.

Hyonsu spojrział na telefon. Musiał się zgodzić. Musiał dać tamtemu wszystko, jeśli tylko w zamian mógł otrzymać to, na czym mu zależało. Mimo że był ranny, nadal był w stanie zmierzyć się z takim przeciwnikiem. Yongje nie wyglądał na wojownika. Hyonsu chwycił telefon i próbując zachować równowagę na prawej nodze, położył go po zewnętrznej stronie okienka. Yongje chwycił nagle Hyonsu i pociągnął go do siebie. Ten uderzył głową w stalową ramę okienka na tyle mocno, że obił sobie oko, wargi i złamał nos. Kilka zębów wypadło mu z ust. W gardle poczuł metaliczny smak krwi, wszystko zrobiło się niewyraźne. Przyłożył policzek do szyby i wypluwał krew.

Yongje sięgnął po pałkę i zanim Hyonsu zdążył zareagować, z całej siły uderzył nią w jego nadgarstek, łamiąc kości i miażdżąc mięśnie. Cała ręka stanęła w ogniu bólu, umysł Hyonsu zaczął odpływać, wszystko się zamazywało. Przez na wpół przymknięte powieki zobaczył swoją dłoń zwisającą bezwładnie i strzykawkę wbitą w przedramię. Świat przed jego oczami rozpadł się na pół, pokrył czerwienią, jak podczas zachodu słońca, potem rozczłonkował się jeszcze raz na cztery części, aż w końcu zupełnie znikł. Tuż przed tym, jak całkowicie stracił przytomność, jedna myśl przemknęła Hyonsu przez zamroczony umysł, ale przepadła tak szybko, jak się pojawiła.

Była noc, księżyc płynął po niebie, na horyzoncie błyskała latarnia morska, nad łanami krwistoczerwonych fal unosiła się mgła. Hyonsu stał pośrodku pola i słyszał, jak Sowon go woła:

– Tata!

Ten głos był jak magiczne zaklęcie, przeszywał go na wylot. Jakaś siła ciągnęła Hyonsu w stronę studni, do której przywiązano linę. Wnętrze studni było ciemne i przepastne, ale on widział wyraźnie – na jej końcu wisiało jasne, nagie ciało. Słabnący głos odbijał się od kamiennych ścian.

– Tata!

Hyonsu zaczął z całej siły ciągnąć linę.

– Sowon! – krzyczał. – Sowon, tata tu jest!

Ale nie było żadnej odpowiedzi. Lina szybko przesuwiała się w górę, w końcu wyciągnął ją całą. Na jej końcu nie było jednak ciała. Tylko puste wiaderko. Dziecko wyczołgało się powoli zza krawędzi studni i przycisnęło zimny, mokry policzek do twarzy Hyonsu. Wszeptało:

– Tata.

To był już inny głos. Hyonsu odskoczył do tyłu. To nie był Sowon, tylko ta dziewczynka. Jej oczy były czarne jak dwie dziury, patrzyła nimi uparcie na Hyonsu. Uśmiechnęła się, pokazując pokiereszowane dziąsła. Swoimi giętkimi nogami oplotła jego biodra. Hyonsu próbował się uwolnić, ale ona trzymała go kurczowo. Wszeptała do niego:

– Tata.

– Choi! Otwórz oczy!

Ale Hyonsu nie mógł tego zrobić, miał wrażenie, że były czymś sklezione. Słyszał pomruk maszynerii. Gdzie on był?

– Otwórz oczy. – But z grubą podeszwą stanął na jego lewej stopie.

Nagłe uderzenie bólu sprawiło, że od razu podniósł powieki.

– Przytomny?

Hyonsu zacisnął zęby. Zorientował się, że to zakrzepła krew sklejała mu wcześniej oczy. Siedział na krześle, ręce miał związane z tyłu. Cały był powiązany: na klatce, udach i w kostkach. To było jego krzesło biurowe, ale nie znajdowali się w jego biurze.

– Wiem, że zabiłeś mi córkę – zaczął Yongje spokojnie.

Hyonsu poruszył prawą dłońią i poczuł ból w ręce. Z całych sił próbował nie krzyczeć. Przesunął językiem w miejscu, gdzie powinny być górne zęby, ale wyczuł tylko dziąsła. Nie miał już zębów na przedzie.

– Nie chcę, żebyś się wykrwawił, nim zaczniemy zabawę.

Hyonsu się nie bał, był przygotowany. Nie miało już znaczenia, czy umrze z rąk własnych, czy tego faceta. Chodziło tylko o to, żeby zawrzeć z nim umowę.

– Patrz na mnie!

Hyonsu próbował sobie przypomnieć tę myśl, która musnęła jego umysł, zanim stracił przytomność. To było coś ważnego.

– Słyszysz mnie? Czy mam ci w tym pomóc?

Hyonsu spojrzał w górę. Yongje zrobił krok w tył, żeby zwolnić pole widzenia. Byli w sterowni. Yongje musiał wziąć klucze z pomieszczenia ochrony. Hyonsu nagle uświadomił sobie, że ten wykorzystał wycieczkę po zaporze, by mieć zawczasu dostęp do pomieszczeń.

Zegar wskazywał 1.49. Minęły prawie dwie godziny. Hyonsu znajdował się obok biurka, drugie krzesło i stolik, które normalnie stały pośrodku, były teraz zepchnięte na bok pod ścianę. Na ich miejscu ktoś postawił ekran monitoringu. Yongje usiadł na drugim krześle i założył nogę na nogę. W jednej ręce miał pilot, w drugiej swoją drewnianą pałkę.

– Spodoba ci się – powiedział. Wybrał jeden z dwunastu podglądów i rozszerzył go na pełny ekran.

Była tam tylko szara mgła.

Hyonsu zerknął na maszyny dokoła niego: pełno przełączników i guzików kontrolujących pracę śluz, alarmów, systemów bezpieczeństwa. Z tego wszystkiego panel kontroli zdalnej był najważniejszy. Mrugał cały czas zielonym światłem, czyli pracował prawidłowo. Czy Yongje miał zamiar bawić się śluzami?

Jeśli systemy na zaporze wykrywały coś nietypowego, system w centrali automatycznie przejmował zarządzanie. Ale od czasu, kiedy zapoznał się z nowym stanowiskiem, Hyonsu wiedział, że można było nadać pierwszeństwo systemom w sterowni i pominąć centralę. Ręczne przełączniki na śluzach mogły pracować zupełnie niezależnie zarówno od centrali, jak i od sterowni. Systemy centrali włączały się jedynie, kiedy na ziemi nie było oporu – albo zatem zmiany poziomu wody musiały być zupełnie minimalne, albo sytuacja musiała przyjąć taką skalę, że jakiegokolwiek działanie uznano by za bezcelowe. Hyonsu spojrział na ekran monitoringu.

– Cierpliwości – mówił Yongje. – Reflektory zaraz się załączą. Ale nim to nastąpi, opowiedz mi więcej o tamtej nocy, kiedy przejechałeś moją córkę. Ona jeszcze żyła. Umarłaby i tak, gdybyś ją po prostu zostawił na tamtej drodze, po co więc zrobiłeś ten jeden dodatkowy ruch?

No właśnie, po co? Hyonsu sam zadawał sobie to pytanie setki razy.

Yongje wstał z pałką w ręce.

– Odpowiadaj! – Zamachnął się i wymierzył cios w szczękę Hyonsu.

Tym razem Hyonsu nie zdołał nawet wydać żadnego odgłosu. Wywrócił oczami, a zachowane skrawki świadomości się rozpierzchnęły. Teraz już za nic nie będzie w stanie dojść do tego, jaki plan ma Yongje. Coś zagrzechotało, może były to kawałki kości szczęki albo kolejne zęby. Hyonsu spojrział w dół, trzęsąc się. Krew wypływała mu z ust, podłoga pokryła się czerwienią. Jedynie jego stopy były białe – jedna bosa, druga w opatrunku. Co się stało z jego butem? Czy Yongje mu go zdjął, kiedy go związywał? I który but miał właściwie dzisiaj na sobie? Ten elegancki, ten z grubą podeszwą czy trampek?

W jego zamglonej świadomości pojawiło się delikatne światełko. Skupił się na nim i na sekundę zapomniał o bólu. Ogarnęło go nagle przerażenie, serce zabiło jak szalone. Dotarło do niego, co pomyślał w ostatniej chwili przed utratą świadomości – buty Sowona. To nie było ostrzeżenie, tylko wskazówka do planu Yongje. To dlatego byli teraz w pomieszczeniu kontrolnym. Hyonsu miał być świadkiem, miał bezsilnie przyglądać się przedstawieniu, jakie przygotował mu Yongje.

Na ciemnym, zamglonym ekranie zamigotał snop światła i skierował się na środek, przecinając ścianę mgły. Ukazała się Hansoldung, ale nie było widać ziemi ani krzaków, tylko starą, poskręcaną sosnę. Światło przesuwano się po drzewie jak wskazówka na zegarze, przeczesywało gałęzie i oświetlało pień. Wskazywało też kogoś, kto do pnia był przywiązany. Jego oczy wypełniało przerażenie, usta miał zaklejone taśmą, woda sięgała mu do piersi. To był Sowon.

Hyonsu poczuł, jakby klatka piersiowa miała mu wybuchnąć. Żyły nabrzmiały mu na szyi, krew gotowała się w sercu. Niemy krzyk utknął Sowonowi w gardle. Przerażenie syna rozdzierało samego Hyonsu. Przypomniał sobie, co mówił Sunghwan: w normalnych warunkach Hansoldung wystawała trzydzieści centymetrów ponad powierzchnię wody, przy niskim stanie wylaniało się całe wzgórze. A kiedy woda osiągała poziom powodziowy, całość zniknęła pięć metrów pod powierzchnią. Serce zabiło Hyonsu mocniej, kiedy czarne chmury zebrały się w jego głowie.

– Dlaczego wrzuciłeś ją do jeziora? – zapytał Yongje, siadając na krześle.

Hyonsu rozglądał się w poszukiwaniu wyświetlacza pokazującego poziom wody. W mordę, był za daleko. Skierował wzrok na ekran monitoringu. Reflektory zniknęły i Sowon przepadł za zasłoną mgły. Hyonsu nie mógł się poruszyć, paliło go w gardle.

– Puść go. Wszystko ci powiem. – Próbował mówić spokojnie, ale jego głos był spięty i brzmiał desperacko. – Możesz mnie zabić, jak tylko chcesz. Zrobię wszystko, czego zażadasz.

– Wiem – odpowiedział Yongje z uśmiechem. – Ale najpierw powiesz mi, dlaczego zabiłeś moją córkę, a potem będziesz patrzył, jak umiera twój syn. Jak już wszystko mi wyśpiewasz, potwierdzę, że

twój dzieciak nie żyje, i otworzę śluzy, żeby spuścić nadmiar wody. Systemy nie zareagują, bo twój syn jest za mały, żeby alarm się załączył. Nie martw się, przeniosę jego ciało do twojego samochodu. Ciało twojej żony też. Rozdzielić rodzinę na zawsze to byłoby z mojej strony okrutne.

Potężna fala uniosła Hyonsu i rzuciła nim o ziemię – zupełnie zapomniał o Eunju.

– Z całą rodziną w samochodzie wjedziesz z impetem do jeziora. Morderca, nie mogąc poradzić sobie z poczuciem winy, nie umiając się przyznać, kończy ze sobą i ze swoją rodziną spektakularnym samobójstwem rozszerzonym.

Yongje wyjął dyktafon z kieszeni kurtki.

– Co sądzisz o moim planie? – zapytał.

Hyonsu trząsał się ze wściekłości. Próbował oddychać, za wszelką cenę starał się odzyskać panowanie nad sobą.

– Mów! – rozkazał Yongje.

Na początku roku szkolnego Sowon miał sto pięćdziesiąt siedem centymetrów. Ile mógł mieć, kiedy siedział? Siedemdziesiąt? Hyonsu próbował myśleć. Jak wysoko sięgał teraz poziom wody? Gdyby tylko widział wyświetlacz, byłby w stanie to w przybliżeniu obliczyć.

– Słyszysz? – Yongje podniósł pałkę. – Potrzebujesz zachęty?

Hyonsu wpatrywał się w ekran, światło wracało. Mgła była tym razem gęstsza, jego syn wydawał się mniej wyraźny, ale coś jeszcze było inaczej. Sowon nadal był przerażony, lecz rozglądał się wokół siebie. Hyonsu widział też błysk pomarańczowych oczu z tyłu głowy syna, do tego czujnie podniesione uszy i długi ogon. To był ten kot!

– Choi Hyonsu! – warknął Yongje ostro.

Światło błyskało na ekranie, a gniew Hyonsu stopniowo malał, ustępując miejsca racjonalnemu myśleniu, którego tak bardzo potrzebował. Ekran znowu pokrył się ciemnością. Hyonsu był gotowy. Nie zyska już nic więcej przeciąganiem sprawy. Musiał mówić i znaleźć jakąś szansę.

– To się działo tak szybko – zaczął opowiadać. Oparł się na krzesło i patrzył na Yongje. Nie mógł zerkać na ekran. Zastanawiał się, co się działo z Sunghwanem. Pewnie był gdzieś zamknięty albo martwy. Hyonsu miał jednak nadzieję, że tak nie było. Wziął się

w garść i nie patrzył na Sowona. – Mgła była tak gęsta, nie wiedziałem, gdzie jestem. Byłem pijany, zmęczony, droga była taka gładka.

Yongje usiadł.

Hyonsu próbował zgąć palec wskazujący prawej ręki, ale za bardzo go to bolało. Zorientował się, że jego lewa dłoń wspiera złamany nadgarstek prawej. Czyli jednak lewa ręka zdecydowała się współpracować?

– Zakręty były ostre, zacząłem się ślizgać. Właśnie wtedy wybiegła na drogę, znikąd, prosto przede mną.

Yongje założył nogę na nogę, oparł się ramieniem o krzesło, brodę wsparł na dłoni.

– Wcisnąłem hamulec, ale było już za późno. – Hyonsu chwycił się lewą dłonią biurka stojącego za nim. – Widziałeś kiedyś, jak kogoś potrąca samochód?

Yongje nie odpowiedział. Patrzył tylko i mrużył oczy.

– To był pierwszy raz w moim życiu. Jej ramiona były szeroko otwarte, jakby przytulała maskę samochodu. Jej twarz była przez krótką chwilę na przedniej szybie. Potem odbiła się i upadła na drogę. Leżała tam jak szmaciana lalka, nie ruszała się. Jej ciało było poskręcane, głowę miała rozbitą. Jakby ktoś upuścił na chodnik arbuza. – Hyonsu starał się mówić jak najbardziej obrazowo i szokująco, badał reakcje Yongje. Przesunął się odrobinę w tył na krzesło. Lina, którą był związany, ucisnęła go w uda, ból ze wszystkich jego ran przeszywał go na wylot. – Myślałem, że nie żyje. Byłem przerażony. Jedyne, co miałem w głowie, to że wszystko stracę. Miałem już zawieszony prawo jazdy, ale nadal jeździłem po pijaku, a teraz jeszcze kogoś zabiłem. Wysiadłem z samochodu i podszedłem do niej. Myślałem o synu, żonie, pracy, naszym mieszkaniu... – Hyonsu zamrugał z trudem, próbując strącić z rzęs zakrzepłą krew. Musiał widzieć swój cel wyraźnie, miał tylko jedną szansę, jedną próbę, kiedy Yongje straci panowanie w przypiływie gniewu. – Nagle otworzyła oczy. Spojrzała na mnie przerażona. I wyszeptała... – Hyonsu wreszcie strącił mruganiem zakrzepłe kawałki krwi, widział, że Yongje chce wiedzieć, co powiedziała jego córka. – Ona nie mówiła do mnie. Myślała, że jestem tobą. – Oparł się pewnie lewą dłonią o krawędź biurka i przesunął na sam tył

siedziska. – Najbardziej przerażająca rzecz, jaką kiedykolwiek usłyszałem.

Yongje postawił stopy na podłodze i położył ręce na podłokietnikach.

– Przez ostatnie dwa tygodnie słyszałem to w mojej głowie bez przerwy. Słyszę to, kiedy śpię, słyszę to, kiedy się budzę. To mój nieustający zwid.

– Co takiego powiedziała? – zapytał w końcu Yongje.

Hyonsu się nie odzywał.

– Co powiedziała? – Yongje domagał się odpowiedzi.

– A jak myślisz, co mogła powiedzieć?

Mężczyzna zamrugnął, po czym otworzył szeroko oczy.

– No chodź, skurwielu – wymamrotał Hyonsu.

– Co? – dopytywał Yongje, przysuwając twarz bliżej.

Teraz! Hyonsu odepchnął się od biurka, jak tylko mógł najmocniej, i wystrzelił w kierunku Yongje, który wyciągnął ręce w samoobronie, ale o ułamek sekundy za późno. Hyonsu trafił go głową między oczy. Dzięki prędkości i gabarytom udało mu się przewrócić Yongje razem z jego krzesłem. Podniósł związane nogi i kopnął w krzesło przeciwnika, żeby wrócić do biurka. Pociągnął za szufladę, ale była zamknięta. Spróbował z kolejnym biurkiem, też nic. Szuflada ostatniego biurka, obok mechanizmu kontrolującego śluzę, była otwarta. Sięgnął ręką w tył, pomacał... długopis, linijka, kalkulator... nóż do kartonu. Rozciął krępujące go liny.

Yongje leżał nieprzytomny na plecach na podłodze. Hyonsu pokuśtykał w stronę ekranu monitoringu. Reflektor powoli przesunął się w stronę sosny. Oświetlał już tylko szyję i twarz Sowona. Hyonsu podbiegł do panelu sterowania śluz, ale nie wiedział, jak go obsługiwać. Był tu kilka razy wcześniej, lecz nigdy tu niczego nie dotykał. Próbował się uspokoić. Były tam przyciski i pokrętła do każdej ze śluz. „Podnieś”, „opuść”, „stop”, „stop awar”... Zaraz obok były znaki „+” i „-” i numery. Wcisnął „podnieś” dla pierwszej śluz, a potem znak plus. Numer zmienił się z „1” na „2”. Wcisnął przycisk numeru jeszcze raz, ale nic się nie stało. Potem znowu „+” – numer zmienił się na „3”. Działał szybko. Musiał otworzyć śluzę. Nie trwało to dłużej niż minutę czy dwie, ale dla Hyonsu to była wieczność.



Wrócił do ekranu monitoringu. Powierzchnia jeziora powinna się wahać, ale wyglądała spokojnie. Serce mu zamarło. Gdzieś popełniał błąd. Przybliżył widok kamery na śluzę, wszystkie przesuwają się w górę. Coś było nie tak, śluza awaryjna musiała być zamknięta. Wrócił do panelu spanikowany. Nie było pokrętła od śluz awaryjnej. Yongje widocznie je urwał, żeby uniemożliwić ratunek Sowona. To oznaczało, że Hyonsu musiał się dostać do śluz i opuścić je ręcznie.

Pędził do drzwi, kiedy pałka walnęła go w tył głowy, tuż za uchem. Instynktownie zrobił unik, jęcząc. Yongje zamachnął się jeszcze raz, ale Hyonsu uderzył go w pierś i broń upadła głośno na podłogę. Yongje też. Hyonsu podniósł pałkę, ale Yongje się nie ruszał. Hyonsu go trącił, nadal nic. Pchnął go stopą, mężczyzna przewrócił się bezwładnie na plecy, z kieszeni wypadł mu klucz. Dokładnie to, czego potrzebował Hyonsu, żeby dostać się do śluz awaryjnej. Schował klucz do kieszeni i wyszedł, zabierając pałkę ze sobą.

Od śluz dzieliło go jakieś trzysta pięćdziesiąt metrów, w dodatku ostro pod górę. Czy da radę dotrzeć tam na czas? Zaczął biec – dziwacznie, kuśtykając. Miał wrażenie, że palce lewej stopy zaraz mu odpadną. Z każdym krokiem klekotała złamana szczęka, zmiażdżony nadgarstek uderzał o udo. Nie widział zbyt dobrze, co chwila tracił świadomość. Naprzód pchała go myśl o topiącym się Sowonie.

Sunghwan poruszał palcami. Czucie wróciło. Jego ciało zaczęło ożywać, ale nie mógł zebrać myśli. Przypadkowe obrazy majaczyły mu w głowie, łączyły się, znikwały. Serce mu biło, lecz kończyny miał wiotkie.

Gdzie był Sowon?

Kiedy zadzwonił Hyonsu, Sunghwan siedział przy swoim biurku w domu. Powiedział, że ogląda film, ale w rzeczywistości pisał. Hyonsu pytał o Sowona. Sunghwan spojrzał na chłopaka – leżał w łóżku, palce miał splecione na piersi, spał. Hyonsu brzmiał smutno, jakby się żegnał. Rozłączył się od razu.

Co jego szef mógł w tym momencie zrobić? Przyznanie się do winy wydawało się bardziej prawdopodobne niż samobójstwo. Ktoś, kto miał zamiar ze sobą skończyć, nie prosiłby, żeby przyjaciel na

niego czekał. Hyonsu już nigdy o tym nie wspominał. Wydawało się, jakby głęboko wierzył w to, że Sunghwan na niego zaczeka. On zaś nie naciskał, nie chciał go w tych warunkach dodatkowo stresować.

Hyonsu zgłosił się na nocną zmianę, mimo że wszyscy nalegali, żeby odpoczął. Sunghwan się zorientował, że to dlatego, iż bał się spać w domu. Nie udałoby mu się w nieskończoność odpędzać snu grą na konsoli. Na służbie zawsze mógł powiedzieć, że robił obchód, gdyby się okazało, że znowu lunatykuje. Sunghwan czuł się bezsilny, nie miał jak pomóc szefowi i niepokoił się, co też szykował Yongje. Czy czekał na ostateczny dowód, żeby pójść z nim na policję, czy może planował odwet na swój sposób?

Coś zagrzechotało. Sunghwan spojrzał na okno, myśląc, że może to Ernie. Zastona powiewała lekko na wietrze, widocznie magnes wszyty w jej brzeg uderzył o parapet. Wrócił do pracy na laptopie, ale w tym momencie ktoś zadzwonił do drzwi. Kto to mógł być o tej godzinie? Wszedł do salonu i spojrzał na ekranik domofonu. Zobaczył dwóch ochroniarzy z C-Comu. Ich służbowy samochód stał zaparkowany z włączonymi światłami za nimi.

– Coś się stało? – zapytał przez domofon.

– Pani z ochrony się skarżyła, że alarm ciągle się tu włącza. Przyszliśmy sprawdzić.

Sunghwan spojrzał na przycisk interkomu. Dlaczego najpierw do nich nie zadzwoniła? Zastanawiał się nad tym, ale jednocześnie otworzył drzwi, po czym było już za późno. Dwaj faceci wtargnęli do środka i przycisnęli go do szafki na buty. Poczuł, jak coś ostrego wbija mu się w rękę. Nogi mu zwiotczały, język zdrętwiał, stracił przytomność.

Teraz odzyskał zmysły, ale ręce miał związane za plecami, nogi również skrupowane. Leżał pod schodami w piwnicy. Widział starą pralkę, pólmisek, którego używał jako popielniczki na werandzie, gumowy wąż, plastikowe wiaderko i szafki. Sam to wszystko tu zniósł na życzenie Eunju, zanim się sprowadzili.

Ci faceci musieli być profesjonalistami, zapewne przysłał ich Yongje. Wszystko nagle zaczęło do siebie pasować. Mieli stroje C-Comu, żeby podejść do biura ochrony bez wzbudzania podejrzeń. Sunghwan przełknął ślinę. Yongje musiał w swoim planie uwzględnić całą rodzinę, łącznie z Sowonem. Czy Hyonsu o tym wiedział? Taka

możliwość nie przyszła mu wcześniej do głowy. I gdzie była Eunju? Czyżby razem z synem?

Próbował się uspokoić. Był przytomny, leżał sam. Dlaczego go po prostu nie zabili? Powinien się podnieść, ale plecy miał sztywne. Rozejrzył się. W piwnicy było mnóstwo rupieci, ale nic, czego mógłby użyć, żeby rozciąć sznur. Okno było wysoko, nie mógł go dosięgnąć, a musiał się jakoś do niego dostać. Najlepszą opcją były szafki. Eunju przywiozła je z Seulu, ale salon był na nie za mały. Pamiętał, jak się nadźwigał, znosząc je na dół. Stały daleko od okna, lecz nie miał innego wyjścia. Przesunął się w stronę dwóch szafek przy ścianie. Pamiętał, że były niesamowicie ciężkie. A on ciągle był osłabiony działaniem tego, czym go naszprycowali. Wsunął stopę za szafkę i odsunął ją od ściany, po czym wcisnął się w to miejsce. Trwało to co najmniej dwadzieścia minut, był cały spocony. Oparł się plecami o ścianę i nogami odpychał szafkę. Choć wkładał w to całą siłę, ledwo się przesuwawała. Kiedy już udało mu się przepchnąć ją pod okno, był cały obolały.

Usiadł na szafce i podciągnął się plecami, dotykając cały czas ściany. Ramieniem sięgał już do parapetu, tył głowy miał przy szybie. „Raz, dwa, trzy...” Uderzeniem głowy rozbił okno, odłamki szkła posypały się na niego. Przykucnął i pomacał w poszukiwaniu kawałka wystarczająco dużego, żeby rozciąć sznur. Drzwi były zamknięte od zewnątrz, ale wybił okno do końca, wyczyścił ramę z resztek szkła i wyczołgał się przez nie. Stał na rabacie kwiatowej i zaglądał na balkon. Światła w salonie były wyłączone, drzwi do jego pokoju otwarte, lampka na biurku nadal świeciła niebieskawym światłem. Było dziwnie cicho. Nikogo z sąsiadów nie było w domu, wszyscy ze stotrójki pojechali do domów, skoro Hyonsu i tak wziął na siebie nocną zmianę. Jeśli Yongje byłby u siebie, wybiegłby na dźwięk tłuczonej szyby. Gdzie się w takim razie podziewał?

Sunghwan wszedł do mieszkania. Wszystko wydawało się w jak najlepszym porządku, w salonie nie było ani jednego śladu po butach, łóżko było zaścielane, jego materac leżał na podłodze, laptop nadal był otwarty na stronie, którą wcześniej pisał. Jego komórka leżała obok, chwycił ją, żeby zadzwonić na policję, ale się zatrzymał. Dokoła było naprawdę dziwnie cicho, jak nigdy. Stał nieruchomo i nasłuchiwał. Słyszał owady, szum drzew na wietrze, szczenie

psa w oddali. Tak właściwie nie o tę ciszę chodziło, lecz o to, że czegoś brakowało. Powoli zaczęło do niego docierać, że nie słyszy szumu wody płynącej przez zaporę. To był dźwięk, który zawsze nakładał się na wszystko inne. Teraz go nie było, a to mogło oznaczać tylko jedno – ktoś zamknął śluzy.

Słyszał, że ostatni raz, kiedy to miało miejsce, był dwa lata wcześniej, podczas dotkliwej suszy. Teraz zamykanie ich nie miało najmniejszego sensu, deszcz padał bez przerwy od dwóch tygodni, zapora gromadziła więcej wody niż zazwyczaj. Zrobił to ktoś, kto miał dostęp do sterowni. Sunghwan zrozumiał już wszystko – wycieczka po zaporze! Dlaczego wcześniej tego nie dostrzegł? Serce zabiło mu mocniej, kiedy w myślach analizował wszystkie informacje. Zgubione buty Sowona. Może chłopak był gdzieś, gdzie Hyonsu nie mógł się dostać. W miejscu, które jako pierwsze poszłoby pod wodę, gdyby ktoś zamknął śluzy. Hansoldung.

Była 1.30, minęły dwie godziny. Jak wysoko podniósł się poziom wody? Wcale nie musiał osiągnąć wartości powodziowej, wystarczyło spiętrzyć wody jeziora o kilkanaście metrów ponad zwykły poziom, żeby utopić Sowona. Hansoldung już prawdopodobnie była zalana. Sunghwan chwycił latarkę czołówkę, wyskoczył przez okno i pobiegł do tylnej furtki. Żałował czasu, który stracił, stojąc w pokoju i namyślając się. Jeśli wszystko dobrze zrozumiał, musiał się dostać na wysepkę, zanim woda przykryje chłopca. Biegł najszybciej, jak mógł, ale ścieżka była błotnista, a nogi ciągle miał jak z ołowiu. Serce waliło mu w piersi. Sowon musiał być przerażony, miał dopiero jedenaście lat. Sunghwan liczył, że dzieciak też był pod wpływem jakichś substancji, nieświadomy, co się z nim dzieje.

Dotarcie do przystani zajęło mu dokładnie pięć minut. Tylko raz spojrzął na telefon, żeby sprawdzić, która godzina. Na policję zawsze można zadzwonić później. Wspiął się na płot i przeskoczył na drugą stronę. Reflektor powoli przeczesywał powierzchnię jeziora. Sunghwan widział teraz, jak wysoko podniósł się poziom wody, brzegi były już częściowo zatopione. Z trudem wypatrzył we mgle sylwetkę Josong. Jezioro było nieznośnie cicho.

Światło prześlizgnęło się po stalowej furtce przystani i rozciągnęło na drodze nad jeziorem. Sunghwan zostawił telefon

pod furtką i zbiegł w dół. Kiedy woda sięgnęła mu do ud, zaczął płynąć, po chwili wspiął się na pokład łodzi. Rozbił okienko kabiny i nacisnął klamkę, po czym włączył światło i rozejrzał się. Na jednej ze ścian zobaczył szklaną skrzynkę z nadmuchiwą tratwą. Rozbił szkło toporkiem i wrzucił do wody linkę holowniczą. Tratwa napompuwała się automatycznie, kiedy tylko ją ruszył, po czym wrzucił na nią koc i toporek. Przywiązał sobie linkę holowniczą wokół pasa i wskoczył na tratwę. Popłynął w stronę Hansoldung.

Jezioro ginęło w kompletnej ciemności i we mgle. Latarka na czole oświetlała jedynie metr przed nim, musiał się zatrzymywać i rozglądać za każdym razem, kiedy reflektor ślizgał się po jeziorze. Nigdzie jednak nie widział Hansoldung. Wokół niego rozciągała się tylko nieprzenikniona zasłona mgły. Czy wysepka była już pod wodą? Kiedy wydawało się, że nie ma już żadnej nadziei, usłyszał w ciemności głos.

Kot miauczał głośno i uparcie.

Podążył za głosem, kot był coraz głośniejszy, miauczał coraz bardziej niecierpliwie, aż Sunghwan znalazł się tuż przed nim. Stopą dotknął ziemi, reflektor wracał w jego kierunku. We mgle zauważył ciemny, okrągły kształt.

– Sowon! – krzyknął, przyciągając tratwę bliżej.

Światło oblało sosnę, chłopak był przed nią, woda sięgała mu do szyi, usta miał zaklejone taśmą. Był jednak niesamowicie spokojny. Wyciągnął szyję mocniej, kiedy zauważył, że Sunghwan wychodzi z wody. Był sam w ciemności, ale trzymał się bardzo dzielnie. Sunghwana ścisnęło w gardle. „Dobra robota, mały”, pomyślał.

Ernie siedział z tyłu głowy Sowona, przycupnął na gałęzi jak sowa. Jak on się tu dostał?

– Nie ruszaj się – powiedział Sunghwan. – Nie ruszaj się, dopóki nie posadzę cię na tratwie.

Sowon przytaknął. Sunghwan umieścił tratwę tuż przed nim i położył na niej lampkę, skierowaną na chłopca. Pochylił się i pomacał dłonią pień drzewa. Wyczuł linę i toporkiem zabranym z łodzi uwolnił Sowona. Sięgnął po niego, chłopak był cały sztywny. Podniósł go, posadził na tratwie i otulił kocem. Delikatnie odkleił mu usta. Sowon trząsał się z zimna i wpatrywał w Sunghwana, jakby się bał, że ten zniknie, kiedy spuści go z oczu. Ernie wskoczył na tratwę.

– Pochyl się i nie podnoś, aż nie będziemy na przystani, rozumiesz?

Sowon przytaknął. Sunghwan umieścił latarkę na czole chłopca i zaczął płynąć z powrotem. Kierował się na błyskające światła Josong. Nie byli nawet jeszcze w połowie drogi, kiedy zaczęło brakować mu tchu. Gdy dotarli do łodzi, ledwo poruszał ramionami. Podciągnął tratwę na brzeg, kot zeskoczył na ziemię. Sunghwan przeniósł Sowona pod furtkę, posadził go i przytulił, poklepując po plecach.

– Dzielnie się spisałeś, Sowon. Jesteś bardzo odważny.

Chłopak przytaknął. Nie płakał, nie krzyczał. To było niepokojące, musiał przecież dać upust emocjom. W przeciwnym razie będą się w nim piętrzyć i zatruwać go. Jezioro Seryong mogło stać się jego studnią, głębszą, ciemniejszą i potężniejszą niż studnia jego ojca.

– Jeśli masz ochotę, śmiało, płacz – mówił, poklepując go po plecach.

– Ta czerwona gwiazda koło szczytu Seryong to Jowisz, prawda? – zapytał Sowon.

– Tak.

Chłopiec patrzył na niego spokojnie. Sunghwana przeszył dreszcz. Co z tym dzieckiem było nie tak?

– Kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem Jowisza – oznajmił Sowon i czknął. To, co powiedział, potem zdało się Sunghwanowi zupełnie bezsensowne. – Na początku myślałem, że jesteśmy w arboretum, ale potem reflektor ją znalazł. I zawsze to ja byłem berkiem.

Sunghwan spojrzał w niebo, ale nie widział ani jednej gwiazdy, tylko kleistą, gęstą ciemność. O czym mówił Sowon? Co takiego stało się na Hansoldung? Jeszcze będą mieli szansę o tym porozmawiać, teraz trzeba było wysłać policję do sterowni na zaporze. Sięgnął po telefon leżący pod furtką.

– Halo, numer alarmowy, słucham.

Sunghwan spojrzał na Sowona. Chłopak wpatrywał się w swoje stopy, słuchał uważnie. Jak przekazać wszystkie informacje policji tak, żeby dzieciak ich nie zrozumiał?

– Coś się dzieje na zaporze, wyślijcie kogoś do sterowni.

– Co takiego się dzieje?

Zanim Sunghwan zdążył odpowiedzieć, od strony zaporę rozległ się ogłuszający ryk. Ziemia zadrżała. Światło na Josong zahuściło się i oddaliło. Reflektor ukazał olbrzymi wir tworzący się pośrodku zbiornika. Uśpione wcześniej jezioro nagle przebudziło się do życia. Serce Sunghwanowi zamarło, wydał z siebie jęk. Wsunął telefon Sowonowi do ręki, przepchnął go pod furtką i wspiął się na płot. Już nigdy nie będzie pamiętał, jak udało mu się z chłopcem na plecach biec stromą ścieżką na farmę. Przez długi czas jedyne, co miał w głowie, to ryk jeziora, drgania ziemi, białe światło reflektora muskające korony drzew i ciężar Sowona na plecach.

Kiedy byli przy stodole, Sunghwan otworzył drzwi i poczuł okropny, stęchły smród. Ernie, który widocznie szedł cały czas za nimi, umościł się w swojej skrzynce. Sunghwan posadził Sowona obok kota i otulił go kocem. Chłopiec cały czas kurczowo trzymał telefon w ręce.

– Zaraz wrócę – obiecał Sunghwan.

Sowon przytaknął.

– Posiedź z Erniem. Zostałbym z tobą, ale...

– Ale musi pan uratować tatę – dokończył zdanie Sowon.

Sunghwanowi zabrakło słów. Jeśli Yongje zamknął śluzy, Hyonsu musiał je otworzyć. Jeśli otworzył je ze sterowni, Sunghwan nie mógł już nic poradzić. Zanim będzie można opuścić śluzę alarmową, woda zmyje wszystko, co napotka po drodze. Ale jeśli Hyonsu otworzył je ręcznie, była jeszcze szansa na uniknięcie katastrofy.

– Tak jak uratował pan mnie i Erniego. – Sowon patrzył z mieszaniną lęku i błagania.

Sunghwan pokiwał głową.

– Obiecuj mi, że tu zostaniesz, aż po ciebie wrócę.

– Obiecuję.

Sunghwan wybiegł na drogę i zobaczył światło reflektora ponad powierzchnią ryczącego zbiornika.

Brzegi zniknęły, woda była wzburzona, jakby przeszło małe tsunami. Kiedy dotarł do mostku na zaporze, nie mógł uwierzyć własnym oczom. W dole nie było już nic. Nie było arboretum, nie było wioski, nie było ani jednej latarni na ulicy ze sklepami. Był tylko

masyw wody. Ponad nim tworzyła się biała chmura piany sięgająca aż do mostku. Nogi ugięły się pod nim. Jaki był teraz sens angażować się w tę sytuację, jeśli wszystko zmiotła woda? Nie było już wioski ani jej mieszkańców. Nie dało się już niczego cofnąć. Światło reflektora przypomniało mu, po co tu przybiegł. Musiał upuścić służę alarmową, żeby zatrzymać niszczącą siłę wody. Jeśli nic nie zrobi, miasto S czeka powódź.

Zaczął biec. W połowie mostku poczuł, jak coś się o niego ociera. Pośrodku mgły, ponad szaloną wodną pianą nie widział nic, ale miał wrażenie, że to człowiek. Pobiegnął do sterowni przy słuzach. Były otwarte. Rzucił się do służby alarmowej i wcisnął przycisk opuszczający ją. Powinien był usłyszeć warkot mechanizmu blokowego i szcęk łańcuchów, ale nic takiego się nie wydarzyło. Pochylił się i spojrzał w dół. Nie zauważył, jak ktoś podchodzi do niego od tyłu. Coś świsnęło nad nim i musnęło czubek jego głowy, zrobił szybki unik i poturlał się w bok. Kiedy się podnosił, zobaczył Hyonsu – jedno ramię miał bezwładnie obwisłe, ciągnął za sobą nogę. Zbliżał się do przełączników. Twarz miał całą we krwi i opuchniętą. W lewej ręce trzymał zakrwawioną pałkę.

– Sowon żyje! – krzyknął Sunghwan, ale ryk wody niosący się po okolicy zagłuszał go. – Sowon żyje!

Rzucił się na Hyonsu. Musiał mu to powiedzieć, a żeby to zrobić, musiał powalić go na ziemię. Hyonsu jednak uderzył go pałką w żebra i Sunghwan się skulił. Zrobiło mu się czarno przed oczami, nie mógł oddychać. Uświadomił sobie, że Hyonsu albo zatłucze go na śmierć, albo rzuci się do wody kipiącej pod nimi. Usłyszał, jak Hyonsu płacze i schyla się, żeby podnieść pałkę. Sunghwan poderwał się i ruszył na niego, celując w jego zdrową nogę – przewrócił go, po czym wykręcił mu lewą rękę na plecy i usiadł na nim. Przyłożył usta do ucha Hyonsu i krzyknął:

– Sowon żyje!

Hyonsu zatrząsał się i przestał się bronić.

– Sowon żyje!

Hyonsu odwrócił się, żeby spojrzeć na Sunghwana.

– On żyje, możesz z nim porozmawiać. Zadzwoń, zaufaj mi, on ma mój telefon.

Hyonsu nie protestował, Sunghwan go puścił.



– Udowodnię ci, chodźmy do biura ochrony. – Pomógł Hyonsu wstać. Jego szef się zakołysał, ale nie upadł.

Śluza alarmowa zupełnie opadła, zrobiło się przerażająco cicho. Z oddali słychać już było syreny. W biurze Sunghwan sięgnął po telefon, a Hyonsu blokował drzwi, zdecydowany go zabić, jeśli to była tylko sztuczka. Mężczyzna zaczął panikować, bo telefon nie działał.

– Daj mi komórkę – powiedział do Hyonsu, wskazując na kieszeń jego koszuli.

Jego szef patrzył na niego w zamroczeniu. Zaskoczony sięgnął do kieszeni.

– Szybko!

Hyonsu siłował się z guzikiem i w końcu podał komórkę. Sunghwan otworzył ją.

Sowon odebrał po pierwszym sygnale.

– Tata?

Hyonsu wyrwał komórkę z dłoni Sunghwana.

– Pan Ahn? – pytał chłopiec.

– Sowon? – odezwał się Hyonsu z wahaniem.

– Tata! – Głos chłopca nagle nabrał mocy.

Hyonsu przewrócił się jak rażony paralizatorem.

– Tata?

## Raz, dwa, trzy, Baba Jaga patrzy

Tej nocy znalazłem się w koncentrycznym kręgu, w którym nakładają się na siebie rzeczywistość, fantazja i sen. Jego centralną osią był reflektor wieży wlotowej, a miejsce, w którym tkwiłem, było zlokalizowane pod bliźniaczymi sosnami na Hansoldung. Odkąd odzyskałem przytomność do momentu, w którym przyszedł po mnie pan Ahn, dwie rzeczy pozostały takie same. Wszystko inne zmieniało się z chwili na chwilę. Otaczający krajobraz i sytuacja, nawet upływ czasu. Pamiętam, co się wydarzyło, zanim mnie tam porzucono. Wcześniej tej nocy usłyszałem coś we śnie, a kiedy otworzyłem oczy, mężczyźni w uniformach zakryli mi usta. Poczułem mrowienie w ramieniu, jakbym dostał zastrzyk, i straciłem przytomność. Po jakimś czasie obudził mnie głos. „Raz, dwa, trzy, Baba Jaga patrzy”. Obok mnie przemknęła biała smukła łydka. Potem przede mną pojawiły się powidoki – pulchne podskakujące stopy. To mnie wyrwało ze snu. Otaczały mnie wysokie cyprysy, a na wprost znajdowała się wieża z reflektorem. Dzięki długiemu białemu światłu, które przesuwano się zgodnie z ruchem wskazówek zegara, oświetlając pusty teren, mogłem sprawdzić krajobraz wokół mnie i swoje położenie.

Pośrodku okrągłej, pustej działki znajdowała się wieża. Nad nią górowała czerwona gwiazda. Przypomniało mi się, jak pan Ahn powiedział mi, że to Jowisz. Zdałem sobie sprawę, że ta parcela otoczona drzewami miała kształt tarczy zegara. Wieża była osią igły, białe światło reflektora sekundnikiem, a czerwona gwiazda, wieża

i ja byliśmy ustawieni w linii prostej. Czerwona gwiazda znajdowała się na godzinie dwunastej, ja na szóstej, a Gwiazda Polarna na dziewiątej. Nieznane gwiazdy świeciły mocno na godzinie trzeciej. Ciężkie niebo było atramentowo niebieskie, jak o świcie. Rozejrzałem się. Wskazówka sekundnika okrążyła pustą parcelę i dotarła na godzinę dwunastą. Wtedy coś lekkiego jak wiatr musnęło mi kark. Bardziej jednak zwracał uwagę nieustanny dźwięk dochodzący zza wieży. Był czysty i wysoki jak góry. To był głos Seryong, którą słyszałem we śnie.

„Raz, dwa, trzy, Baba Jaga patrzy”.

Byłem przywiązany do dużej sosny, usta miałem zaklejone taśmą. Siedziałem z wyciągniętymi nogami, a coś ciepłego leżało na moich kolanach i mruczało. To był Ernie.

Czułem się zdezorientowany. Jeśli siedziałem pod bliźniaczą sosną, to byłem na środku jeziora na Hansoldung. Nie na pustej działce w lesie otoczonej cyprysami.

„Raz, dwa, trzy, Baba Jaga patrzy”.

Dostrzegłem Seryong na godzinie trzeciej. Stała nieruchomo pod długą, zakrzywioną gałęzią drzewa. Mimo że była daleko, wyraźnie ją widziałem. Wyglądała tak jak zawsze. Długie czarne włosy, które zakrywały oba ramiona, spiczasty podbródek i czarne oczy wpatrujące się we mnie, ręce zwisające do ud, białe majtki, smukłe nogi i bose stopy na ziemi. To był tylko sen. Odczułem lekką ulgę.

Wskazówka ją minęła, przesuwając się na godzinę czwartą. Jej postać zbladła jak cień, aż wreszcie pogrążyła się w ciemności.

„Raz, dwa, trzy, Baba Jaga patrzy”.

Ernie zaczął się lekko kołysać. Najpierw wyprostował łapy, potem otworzył szeroko pyszczek, ziewnął przeciągle i jęknął.

Obudź się, powiedziałem do siebie. Wstawaj.

Wskazówka sekundnika pojawiła się przede mną. Jakby ciemność i światło wywróciły się i zamieniły miejscami. Nagle

znalazłem się pod płonącym słońcem. Oślepiiony, usłyszałem odgłos podskoków rozbrzmiewających gdzieś za światłem. To nie był odgłos chodzenia po ziemi. Było to brzmienie czegoś małego i lekkiego, jak patyczak biegnący po wodzie.

„Raz, dwa, trzy, Baba Jaga patrzy”.

Ernie naprężył się i wstał. Wskoczył mi na ramię, a potem na drzewo i miauknął. Znowu zrobiło się mroczno. Dźwięk dochodził z godziny piątej.

„Raz, dwa, trzy, Baba Jaga patrzy”.

Wskazówka sekundnika przesunęła się dalej w kierunku godziny dziewiątej. Zrobiło się ciemno, jak w paszczy potwora. Kroki dochodziły teraz z przodu. Otworzyłem szeroko oczy, ale nie widziałem nic poza powidokiem błysku światła, który pokrył mi siatkówkę. Ernie podrapał się pazurami w ucho i zamiauczał gniewnie. Wskazówka sekundnika dotarła na godzinę dwunastą. Kolejny raz poczułem dziwny dotyk na karku. Był intensywniejszy niż wcześniej. Krople wody spływające mi po szyi sugerowały, że to odczucie jest prawdziwe. Wołałbym, żeby to była rosa kapiąca z gałęzi, ale to mokra dłoń Seryong. Tym razem, jakby mówiąc „berek!”, wilgotna ręka delikatnie dotknęła mojego karku.

„Raz, dwa, trzy, Baba Jaga patrzy”.

Wiatr przedzierał się przez gałęzie i przelatywał mi nad głową. Zimne powietrze rozlewało się po moich policzkach. Niepokój wkraść się do żołądka. Dotyk kropel wody, dotyk nocnej bryzy, dotyk świeżego powietrza i miauczenie Erniego, kiedy chodził po gałęziach. Gdzie jestem? Na Hansoldung? W lesie? Kim byli faceci w uniformach? Skąd przyjechali? Czy złapali pana Ahna? Czy mój tata wie, że mnie porwali? Czy mama nadal jest w biurze ochrony? Jak Ernie znalazł się koło mnie?

„Raz, dwa, trzy, Baba Jaga patrzy”.

Seryong była teraz na godzinie trzeciej. Bliżej mnie. Woda wirowała pod jej bosymi stopami. Wskazówka sekundnika przeszła nad nią i przesunęła się w moją stronę. Zauważyłem, że otwarta przestrzeń w lesie zamieniła się w jezioro. Przede mną pojawiła się wieża wlotowa. W miejscu, gdzie znajdowała się czerwona gwiazda, odsłonił się grzbiet szczytu Seryong.

„Raz, dwa, trzy, Baba Jaga patrzy”.

Jej dłoń ponownie dotknęła mojego karku. Znowu przegrywałem, chociaż nie mogłem grać. Zasady różniły się od gry, którą znałem. Seryong poruszała się poza zasięgiem mojego wzroku, krzycząc: „Raz, dwa, trzy, Baba Jaga patrzy!”. Dotykała mojego karku za każdym razem, gdy sekundnik dotarł na godzinę dwunastą, co znaczyło, że cały czas przegrywałem. Nic nie mogłem zrobić. Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś grał w ten sposób. Nie wiedziałem też, jaka jest kara.

„Raz, dwa, trzy, Baba Jaga patrzy”.

Otoczające mnie cyprysy nagle zaczęły pełznąć w moim kierunku. Miałem wrażenie, że robiły się coraz większe. Wierzchołek góry i wieża znalazły się znacznie bliżej mnie. Wydawało mi się, że ruch sekundnika również przyspieszył. Obwód zegara stał się zauważalnie krótszy i zrobiło się mniej czasu na odszukanie Seryong. Tym razem wcale jej nie widziałem. Słyszałem tylko, jak skacze po wodzie, ale nie mogłem określić, skąd dochodzi dźwięk. Ernie przeskakiwał z gałęzi na gałąź jak latająca wiewiórka. Odgłos Seryong stawał się coraz głośniejszy i głośniejszy. Poczulem chłód. Na całym ciele miałem gęsią skórę. W jakiś sposób woda dotarła powyżej mojego pasa.

„Raz, dwa, trzy, Baba Jaga patrzy”.

Wsluchiwałem się w plusk kropel wody, które brzmiały jak piosenka. Biegające kroki drażniły moje zmysły, kpiły ze mnie, oddalając się w ciemność. Ogromne cyprysy przysuwały się coraz bliżej mnie. To były dziwne drzewa. Im więcej wody, tym one stawały

się większe. Rozejrzałem się bezradnie i zobaczyłem coś na godzinie czwartej. Coś czarnego wirowało pod wodną taflą. Nie mogłem oddychać. Duże czarne oczy spojrzały na mnie znad wody, a potem pojawiło się blade czoło.

„Raz, dwa, trzy, Baba Jaga patrzy”.

Rozpoczęła się nowa runda. Nastąpiła kolejna zmiana w krajobrazie. Drzewa cofnęły się i były nieco niższe niż wcześniej. Woda, którą miałem do pasa, teraz objęła się o moje pośladki. Ernie skoczył na godzinę dziewiątą. Coś tajemniczego poruszało się z prądem wody. Wkrótce zobaczyłem białe czoło unoszące się jak płetwa rekina wśród fal. Para oczu nadal ukrywała się pod powierzchnią. Oświetlone przez wskazówkę miejsce skupiało uwagę niczym punkt świetlny.

Sekundnik stanął na godzinie dwunastej. Na otwartą przestrzeń w lesie, gdzie tu i tam można było dostrzec kałuże, teraz powróciło jezioro. Drzewa osiągnęły swą pierwotną wysokość.

W końcu pojąłem zasady gry. Były absolutnie korzystne dla Seryong. Mogła swobodnie się poruszać i ukrywać po ciemku w wodzie. W świetle padało: „Raz, dwa, trzy, Baba Jaga patrzy”. Kiedy została złapana, miała po prostu stać nieruchomo.

Musiałem użyć wszystkich pięciu zmysłów, aby ją wykryć, zanim wskazówka sekundnika zakończy rundę. Dopóki nie oświetlił nas sekundnik, musiałem utrzymać jej spojrzenie, jak tylko ją zauważyłem. Kiedy Seryong dotykała mojego karku, oznaczało to, że byłem trafiony, przegrywałem i powinienem dostać karę. Zawsze byłem trafiony. Zasada była prosta. Jeśli nie złapiesz przeciwnika, zostaniesz ukarany, a jeśli go złapiesz, uwolnisz się od kary. Za każdym razem, gdy przegrywałem, Hansoldung zanurzała się coraz bardziej. Woda wypełniła teren, pusta działka w lesie zamieniała się w jezioro, zmniejszając ilość wolnej przestrzeni. Cyprysy stawały się coraz większe, Seryong przyspieszała, a sekundnik obracał się coraz szybciej.

Jeśli ją zauważyłem, Hansoldung się wznosiła, woda się cofała, odsłaniając ziemię i przywracając pustą parcelę w lesie. Sekundnik

odzyskiwał pierwotne tempo. Ostateczna kara za odmowę lub rezygnację z gry była oczywista. Jezioro by mnie pochłonęło.

„Raz, dwa, trzy, Baba Jaga patrzy”.

Trzy razy wygrałem i trzy razy przegrałem. Pomógł mi Ernie. Za każdym razem, kiedy wspinał się po gałęziach, zbliżał się do Seryong. Wtedy starałem się uchwycić jej ruch.

„Raz, dwa, trzy, Baba Jaga patrzy”.

W pewnym momencie pusta polana w lesie znalazła się pod wodą. Jej poziom podnosił się i opadał na wysokości mojego pasa, stanowiącego punkt graniczny. Seryong uniosła się nad wodą jak biały wieloryb, poszybowała w powietrzu i zanurzyła się z powrotem. Ernie był wyczerpany. Wiatr mnie przewrócił i straciłem swoją kolejkę. Ruchy Seryong stały się tak szybkie, że nie miałem możliwości uchwycenia jej wzrokiem. Teraz woda sięgała mi do ramion. Raptem zrobiło się zimno. Z chłodu szczekałem zębami, byłem głuchy, a pole widzenia stało się niewyraźne.

Nagle jezioro skurczyło się do rozmiarów studni. Drzewa rosły i rosły coraz większe, całkowicie zasłaniając niebo. Wieża wlotowa stała jak potwór u moich stóp. Sosna przytuliła mnie i tonęła w nieskończoności. Zrobiłem się senny.

– Sowon!

Otrząsnąłem się. Spanikowałem i rozejrzałem się za Seryong, ale nic nie zobaczyłem.

– Sowon!

To brzmiało jak pan Ahn. Patrzyłem w kierunku, skąd dochodził głos, i w końcu zauważyłem, jak płynie w moją stronę na dmuchanej tratwie.

Od tamtego momentu aż do chwili, gdy dotarłem do stodoły, moje wspomnienia pasowały do relacji pana Ahna. Kiedy pan Ahn zadzwonił na policję, zdałem sobie sprawę, że tatę musieli złapać ci sami faceci. A mama... Kurczowo trzymałem się nadziei, że ukrywa się w bezpiecznym miejscu. Otwierałem i zamykałem telefon komórkowy pana Ahna niezliczenie wiele razy. Chciałem napisać do mamy, ale nie byłem pewien, czy powinienem. Jeśli była z facetami

w uniformach, to mój esemes wyjawiłby im, gdzie jestem. A jeśli się ukrywała, dźwięk jej telefonu by ją zdemaskował. Uściskałem Erniego, który zamruczał i wkrótce zasnął. To dzięki niemu nie dostałem hipotermii i pokonałem strach. Wierzyłem, że pan Ahn uratuje tatę. Seryong już się nie pojawiła. A ja nie sądziłem, że wytrzymam kolejną rundę gry. Drzemałem, kiedy zadzwoniła komórka pana Ahna. O mało nie uderzyłem głową w ścianę, gdy zobaczyłem na ekranie numer telefonu mojego taty. Niemalże wybiegłem ze stodoły na dźwięk jego głosu mówiącego „Sowon”. A kiedy pan Ahn pojawił się sam, prawie się rozplakałem. To mogło tylko oznaczać, że coś jest nie tak.

– Czy wszystko w porządku? – zapytał pan Ahn, pomagając mi wstać.

– Co z tatą? Jest ranny?

– Nic mu nie będzie. Jest w drodze do szpitala.

– Może mnie pan do niego zabrać?

Nawet nie byłem świadomy, że on też krwawi. Nie dlatego, że otoczenie było ciemne, po prostu nie byłem w stanie na niego spojrzeć.

– Nie teraz.

– Czemu? – Nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale wydobył się ze mnie głos zmieszany z płaczem.

– W tej chwili ty i ja musimy gdzieś pójść.

– Żeby zobaczyć się z mamą?

Pan Ahn pokręcił głową.

– Później. Wkrótce zobaczysz swojego tatę. Obiecuję.

Ale pan Ahn nigdy nie dotrzymał obietnicy. Odsyłali mnie od krewnego do krewnego, lecz żaden z nich nie zabrał mnie do taty. Kiedy zacząłem mieszkać z panem Ahnem, tata nie chciał, żebym go odwiedzał. Odkąd zapadł wyrok skazujący go na karę śmierci, ja też nie chciałem się z nim widzieć.

– Pojedźmy tam. Może zgodzi się na spotkanie z tobą, jeśli go odwiedzimy – zachęcał pan Ahn, ale go ignorowałem.

Tamtej nocy w stodole po raz ostatni usłyszałem głos taty. Nie udało mi się nawet pożegnać porządnie z Erniem, który siedział przy drzewie kaki i obserwował, jak wsiadamy do radiowozu. Chociaż był



daleko, czułem jego spojrzenie. Odwracałem się kilka razy, ale nie podszedł do nas. Może to przez radiowóz.

Nigdy nie wróciłem nad jezioro Seryong. Żaden z mieszkańców nisko położonych wsi nie przeżył. Nie mieli czasu na ewakuację. Zginęła również policja, która była w drodze na miejsce zdarzenia. I na zawsze stałem się znany jako syn człowieka, który zrobił tę potworną rzecz. Nie mogłem zapomnieć o tym fakcie bez względu na to, jak bardzo chciałem.

Teraz powieść pana Ahna zmusiła mnie do stawienia czoła prawdzie: że wszystkie te niewinne życia zostały poświęcone dla mnie. Czemu? Dlaczego w ogóle pan Ahn napisał tę historię? Dlaczego musiał mi wyznać tę okrutną prawdę? Poza tym rękopis był niedokończony. Ostatni rozdział dotyczył właśnie jego. A gdzie była historia mojej mamy? Otworzyłem jego laptopa i włączyłem wersję roboczą, ale kończyła się w tym samym miejscu. Jedyna różnica polegała na tym, że szkic miał na samym końcu pustą stronę zatytułowaną *Kang Eunju*. Dlaczego nie napisał tego ostatniego rozdziału? Jak uciekła przed Yongje? Kto zabił moją mamę i wrzucił ją do wody? Notatnik pana Ahna zawierał listę źródeł, niektóre były podkreślone, a inne opatrzone adnotacjami. Nic nie sugerowało miejsca pobytu ani mojej mamy, ani Yongje. Pozostały tylko dwa listy od Mun Hayong i nagrania głosowe. Wahałem się, czy je odtworzyć, wciąż bałem się spotkania z tatą.

Kliknąłem na drugie nagranie. Myślałem, że może to znowu będzie mój tata, ale rozpoznałem znajomy kobiecy głos. Ciocia Yongju.

„Nie sądzę, że byli szczęśliwym małżeństwem. Zwłaszcza po przeprowadzce nad jezioro Seryong. Każdego wieczoru wysyłała do mnie esemesa, prosząc, żebym zadzwoniła. To było bardzo podobne do mojej siostry. Nawet kiedy desperacko pragnęła porozmawiać, nie chciała być tą, która zadzwoni i zostanie za to obciążona”.

W trzech nagraniach ciocia Yongju opowiadała różne historie z życia mojej mamy. Większość z nich znalazła się w powieści.

Piąte nagranie zawierało oświadczenie dozorca, pana Yima.

„Tego dnia przed wyjazdem do Andongu wstąpiłem do biura ochrony. Z jakiegoś powodu martwiłem się o nią, chociaż nie byliśmy ze sobą specjalnie blisko. Powiedziałem jej, żeby opuściła szlaban,

nie szła na patrol, nie otwierała drzwi, chyba że to będzie ktoś, kogo zna. O tym, co się wydarzyło, dowiedziałem się następnego dnia z wiadomości. Pospiesznie wróciłem, ale... już niczego nie było. Wszystko zostało zmyte. Teraz to martwe miejsce. Obsługują tamę zdalnie z jeziora Paryong. Ci, którzy przeżyli, dostali niewielkie odszkodowanie i wynieśli się stąd. Ocalili, co mogli, i odeszli. To obszar, na którym nie można stawiać nowych budynków, więc nawet jeśli by chcieli tu żyć, nie mogliby. Arboretum zarosło. Ciernista winorośl pokryła rozległy las. Aby dostać się do środka, trzeba by przedzierać się przez winorośl kilka dni...”

Szóste nagranie było zapisem rozmowy z oficerem śledczym.

„Aż do nocy jedenastego września nie byliśmy w stanie odnaleźć warsztatu samochodowego. Wtedy pomyśleliśmy, żeby sprawdzić Ilsan, i znaleźliśmy warsztat w pobliżu nowego osiedla. Kiedy tam dotarliśmy, była już pierwsza w nocy. Zakład był zamknięty. Musieliśmy poczekać aż do rana, więc poszedłem po jedzenie i soju. Poczuję się okropnie po tym, jak się dowiedziałem, co się stało. Gdybyśmy znaleźli warsztat trochę wcześniej, myślę, że moglibyśmy zapobiec tej tragedii. Pierwszy raz w ciągu dwudziestu lat mojej pracy w tym zawodzie straciłem wszystkich swoich ludzi jednocześnie.

W miarę postępu śledztwa odniosłem wrażenie, że coś jest nie tak. To dziwne, że jej krwi nie było ani na drewnianej pałce, ani na jego ubraniach. I nigdy nie odnaleziono ciała Oh Yongje. Sprawa trafiła do prokuratury okręgowej w Seulu, ale oburzenie opinii publicznej zmusiło sąd do szybkiego rozstrzygnięcia. Wniosłem sprzeciw, lecz został odrzucony. Była ogromna presja ze strony społeczeństwa, mediów, polityków. Choi Hyonsu walczył o życie w szpitalu i nie mógł się bronić. A oświadczenia twoje i dzieciaka nie miały żadnego sensu; nie były zbyt wiarygodne. Kto by uwierzył, że chłopak spędził godziny na środku jeziora przywiązany do drzewa i zanurzony w wodzie po szyję? To bez sensu. W każdym razie już po wszystkim”.

Nagrania od siódmego do dwudziestego piątego przedstawiały zeznania różnych osób: dyrektora, który wziął na siebie odpowiedzialność za incydent i ustąpił ze stanowiska, mieszkańców wsi, którzy cudem przeżyli, lekarzy, którzy znali Yongje, kierownika

przedszkola, nauczycielki, która była na garden party, firmy eventowej, higienistki dentystycznej, która w tamtym czasie pracowała w klinice Oh Yongje, pracownika firmy farmaceutycznej, krewnego Oh Yongje i ojca Mun Hayong.

Głosy brzmiały różnie. Niektórzy odpowiadali entuzjastycznie, innych przepełniała wściekłość, a jeszcze inni ostrzegali pana Ahna, żeby przestał węszyć. W każdym razie osoby, z którymi przeprowadził wywiady, zgadzały się prawie całkowicie z listą z notatnika. Nie rozmawiał tylko z ludźmi z firmy Wsparcie i kierownikiem biura ze szpitala Oh Yongje. Może pan Ahn nigdy do nich nie dotarł. Nie było żadnej wzmianki o mojej mamie ani dowodów łączących Yongje z jej śmiercią. W myślach starałem się chronologicznie uporządkować wydarzenia tamtej nocy.

Tata myśli, że Oh Yongje nie żyje, i opuszcza sterownię. Nie wiedząc, co trzyma w ręce, wspina się na słup. Po odejściu taty Oh Yongje odzyskuje świadomość i wstaje. Uświadamia sobie szybko, co zrobił tata i co się wydarzy za chwilę. Wybiega z pomieszczenia i kieruje się na mostek. Przechodzi przez niego, mija arboretum i zmierza na parking. Tam czeka na niego samochód Wsparcia. Kiedy idzie mostem, mój ojciec wchodzi na dach, a pan Ahn zabiera mnie z Hansoldung. A mama...

Założyłem, że mama, podobnie jak pan Ahn, uciekła po tym, jak ją związali.

Od razu biegnie do stróżówki, żeby mnie odnaleźć. Na wszelki wypadek musi mieć w ręku broń, może kij bejsbolowy. Jeśli czas, w którym mama wchodzi na mostek, zbiegł się z momentem, w którym Oh Yongje go opuszcza, to musieli się tam spotkać. Czy mama wdała się z nim w bójkę?

Od nagrania dwudziestego szóstego zaczęła się opowieść taty. Relacjonował historie opisane w powieści niskim, niepewnym, czasem drżącym głosem i trochę sepleniał. Starałem się słuchać jak najobiektywniej.

„Zdałem sobie sprawę, co zrobiłem, gdy obudziłem się w szpitalu. Nie miałem nic do powiedzenia. Bo co mogłem powiedzieć? Że otworzyłem śluzę, by uratować syna? Że nawet nie pomyślałem o mieszkańcach wsi? Wierzyłem, że Oh Yongje nie żyje i że to przeze mnie zginęła moja żona. Więc po prostu milczałem.

Przez ostatnie siedem lat myślałem o tej nocy nieskończenie wiele razy. Zastanawiałem się, co mogłem zrobić inaczej. Ale jeśli mam być szczery, prawdopodobnie znów zrobiłbym to samo. Człowiek to taka impulsywna i głupia bestia. Każdego dnia rozważałem samobójstwo. Nie zrobiłem tego, bo mógłbym zostać przez to zbawiony, a chciałem doczekać wymierzenia mi kary. Odrzuciłem religię. Czuję się wolny i nie pozwolę Bogu, by mnie zbawił. Nie czekam na zbawienie, ale na moment, kiedy los pozwoli mi odejść. Na chwilę, która uwolni mnie od życia...”

Za oknem robiło się ciemno. Historia mojego taty dobiegała końca.

„We śnie każdej nocy zaglądam do studni na polu sorgo. Sierżant Choi wciąż mnie wzywa i wciąż słyszę dziewczynę szepczącą »tata«. Są chwile, kiedy słyszę, jak mieszkańcy Seryong wspólnie śpiewają. Są dni, kiedy mijam studnię i idę do końca bocznej drogi. Patrzę aż do świtu na światło latarni zza horyzontu. W taki poranek moje serce wali jak szalone. Czy dzisiaj może być egzekucja? Kilka dni temu wszyscy więźniowie skazani tutaj na karę śmierci przeszli badania kontrolne. Doszły mnie plotki, że niedługo wyznaczą termin mojej egzekucji. Mam taką nadzieję.

A Sowon... Mój Sowon. To chciałbym mu przekazać, gdybym miał okazję się pożegnać. Nie wiem, czy będę w stanie to teraz zrobić bez przednich zębów”.

Tata zaczął cicho gwizdać. *Marsz pułkownika Bogeya.*

Położyłem czoło na biurku, schowałem uszy między ramionami, zacisnąłem oczy i zepchnąłem w dół wszystkie wspomnienia, które wydobyła melodia. Kiedy w końcu odzyskałem spokój, otworzyłem ostatnie dwa listy Mun Hayong. W ósmym wyjaśniła, jak przygotowywała się do rozwodu i jak uciekła. Na koniec napisała: „Nie sądzę, żeby zostało coś więcej do powiedzenia”. Ale po sześciu miesiącach napisała kolejny list... Dziewiąty został wysłany pierwszego listopada tego roku.

*Przeczytałam Pański rękopis. Widzę, że brakuje ostatniego rozdziału. To powinien być rozdział, w którym znajdzie się historia matki dziecka. Chyba nie domyślił się Pan, co się z nią stało. Jest coś, czego Panu nie wyjawiałam. Dopiero dwa*

miesiące po tragedii dowiedziałam się, że mój mąż żyje. Oszalałam z rozpaczy i zasłabłam z wyczerpania. Moja przyjaciółka Ina pracowała jako terapeutka na oddziale psychiatrycznym szpitala w Rouen. Zostałam przyjęta do tego szpitala na oddział chorób wewnętrznych. Kiedy na drugi dzień spałam z kroplówką w ramieniu, nagle usłyszałam, jak ktoś wypowiada moje imię. Poczułam czyjeś ręce gładzące moje gardło. Zamarłam. Na całym świecie był tylko jeden człowiek, który by to zrobił. Mój mąż. Zawsze mnie tak budził, kiedy był zły. Miałam nadzieję, że to sen. Nie chciałam otworzyć oczu. Słyszałam, jak mówi: „Mun Hayong, otwórz oczy”. Stał tam, uśmiechnięty delikatnie. Myślałam tylko o tym, jak wydostać się z jego rąk. Jak na ironię zaledwie dzień wcześniej odmówiłam jedzenia i picia, ponieważ odechciało mi się żyć. Złapał mnie za włosy i podciągnął do góry. „Nie chcesz zobaczyć Seryong?” Włożył mi do ręki obrazek. To było jej zdjęcie w trumnie. Nie zdając sobie z tego sprawy, zerwałam się i zaczęłam krzyczeć, ciągnąc za linkę alarmową, jakbym dzwoniła dzwonkiem. Złapał mnie i uderzył w twarz, a ja wyciągnęłam kroplówkę i próbowałam uciec. Wciąż krzyczałam i wymachiwałam rękami. Jak śmiał przynieść mi zdjęcie mojego zmarłego dziecka? Wbiegli pielęgniarka i sanitariusz, a ja krzyczałam łamanym francuskim, że ten mężczyzna próbuje mnie zgwałcić. W końcu go zabrali, a do mojego pokoju wbiegła Ina. Natychmiast opuściliśmy Rouen. Po tym wszystkim nie byłam w stanie prowadzić normalnego życia. Nie mogłam nigdzie wyjść sama. Zawsze towarzyszyła mi Ina. Pojechała ze mną do Afryki Północnej, kiedy musiałam przedłużyć wizę. Zaszyłam się w swoim pokoju ze strachu, że mąż mnie odnajdzie. Trwało to siedem lat. Ale odkąd zaczęłam do Pana pisać, dużo myślałam o chłopcu.

Dla mojego byłego męża rodzina była najcenniejszą rzeczą na świecie. Na początku pomyliłam to uczucie z miłością. Dopiero później zdałam sobie sprawę, że to patologiczna obsesja na punkcie posiadania. Należałyśmy do niego i wymagał, żeby wszystko działo się na jego warunkach. Byłyśmy przedmiotami, które zbierał, surowcem do obróbki, jak

drewno w jego warsztacie, zmuszał nas do posłuszeństwa i postępowania wedle swojego życzenia. Każdy sprzeciw oznaczałby atak na cały jego światopogląd, zagrożenie dla samego rdzenia jego istoty. Może Pan sobie wyobrazić, jak by zareagował w takiej sytuacji. Już trochę Pan tego doświadczył, a to nie koniec.

Wspomniał Pan, że data egzekucji Hyonsu zostanie prawdopodobnie zaplanowana na grudzień, bo w tym miesiącu odbywa się ich najwięcej. Powiedział Pan, że ostatnio przeszedł badania zdrowia. To oznacza, że chłopiec jest w niebezpieczeństwie, tak jak Pan. Mogę Panu zaręczyć, że mąż planuje pozbyć się chłopca i ojca w tym samym czasie. Dlaczego inaczej miałby żyć jak duch przez siedem lat, trzymając chłopca w zasięgu wzroku, spychając go powoli na skraj świata? Czekaj na egzekucję. Nie wiem, jak się dowie, kiedy to nastąpi, ale się dowie. Mogę się tylko domyślać, że dla mojego męża nie jest to takie trudne. Pozbędzie się każdego, kto stanie mu na drodze. Chłopiec musi odwrócić sytuację na niekorzyść męża. Chcę, żeby Pan powiedział temu chłopcu, by wykorzystał mnie jako kartę przetargową, jeśli zajdzie taka potrzeba. To zadziała przynajmniej raz. Podaję mój numer telefonu komórkowego: 0033 634 67 72 32.

Wczoraj miałam wspaniały dzień. Ina wyszła za mąż, właśnie tutaj, pod jabłonią, pod którą siedzę co noc. Zrobiłam jej bukiet róż. Philippe mieszka z nami, odkąd dotarliśmy do Amiens. Jest producentem i zajmuje się animacjami. Załatwił mi posadę, która pozwala mi pracować bez wychodzenia z domu. Jest moim szefem. Jutro wyjeżdżam z Francji. Tym razem może to nie być krótki wypad po wizę. Nadal boję się sama wychodzić na zewnątrz, ale muszę spróbować. Chciałabym zobaczyć, co jeszcze mnie czeka w tym życiu. Nie zdecydowałam na razie, dokąd pojedę. Ale nie planuję tu wracać. Dzisiaj jest słonecznie. Zejdę na podwórko i pożegnam jabłoń.

Proszę na siebie uważać. Dobrze Panu życzę. Wszystkiego dobrego.

## *1 listopada, Mun Hayong*

Yongje wciąż planował zemstę zarówno na mnie, jak i na moim tacie. To było jasne. W końcu tego właśnie pragnął siedem lat temu. Gapiłem się tępo na telegram z więzienia, który leżał na moim biurku.

„Wyrok śmierci na Choi Hyonsu wykonano dziś, 27 grudnia, o godz. 9.00. Mamy nadzieję, że pogrążona w żałobie rodzina przybędzie po zmarłego, aby przygotować się do pogrzebu. Rzeczy osobiste zostaną wydane 28 grudnia po godz. 9.00”.

Nagle przestałem oddychać. Czuję się, jakby ktoś kopał mnie w brzuch. Pan Ahn zniknął wczoraj popołudniu. Telegram przyszedł dziś rano. Miałem odebrać ciało taty jutro. Ponownie przeczytałem list Mun Hayong. Ostrzegła mnie, że Yongje pozbędzie się każdego, kto stanie mu na drodze. Kazała mi odwrócić role i użyć jej. Dała mi swój numer telefonu komórkowego. Nie mogłem pojąć, co miałem z tym wszystkim zrobić. Ale jedno było jasne. Wczoraj Yongje pozbył się ostatniej osoby, która stała mu na drodze.

W kółko czytałem listy Mun Hayong. Minęła dziesiąta wieczorem. Pan Ahn nie wrócił do domu. Każda kolejna godzina potwierdzała moje przeczucie, ale wciąż miałem nadzieję, że pojawi się jutro rano cały i zdrowy. Może jest zalatany z powodu pogrzebu taty. Już wcześniej zostawił mnie samego na dwie noce. Ale instynktownie wiedziałem, że tym razem było inaczej. Pytania krążyły mi po głowie jak rój nietoperzy. Czy pan Ahn przywiózł mnie tutaj, do Wioski z Latarnią, wiedząc, że mój tata mieszkał tu w młodości? Kto przysłał mi powieść i materiały? Dlaczego to zrobił? Gdzie jest Oh Yongje? Czy to prawda, że zabił moją mamę? Czy naprawdę pozbył się pana Ahna? Dlaczego pozwolił mi tak długo pozostać w tej wiosce w spokoju? Skąd dowiedział się wcześniej o dacie egzekucji?

Wiatr szarpał oknem. Podniosłem krawędź zasłony, żeby wyjrzeć, ale nic nie widziałem. W czterech rogach okna piętrzył się śnieg, a środek pokrywał szron. Wróciłem do biurka i usiadłem.

Teraz wydawało mi się, że wiem, co jest za oknem. Och, to dłoń Yongje. Dłoń, która potrząsała moim życiem. Oh Yongje przez siedem lat czekał na swój czas. Zmusił mnie do tułaczki, żeby nikogo

nie obchodziło, gdy zniknę na zawsze. Nie było mu łatwo siedzieć z boku i patrzeć, jak żyje syn człowieka, który zabił jego córkę. Tak naprawdę nigdy przed nim nie uciekłem. Pan Ahn musiał się tego domyślić dawno temu, a Yongje wiedział o śledztwie pana Ahna. Ale czy wiedział o powieści?

Zrobiłem kawę. Była na tyle mocna, że poczułem mrowienie na języku. Odłożyłem na bok troskę o pana Ahna i zacząłem się zastanawiać na radą Mun Hayong.

„Chcę, żeby Pan powiedział chłopcu, by wykorzystał mnie jako kartę przetargową, jeśli zajdzie taka potrzeba. To zadziała przynajmniej raz. Podaję mój numer telefonu komórkowego: 0033 634 67 72 32”.

Kiedy nadejdzie ten dzień, przyjdzie po mnie. Nie miałem zamiaru na niego czekać. I nie chciałem uciekać. Wyciągnąłem czystą kartkę, chwyciłem długopis i zacząłem pisać list pożegnalny. Zapisywałem go w głowie mnóstwo razy, więc teraz wszystko zajęło mi mniej niż dziesięć minut. Ludzie zwykle nazywali to listem pożegnalnym, ale ja miałem konkretny cel – chciałem zwabić Oh Yongje na otwartą przestrzeń. Do pudełka włożyłem listy, powieść, materiały pana Ahna i dysk USB. Pudełko ukryłem nad wentylatorem sufitowym w łazience. Na biurku zostawiłem but do koszykówki i laptopa pana Ahna. Z jednorazowej maszynki do golenia wyjąłem ostrze, rozerwałem w dżinsach tylny szew w pasie, wsunąłem tam żyłkę, a potem zszyłem go z powrotem luźno, aby móc w mgnieniu oka go wyrwać. Pozostawiłem długą nić i ją schowałem. Nałożyłem zegarek pana Ahna, ten z funkcją nagrywania głosu. Założyłem kurtkę i czapkę, wsunąłem list do kieszeni i nasunąłem latarkę czołową na głowę. Zbliżała się północ. Przez ramię przewiesiłem sobie linę asekuracyjną. Wyszedłem z domu i poszedłem w kierunku latarni morskiej. Jej światło migotało nad oceanem. Mroczny horyzont pojawiał się między błyskami światła, po czym znikał. Pomyślałem o jedenastoletnim chłopcu stojącym na skraju pola sorgo, patrzącym na latarnię morską za górą. O czym myślał, czując we mgle zapach oceanu? Co uwięziło jego duszę w zarośniętej studni? Czy w końcu jest wolny?

Latarnia morska znajdowała się w pobliżu gęstego sosnowego lasu. Na ścieżce zauważyłem ślady opon z wczoraj. Przypomniałem



sobie mężczyznę stojącego obok latarni, patrzącego na mnie. Zastanawiałem się, czy w lesie jest teraz ukryty samochód, ale nie szukałem go. Musiałem zachowywać się tak, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Moje zmysły były wyostrzone, uwagę skupiłem za moimi plecami, ale nie mogłem wychwycić żadnego znaku.

Drzwi do latarni nie były zamknięte. Otworzyły się lekko, jakby ktoś niedawno nasmarował zawiasy. W środku panowała ciemność. Zapaliłem światło i zobaczyłem spiralne schody wijące się w górę. Wszedłem na nie i ruszyłem na pierwsze piętro, ale tu drzwi były zamknięte. Wszedłem wyżej. Znałem to miejsce. W przeszłości bywałem w latarni, kiedy się nudziłem. Przypomniałem sobie pokój z balkonem. To tam dawno temu mieszkał latarnik. Opuszkami palców pchnąłem drzwi, zrobiłem krok do środka i zamknąłem je za sobą. Nacisnąłem włącznik światła i ze zdziwieniem stwierdziłem, że nadal działa. Było troje drzwi: wejściowe, którymi wszedłem, drzwi do wieży i stalowe na balkon z małym oknem i okiennicami.

W pomieszczeniu wciąż były rzeczy latarnika: generator, składane łóżko z wojskowym kocem, drewniane krzesło i biurko. Przy przeciwległej do wejścia ścianie stał długi stalowy piec w kształcie skrzyni. Obok leżała niewielka ilość drewna opałowego. Wieko było otwarte. W środku zobaczyłem nadpalone drewno. Było też kilka nowszych rzeczy. Grzejnik elektryczny, mydło na zlewie, ręcznik na ścianie, kosz na śmieci wypełniony pustymi pojemnikami na lunch ze sklepu spożywczego. Zdecydowanie przeszedłem na balkon. Otworzyłem drzwi i uderzył we mnie wiatr. Lina na moim ramieniu smagnęła mnie w twarz i zatoczyłem się. Zamknąłem za sobą drzwi i przykucnąłem na balkonie. Jeden koniec liny owinąłem wokół belki, a z drugiego zrobiłem pętlę. Założyłem ją na szyję. Wstałem, zerknąłem w dół i przygotowałem się, by wspiąć się na drugą stronę balustrady. Poczulem czyjeś spojrzenie na moim karku. Oczy patrzyły na mnie przez boczne okno w pokoju. A więc nadszedł czas. Podniosłem nogę, przerzuciłem ją przez balustradę i pochyliłem się do przodu. W tym momencie oddech uwiązał mi w gardle. Zanim zdążył zdmuchnąć mnie wiatr, ktoś złapał mnie od tyłu. Jego silny, mocny uścisk praktycznie mnie dusił. Musiał być dużym mężczyzną.

Zacząłem się opierać, wykrzykiwać wszelkiego rodzaju wulgarne przekleństwa, wijąc się, kopiąc i rzucając. Przy tym cały czas pilnowałem się, żeby nie spaść z krawędzi. Mój prześladowca sam rzucał różnymi przekleństwami, kiedy wciągał mnie z powrotem na balkon. Nie musiałem wymyślać odpowiedniego momentu, żeby przestać się opierać, bo zemdlałem.

Gdy doszedłem do siebie, przez ułamek sekundy wydawało mi się, że jestem w samochodzie, w drodze powrotnej nad jezioro Seryong. Ale nie byłem. Rozejrzałem się. Nadal znajdowałem się w latarni. Miałem związane ręce i nogi. Oh Yongje siedział na krześle przy biurku, założył nogę na nogę. Mężczyzna, który mnie złapał, stał przy wejściu do pokoju z rękami schowanymi za plecami.

– Obudziłeś się?

Yongje miał krótkie włosy, czarne oczy z ogromnymi źrenicami, zgrabną linię szczęki i wysoką, szczupłą sylwetkę. Był dokładnie taki, jak go zapamiętałem, jakby nie postarzał się nawet o jeden dzień. Poczułem, że żyły mi pulsują. I tak oto spotkaliśmy się ponownie.

– Minęło sporo czasu. Siedem lat? – Jego głos był łagodniejszy, niż zapamiętałem.

Gdyby nie oddychał tak szybko, nie wiedziałbym, że jest podekscytowany. Na biurku obok niego leżała moja listonoszka. Zabrali wszystko z mojego biurka, ale wyglądało na to, że nie znaleźli rzeczy, które schowałem pod sufitem łazienki.

– Chciałeś się zabić?

– Właśnie miałem skoczyć na bungee.

Sprawdziłem swój prawy nadgarstek. Zegarek pana Ahna wciąż tam był. Wsunąłem palec za pasek spodni i dotknąłem krawędzi nici. Ostrze wydawało się nienaruszone. Yongje wyciągnął list z więzienia.

– Nie możesz być tak impulsywny. Masz coś do zrobienia jutro rano.

– Nie mam nic do zrobienia. – Nie odrywałem wzroku od krawędzi biurka, żeby zachować spokojny wyraz twarzy.

– Co takiego? Był twoim ojcem.

– Nie mam ojca.

Yongje uśmiechnął się dziwnie.

– Naprawdę? Kochałeś go.

– Teraz mi na nim nie zależy.

– Teraz, teraz. – Yongje zacmokał. – To niebezpieczny sposób myślenia. Wiesz, może zakończyć niewinne życie.

Czy mówił o panu Ahnie? Spojrzałem na niego. Yongje się uśmiechnął.

– Jest idiotą, ale przyjął cię i wychował, kiedy nikt nie chciał mieć z tobą nic wspólnego. Uratował ci życie. Czas odwdzińczyć mu się za przysługę. Jutro rano pojedziesz do Uiwang po ciało ojca, a potem nad jezioro Seryong.

– Nigdzie nie pojedę.

– Pojedziesz. Ponieważ twój pan Ahn pojedzie z nami. – Yongje zwrócił się do mężczyzny pilnującego drzwi. – Przyrowadź go.

Minutę później wrócił. Przerzucił przez ramię ciało i zrzucił je obok pieca naprzeciwko mnie. To był pan Ahn, zgarbiony, z rękami skutymi za sobą i skrępowanymi sznurem w nadgarstkach. Był nieprzytomny, jak się spodziewałem. Jego widok w takim stanie, całkowicie bezbronny, przeraził mnie. Poczułem, że moja równowaga wewnętrzna, którą ledwo utrzymywałem, zaczyna się chwiać.

– Nie martw się, żyje. Po prostu ucina sobie miłą, długą drzemkę. Rób, co ci każę, a na pewno się obudzi.

Przypomniałem sobie, że Yongje był dentystą. Dentystą z dostępem do środków znieczulających. Lekarzowi jest tak łatwo zdobyć leki, jak bogaczowi zdobyć pieniądze. Ale czy ten człowiek nadal pracował jako lekarz?

Przyszła mi do głowy irracjonalna myśl. Pomyślałem o scenie z powieści pana Ahna, w której Yongje idzie do stodoły i wlewa narkotyki do wody Erniego. Dlaczego odurzył zwierzę i wyrzucił je ze mną na Hansoldung? Dlaczego miałby zadać sobie tyle trudu? Wróciłem myślami do kotów, które wiele lat temu zniszczyły mu jego misterną konstrukcję.

Może jego obsesyjny umysł nie pozwoliłby mu zostawić za sobą niezłatwionych spraw bez względu na to, jak były małe. Jednak Ernie w sposób niezamierzony zmienił bieg wydarzeń – ten kot uratował mi życie. A przecież miałem utonąć i umrzeć na oczach taty.

W każdym razie czy jest lepsze miejsce, aby zmienić kogoś w szaleńca, niż jezioro Seryong w nocy?

Strażnik powrócił na swoje stanowisko przy drzwiach, czekając na rozkazy. Jego rozłożyste ramiona były tak szerokie jak maska samochodu. Czy był jednym z mężczyzn w uniformach, którzy porwali mnie siedem lat temu? Czy z tego żyje? Ciekawe, ile zarabia. Yongje płaci mu od łebka czy ma stawkę godzinową? A może to zależy od poziomu trudności zadania? Czy ma umowę na czas określony? Miałem ochotę o to zapytać.

– Poczekaj za drzwiami – rozkazał mu Yongje.

Mężczyzna skłonił się i wyszedł. Yongje podniósł list pożegnalny i przeczytał go. Wyglądał na rozbawionego. Chichotał przez cały czas, gdy go czytał. Zerknąłem na pana Ahna, który wciąż leżał nieruchomo twarzą w dół.

Na razie wszystko toczyło się, jak przewidywałem, gdy rano wychodziłem z domu.

Oh Yongje mnie potrzebował, bo tylko ja mogłem odebrać ciało taty. Przede wszystkim musiał zapobiec samobójstwu. Poza tym spodziewałem się, że zobaczę pana Ahna, jak tylko dojdzie do mojego spotkania z Yongje. Musiałem go jakoś nakłonić do przyznania się do zabicia mojej mamy – i to nagrać. Postanowiłem, że pojadę z nim, by odebrać ciało taty. W więzieniu, nawet z nim obok mnie, miałem szansę kogoś zaalarmować. Możliwe, że naraziłbym pana Ahna na poważne niebezpieczeństwo, ale nie było lepszej opcji. Lecz teraz, kiedy prawie martwy pan Ahn był tuż przede mną, zawahałem się. Czy to naprawdę najlepszy plan?

– Chcę cię o coś zapytać – powiedziałem. Nacisnąłem przycisk nagrywania na zegarku pana Ahna. Yongje spojrzał na mnie. – Jak zamierzałeś pozbyć się taty i mnie tamtej nocy? Gdybyś nas zabił, byłoby jasne, że zostaliśmy zamordowani. I byłbyś głównym podejrzanym. Pan Ahn wciąż żył i wiedział, co się dzieje.

– Jak miło, że się o mnie troszczysz – powiedział Yongje z uśmiechem. – Nie musiałem się martwić o twojego pana Ahna. Gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, nic by nie zobaczył. Twój tata byłby wszystkiemu winny.

– Ale dlaczego musiałeś to zrobić mojej mamie?

– Słyszałem w wiadomościach, że zabił ją twój tata.

– Pytam, dlaczego ją nachodziłeś.

– Ja? Kto ci nagadał takich rzeczy? Twoja mama? – Yongje zachichotał.

– Słyszałem, jak przez telefon opowiadała o tym mojej cioci. Powiedziała jej, że za każdym razem, gdy miała nocną zmianę, przychodziłeś do stróżówki i ją podrywałeś. Czuła, że musi zrezygnować. To dlatego pan Yim patrolował okolicę za nią i robił wiele innych rzeczy. Powiedział jej nawet, żeby zamykała okno i nie otwierała go, jeśli przyjdiesz.

– Tak powiedziała? Że ja, Oh Yongje, nachodziłem kogoś takiego jak ona?

Mężczyzna ponownie założył nogę na nogę. Wyglądał na urażonego. Nie chodziło o to, że był podejrzany o molestowanie, ale o to, że moja mama wcale mu się nie podobała.

– Moja mama była bardzo zdenerwowana – kontynuowałem. – Pamiętam, jak mówiła: „Co on sobie myśli?”.

– Wiesz, jaki był problem tej suki? – Yongje odłożył mój list. – Jej jadaczka. Kilka razy chciałem ją wyrwać i zawiesić jej na uchu.

Uśmiechnąłem się niewyraźnie.

– Rozumiem. Moja mama była bardziej pruderyjna, niż na to wyglądała. Odrzuciła cię, a tobie obniżyła się samoocena.

Twarz Yongje się napięła, a nozdrza rozszerzyły.

– Słuchaj, dzieciaku. Nigdy nie chciałem mieć twojej matki, chociaż miałem ochotę ją zabić wiele razy. Była koszmarna. Nie potrafiła wykonać najprostszego polecenia. Tamtej nocy powinna była zostać w bibliotece, gdzie ją związałem. Ale ona wyczołgała się z kijem baseballowym i wpadła na mnie na mostku, kiedy opuszczałem teren. Nawet wtedy nie przestawała mi wymyślać. Byłem w złym humorze. Zmiażdżyła mi plecy kijem. Miałem złamany nos. Stała mi na drodze, a ja nie chciałem tracić na nią czasu. Skoro ta suka chciała mnie uszkodzić, nie miałem wyboru.

– Więc ją zabiłeś.

– Po prostu ją ukarałem. Na wieczność.

Spojrzałem w milczeniu na Yongje.

– Pozwól, że też cię o coś zapytam – powiedział Yongje, podnosząc but. – Skąd go masz? Myślałem, że został zmieciony wraz ze wszystkim tamtej nocy.

Byłem oszołomiony. Nie wysłał go? Więc kto... Zerknąłem na pana Ahna i nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Uniósł kciuk za plecami, wykonując wirujący gest. To był nasz sygnał do nurkowania: „Wypuść boję SOS”. Nagle zdałem sobie sprawę, co mam zrobić.

– Puść pana Ahna, a przyniosę ci ciało taty. – Wiedziałem, że nigdy na to nie pójdzie.

– Dzieciaku, nie będę się z tobą targował.

– A co z Mun Hayong?

Yongje zmarł.

– Zamieńmy go na nią – zaproponowałem.

W reakcji na moje słowa zaczął się śmiać.

– Jest w kwiecie wieku – dodałem.

Yongje przestał się śmiać.

– W zeszłym miesiącu wyszła za Francuza o imieniu Philippe. Pod jabłonią u nich na podwórku.

Jej temat to była dla niego zdecydowanie drażliwa sprawa.

Zbliżył się do mnie i uderzył mnie czymś w skroń. Zadzwonilo mi w uszach i wszystko się zakotłosało. Poczulem, jak coś ciepłego splywa mi po policzku. Udało mi się skupić wzrok na tym, co trzymał w ręce. Pistolet. Z tłumikiem.

– Co powiedziałeś? – warknął.

Przypomniałem sobie list Mun Hayong.

– Przebyłeś całą drogę do Rouen, żeby ją znaleźć, ale aresztowali cię w szpitalu. Philippe to człowiek, który pomógł jej uciec. Kiedy ty szukałeś tłumacza i prawnika, a potem zostałeś deportowany, ona się zakochała.

Zniecierpliwiony ponownie zamachnął się na mnie bronią. Czulem się zamroczony.

– No dalej – syknął.

W tym momencie poza bólem wydawało mi się, że chwilami tracę świadomość. Nie byłem już wcale tak pewien, że nie pociągnie za spust. Pan Ahn wciąż leżał na brzuchu, ale teraz zginał nogę do tyłu, jakby ćwiczył jogę, próbując rozwiązać sznur rękami skutymi w kajdanki. Spojrzałem na broń.

– Jak mogę mówić dalej, kiedy to trzymasz? Za bardzo się boję, żeby trzeźwo myśleć.

Tym razem ręką trzymającą pistolet uderzył mnie w gardło. W głowie mi brzęczało. Poczujęm chłód. Teraz naprawdę bałem się tego szaleńca. Nie obchodziło go, że może przypadkowo pociągnąć za spust. Jak Hayong wytrzymała z tym wariatem przez dwanaście lat?

Zerknąłem na pana Ahna. Pracował nad węzłami, ale nie robił żadnych postępów. Wyglądało to tak, jakby próbował zgąć deskę surfingową.

– Mów, jeśli nie chcesz skończyć z połamanymi kończynami. Jak się o niej dowiedziałeś?

– Ciężko mi mówić. Uderzyłeś mnie w gardło – mruknąłem.

Mój głos był najwyraźniej głuchy. Prawie jak bełkot. Yongje przechylił głowę.

– Co?

– Powiedziałem, że napisałem do niej.

– Napisałeś do niej?

– Napisałem jej, że chciałbym się dowiedzieć czegoś o tobie. Odpisała mi i opowiedziała wszystko o tobie i twoich niepowodzeniach.

Yongje przez chwilę milczał. W końcu usiadł na krześle, wycelował broń w moją twarz i rozsiadł się wygodnie. Pan Ahn wrócił na swoją pierwotną pozycję, pozornie nieprzytomny.

Yongje machnął pistoletem.

– Dalej.

– Oto, co mi powiedziała: „To nie był pierwszy raz, kiedy uciekłam od męża. Zrobiłam to już wcześniej dwukrotnie. Dwa razy z córką i ostatni raz sama. Podczas dwóch pierwszych ucieczek wpadłyśmy w ręce ludzi zwanych Wsparciem. Posyłał ich za nami mój mąż. Zlokalizowali nas w zaledwie dwa dni, ale na jego rozkaz zostawili nas w spokoju na tydzień, żebyśmy zmagaly się z lękiem i ze strachem. Kiedy skończyły mi się pieniądze i zaczęłam panikować, zastanawiając się, jak przeżyjemy, wysłał po nas kogoś. Gdy wróciłyśmy do domu, serdecznie nas powitał. Nawet mnie nie dotknął i był tak miły, że powinnam była żałować, że go opuściłam. Obdarował mnie drogimi prezentami. A potem, kiedy już straciłam czujność, stawał się jeszcze straszniejszy. W ten sposób mnie oswoił.

Odnalezienie mojego miejsca pobytu nie było dla męża trudne. Mieszkaliśmy w małym miasteczku. Żeby się z niego wydostać, trzeba mieć auto. Chociaż obdarowywał mnie mnóstwem rzeczy, nigdy nie kupił mi samochodu i nigdy nie pozwolił mi zrobić prawa jazdy. Za każdym razem musiałam jechać autobusem lub taksówką, żeby się gdziekolwiek dostać. Nie miałam też własnych pieniędzy. Nie pozwolił mi pracować ani nie mogłam nigdzie wyjść bez jego wiedzy. Żyjąc w ten sposób przez dwanaście lat, nie wiedziałam już, jak przetrwać w świecie zewnętrznym. Byłam jak kot, który nie jest w stanie złapać ani jednej myszy poza domem”.

Mięśnie twarzy Yongje się napięły, źrenice się poszerzyły. Wydawało się, że nie miał żadnych wątpliwości co do autentyczności mojej korespondencji z jego żoną. Wyglądał na zaciekawionego, co będzie dalej.

– „Ina, która zdała sobie sprawę z mojego trudnego położenia, opowiedziała wszystko mojemu ojcu, a on zaczął szukać sposobu, aby zapewnić nam bezpieczeństwo i przejąć opiekę nad nami. Począwszy od nocy, w której poroniłam, zaczęłam wcielać w życie rady mojego prawnika. Zajęło mi to dużo czasu, bo przygotowywałam się krok po kroku”.

Panu Ahnowi w końcu udało się odgiąć do tyłu i chwycić swoje kostki. Wsunąłem palec za pasek i lekko pociągnąłem za nić. Szew pękł i w dłoni trzymałem żyłkę.

Kontynuowałem opowieść Hayong:

– „Zbierałam dowody: nagrania, zaświadczenia lekarskie i zdjęcia. Wszystko wysyłałam mojemu ojcu. Dostałam paszport i prawo jazdy, otworzyłam konto bankowe i zaczęłam zbierać na prawników. Oszczędzałam na wydatkach na życie. Pod pretekstem lekcji gotowania pojechałam z córką szkolnym autobusem do miasta S i sprzedałam złotą biżuterię, torebkę, a nawet zegarek. Wcześniej na bazarze kupiłam podobne podróbki, żeby nie zauważył. Jednak po dwóch latach postępowania w ten sposób nadal nie byłam gotowa do działania. Bałam się go, a najbardziej się bałam, że do niego wrócę, bo nie zdołam pokonać trudności. Obawiałam się, że z powodu mojej głupoty i słabości stracę tę jedyną w życiu okazję”. – Przeciąłem delikatnie linę, tak żeby moje ramiona się nie poruszyły.



Pan Ahn rozwiązywał sznur wokół kostek. Emocje Yongje rosły i wydawało się, że zupełnie zapomniał o mężczyźnie leżącym przed piecem. – „Nasza rocznica ślubu dała mi pretekst do ucieczki. Po tym, jak tamtej nocy pobił mnie prawie na śmierć, zaczęłam szukać telefonu alarmowego wzdłuż drogi. Ciemność w moim życiu była straszniejsza niż przełęcz Hangyeryong. Czułam, że jeśli uda mi się wydostać poza zasięg jego rąk, mogę w zamian pójść nawet do piekła. Byłam gotowa.

Odebranie mi telefonu, pieniędzy, porzucenie gdzieś w ciemnym miejscu było ulubionym sposobem mojego męża na ukaranie mnie, zaraz po gwałcie. Dlatego zawsze trzymałam awaryjne pieniądze pod podeszwą buta. Tego dnia miałam kilka czeków po sto tysięcy wonów. Miałam też kartę kredytową w mojej sekretnej skrytce pocztowej. Dotarłam na międzynarodowe lotnisko Incheon i kupiłam bilet w jedną stronę do Francji. Wsiadłam do samolotu, zanim zmieniłam zdanie”.

Pan Ahn poluzował sznur wokół kostek.

– „Muszę już kończyć. Philippe woła mnie z dołu. Och, prawie zapomniałam. W przyszłym tygodniu planuję przenieść się do Amiens. Mój nowy adres to...”

Przestałem mówić. Lina na moich plecach była prawie zerwana. Yongje zacisnął usta, wstrzymując oddech. W milczeniu obserwowałem, jak wyciąga z kieszeni kurtki długopis.

– Podaj adres.

– Nie mówię po francusku, więc nie umiałem przeczytać.

– Przeliteruj.

Yongje przełożył pistolet do lewej ręki i czekał, aż podam mu adres.

– Dwadzieścia cztery, R-u-e d-e l-a L-i-b-é-r-a-t-i-o-n osiem-zero-zero-zero-zero, Amiens, Francja.

Pan Ahn stał w milczeniu tuż za plecami Yongje. Jego ręce wciąż były skute kajdankami, ale na nogach stał pewnie. Nadszedł czas na kontratak.

Yongje spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Skąd mam wiedzieć, że tego nie zmyślasz?

– Mam jej numer telefonu komórkowego. Może do niej zadzwonisz i sam ją zapytasz?

Yongje upuścił długopis.

– Daj mi go. Teraz – zażądał.

Wzięłam krótki oddech i dwukrotnie sprawdziłem numer w mojej głowie: 0033 634 67 72 32. Podałem mu go.

Yongje wybrał numer. Jego oczy były ciemne jak otchłań. Pistolet wciąż celował w moje czoło, jakby zamierzał odesłać mnie prosto do grobu, jeśli ona nie odbierze. Słyszałem sygnał telefonu. Wtedy dobiegł mnie kobiecy głos. Nie zrozumiałem, co powiedziała; widziałem tylko, jak Yongje prawie ślinił się z wściekłego podniecenia. Odepchnął krzesło, wstał i zawołał:

– Mun Hayong!

Uwolniłem ręce. Pan Ahn wytrącił broń z ręki Yongje, a następnie uderzył go prosto w podbródek. Głowa Yongje odskoczyła do tyłu, gdy upadał. Pistolet zagrzecotał i poleciał w stronę drzwi. Rzuciłem się tak mocno, jak tylko mogłem, i chwyciłem broń. Wciąż miałem związane kostki. Usiadłem przy drzwiach i szybko przeciąłem sznur krępujący mi nogi. Mężczyzna na zewnątrz zaczął uderzać ramieniem w stalowe drzwi. Przygotowałem się na to. Trzymałem pistolet, ale nie miałem pojęcia, jak go użyć. Pomyślałem, że będę mieć szczęście, jeśli przypadkowo się nie zastrzelę. A pan Ahn, prawdopodobnie wyborowy strzelec, wciąż był zakuty w kajdanki. Na zewnątrz było teraz co najmniej dwóch mężczyzn. Kiedy broniłem drzwi, pan Ahn nadepnął na Yongje, który uderzył tyłem głowy w piec. Potem go kopał, aż ten stał się bezwładny. Mężczyźni walili w drzwi i krzyczeli: „Otwierać!”. Pan Ahn pomógł mi się z tym uporać.

– Dobra. Liczę. Na trzy przesunij się w bok i wyceluj w nich broń – poinstruował mnie.

Skinąłem głową.

– Raz, dwa...

Na trzy puściliśmy się i odskoczyliśmy w bok.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i dwóch mężczyzn wpadło do środka z wycelowaną w nas bronią. Ja też w nich wycelowałem.

Żaden z nich nie przypominał faceta, który był tu wcześniej. Mieli ze sobą odznaki detektywów.

– Och. W końcu nas znaleźliście – powiedział pan Ahn.

Pan Ahn i ja wsiedliśmy z detektywami do karetki. Byli to ci sami funkcjonariusze, którzy prowadzili śledztwo w sprawie tragedii nad jeziorem Seryong siedem lat temu. Piętnaście minut później dotarliśmy do szpitala w Haenam. Na głowie miałem rozcięcie, ale szwy nie były potrzebne. Lekarze powiedzieli, że pan Ahn musi zostać w szpitalu z powodu leków, które podał mu Oh Yongje. Nie pojmowałem, jak udało mu się w jego stanie zmusić Yongje do uległości. Zastanawiałem się, czy to noga pana Ahna, czy samego Boga powaliła go w latarni. Pan Ahn trafił na oddział intensywnej terapii. Leżał w izolatce w łóżku pod dwoma kroplówkami. Okna sali wychodziły na las za szpitalem. Na zewnętrznej klamce pielęgniarka powiesiła tabliczkę z napisem „Zakaz wizyt”. Detektywi siedzieli przy łóżku, a ja na kaloryferze i opowiadałem im wszystko, co się wydarzyło od otwarcia paczek od pana Ahna do chwili, gdy oni wpadli do środka. Zdjąłem z ręki zegarek i im go podałem. Powiedziałem, gdzie schowałem rzeczy pana Ahna.

– Wciąż nie rozumiem, kto je do mnie przysłał – podsumowałem. – Wygląda na to, że to nie Oh Yongje.

Starszy detektyw spojrzał na pana Ahna.

– Ja to zrobiłem – powiedział pan Ahn, unikając kontaktu wzrokowego.

– Co?! – Tylko ja byłem zszokowany tym odkryciem.

– Poprosiłem przewodniczącego klubu młodzieżowego, aby dostarczył je tak, jakby przyszedł przez posłańca.

– Ale dlaczego?

Poczułem się, jakby kamień uderzył mnie w tył głowy. Pan Ahn popatrzył najpierw na mnie, potem na detektywów. Skinął głową. Zrozumiałem – chciał o tym porozmawiać później.

– Jak tylko wyszedłem z domu, złapałem gumę. W pobliżu latarni morskiej wysiadłem z auta, żeby rzucić na to okiem. W jednej z tylnych opon była dziura. Wyjmowałem zapasowe koło, kiedy nagle bardzo blisko mojego samochodu zatrzymał się jeep. Gdy zobaczyłem wysiadających z niego dwóch facetów, wiedziałem, że chodzi im o mnie. Złapali mnie za ramiona, poczułem ukłucie w kark, potem nogi mi się ugięły i straciłem przytomność. Zrobiło się ciemno. Nie pamiętam, co było potem. Wygląda na to, że uśpili mnie w latarni

morskiej. Zawsze myślałem, że może to się stać w arboretum albo w stodole. Latarnia morska nie przyszłaby mi do głowy.

Na tym zakończyła się historia pana Ahna. To było tylko stwierdzenie bez kontekstu. Po twarzach detektywów widziałem, że się zgadzają.

– Nam też nie – powiedział starszy detektyw. – Po pańskim telefonie zaczęliśmy obserwację w pobliżu apteki, ale żaden z tropicieli nigdy nie opuścił wioski. Po północy w ogóle się nie przemieszczali. Po godzinie obserwacji zorientowaliśmy się, o co chodzi. Cały czas mieliśmy ich przed sobą. Po prostu czekaliśmy na ich ruch. A nasi ludzie czatowali w pobliżu miasta S. Poprosiłem o wsparcie ze stacji Haenam i pospieszyliśmy do latarni. Złapaliśmy kogoś pod sosną i znaleźliśmy w lesie pana furgonetkę. Wiecie, co było w ich aucie?

Pan Ahn milczał.

– Przedmioty wykonane przez Oh Yongje, kawałek drewna z pańskiej powieści. Trumna. Leżała na kawałku czarnego marmuru. Na wieku trumny była tabliczka z wyrytym napisem: „Choi Sowon, uczeń”. Planowali cię utopić – powiedział detektyw, patrząc na mnie. – Prawdopodobnie was obu. Niewinni mieszkańcy piliby wodę po trupach. – Włożył notes do kieszeni. – Powinniśmy wracać. Czy ma pan jakąś prośbę?

– Moja furgonetka. Możecie ją tu przywieźć? – zapytał pan Ahn.

– Tutaj? Planuje pan pojechać do Uiwang?

– Musimy.

– Czy nie lepiej zorganizować karawan? Musi być sporo rzeczy do przygotowania.

– Mam już portret i całun. Powinny nadal być w moim bongo. Może pan nam załatwić garnitury?

Detektyw przytaknął i podszedł do mnie. Rozpiął kołnierzyk mojej kurtki, wyjął coś wielkości zapalniczki i wyszedł ze swoim partnerem. Stałem zaintrygowany, wpatrując się w pana Ahna.

Pan Ahn spojrzał nonszalancko na ścianę.

– Myśli pan, że z Mun Hayong wszystko w porządku? Musiała być zszokowana, kiedy zadzwonił – powiedziałem, żeby tylko skłonić go do rozmowy.

Pan Ahn poczynił zaskakującą uwagę:

– Ty decyduj – powiedział, nie odpowiadając na moje pytanie. – Chcesz go skremować czy pochować?

Tym razem zaniemówiłem.

– Jeśli pochować, tutaj na wzgórzu jest odpowiedni teren. Rozmawiałem z właścicielem ziemi. Jeżeli warunki będą odpowiednie, sprzeda działkę.

Tymi słowami sprowadził mnie na ziemię.

– Gdyby chodziło o mnie, nie chciałbym być uwięziony pod ziemią.

Pan Ahn skinął głową i zadzwonił do krematorium Byokje. Zarezerwował piątą po południu. Znowu zapadła cisza. Wydawało się, że jest zdeterminowany, by nie rozmawiać, dopóki go o coś nie zapytam.

– Dlaczego napisał pan tę powieść?

– Poproszono mnie o to. – Pan Ahn wciąż wpatrywał się w ścianę.

– Kto o to poprosił?

– Szef.

Nie byłem w stanie wypowiedzieć słowa. Mój tata? O ile wiem, była tylko jedna osoba, którą nazywał szefem. Nie odważyłem się nawet zapytać, czy to o nim mówił.

– Zastanawiałem się, co by się stało, gdybym zdołał zmusić go do przyznania się lub... na niego doniósł. Nic z tego, co się wydarzyło, nie miałoby miejsca. Ale czekałem. Powtarzałem sobie, że twój tata prosi o czas, by uporządkować swoje sprawy przed przyznaniem się. Tamtej nocy na komisariacie uświadomiłem sobie, jakie były moje motywy. Detektyw powiedział: „Chciałeś się dowiedzieć, co się stanie pod koniec twojej powieści”. Musiałem przyznać, że to prawda. – Pan Ahn mówił dalej: – Znasz syndrom niebieskiej kuli? Chodzi mi o agorafobię, której doświadczamy w oceanie, gdy zdajemy sobie sprawę, że jesteśmy sami na ogromnym dnie. Kiedy uderza cię wrażenie samotności, reszta twojej świadomości skupia się na strachu. Stajesz się tak przerażony, że zapominasz wypuścić oddech. To właśnie zrobiła ze mną ta tragedia. Za każdym razem, gdy otwierałem laptopa, żeby pisać, po prostu widziałem niebieską kulę. Im bardziej starałem się znaleźć wyjście, robiło się coraz głębiej i głębiej. Zagubiłem się

w tym ciemnoniebieskim wszechświecie. Dlatego zająłem się ghostwritingiem. Nie musisz szukać własnej drogi, możesz nadać sens temu, co ktoś ci mówi. To było takie wygodne, jak bieganie w pobliskim parku. Nie musiałem się martwić, że się zgubię, miałem poczucie bezpieczeństwa, że wciąż piszę, a nawet zarabiam na życie, więc to był sukces. Bolało mnie tylko, że to nie była moja książka i że moje życie jako pisarza dobiegło końca. Kiedy tylko czułem się przygnębiony moją karierą, pisałem o tobie. Mogłem to robić nieustannie i nie czułem, że jestem jak dziecko we mgle. Zapisywałem, co czytasz, jakie masz opinie, co jadasz, co ci się podoba, a co nie, jak się zachowujesz, gdy jesteś zdenerwowany, zły lub zdezorientowany, jak bardzo poprawiło się twoje nurkowanie, jak długo wytrzymałeś w ostatniej szkole. Pod koniec każdego miesiąca wysyłałem to twojemu tacie, chociaż nie odpisywałem.

Nigdy nie bałem się morza. Nigdy nie doznałem syndromu niebieskiej kuli i nigdy nie napisałem żadnej powieści. Nie rozumiałem bólu zagubionego pisarza. Wiedziałem jednak, że nie miał powodu, aby poświęcać całe swoje serce komuś, z kim mieszkał tylko przez jakiś czas.

– Od dawna wątpiłem w śmierć Oh Yongje. Byłem pewien, że to on cię ściga. Nie przychodziło mi do głowy, żeby ktokolwiek inny mógł to zrobić. Poza tym jego ciała nigdy nie odnaleziono. Nie jest typem, który pozwoliłby ci żyć w spokoju. Można mieć wrażenie, że nie robił nic przez lata. On po prostu spychał cię na skraj społeczeństwa, jakby wypędzał szczura z nory. To było jeszcze dziwniejsze i bardziej złowieszcze. Szukałem go, ale nikt go nie widział. Nikt: ani jego krewni, ani znajomi z pracy, ani dozorca, ani sąsiedzi. W zeszłym roku w lipcu, kiedy mieszkaliśmy w Taeon, nagle sobie uświadomiłem, że powinienem skontrolować jego majątek. W środku nocy sprawdziłem w internecie rejestry aktywów i zobaczyłem, że centrum medyczne zostało sprzedane. Może to on korzystał ze swoich praw własności, co oznaczało, że żyje. I to było mniej więcej wtedy, gdy twój tata napisał do mnie po raz pierwszy. Tylko jedno zdanie: „Musimy porozmawiać”.

Pan Ahn zrozumiał, co to oznacza: że mój tata chciał porozmawiać z nim osobiście. Kiedy przybył do więzienia na odwiedzin, zobaczył starego, bezzębego mężczyznę o siwych

włosach i zgarbionych plecach. Ręce miał przywiązane do łańcuchów przy pasie. Podczas chodzenia wlekł za sobą jedną nogę. Czterdziestodwuletni dziadek. Pan Ahn powiedział, że był w szoku. W oczach taty ujrzał wyrzuty sumienia, żal, ból i tęsknotę. W niczym nie przypominał jego szefa. To był jakiś inny Choi Hyonsu, którego nigdy nie spotkał nad jeziorem Seryong.

– Oh Yongje żyje – powiedział panu Ahnowi mój tata. – Przychodzi raz w tygodniu, żeby leczyć moje zęby.

Pan Ahn nic na to nie odparł. Tata potwierdził to, co on przez cały czas podejrzewał. To miało sens. W więzieniu nikt by nie wiedział ani nie dbał o to, kim jest Oh Yongje. Tutaj był tylko kolejnym wolontariuszem. Nie było powodu, dla którego nie mógłby odbyć praktyki medycznej w zakładzie karnym. Tata miał zniszczone uzębienie. Pan Ahn powiedział, że wyglądało to tak, jakby we wnętrzu jego ust wybuchła bomba. Brakowało większości zębów, a te, które się zachowały, uległy próchnicy. Mój tata nigdy nie miał mocnych zębów. Miał zwyczaj zaciskania ich podczas zakładania maski łapacza.

A w noc tragedii stracił ich jedną trzecią w walce z Yongje.

W czerwcu zeszłego roku mój tata usłyszał o dentyście ochotniku w więzieniu i poszedł zapytać, czy mógłby dostać jakieś środki przeciwbólowe.

– Wyglądał mi znajomo, chociaż nosił czapkę i maskę – opowiadał tata panu Ahnowi. – Skinął, żebym się położył na fotelu zabiegowym. Zrobiłem, o co prosił, zastanawiając się, gdzie widziałem te smukłe palce. Lekarz przysunął krzesło do mojej twarzy i usiadł. Nasze oczy się spotkały. Natychmiast go rozpoznałem. Nawet gdyby wyjął gałki oczne i wyrzucił je na pustynię, wiedziałbym, kim jest.

Pan Ahn powiedział mi, że dokładnie wie, co miał na myśli mój tata; że on sam żywo pamięta te czarne jak smoła oczy.

– Za każdym razem, gdy czytałem twoje listy, zastanawiałem się, czy on jeszcze żyje – powiedział mój tata. – Przeżył i uciekł z jeziora Seryong? Kto inny mógłby tak wytrwale ścigać Sowona? A teraz moje podejrzenie się sprawdziło. Byłem przerażony. Do tego stopnia, że drżała mi szczeka. Spojrzałem na jego twarz. Śmiał się bezgłośnie w masce.

– Rozmawialiście ze sobą?

– Powiedział, żebym się nie bał, bo jeszcze nie zaczął. Powiedział też, żebym nie martwił się o zęby, bo załatwi mi komplet protez. Nie planowałem leczenia. Nawet jeśli moje zęby były całkowicie połamane, nie chciałem go ponownie widzieć. Nie chciałem choćby pamiętać jego twarzy. Jeżeli chciał zobaczyć więźnia z celi śmierci Choi Hyonsu, powinien zadowolić się tylko jednym spotkaniem. Wróciłem do celi i usiadłem. Patrzyłem na zdjęcia Sowona, które miałem na ścianie; jak ma czternaście, piętnaście, szesnaście i siedemnaście lat. Za każdym razem jak na nie patrzę, uspokajam się. Tak właśnie robię zawsze, gdy zalewa mnie poczucie winy, ból, żal lub wyrzuty sumienia albo gdy śnię o polu sorgo. Wtedy mogę udać się do innego świata, tak jakbym wziął halucynogen. Do świata z twojego listu. Lecę tam jak duch i obserwuję, jak mój dzieciak wyrasta na mężczyznę. Ale tego dnia nie udało mi się tam przenieść. Dotarła do mnie przerażająca świadomość. Intuicja mi powiedziała, że coś złego dzieje się wokół mojego syna. Wtedy zrozumiałem, co muszę zrobić. Pamiętasz, na jakiej pozycji grałem, gdy byłem zawodnikiem, prawda?

Pan Ahn skinął głową.

– Łapacz musi przewidzieć akcję gry, analizować sytuację i zachowanie przeciwnika, żeby ochronić swoją drużynę. Jestem łapaczem od dwunastego roku życia. Kiedy rzuciłem baseball, zapomniałem o swoim instynkcie, ponieważ myślałem, że w moim życiu nie będzie już zakładów bukmacherskich. Potem wydarzyła się tragedia nad jeziorem Seryong. Od momentu, w którym zabiłem tamtą dziewczynę, do momentu otwarcia śluzy ani przez chwilę nie byłem przy zdrowych zmysłach. Nie wiedziałem, co się ze mną dzieje ani co robię. Do końca widziałem tylko piłkę. Piłkę, którą muszę zatrzymać. Ale tutaj miałem dużo czasu na myślenie. Wiesz, co robiłem w tym więzieniu przez ostatnie siedem lat? Analizowałem moje dwa tygodnie nad jeziorem Seryong. W każdej chwili każdego dnia. Co by było, gdyby... i tak dalej. Wtedy dowiedziałem się kilku rzeczy. Jakim człowiekiem jest Oh Yongje i jak zginęła moja żona. Nie zabiłem jej.

Pan Ahn powiedział, że po raz pierwszy zobaczył emocje w oczach taty. Czerwone, opuchnięte i drżące powieki wystarczyły,



by opowiedzieć o bólu przeszłości.

– Przez tygodnie po tym, jak Oh Yongje przyjechał tutaj po raz pierwszy, próbowałem się dowiedzieć, dlaczego zrobił to akurat teraz – powiedział tata panu Ahnowi. – Co tydzień chodziłem do niego na leczenie, aby uzyskać jakąś wskazówkę. Okazuje się, że jako wolontariusz w więzieniu masz dostęp do wielu informacji. Kiedy strażnik więzienny dzwoni do księdza i przedsiębiorcy pogrzebowego i prosi ich, aby przyszli wcześniej rano następnego dnia, każdy wie, co to oznacza. Egzekucję. Myślę, że właśnie dlatego tu jest. Zaprzyjaźnia się, z kim trzeba, wewnątrz i na zewnątrz więzienia.

– Nie jestem pewien, czy rozumiem – powiedział pan Ahn.

– To jeszcze nie koniec.

– Jak to?

– Dla Yongje ta noc przed siedmiu lat nigdy się nie skończyła. Myślę, że planuje dorwać mnie i Sowona w tym samym czasie. Prawdopodobnie w dniu mojej egzekucji. To przez niego nie mogliście się nigdzie osiedlić. Zmusił was do włóczęgi, żeby nikt was nie odnalazł, gdybyście nagle zniknęli. Kto inny chciałby zrujnować wam życie w taki sposób? Nie wiem, co dokładnie planuje. To wszystko, czego się domyśliłem. Mam nadzieję, że możesz mi pomóc.

Zadzwoił dzwonek i na tym zakończyła się pierwsza wizyta pana Ahna. Gdy strażnicy się zbliżyli, tata wstał.

– Myślę, że po raz ostatni mogę zagrać jako łapacz.

Od następnej wizyty mój tata zaczął opowiadać swoją historię. Pan Ahn słuchał i nagrywał. Kiedy wracał do domu, wyjmował stare akta. Zaczął rekonstruować wydarzenia, uzupełniając je o opowieść taty. W wolnym czasie szukał ludzi, którzy mogliby wypełnić luki. Gdy nadeszła zima, historia nabrała kształtu. Rękopis z nielicznymi pustymi plamami dotyczącymi Oh Yongje pan Ahn wysłał do Mun Hayong. Z jej pomocą historia się rozwinęła. A gdy zbliżało się lato, wróciła do niego wena. Zeszłej jesieni tata przeczytał oprawiony rękopis. Mniej więcej w tym czasie przeszedł badania lekarskie i miał przecucie własnej śmierci. Pan Ahn powiedział mu, że nie był w stanie dowiedzieć się niczego o losie mojej mamy.

– Nie mogłem napisać ostatniego rozdziału.

Tata skinął głową.

– Okoliczności są jasne, ale nie potrafię znaleźć żadnych wskazówek. To nie jest coś, co można napisać na podstawie samych okoliczności.

– Yongje ci o tym opowie.

– Nie ma mowy, żeby mi cokolwiek powiedział.

– Tobie nie, ale powie Sowonowi.

Tata przedstawił swój plan. Najpierw otrzymam powieść i materiały śledcze. Domyślił się, że w pierwszej kolejności zostanie porwany pan Ahn i że jeśli przeczytam tę powieść, moją misją stanie się osobista konfrontacja z Oh Yongje. Potrzebowałem więc kogoś za kulisami, aby pomógł mi w tej sytuacji.

– Porozmawiaj ze starszym detektywem, który pracował nad sprawą. Myślę, że ci pomoże. Przyszedł do mnie zaraz po tym, jak zostałem skazany na śmierć. Zapytał, co zaszło pomiędzy mną a Yongje tamtej nocy i czy naprawdę zabiłem moją żonę. Dodał, że jeśli nic nie powiem, kara śmierci zostanie wykonana. Nie miałem nic do powiedzenia i nie miałem ochoty dalej żyć. Bo myślałem, że to już koniec.

Pan Ahn pokręcił głową.

– Nawet jeśli pomoże, nie możemy narazić Sowona na takie niebezpieczeństwo. Jest jeszcze taki młody i ledwo sobie radzi. To go pchnie na skraj przepaści.

– Baseball jest prosty. Rzucasz piłkę, odbijasz piłkę, przyjmujesz piłkę. Kiedy pałkarz wchodzi na boisko, miotacz musi rzucić, a łapacz złapać piłkę rzuconą przez miotacza. Siedem lat temu Sowon był piłką, którą musiałem uratować. Teraz to on może się sam uratować. Rozumiesz? Wyślę mu znak, a on dokończy sprawę. To jego wybór, czy to zaakceptuje, czy odrzuci. Daj mu tę szansę.

– Dobrze – powiedział pan Ahn. – Ale nie ma gwarancji, że Yongje najpierw zajmie się mną. Może porwać nas obu w tym samym czasie. Wszystko może się bardzo szybko pogorszyć.

– Nie, myślę, że zaczeka, aż Sowon otrzyma zawiadomienie o mojej egzekucji. Pojawi się, kiedy nadejdzie czas, aby odebrać moje ciało. Do tego czasu z radością będzie obserwował, jak mój syn cierpi. Pomyśl o tym. Pokazał mi na żywo obraz z monitoringu

z jeziora, jak Sowon się męczył. Z przyjemnością patrzył na mnie w agonii. Wątpię, żeby stał się bardziej ludzki w ciągu ostatnich siedmiu lat.

– Ale są też inne komplikacje – zaprotestował pan Ahn. – Nie będę wiedział z góry, jaki to będzie dzień.

– Da ci jakoś znać.

– A co, jeśli się mylisz?

– To możliwe – powiedział tata. – Ale koniec jest taki sam bez względu na to, co uczynimy. Wygra, jeśli nic nie zrobimy. Wygra, jeśli źle go oceniliśmy. Ale możemy przerwać ten koszmar, jeżeli mamy rację.

Na początku listopada pan Ahn udał się na posterunek policji w mieście S. Powiedział, że ostatni list Mun Hayong zmusił go do działania. Starszy detektyw, który brał udział w sprawie, wciąż tam był i nie trzeba było wiele, aby go przekonać. Zdążył awansować na kierownika zespołu śledczego. Przejrzał materiały pana Ahna i zgodził się na współpracę, mówiąc mu, że jest to jedyny nierozwiązany przypadek w jego karierze. Oh Yongje musi nas porwać; w przeciwnym razie nie będzie podstaw, by go aresztować. Plan polegał na schwytaniu Oh Yongje na miejscu porwania i zbadaniu sprawy śmierci mojej mamy. Detektyw załatwił panu Ahnowi dwa lokalizatory GPS, a pan Ahn wsunął jeden do kołnierza mojej kurtki. Oczywiście w ogóle tego nie zauważyłem. Mogli określić moją lokalizację za pomocą telefonu.

Dwudziestego szóstego grudnia po południu pan Ahn odebrał telefon od kogoś, kto prosił o napisanie dla niego autobiografii. Pomyślał, że to trochę dziwne. Zazwyczaj taką propozycję zlecali mu ludzie, których znał, lub firmy wydawnicze. Pan Ahn powiedział, że wtedy zdał sobie sprawę, iż był to znak, że Oh Yongje wprowadza w życie swój plan. Ustalono miejsce spotkania. Zadzwoił do detektywa, aby go o tym powiadomić, po czym włożył powieść, materiały, magazyn i but nike do pudełka i poprosił przewodniczącego klubu młodzieżowego, aby mi je przesłał. But nie był mój. Pan Ahn powiedział, że znalazł go na ulicy. Napisał na nim moje imię, pismo przetarł wacikiem nasączonym alkoholem, aby napis zbladł, i trzymał go w swojej furgonetce. Tata poprosił go o to; pomyślał, że nie przeczytam powieści. But był jego sposobem na

zwrócenie mojej uwagi. Po tym, jak pan Ahn wyszedł z domu, detektyw i jego partner planowali udać się na półwysep Hwawon, aby sprawdzić nasze lokalizatory GPS. Członkowie zespołu mieli czekać w mieście S. Jednak przez dwa dni dwójka tropicieli nie opuściła Wioski z Latarnią. Detektywi byli zdezorientowani. Spodziewali się, że zabiorą nas do jeziora Seryong lub do arboretum.

Kiedy pan Ahn skończył mi wszystko opowiadać, usiadłem z powrotem na krześle. Byłem wściekły, ale nie wiedziałem, na kogo ani dlaczego. Około dziewiątej rano detektyw zadzwonił z informacją, że zaparkował furgonetkę za szpitalem. Powiedział, że dziennikarze są w drodze i że przed wyjazdem powinniśmy obejrzeć wiadomości. Włączyłem telewizor. Pojawiły się najświeższe informacje. Najpierw donieśli, że Choi Hyonsu został stracony. Następnie komendant policji z miasta S rozpoczął konferencję prasową, ogłaszając, że Oh Yongje, który od dawna był zaginiony, żyje i że odurzył i porwał syna Choi Hyonsu oraz jego opiekuna, a następnie chciał ich zabić. Wspomniał także o trumnie w jego samochodzie. Oh Yongje został aresztowany pod zarzutem usiłowania zabójstwa, napadu, porwania i uwięzienia oraz złamania prawa medycznego. Jego pomocników oskarżono o to samo. W ogóle nie wspomniano o mojej mamie. Wyłączyłem telewizor. Choi Hyonsu wciąż był jej mordercą, a teraz nie żył. Nic się nie zmieniło. Nadal byłem synem mordercy. Dusze, które zginęły przeze mnie, siedziały mi na plecach. Czy mogę przeżyć resztę życia z nimi na karku? Pan Ahn wyciągnął kroplówkę, wstał i zaczął zmieniać ubranie.

- Czy naprawdę jedziemy do Uiwang? – zapytałem go ponuro.
- Pan Ahn włożył sweter.
- Nie słyszał pan, co powiedzieli lekarze? – kontynuowałem.
- Spojrzał na mnie upartym wzrokiem.
- Powiedzieli, że wszystko w porządku.

Nie, tego nie powiedzieli. Powiedzieli, że nie odkryli niczego poza ostrym zatruciem lekami, zahamowaniem czynności układu nerwowego, arytmia i lekkimi zaburzeniami oddychania. Pan Ahn włożył buty. Byłem niespokojny. Martwiłem się o niego. Czy może

jeździć w takim stanie? Ale nie miałem nawet odwagi mu się sprzeciwić. Bez niego musiałbym jechać z kierowcą wyznaczonym przez detektywa lub poczekać, aż pan Ahn poczuje się lepiej. Nie chciałem robić tego pierwszego, a drugie było niemożliwe. Dotarcie tam zajmuje ponad pięć godzin, a do krematorium musieliśmy dotrzeć do piątej po południu. Zegar wskazywał dwadzieścia po dziewiątej. Opuściliśmy szpital. Z tyłu furgonetki znalazłem duże kartonowe pudło i dwa czarne garnitury. Otworzyłem pudełko. Wewnątrz znajdował się całun i portret. Kiedy pan Ahn to wszystko przygotował? Czy przewidział śmierć taty? Portret wyglądał tak samo jak ten z powieści. Mój tata patrzył w dal, uśmiechał się. W ręce trzymał maskę łapacza. Poczulem gulę w gardle. Do czego się tak uśmiechał?

Przypomniało mi się ostatnie zdanie posta, który napisał kolega ze studiów mojego taty.

Na co wtedy patrzyły i do czego  
uśmiechały się te młode oczy?

Kto wie. Było tylko jasne, że „czymś”, na co patrzyły te młode oczy, nie mogła być szubienica.

– Przebierz się – powiedział pan Ahn.

Spojrzałem na niego oszołomiony. Czarny garnitur wyglądał obco, podobnie żałobna wstążka. Odłożyłem portret z uśmiechniętym młodym łapaczem. Kiedy mijaliśmy Namwon, w końcu otworzyłem usta.

– Myśli pan, że jeśli po prostu rozprawię się z Oh Yongje, to wszystko się skończy?

– Nie. Twój tata chciał, żebyś zrobił coś dla siebie.

– Czemu?

– Bał się bólu i gniewu, które mogą się czaić w twoim sercu. Bał się tego... – Pan Ahn przez chwilę w milczeniu patrzył na drogę. –

Bał się, że to może zabić ciebie lub kogoś innego. Bał się, że to cię zmieni w potwora.

– A czyja to wina? Przeszedł dokładnie to samo. To on zabił i stał się potworem.

Zamilkłem. Poczulem, jakby owiał mnie zimny wiatr.

– Właśnie dlatego.  
Zadrzałem.

## Epilog

– Nie powiedział nic na koniec – przekazał nam strażnik więzienny. – Odmówił też obrzędów religijnych.

Otworzyłem pudełko z rzeczami taty. Wśród nich znalazłem książkę i sześć moich zdjęć. To wszystko.

– Zupełnie nic? – zapytał pan Ahn.

– Powiedział coś, ale tak cicho, że nie usłyszałem. Poprosiłem, żeby powtórzył, lecz tylko zacisnął usta. Pracownik, który założył mu kaptur na głowę, uważa, że powiedział: „Dziękuję”. Ale nie wiemy na pewno.

Strażnik spuścił wzrok. Spojrzałem na cyfry napisane białą kredą na wieku trumny. Jego numer więzienny.

– Chciałbyś zobaczyć zmarłego? – zapytał strażnik.

Milczałem. Bałem się tego widoku. Ale zanim mogłem się naradzić z panem Ahnem, ten zapytał:

– Czy możemy go przykryć całunem?

Gdy tylko strażnicy gdzieś zadzwonili, weszło dwóch mężczyzn w czarnych garniturach. Pan Ahn przekazał całun przedsiębiorcy pogrzebowemu. Trumna się otworzyła. Tata miał na głowie kaptur, który zakrywał mu twarz. Prawie zemdlałem. Widok czerwonego numeru na jego stroju więziennym był jak cios w brzuch. Pan Ahn powiedział, że wygląda na skurczonego i chudego. Ale i tak trumna wydawała się dla niego za mała. Przypomniał mi się widok taty siedzącego w matyzie w niewygodnej pozycji na siedzeniu kierowcy. Jego głowa sprawiała wrażenie, że zaraz przebije dach. Jak na tak

dużego mężczyznę jego świat był ograniczony. Tak wiele czasu spędził w pułapce: na polu sorgo, w nieszczęśliwym małżeństwie, w alkoholu, w więzieniu, a teraz w tej ciasnej trumnie.

Wyciągnąłem rękę i dotknąłem numeru więziennego. Przedsiębiorca pogrzebowy nakrył ciało całunem i ponownie zabezpieczył wieko trumny. Starłem z niej kredę. Pożyczyłem marker od strażnika i napisałem coś, co mój tata wolałby zabrać ze sobą na tamten świat: „Moją religią jest baseball”.

Z oszczędności nie wynajęliśmy karawanu. Wsiedliśmy do furgonetki pana Ahna i opuściliśmy teren więzienia tylną bramą. Ale prasa zwęszyła wcześniej sytuację i blokowała drogę.

Była to pierwsza egzekucja od ponad dekady, a więźniem z celi śmierci był osławiony Choi Hyonsu. Samochód z trumną znajdował się tuż przed ich oczami, jego porwany dzień wcześniej syn siedział w środku. Nie było mowy, żeby usunęli się z drogi. Pan Ahn oparł się na przedramionach i niespokojnie wyjrzał przez okno. Do zaplanowanej wizyty w krematorium została niecała godzina.

– Wyjdę – powiedziałem.

Musiałem im coś dać, inaczej nigdy byśmy nie przejechali. Gdy wyszedłem z furgonetki, wiatr zerwał mi czapkę. Na szarym niebie zaczęły błyskać flesze aparatów. Nie uchyliłem się, żeby ich uniknąć. Ta ciemność zaczęła się siedem lat temu i nadszedł czas, aby wejść w światło. Trzymając w rękach portret mojego taty, wszedłem w sam środek tłumu dziennikarzy. Musiałem brnąć w ten ocean światła, żeby świat w końcu pozwolił mi i mojemu tacie odejść. Posuwałem się krok po kroku. Ludzie krzyczeli i popychali mnie. Błyski paliły mi oczy. Krzyki dudniły w uszach, a twarz mi zdrętwiała. Miałem wrażenie, że tysiące niewidzialnych dłoni uderzyły mnie w oba policzki. Moje ramiona drżały, nogi uginały się pode mną. Droga wyglądała tak, jakby miała nigdy się nie skończyć. Przestałem iść. Przestałem oddychać. Zamknąłem oczy i próbowałem się opanować. Trząsnąłem się.

– To się niedługo skończy – powiedziałem do siebie. Po prostu muszę postawić jedną nogę przed drugą.

Krzyki wreszcie ucichły. Zamilkł trzask migawek aparatów i płaczący szum wiatru. Otworzyłem oczy. Wokół było ciemno jak o północy. Na ciemnoniebieskim niebie świeciły gwiazdy.



– Raz, dwa, trzy, Baba Jaga patrzy – usłyszałem wyraźnie głos dziecka. Z przodu, jak sygnał dźwiękowy wskazujący kierunek. To nie była gra. To była wiadomość, aby iść za dźwiękiem.

Krok do przodu. Jeszcze jeden.

– Raz, dwa, trzy, Baba Jaga patrzy.

Im dalej szedłem, tym dźwięk się oddalał. Ciemność stopniowo zanikała. W końcu zrobiło się jasno. Głos dziecka nie był już słyszalny. Może to była tylko wyobraźnia. Zobaczyłem białe łydki dziewczyny, które przedzierały się przez powietrze i oddalały w niebo. Szare popołudnie pełzało po słabych śladach, które pozostawiła. Wskazówki zegara zaczęły się obracać. Tik-tak, tik-tak... Podjechała furgonetka pana Ahna i stanęła obok mnie. Odwróciłem się. Długa noc tonęła w morzu światła.

O piątej ciało taty stanęło w płomieniach. Piec był zamknięty. Stałem nieruchomo przy jego drzwiach. Starłem się zrozumieć mojego tatę. Dlaczego tuż przed śmiercią powiedział: „Dziękuję”? Za co był wdzięczny? Komu? Czy dziękował za to, że został uwolniony od swojego życia? Że może mi przysłać ostatni znak? A może tuż przed zawieszeniem sznura na szyi tata powiedział jak w książce, którą mi zostawił: „Ostatecznie odpowiedział życiu »tak«, na przekór wszystkiemu”. Nie potrafiłem tego zrozumieć. Bo niby jak? Wiedziałem tylko, że ten mężczyzna był moim ojcem. Jego szczątki pojawiły się po około godzinie. Pracownik wręczył mi urnę. Była lekka, gorąca i pachniała ogniem.

Kiedy wróciliśmy do Wioski z Latarnią, na zewnątrz mocno padał śnieg. Na klifie pod latarnią czekała na nas łódź przewodniczącego klubu młodzieżowego. Morze było ciemne, a fale wstrzymywały oddech. Przewodniczący przyprowadził łódź. Na pokładzie przebrałem się w skafander do nurkowania. Pan Ahn obserwował mnie w ciszy.

– Czy mogę przynajmniej pójść z tobą na urwisko?

Potrząsałem głową. Sam wyglądał jak trup, był tak wyczerpany. Nie chciałem żegnać się z dwoma ojcami w ciągu jednego dnia.

– Za jakieś dwadzieścia minut będzie odpływ – powiedział pan Ahn.

Przytaknąłem skinieniem głowy.

– Musisz zdążyć tam wejść wcześniej.

Znowu potaknąłem. Łódź zatrzymała się w zachodnim punkcie skalistej wyspy. Włączyłem światło i wyregulowałem oświetlenie na maksimum. Założyłem kieszeń balastową. Zapakowałem urnę ze szczątkami taty do drucianej torby. Włożyłem ustnik i spojrzałem na zegarek: 23.55. Wziętem oddech i wskoczyłem tyłem do wody. Było zimno, ale prąd był łagodny. Płynąłem w dół z opadającym prądem, minąłem półkę urwiska i popłynąłem głębiej, obok skupisk koralowców, aksamitek z czerwonymi płetwami migoczących wśród wodorostów, płastug śpiących na skale. Schodziłem coraz głębiej. Wybiła północ. Dotarłem do otchłani. Było ciemno, wszystko zdawało się bezbarwne. Szare ryby jak chmury burzowe krążyły w górze. Wyjąłem urnę ze szczątkami ojca i przeciąłem gumkę, która ją zamykała. Otworzyłem pokrywę nożem. Popiół wzbił się w ławicę ryb, zanim rozproszył się w nurcie wody. Wyglądało to jak podwodna burza śnieżna. Tata powiedział mi, że w dniu jego narodzin, czterdzieści trzy lata temu, padał śnieg. Śnieg sypał także mocno, tak jak dzisiaj, trzynaście lat temu, na jego trzydzieste urodziny. To był rok, w którym doznał kontuzji i zawałił się jego świat. W dniu trzydziestych urodzin dochodził do siebie w szpitalu po trzeciej operacji barku. Tego popołudnia założył kurtkę na szpitalną koszulę, wymknął się z budynku i zabrał mnie do pobliskiego wesołego miasteczka. Akurat było zamknięte. Tata nie wiedział, co robić, więc kupił mi colę z automatu. Niebo było ziemistoszare, pod ołowianymi chmurami szalała śnieżyca, a przydrożne drzewa żałośnie zawodziły niczym altówki. W automacie do gier, który stał na świeżym powietrzu, wybrałem ozdobę z uśmiechniętą czaszką, którą dałem tacie, żeby powiesił ją na lusterku wstecznym w samochodzie. Pamiętam jego twarz, kiedy ją ode mnie odbierał, i jak potem maszerowaliśmy razem po pustym placu, gwiżdżąc *Marsz pułkownika Bogeya*. Teraz, gdy patrzyłem, jak jego prochy odpływają w ciemnej wodzie, powiedziałem mu to samo co tamtego dnia: „Wszystkiego najlepszego, tato”.

# Od Autorki

Czy może coś istnieć pomiędzy faktem a prawdą?

Przeznaczenie czasem wysyła nam słodki powiew i ciepłe światło słoneczne, a innym razem podmuch nieszczęścia, który wstrząsa naszym życiem. Staramy się unikać burzy lub walczyć z nią za pomocą najlepszych wyborów. Przynajmniej tak myślimy. Jednakże często zdarzają się niezrozumiałe sytuacje, w których to, co najlepsze, widać przed oczami, a i tak nasz wybór pada na najgorsze. Bywa, że podejmujemy złe decyzje. Między faktem a prawdą jest szara strefa, o której się często nie mówi. Choć niewygodna i zagmatwana, nikt z nas nie może uciec od szarości. Ta powieść opowiada o tej szarej strefie, o człowieku, który popełnił jeden błąd, a ten zrujnował mu życie. Chodzi o ciemność w ludziach i o jasność możliwą dzięki poświęceniu się dla kogoś innego. W dniu, w którym skończyłam pisanie tej powieści, usiadłam przy biurku i żarliwie się pomodliłam, abyśmy posługując się myślą Viktora Frankla, ostatecznie mogli „odpowiedzieć »tak« życiu, na przekór wszystkiemu”.

Zawsze czuję, że sama nie potrafiłabym napisać powieści. Dziękuję wszystkim, którzy pomogli mi przy tej książce. Prokuratorowi śledczemu Parkowi Juhwanowi, Kimowi Myonggonowi, instruktorowi nurkowania z zespołu ratunkowego 119, oraz Jongowi Ungi, inżynierowi budownictwa, którzy podzielili się swoją wiedzą i żywymi doświadczeniami, a nawet przejrzyli rękopis.

Jestem wdzięczna pracownikom pewnej tamy, którzy nie mogli ujawnić swoich nazwisk. Przesyłam podziękowania mojej rodzinie, przyjaciółce Jiyong, która zawsze mnie dopingowała, pisarzowi Ahnowi Sunghwanowi, który analizował moje chaotyczne szkice oraz bezwzględnie i obiektywnie diagnozował problemy. Z wdzięcznością kłaniam się panu Cho Yongho oraz Parkowi Bomsinowi, którzy dali mi cenne rady. Obiecuję, że będę szła dalej, krok po kroku wskazaną ścieżką.

Jezioro Seryong i Wioska z Latarnią zrodziły się w mojej wyobraźni, a jakiegokolwiek podobieństwo do istniejących miejsc jest czysto przypadkowe. Przez dwa lata pisania tej książki byłam burmistrzem dwóch ponurych, niepokojących miasteczek i kochałam je całym sercem. Kiedy czułam się samotna, krążyłam w swojej głowie po tej okolicy. Jestem podekscytowana, że te miejsca ujawniono światu. Chciałabym bardzo podziękować redakcji za pracę nad moją książką.

Szczenia dla wszystkich.

## Spis treści:

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Prolog](#)

[Wioska z Latarnią](#)

[Jezioro Seryong I](#)

[Jezioro Seryong II](#)

[Prawo Martini](#)

[Jezioro Seryong III](#)

[Raz, dwa, trzy, Baba Jaga patrzy](#)

[Epilog](#)

[Od Autorki](#)

[Karta redakcyjna](#)

TYTUŁ ORYGINAŁU:

7년의 밤 (ang. *Seven Years of Darkness*)

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik

Wydawczyni: Agata Garbowska-Karolczuk

Redakcja: Adrian Kyć / Rytm pisania

Korekta: Małgorzata Lach

Projekt okładki: Krzysztof Rychter

Zdjęcie na okładce: © Rekha Garton / Trevillion Images

Seven Years of Darkness

Copyright © 2011 by You-jeong Jeong

All rights reserved.

Copyright © 2022 for the Polish edition by Mova

an imprint of Wydawnictwo Kobięce Łukasz Kierus

Copyright © for the Polish translation by Anna Diniejko, Łukasz Janik, 2022

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2022

ISBN 978-83-67335-38-6



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

[www.facebook.com/kobiece](http://www.facebook.com/kobiece)



[www.wydawnictwokobiece.pl](http://www.wydawnictwokobiece.pl)

Wydawnictwo Kobięce

E-mail: [redakcja@wydawnictwokobiece.pl](mailto:redakcja@wydawnictwokobiece.pl)

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie  
[www.wydawnictwokobiece.pl](http://www.wydawnictwokobiece.pl)

Na zlecenie Woblink

**woblink**

[woblink.com](http://woblink.com)

plik przygotowała Katarzyna Rek